JEFFREY ARCHER

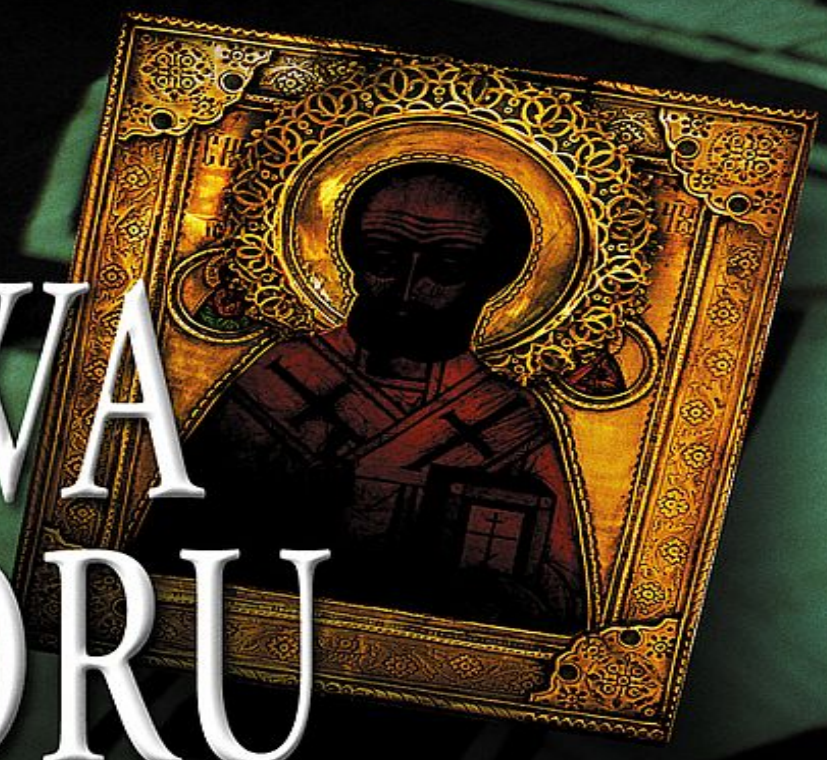

SPRAWA HONORU

REBIS

JEFFREY ARCHER

SPRAWA HONORU

Przełożyła
Zofia Uhrynowska-Hanasz

REBIS
DOM WYDAWNICZY REBIS

Willowi

CZĘŚĆ PIERWSZA

KREML
MOSKWA

19 maja 1966

I

KREML, MOSKWA

19 maja 1966

– To falsyfikat – rzekł przywódca sowiecki, patrząc na małe, piękne malowidło, które trzymał w ręku.

– Niemożliwe – powiedział jego kolega z Biura Politycznego. – Carska ikona przedstawiająca świętego Jerzego ze smokiem była w Pałacu Zimowym w Leningradzie pilnie strzeżona przez ponad pięćdziesiąt lat.

– Macie rację, towarzyszu Zaborski, ale właśnie przez te pięćdziesiąt lat strzegliśmy falsyfikatu. Car musiał usunąć oryginał na jakiś czas przed tym, jak Gwardia Czerwona wkroczyła do Piotrogrodu i zajęła Pałac Zimowy.

W miarę jak zabawa w kotka i myszkę się przedłużała, szef KGB zaczął się niespokojnie kręcić na krześle. Po latach służby w organach bezpieczeństwa wiedział dokładnie, kto tu jest myszką… i to od chwili, kiedy o czwartej rano zadzwoniono do niego, że ma się natychmiast stawić na Kremlu u sekretarza generalnego.

– Skąd macie taką pewność, że to falsyfikat, Leonidzie Iljiczu? – zapytał mały mężczyzna.

– Stąd, mój drogi Zaborski, że w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy wszystkie skarby Pałacu Zimowego były datowane metodą węgla radioaktywnego. To nowoczesna metoda naukowa niewymagająca innego potwierdzenia – odparł Breżniew, popisując się nowo zdobytą wiedzą. – I to, co uważaliśmy za jedno z arcydzieł sztuki narodowej, okazało się kopią namalowaną pięćset lat po oryginale Rublowa.

– Ale przez kogo i w jakim celu? – zapytał z niedowierzaniem szef KGB.

– Eksperci twierdzą, że najprawdopodobniej jest to dzieło artysty dworskiego – odrzekł przywódca sowiecki – któremu zlecono wykonanie kopii zaledwie na parę miesięcy przed wybuchem rewolucji. Kustosza Pałacu

Zimowego zawsze niepokoiło, że na odwrocie tej ikony brakuje tradycyjnej carskiej srebrnej korony, jaka znajduje się na wszystkich innych arcydziełach – dodał Breżniew.

– Sądziłem dotąd, że tę koronę zabrał jakiś hobbysta, zanim weszliśmy do Piotrogrodu.

– Nie – rzekł sucho sekretarz generalny, a jego krzaczaste brwi unosiły się za każdym razem, kiedy kończył zdanie. – To nie srebrną koronę zabrano, tylko samo malowidło.

– Co wobec tego car mógł zrobić z oryginałem? – powiedział w zadumie szef KGB, jakby sam do siebie.

– Właśnie to chciałbym wiedzieć – rzekł Breżniew, kładąc dłonie po obu stronach niewielkiego malowidła, które miał przed sobą. – I to wy, towarzyszu, macie dostarczyć odpowiedzi na to pytanie.

Po raz pierwszy szef KGB poczuł się niepewnie.

– Ale czy macie jakiś trop, którym moglibyśmy pójść?

– Niestety, bardzo nieznaczny – przyznał sekretarz generalny, otwierając teczkę, którą wyjął z górnej szuflady biurka, po czym zatopił się w lekturze nabitego treścią maszynopisu zatytułowanego *Znaczenie ikony w historii Rosji*. Ktoś nie spał całą noc, aby przygotować dziesięciostronicowy raport, który przywódca ledwie miał czas przejrzeć. To, co Breżniewa interesowało najbardziej, zaczynało się na stronie czwartej. Szybko przerzucił więc pierwsze trzy, zanim zaczął czytać na głos: – „Podczas rewolucji car Mikołaj II musiał najwyraźniej uznać arcydzieło Rublowa za swój paszport do wolności na Zachodzie. Kazał zapewne wykonać kopię, którą powiesił w swoim gabinecie na miejscu oryginału”. – Przywódca sowiecki podniósł wzrok. – Poza tym nie wiemy praktycznie nic.

Szef KGB był wyraźnie zakłopotany. Nie potrafił odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego Breżniew zawraca głowę organom bezpieczeństwa kradzieżą jakiegoś niezbyt wartościowego dzieła.

– A jak ważne jest odnalezienie oryginału? – zapytał, poszukując jakichkolwiek poszlak.

Leonid Breżniew mierzył wzrokiem swego kolegę z Kremla.

– Nie ma nic ważniejszego, towarzyszu – powiedział nieoczekiwanie. – A ja ze swej strony gwarantuję wam wszelkie środki, jakie uznacie za niezbędne do odnalezienia carskiej ikony.

– Gdybym miał was trzymać za słowo, towarzyszu sekretarzu generalny – rzekł szef KGB, usiłując ukryć swoje wątpliwości – bez trudu wydałbym więcej, niż warte jest samo dzieło.

– To niemożliwe – stwierdził Breżniew, robiąc retoryczną pauzę dla zwiększenia efektu – ponieważ tu nie chodzi o samą ikonę. – Odwrócił się tyłem do szefa KGB i zaczął wyglądać przez okno. Zawsze drażniło go, że ponad murem Kremla nie widać placu Czerwonego. Odczekał chwilę, zanim rzekł: – Pieniądze, jakie car mógłby uzyskać ze sprzedaży ikony, zapewniłyby mu życie na poziomie, do jakiego przywykł, najwyżej przez kilka miesięcy, powiedzmy, rok. Nie, my podejrzewamy, że to, co car umieścił w ikonie, miało zapewnić bezpieczeństwo jemu i jego rodzinie na resztę ich dni.

Szyba przed sekretarzem generalnym lekko zaparowała.

– Co mogłoby być aż tak wartościowe? – zainteresował się szef KGB.

– A pamiętacie, towarzyszu, co car obiecał Leninowi w zamian za ocalenie życia?

– Tak, ale okazało się, że to blef, ponieważ taki dokument nie został ukryty… – Powstrzymał się przed dodaniem: „w ikonie”.

Zaborski stał bez słowa, nie mając odwagi spojrzeć na triumfalny uśmiech Breżniewa.

– Widzę, że wreszcie zaczynacie mnie rozumieć, towarzyszu. Otóż, widzicie, dokument był cały czas ukryty w ikonie. Tylko nie w tej, którą my mamy. – Sekretarz generalny milczał chwilę, zanim odwrócił się i podał swemu koledze kartkę papieru. – A to jest świadectwo cara stwierdzające, co mieliśmy znaleźć wewnątrz ikony przedstawiającej świętego Jerzego ze smokiem. Nie znaleziono wtedy nic, co tylko przekonało Lenina, że był to ze strony cara jedynie wybieg zmierzający do ocalenia rodziny przed egzekucją.

Zaborski powoli czytał dokument napisany odręcznie przez cara na kilka godzin przed śmiercią. Zanim doszedł do ostatniego akapitu, zaczęły mu się trząść ręce, a na czoło wystąpił perlisty pot. Spojrzał na małe, nie większe od książki malowidło, które leżało na środku biurka sekretarza generalnego.

– Od śmierci Lenina – podjął Breżniew – nikt nie wierzył w zapewnienie cara. Obecnie nie ma najmniejszej wątpliwości, że jeśli tylko zdołamy odnaleźć autentyczną ikonę, zdobędziemy obiecany dokument.

– A biorąc pod uwagę rangę jego sygnatariuszy, nikt nie zakwestionuje naszych praw – rzekł Zaborski.

– Słusznie mówicie, towarzyszu – potwierdził sowiecki przywódca. – Sądzę też, że gdyby Amerykanie zechcieli zakwestionować nasze prawa, zyskalibyśmy poparcie Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości. Obawiam się tylko, że czas działa na naszą niekorzyść.

– Jak to? – zapytał szef Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego.

– Spójrzcie na datę ważności dokumentu, a zrozumiecie, jak niewiele zostało nam czasu na wywiązanie się z naszej części umowy – rzekł Breżniew.

Zaborski spojrzał na datę nagryzmoloną ręką cara: 20 czerwca 1966. Zwrócił dokument, uświadamiając sobie ogrom odpowiedzialności, jaką złożył na jego barki przywódca.

– Jak więc widzicie, towarzyszu Zaborski – Leonid Iljicz podjął swój monolog – pozostał nam jeszcze tylko miesiąc do ostatecznego terminu, ale jeśli zdołacie do tego czasu ustalić miejsce pobytu oryginalnej ikony, system obronny prezydenta Johnsona stanie się praktycznie bezużyteczny i Stany Zjednoczone będą jedynie pionkiem na naszej szachownicy.

II

APPLESHAW, ANGLIA

czerwiec 1966

– A dla mego ukochanego jedynego syna, kapitana Adama Scotta, kawalera Krzyża Wojskowego, przeznaczam sumę pięciuset funtów.

Chociaż Adam spodziewał się, że suma będzie żałośnie niska, trwał godnie wyprostowany, gdy adwokat spojrzał na niego sponad swoich połówkowych szkieł.

Stary prawnik siedzący za wielkim biurkiem uniósł głowę i mrugnął do młodego, przystojnego mężczyzny naprzeciwko. Adam, nagle świadom jego spojrzenia, nerwowo przeczesał palcami gęstą czarną czuprynę. Wzrok pana Holbrooke'a powrócił do leżących przed nim papierów.

– Mojej ukochanej córce zaś, Margaret Scott, zapisuję sumę czterystu funtów.

Adam nie był w stanie powściągnąć uśmieszku, jaki pojawił się na jego twarzy. Nawet w szczegółach tego ostatecznego aktu ojciec pozostał szowinistą.

– Klubowi Krykietowemu hrabstwa Hampshire – monotonnie czytał pan Holbrooke, niespeszony brakiem szczęścia panny Scott – dwadzieścia pięć funtów, dożywotnie członkostwo. – Wreszcie spłacone, pomyślał Adam. – Starym Szydercom piętnaście funtów. Kościołowi parafialnemu w Appleshaw dziesięć funtów. – Raczej pośmiertne członkostwo, dumał Adam. – Wilfowi Proudfootowi, naszemu lojalnemu ogrodnikowi na pół etatu, dziesięć funtów, i naszej pomocy domowej, pani Mavis Cox, pięć funtów. I wreszcie mojej ukochanej żonie Susan nasz wspólny dom i resztę majątku. – Adam miał ochotę roześmiać się głośno, ponieważ wątpił, czy reszta majątku, nawet gdyby sprzedać obligacje premiowe i przedwojenne kije golfowe, przekroczyłaby choćby tysiąc funtów.

Ale matka była córką pułku, więc i tak by nie narzekała; nie narzekała nigdy. Gdyby tak Bóg wynosił świętych na ołtarze, robiąc konkurencję papieżom w Rzymie, obok Marii i Elżbiety z pewnością pojawiłaby się święta Susan z Appleshaw. Przez całe swoje życie „tata", jak go zawsze Adam nazywał, zawieszał rodzinie wysoko poprzeczkę. Może dlatego właśnie syn tak bardzo podziwiał ojca.

Widząc, że sprawa zmierza ku końcowi, zaczął się niespokojnie kręcić na krześle. Uznał, że im prędzej wydostaną się z tej zimnej, obskurnej kancelarii, tym lepiej.

Pan Holbrooke raz jeszcze spojrzał znad papierów i odchrząknął, jakby miał za chwilę ogłosić, kto dziedziczy Goyę czy diamenty Habsburgów. Podepchnął wyżej połówkowe okularki i popatrzył na ostatnie paragrafy testamentu swego klienta. Trójka Scottów siedziała w milczeniu. Ciekawe, co ma nam jeszcze do zakomunikowania, zastanawiał się Adam.

Cokolwiek jednak to było, adwokat wyraźnie ważył w myślach ostatni zapis, kiedy go bowiem wreszcie ogłosił, starannie wymawiał słowa, jak aktor, i raz tylko zajrzał do tekstu.

– Zostawiam również mojemu synowi – pan Holbrooke zrobił pauzę – kopertę – to mówiąc, uniósł kopertę – która, mam nadzieję, przyniesie mu więcej szczęścia niż mnie. Gdyby się zdecydował ją otworzyć, to tylko pod warunkiem, że nie zdradzi jej zawartości przed żadną żywą istotą.

Adam pochwycił wzrok siostry, która lekko pokręciła głową, nie mniej zdziwiona niż on. Następnie spojrzał na matkę, która robiła wrażenie wstrząśniętej. Czy był to strach, czy troska – Adam nie potrafił powiedzieć. Pan Holbrooke bez słowa wręczył synowi pułkownika pożółkłą kopertę.

Wszyscy obecni w dalszym ciągu nie ruszali się z miejsc, nie bardzo wiedząc, co robić. Adwokat zamknął w końcu cienką teczkę z napisem: „Pułkownik Gerald Scott, kawaler Orderu za Wzorową Służbę, Orderu Imperium Brytyjskiego i Krzyża Wojskowego", odsunął krzesło i wolno podszedł do wdowy. Uścisnęli sobie ręce i pani Scott powiedziała: „Dziękuję bardzo", co było dość śmieszne, jeśli wziąć pod uwagę, że jedyną osobą, która odnosiła jakąkolwiek korzyść z tej szczególnej transakcji, był pan Holbrooke reprezentujący firmę Holbrooke, Holbrooke & Gascoigne.

Adam wstał i szybko podszedł do matki.

– Zechce pan przyjąć zaproszenie na herbatę? – pytała właśnie Holbrooke'a.

– Obawiam się, że będzie to niemożliwe, szanowna pani – zaczął adwokat, ale Adam nie uważał za stosowne wysłuchać go do końca. Widać honorarium było za skromne na to, by Holbrooke poświęcił im choćby jeszcze chwilę.

Gdy wyszli z kancelarii, Adam usadowił matkę i siostrę na tylnym siedzeniu rodzinnego morrisa minora, a sam zajął miejsce za kierownicą. Zaparkował dokładnie przed biurem Holbrooke'a, w połowie High Street. Nie ma jeszcze na ulicach Appleshaw żółtych linii, pomyślał. Zanim zdążył przekręcić kluczyk w stacyjce, pani Scott powiedziała rzeczowym tonem:

– Trzeba się będzie go pozbyć. Teraz, kiedy galon benzyny kosztuje sześć szylingów, nie mogę sobie pozwolić na utrzymanie samochodu.

– Na razie się tym nie martwmy – rzekła uspokajająco Margaret, lecz jej ton świadczył o pełnym zrozumieniu obaw matki. – Ciekawa jestem, Adamie, co też może być w tej kopercie – dodała, zmieniając temat.

– Z pewnością szczegółowe instrukcje co do tego, jak mam najlepiej zainwestować swoje pięć setek – odparł, usiłując wprowadzić nieco weselszy nastrój.

– Więcej szacunku dla zmarłych – zwróciła mu uwagę matka, a na jej twarz powrócił wyraz lęku sprzed lat. – Błagałam ojca, żeby zniszczył tę kopertę – dodała niemal szeptem.

Adam wydął usta. Uświadomił sobie, że musi to być ta sama koperta, o której mówił wiele lat temu ojciec podczas jedynej sprzeczki między rodzicami, jakiej Adam był świadkiem. Do dziś pamiętał podniesiony głos i gniewne słowa pułkownika w kilka dni po jego powrocie z Niemiec.

„Muszę ją otworzyć, czy ty tego nie rozumiesz?" – upierał się ojciec.

„Nigdy – powiedziała matka. – Po tych wszystkich wyrzeczeniach, jakie ponosiłam, przynajmniej tyle jesteś mi winien".

Od tamtego nieporozumienia minęło ponad dwadzieścia lat i Adam nigdy już nie usłyszał nawet najmniejszej wzmianki na ten temat. Zapytana o to jeden jedyny raz, siostra nie potrafiła mu wyjaśnić, o co wtedy chodziło.

Dojechali do końca High Street i Adam nacisnął pedał hamulca, po czym skręcił w prawo i jeszcze jakiś kilometr jechał krętą wiejską drogą, zanim zatrzymał starego morrisa. Wyskoczył z samochodu i otworzył furtkę z siatki, od której przez schludny trawnik wiodła ścieżka do krytego strzechą domku.

– Pewnie zaraz musisz wracać do Londynu? – Były to pierwsze słowa matki po wejściu do saloniku.

– Nie ma pośpiechu, mamo. Wszystko może spokojnie poczekać do jutra.

– Jak chcesz, kochanie, ale mną się nie musisz przejmować. – Patrzyła na młodego, wysokiego mężczyznę, który tak bardzo przypominał jej Geralda. Byłby tak samo przystojny jak ojciec, gdyby nie drobna deformacja nosa. Te same ciemne włosy i głęboko osadzone piwne oczy, ta sama otwarta, szczera twarz, a nawet to samo miłe obejście. Nade wszystko zaś ta sama uczciwość, która sprawiła, że znaleźli się teraz w tak żałosnym położeniu. – Zresztą jest przecież Margaret, która się mną zajmie – dodała.

Adam spojrzał na siostrę, zastanawiając się, jak też sobie ona poradzi ze świętą Susan z Appleshaw.

Margaret zaręczyła się właśnie z maklerem giełdowym i chociaż ślub został przełożony, i tak będzie chciała wkrótce rozpocząć samodzielne życie. Całe szczęście, że jej narzeczony zadatkował już niewielki domek w odległości zaledwie czternastu mil od Appleshaw.

Po herbacie i smutnym monologu matki na temat cnót i nieszczęść ich ojca Margaret sprzątnęła ze stołu, zostawiając matkę i syna samych. Oboje kochali zmarłego bardzo, ale na zupełnie różne sposoby, i Adam miał świadomość, że nigdy nie dał ojcu w pełni odczuć, jak wielkim darzy go szacunkiem.

– Mam nadzieję, że teraz, po wyjściu z wojska, znajdziesz jakieś godziwe zajęcie – powiedziała matka niepewnie, pamiętając, jak trudne się to okazało dla ojca Adama.

– Wszystko będzie dobrze, mamo, nie martw się. Znów mnie zapraszają do Ministerstwa Spraw Zagranicznych na rozmowę – dodał w nadziei, że ją uspokoi.

– Dostałeś te pięćset funtów, więc będzie ci trochę łatwiej – rzekła matka.

Adam uśmiechnął się do niej czule, zastanawiając się, kiedy ostatnio była w Londynie. Sam jego udział w czynszu za mieszkanie w Chelsea wynosił cztery funty tygodniowo, a przecież musiał jeszcze od czasu do czasu coś jeść.

Matka uniosła wzrok i patrząc na zegar na kominku, powiedziała:

– Powinieneś się już zbierać, kochanie. Denerwuję się na myśl o tym, że będziesz jechał na motorze po ciemku.

Adam pochylił się nad matką i pocałował ją w policzek.

– Zadzwonię jutro. – Wychodząc, wsunął głowę do kuchni i zawołał do siostry: – Wychodzę. Przyślę ci czek na pięćdziesiąt funtów.

– Dlaczego? – spytała Margaret znad zlewozmywaka.

– Powiedzmy, że chcę w ten sposób poprzeć walkę o prawa kobiet.

Szybko zamknął drzwi kuchni, żeby uniknąć ścierki, która poleciała w jego stronę. Zapalił swego BSA i drogą A303 przez Andover ruszył do Londynu. Ruch o tej porze odbywał się głównie w kierunku zachodnim, od strony miasta, więc jadąc do siebie, na Ifield Road, mógł rozwinąć zupełnie przyzwoitą szybkość.

Z otwarciem koperty postanowił zaczekać, aż znajdzie się w zaciszu czterech ścian swojego pokoju. Ostatnio życie nie dostarczało mu znów tak wielu atrakcji i dlatego uważał, że może sobie pozwolić na tę niewielką ceremonię. Ostatecznie całe lata czekał na to, żeby się dowiedzieć, co zawiera koperta, którą właśnie odziedziczył.

Ojciec tysiące razy opowiadał mu historię tragedii rodzinnej. „To wszystko sprawa honoru, synu” – powtarzał, unosząc mu brodę i prostując ramiona. Nie zdawał sobie sprawy, że Adam właściwie całe życie wysłuchiwał uszczypliwości niższych rangą oficerów i znosił upokarzające spojrzenia tych, którzy dbali o to, by się za często nie pokazywać w jego towarzystwie. Ludzie małego formatu. Zbyt dobrze znał ojca, by chociaż przez moment wierzyć, że istotnie jest winien zarzucanej mu zdrady. Jedną ręką puścił kierownicę motoru i w wewnętrznej kieszeni namacał kopertę. Jak uczniak, który w przeddzień urodzin ogląda paczkę z prezentem, usiłując odgadnąć jej zawartość. Wiedział, że teraz, po śmierci ojca, nikt już tego nie wykorzysta, ale to w niczym nie umniejszało jego ciekawości.

Usiłował złożyć w całość nieliczne fakty, które zdołał poznać na przestrzeni lat. W 1946, na rok przed pięćdziesiątką, ojciec wystąpił z wojska. „Times” pisał o nim jako o błyskotliwym strategu, który podczas wojny odznaczył się wielką odwagą. Jego decyzja przejścia do cywila zdumiała korespondenta „Timesa”, zaskoczyła najbliższą rodzinę, a w pułku wywołała szok, wszyscy bowiem, którzy go znali, uważali, że to tylko kwestia miesięcy, gdy jego epolety ozdobią skrzyżowane miecze i buława.

Sprawa nagłego wycofania się pułkownika z czynnej służby obrosła w plotki. Sam bohater, zapytany o przyczyny swej decyzji, powiedział tylko tyle, że ma już dość wojny i że najwyższy czas zarobić jakieś pieniądze, z których on i Susan mogliby czerpać po przejściu na emeryturę, zanim będzie za późno. Nawet wtedy mało kto dawał wiarę tej wersji, zwłaszcza gdy się okazało, że jedyną pracą, jaką pułkownik zdołał znaleźć, była posada sekretarza miejscowego klubu golfowego.

Tylko dzięki wielkoduszności swego świętej pamięci dziadka, generała sir Pelhama Westlake'a, Adam mógł pozostać w Wellington College i kontynuować wojskową tradycję rodzinną.

Po ukończeniu szkoły zaproponowano mu miejsce w Królewskiej Akademii Wojskowej w Sandhurst. W czasie pobytu w akademii pilnie studiował historię wojskowości, taktykę i strategię, weekendy zaś spędzał na grze w rugby i squasha, choć największe sukcesy odnosił w biegach przełajowych. Przez dwa lata zdyszani kadeci z Cranwell i Dartmouth widzieli jedynie jego zbryzgane błotem plecy, kiedy zdobywał laury w mistrzostwach różnych służb. Został także mistrzem wagi średniej w boksie, mimo że jeden z kadetów, Nigeryjczyk, złamał mu nos w pierwszej rundzie finałowego pojedynku. Nigeryjczyk błędnie uznał, że walka została już zakończona.

W sierpniu 1956, po opuszczeniu Sandhurst, Adam zajął dziewiąte miejsce w klasyfikacji rocznika, a jego zdolności przywódcze i postawa poza salą wykładową były takie, że nikt się nie zdziwił, kiedy przyznano mu szpadę honorową. Od tej chwili nie wątpił, że pójdzie w ślady ojca i będzie dowodził pułkiem.

Królewski Pułk Wessex przyjął syna pułkownika wkrótce po tym, jak Adam otrzymał patent oficerski. Szybko zdobył szacunek wśród żołnierzy i popularność u tych oficerów, którzy nie zajmowali się plotkami. Jako specjalista od taktyki nie miał sobie równych, a gdy doszło do walki, stało się jasne, że odziedziczył odwagę po ojcu. Kiedy jednak sześć lat później Ministerstwo Wojny ogłosiło w „London Gazette" listę oficerów, którzy zostali awansowani do stopnia kapitana, porucznika Adama Scotta na niej nie było. Jego rówieśnicy byli szczerze zdumieni, podczas gdy starsi oficerowie z pułku nabrali wody w usta. Dla samego Adama stało się aż nazbyt jasne, że nie pozwolą mu zadośćuczynić za przewinienie, jakiego dopuścił się ponoć jego ojciec.

W końcu Adam doczekał się stopnia kapitana, ale dopiero kiedy wyróżnił się podczas walk wręcz w malajskiej dżungli z nieprzebranymi oddziałami chińskimi. Wzięty do niewoli przez komunistów, znosił męki samotności i tortury, na jakie żaden trening go nie przygotował. Osiem miesięcy po uwięzieniu uciekł, by po powrocie na front dowiedzieć się, że został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Wojskowym. Kiedy w wieku lat dwudziestu dziewięciu kapitan Scott zdał egzaminy sztabowe i w dalszym ciągu nie zaproponowano mu etatu pułkownika, zrozumiał, że o dowodzeniu pułkiem nie ma co marzyć. Kilka tygodni później wystąpił o dymisję; nie było potrzeby udawać, że chodzi mu o wyższe zarobki.

Odsługując ostatnie miesiące w wojsku, dowiedział się od matki, że ojciec ma przed sobą zaledwie kilka tygodni życia. Zdecydował, że nie powie mu o swojej dymisji. Wiedział, że ojciec miałby wielkie poczucie winy, i odczuwał ulgę, że przynajmniej umarł nieświadom piętna, z jakim przyszło żyć jego synowi.

Kiedy Adam znalazł się na przedmieściach Londynu, powrócił myślami, jak to mu się ostatnio często zdarzało, do naglącego problemu znalezienia jakiejś przyzwoitej posady. W ostatnich siedmiu tygodniach bezrobocia miał znacznie więcej spotkań z dyrektorem swego banku niż z przyszłymi pracodawcami. To prawda, że go zaproszono na rozmowę do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, ale poziom innych kandydatów, których tam spotykał, boleśnie uświadomił mu własny brak wykształcenia uniwersyteckiego. Czuł jednak, że pierwsza rozmowa wypadła dobrze, i szybko zorientował się, iż wielu byłych oficerów przechodzi do służby dyplomatycznej. Gdy odkrył, że przewodniczący komisji kwalifikacyjnej też ma Krzyż Wojskowy, uznał, iż nie szykują go do papierkowej roboty.

Skręciwszy w King’s Road, znów namacał w kieszeni kopertę, mając nadzieję, że Lawrence nie wrócił jeszcze z banku do domu. Nie mógł narzekać: przyjaciel ze szkolnej ławy zrobił piękny gest, oferując mu taki przyjemny pokój w swoim dużym mieszkaniu za jedyne cztery funty tygodniowo.

– Będziesz mi płacił więcej, jak zostaniesz ambasadorem – powiedział Lawrence.

– Zaczynasz mówić jak Rachmann – odparł Adam, uśmiechając się do człowieka, którego tak bardzo podziwiał za ich wspólnych czasów w Wellington.

Bo Lawrence’owi, w przeciwieństwie do Adama, wszystko przychodziło łatwo: egzaminy, praca, sport i kobiety – zwłaszcza te ostatnie. Kiedy dostał się do Balliol College i skończył z wyróżnieniem FPE (Filozofia, Polityka, Ekonomia), nikt się nie zdziwił. Kiedy jednak wybrał jako zawód bankowość, jego rówieśnicy nie potrafili ukryć zaskoczenia. Po raz pierwszy bowiem chyba jął się czegoś, co można by nazwać rzeczą przyziemną.

Adam zaparkował motor w pobliżu Ifield Road, uświadamiając sobie, że jeśli nie dostanie pracy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, to będzie go musiał sprzedać, tak jak matka swojego morrisa minora. Gdy szedł w stronę domu, obejrzała się za nim mijająca go dziewczyna; Adam nawet jej nie zauważył. Pokonał schody, biorąc po trzy stopnie naraz. Znalazłszy się na trzecim piętrze, włożył do zamka klucz yale i w tym momencie usłyszał ze środka głos Lawrence’a.

– Zamknięte na zasuwę!

– Cholera – burknął Adam pod nosem.

– Jak poszło? – powitał go Lawrence, kiedy Adam wszedł do pokoju.

– Nie najgorzej. – Nie bardzo wiedział, co w tej sytuacji powiedzieć, więc uśmiechnął się do swojego współlokatora. Lawrence zdążył się już przebrać w blezer i szare flanelowe spodnie. Nieznacznie niższy i trochę tęższy od Adama, miał gęstą jasną czuprynę, masywne czoło i szare, myślące oczy, które jak gdyby zawsze o coś pytały.

– Podziwiałem twego ojca – powiedział. – Zawsze uważał, że każdy musi mieć tak surowe zasady jak on.

Adam do dziś pamiętał, jak to na dorocznym rozdaniu nagród przedstawił ojcu Lawrence’a. Z miejsca poczuli do siebie sympatię. Ale wtedy Lawrence nie należał do tych, którzy lubią plotki.

– To co, po odziedziczeniu rodzinnej fortuny przechodzimy na emeryturę, tak? – zapytał Lawrence nieco lżejszym tonem.

– Tylko jeśli ten szemrany bank, w którym pracujesz, potrafi w ciągu kilku dni z pięciuset funtów zrobić pięć tysięcy.

– Wiesz co, stary, na razie to niemożliwe – rzekł Lawrence. – Nie teraz, kiedy Harold Wilson zamroził płace i ceny.

Adam spojrzał na przyjaciela i uśmiechnął się. Choć w tej chwili był wyższy od niego, doskonale pamiętał czasy, kiedy Lawrence wydawał mu się olbrzymem.

„Znów spóźniony, Scott” – mawiał, kiedy Adam przeciskał się koło niego w korytarzu. Adam nie mógł się doczekać chwili, kiedy i on będzie robił wszystko na luzie i w sposób nieprzeciętny. A może to dlatego, że sam Lawrence był nieprzeciętny? Garnitury miał zawsze nienagannie wyprasowane, buty wyglansowane i każdy włos na swoim miejscu. Adam nie potrafił pojąć, jak to jest, że przyjacielowi wszystko przychodzi bez wysiłku.

Nagle usłyszał odgłos otwieranych drzwi łazienki. Spojrzał na Lawrence’a pytająco.

– To Carolyn. Zostanie na noc… jak sądzę.

Gdy Carolyn weszła do pokoju, Adam uśmiechnął się do niej. Długie włosy muskały jej ramiona, kiedy szła w ich stronę, ale przede wszystkim jej nienaganna figura sprawiała, że trudno było oderwać od niej wzrok. Jak Lawrence to robił?

– Wybierzesz się z nami coś zjeść? – spytał gospodarz, obejmując Carolyn. Jego głos zabrzmiał może nieco zbyt entuzjastycznie. – Odkryłem właśnie na Fulham Road włoską restaurację, którą dopiero co otworzyli.

– Dołączę do was trochę później – odparł Adam. – Zostały mi do sprawdzenia jeszcze ze dwa dokumenty.

– Daruj sobie papierkowe szczegóły i chodź z nami na orgię spaghetti.

– A co, odziedziczyłeś duży szmal? – spytała Carolyn głosem tak wysokim i ostrym, że nikogo by nie zdziwiło, gdyby się dowiedział, że właśnie została wybrana Debiutantką Roku.

– Nie taki znów duży – odparł Adam – zważywszy na mój obecny debet na rachunku bankowym.

Lawrence roześmiał się.

– Dobra. To przyjdź później, jak uznasz, że zostało ci na porcję makaronu. – Mrugnął do Adama, co miało znaczyć: „Tylko pamiętaj, żebyś spłynął, zanim wrócimy. Albo przynajmniej siedź u siebie i udawaj, że śpisz”.

– Przyjdź koniecznie – zaszczebiotała Carolyn takim tonem, jakby jej rzeczywiście na tym zależało. Migdałowe oczy dziewczyny były wciąż utkwione w Adamie, kiedy Lawrence zdecydowanym ruchem sterował nią ku drzwiom.

Adam nie ruszył się, dopóki się nie upewnił, że jej przenikliwy głos przebrzmiał na klatce schodowej. Wtedy zadowolony zamknął się w swoim pokoju, usiadł na jedynym wygodnym krześle, jakie posiadał, i z wewnętrznej kieszeni wyjął kopertę. Pochodziła z grubej, kosztownej papeterii,

w jaką ojciec zawsze się zaopatrywał u Smythsona na Bond Street, dwukrotnie droższej od tej, którą mógłby kupić w miejscowym sklepie W.H. Smitha. Pięknym kaligraficznym pismem ojca widziało na niej: „Kapitan Adam Scott, kawaler Krzyża Wojskowego”.

Adam drżącymi dłońmi otworzył kopertę i wyjął jej zawartość: list, bez wątpienia pisany ręką ojca, i drugą, mniejszą, pożółkłą ze starości kopertę, na której ktoś nieznany wyblakłym atramentem nieokreślonego koloru napisał: „Pułkownik Gerald Scott”. Adam odłożył kopertę na stolik i zaczął czytać list ojca. List był bez daty.

Mój drogi Adamie

Z pewnością przez te wszystkie lata słyszałeś wiele wersji dotyczących mojego nagłego odejścia z pułku. Większość z nich była po prostu śmieszna, a niektóre wręcz zniesławiające, wobec tego uznałem, że dla wszystkich zainteresowanych będzie lepiej, jeśli zachowam milczenie. Uważam jednak, że Tobie należy się ode mnie pełniejsze wyjaśnienie całej tej sprawy, i taka jest właśnie intencja niniejszego listu.

Jak wiesz, moim ostatnim zadaniem przed dymisją była Norymberga, od listopada 1945 do października 1946 roku. Po czterech latach niemal nieustannej służby polowej powierzono mi dowództwo sekcji brytyjskiej, która sprawowała nadzór nad najwyższymi rangą hitlerowcami oczekującymi procesu za zbrodnie wojenne. Mimo że nad wszystkim mieli pieczę Amerykanie, zupełnie nieźle poznałem niektórych więźniów, a kilku – w szczególności Hessa, Speera i Dönitza – nauczyłem się nawet tolerować. Zawsze się zastanawiałem, jak Niemcy by nas traktowali, gdyby odwrócić role. W owym czasie podobny stosunek do tych problemów był trudny do przyjęcia. Słowo „fraternizacja” nie schodziło z ust tych, którzy zwykli traktować sprawy powierzchownie.

Wśród wyższych rangą hitlerowców, z którymi miałem do czynienia na co dzień, był marszałek Rzeszy Hermann Göring, ale w przeciwieństwie do trzech wyżej wspomnianych, tego człowieka nie cierpiałem dosłownie od pierwszego wejrzenia. Wydał mi się arogancki, butny i całkowicie pozbawiony skruchy za barbarzyńskie czyny, jakich się dopuszczał w imię wojny. I ani razu nie widziałem powodu, by

zamienić z nim choćby jedno zdanie. W gruncie rzeczy sam się nieraz sobie dziwiłem, jak mogę nad sobą panować w jego obecności.

W noc poprzedzającą egzekucję Göring poprosił o prywatną rozmowę ze mną. Był to poniedziałek i do dziś pamiętam każdy szczegół tego spotkania, jakby to było wczoraj. Tę prośbę na piśmie przekazał mi osobiście major Władimir Koski, gdy przejmowałem dowództwo warty od Rosjan. Gdy tylko przeprowadziłem inspekcję i załatwiłem zwykłą papierkową robotę, poszedłem z podoficerem dyżurnym do celi marszałka Rzeszy. Kiedy wszedłem, Göring stanął na baczność przy swoim niskim łóżku i zasalutował. Widok pustej, pomalowanej na szaro celi zawsze przyprawiał mnie o dreszcz.

– Pan prosił o rozmowę ze mną, tak? – Jakoś nigdy nie mogłem się zmusić, żeby zwracać się do niego po nazwisku bądź tytułować go stopniem wojskowym.

– Tak – odparł. – To bardzo uprzejmie z pańskiej strony, że przyszedł pan osobiście, pułkowniku. Chciałbym po prostu jako człowiek skazany na śmierć wyrazić ostatnie życzenie. Czy to możliwe, żeby kapral zostawił nas samych?

Uznałem, że sprawa musi mieć charakter ściśle osobisty, i poprosiłem kaprala, żeby zaczekał na zewnątrz. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, o co aż tak osobistego może chodzić człowiekowi, któremu zostało ledwie parę godzin życia, ale kiedy drzwi się zamknęły, Göring ponownie zasalutował i wręczył mi kopertę, która obecnie znajduje się u Ciebie. Kiedy wziąłem ją od niego, powiedział jedynie:

– Chciałbym pana prosić o wyświadczenie mi pewnej uprzejmości: proszę otworzyć tę kopertę dopiero jutro, po mojej egzekucji. – Po czym dodał: – Mam nadzieję, że to panu wynagrodzi ewentualne przykrości, jakie mogłyby spotkać pana później.

Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, co może mieć na myśli, i położyłem to na karb zrozumiałego w tej sytuacji załamania. Wielu więźniów zwierzało mi się w ostatnich dniach swego życia i rzeczywiście pod koniec niektórzy znajdowali się na granicy szaleństwa.

Adam przerwał, chcąc się zastanowić, co też on by zrobił w tych okolicznościach, ale postanowił czytać dalej, żeby się przekonać, czy postąpiłby podobnie jak ojciec.

Jednakże słowa Göringa, kiedy opuszczałem jego celę, nie robiły wrażenia słów szaleńca. Powiedział po prostu: „Może pan być pewien, że to arcydzieło. Nie sposób przecenić jego wartość”. A następnie, odprężony, zapalił cygaro, jak w klubie po dobrym obiedzie. Krążyły różne przypuszczenia co do tego, kto mu dostarcza cygar i co Göring od czasu do czasu przemyca z celi.

Włożyłem kopertę do kieszeni kurtki i wyszedłem. Następnie obeszliśmy z kapralem pozostałe cele, żeby sprawdzić, czy więźniowie są dobrze zamknięci na noc. Po inspekcji wróciłem do swojego gabinetu. Zakończywszy wszystkie czynności, zasiadłem do pisania raportu. Kopertę zostawiłem w kieszeni munduru ze szczerą intencją otwarcia jej nazajutrz rano, po egzekucji Göringa. Sprawdzałem właśnie rozkazy dzienne, kiedy do mojego gabinetu wtargnął bez pukania kapral ze słowami: „To Göring, sir, to Göring”. Był rozgorączkowany. Sądząc z paniki, jaka malowała się na jego twarzy, wiedziałem, że nie mam co pytać o szczegóły. Pobiegliśmy do celi Göringa.

Leżał twarzą w dół na swojej pryczy. Odwróciłem go, po to jednak, by stwierdzić, że już nie żyje. W zamieszaniu, jakie nastąpiło, zupełnie zapomniałem o kopercie. Kilka dni później sekcja zwłok wykazała jako przyczynę śmierci zatrucie; sąd doszedł do wniosku, że kapsułka cyjanku potasu, którą znaleziono w jego ciele, musiała mu zostać dostarczona w cygarze.

Ostatnią osobą, która widziała się z nim bez świadków, byłem ja, więc szybko zaczęto łączyć moje nazwisko z jego śmiercią. Naturalnie te insynuacje były całkowicie bezpodstawne. Nigdy, nawet przez jedną chwilę, nie wątpiłem w słuszność wyroku w jego sprawie ani w to, że w pełni zasłużył na powieszenie.

Czułem się tak urażony nieustannymi podejrzeniami, jakobym to ja zapewnił Göringowi łatwą śmierć, przemycając do jego celi cygara, że uznałem, iż jedynym honorowym wyjściem z tej sytuacji będzie natychmiastowe wystąpienie o dymisję, by nie przynosić hańby pułkowi. Kiedy nieco później w tym samym roku wróciłem do Anglii i zdecydowałem się na wyrzucenie starego munduru, znalazłem w kieszeni tamtą kopertę. Wtajemniczyłem Twoją matkę w szczegóły całego incydentu, ale zaczęła mnie błagać, żebym natychmiast zniszczył

kopertę, która w jej pojęciu przyniosła rodzinie tyle hańby, że gdyby nawet zawierała nazwisko prawdziwego sprawcy, to i tak nic by już nikomu z tego nie przyszło. Obiecałem matce, że zastosuję się do jej życzenia, ale chociaż nigdy nie otworzyłem koperty, nie zdobyłem się na jej zniszczenie, pamiętając ostatnie słowa Göringa na temat arcydzieła sztuki. Tak więc, koniec końców, schowałem kopertę pośród osobistych dokumentów.

I mimo że wyimaginowane grzechy ojca z reguły przechodzą na syna, nie mam w stosunku do Ciebie wyrzutów sumienia. Jeżeli więc istotnie z zawartości koperty można odnieść jakąś korzyść, mam w związku z tym tylko jedną prośbę: niech Twoja matka będzie pierwszą osobą, która z tego skorzysta, pod warunkiem jednak, że nigdy się nie dowie, czemu zawdzięcza ten szczęśliwy traf.

W ciągu wielu lat obserwowałem Twój rozwój i postępy z niemałą dumą i jestem przekonany, że podejmiesz właściwą decyzję.

Gdybyś więc miał jakiekolwiek wątpliwości co do otworzenia tej koperty, zniszcz ją bez dalszego namysłu. Ale gdybyś ją jednak otworzył i stwierdził, że zawiera coś, co by Cię uwikłało w jakieś haniebne przedsięwzięcie, pozbądź się jej natychmiast.

Niech Cię Bóg ma w swojej opiece.
Twój kochający ojciec
Gerald Scott

Adam przeczytał list po raz drugi, zdając sobie sprawę, jak wielką ufność pokładał w nim ojciec. Serce waliło mu jak młotem na myśl o nikczemnych plotkach i insynuacjach małych ludzi, które zmarnowały ojcu życie. Tych samych małych ludzi, którzy przedwcześnie i jemu zwichnęli karierę. Przeczytawszy list po raz trzeci, złożył go porządnie i schował do koperty.

Następnie z bocznego stolika wziął drugą kopertę. Drukowanymi literami spłowiałym atramentem napisano na niej: „Pułkownik Gerald Scott”.

Z wewnętrznej kieszeni wyjął grzebień, wetknął jego koniec w róg koperty i powoli, metodycznie zaczął ją rozcinać. Zawahał się, po czym wyjął z koperty dwa kawałki papieru, oba pożółkłe ze starości. Jeden okazał się listem, drugi jakimś dokumentem. Na papierze listowym, nad nadrukiem z nazwiskiem marszałka Hermanna Göringa, widniało godło Trzeciej

Rzeszy. Ręce drżały Adamowi, kiedy przeczytał pierwszą linijkę. Zaczynała się ona od słów: *Sehr geehrter Herr Oberst Scott.…*

III

Na widok czarnej czajki, która ukazała się pod wieżą Spaską, a następnie wjechała na plac Czerwony, dwaj strażnicy Kremla w mundurach khaki stanęli na baczność, prezentując broń. Ostry gwizdek zapewnił Jurijowi Jefimowiczowi Zaborskiemu swobodny przejazd na plac Dzierżyńskiego.

Zaborski machinalnie odpowiedział na honory przytknięciem palców do brzegu czarnego filcowego kapelusza, ale myśli miał zaprzątnięte czym innym. Kiedy samochód podskakiwał na bruku, nawet nie spojrzał w stronę długiej, przypominającej węża kolejki, która wiła się od mauzoleum Lenina do skraju placu Czerwonego. Pierwsza decyzja, jaką miał podjąć, była bez wątpienia najważniejsza: którego ze swoich starszych agentów postawić na czele grupy wyznaczonej do odnalezienia carskiej ikony. Pogrążony w rozważaniach, nie spostrzegł nawet, kiedy opuścili plac Czerwony, przejechali wzdłuż szarej fasady GUM-u, a potem skręcili w lewo, w ulicę Kujbyszewa.

Zaledwie kilka chwil po rozstaniu z przywódcą sowieckim szef Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego sporządził w myślach krótką listę, składającą się z dwóch osób. Nie był jednak pewien, którego z kandydatów wybrać: Wołczka czy Romanowa. W normalnych warunkach miałby przynajmniej tydzień na podjęcie takiej decyzji, ale ostateczny termin 20 czerwca, postawiony przez sekretarza generalnego, nie pozostawiał mu żadnego marginesu swobody. Zaborski wiedział doskonale, że będzie musiał dokonać wyboru jeszcze przed przyjazdem do biura. Kierowca minął następne światła obok Ministerstwa Kultury, po czym wjechał w Czerkaskij Bolszoj Pierieułok, wzdłuż którego stały imponujące szare bryły budynków. Samochód trzymał się specjalnego wewnętrznego pasa przeznaczonego jedynie dla wyższych dygnitarzy partyjnych. W Anglii, jak się Zaborski z rozbawieniem dowiedział, też zamierzano wydzielić specjalny pas ruchu, tylko że dla autobusów.

Limuzyna zatrzymała się gwałtownie przed siedzibą KGB. Nie miało znaczenia, że trzykilometrowy odcinek pokonali w niespełna cztery minuty. Kierowca obiegł samochód i otworzył tylne drzwi, by pasażer mógł wysiąść, ale Zaborski nawet nie drgnął. On, człowiek, który rzadko zmieniał decyzje, w drodze na plac Dzierżyńskiego zrobił to już dwukrotnie. Doskonale wiedział, że do czarnej roboty ma praktycznie nieograniczoną liczbę urzędników i akademików, ale potrzebował kogoś z polotem, kto by nimi pokierował i był zarazem odpowiedzialny przed nim za wykonanie zadania.

Zawodowa intuicja podpowiadała mu, że powinien wybrać Jurija Wołczka, który przez lata dał się poznać jako człowiek godny zaufania i odpowiedzialny w służbie dla kraju. Był także jednym z szefów wydziału o najdłuższym stażu. Powolny, metodyczny i solidny, odsłużył pełne dziesięć lat jako agent w terenie, zanim przeszedł do pracy za biurkiem.

W przeciwieństwie do niego Aleks Romanow, któremu niedawno dopiero powierzono kierownictwo sekcji, miewał przebłyski geniuszu, zbyt często jednak niweczyły je przejawy lekkomyślności. W wieku lat dwudziestu dziewięciu był najmłodszym, a zarazem bez wątpienia najambitniejszym członkiem doborowej drużyny szefa KGB.

Zaborski wysiadł z samochodu i pospieszył w stronę drzwi, które przed nim otwarto. Po marmurowej posadzce przeszedł do windy. Czekało tu już w milczeniu kilka osób, kobiet i mężczyzn, ale kiedy kabina zjechała na parter i Zaborski wsiadł, nikt nie śmiał wsiąść z nim. Jadąc wolno do siebie, na górę, dokonywał niekorzystnego porównania z jedyną amerykańską windą, z jakiej miał okazję skorzystać. Wystrzelą swoje rakiety, zanim ty zdążysz dojechać do biura, ostrzegał Zaborskiego jego poprzednik. Kiedy drzwi windy otworzyły się przed nim na ostatnim piętrze, Zaborski miał już gotową decyzję: to będzie Wołczek.

Sekretarka pomogła mu zdjąć długi czarny płaszcz i wzięła od niego kapelusz. Zaborski szybko podszedł do biurka. Czekały na niego dwie teczki, o które prosił. Usiadł i zaczął studiować akta Wołczka. Skończywszy czytać, szczeknął krótko do pochylającej się nad nim sekretarki:

– Znajdźcie mi Romanowa.

Towarzysz Romanow leżał płasko na plecach, z lewą ręką za głową, a prawą, swojego przeciwnika, na gardle, szykując się do uderzenia kola-

nami. Trener perfekcyjnie wykonał technikę i Romanow aż jęknął, uderzywszy o podłogę.

W tym momencie podbiegł do nich asystent i nachyliwszy się nad trenerem, wyszeptał mu coś do ucha. Trener niechętnie puścił ucznia. Ten wstał powoli, jakby w oszołomieniu, skłonił się przed nim, a następnie błyskawicznym ruchem prawego ramienia i lewej nogi zwalił go na ziemię, sam zaś szybko odszedł do telefonu.

Romanow nawet nie zauważył dziewczyny, która podała mu słuchawkę.

– Zaraz u niego będę, tylko wezmę prysznic – rzucił w pośpiechu.

Dziewczyna, która przyjęła telefon, zastanawiała się nieraz, jak też Romanow może wyglądać pod prysznicem. Podobnie jak inne dziewczyny z tego wydziału, setki razy widziała go w sali gimnastycznej. Wysoki, z długą, falującą blond czupryną, przypominał zachodniego gwiazdora filmowego. A te oczy – przenikliwie błękitne, jak je określiła koleżanka dzieląca z nią biurko.

– Ma bliznę na… – powiedziała jej w tajemnicy.

– Skąd wiesz? – spytała, ale usłyszała tylko chichot.

Tymczasem szef KGB po raz drugi otworzył akta personalne Romanowa i studiował szczegóły. Zaczął czytać różne informacje składające się na całkiem bezstronną charakterystykę, do której Romanow nie miał dostępu, chyba że zostałby szefem resortu.

> Aleksander Pietrowicz Romanow. Urodzony 12 marca 1937 roku w Leningradzie. Członek partii od 1958 roku. Ojciec: Piotr Nikołajewicz Romanow, od 1942 roku na froncie. Po powrocie do kraju w 1945 roku odmówił wstąpienia do partii. Po kilku meldunkach syna, dotyczących jego działalności antypaństwowej, został skazany na dziesięć lat więzienia. Zmarł w więzieniu 20 października 1948 roku.

Zaborski spojrzał znad papierów i uśmiechnął się – Romanow to prawdziwy syn swego kraju.

Dziadek: Nikołaj Aleksandrowicz Romanow, kupiec i jeden z najbogatszych właścicieli ziemskich w Petersburgu. Zastrzelony 11 maja 1918 roku podczas ucieczki przed Armią Czerwoną.

Rewolucja dokonała się akurat pomiędzy arystokratycznym dziadkiem a niechętnym partii ojcem.

Aleks, jak lubił, by go nazywano, odziedziczył jednakże ambicję Romanowów, dlatego już w wieku lat dziewięciu zapisał się do pionierów. Jako jedenastolatek dostał się do specjalnej szkoły w Smoleńsku, wzbudzając niechęć działaczy partyjnych niższego szczebla, którzy byli zdania, że podobne przywileje należą się synom lojalnych członków partii, a nie tych, którzy kończą w więzieniach. Romanow natychmiast się wybił – ku wielkiemu zresztą niezadowoleniu dyrektora szkoły, który miał nadzieję dowieść przy tej okazji błędności teorii Darwina. Jako czternastolatek został przeznaczony do ścisłej elity partyjnej i przyjęty do Komsomołu.

Szesnastoletni Romanow otrzymał Order Lenina za wyniki w nauce języków oraz zdobył mistrzostwo juniorów w gimnastyce i mimo wysiłków dyrektora, zmierzających do umniejszenia zasług młodego Aleksa, większość grona profesorskiego w uznaniu dla jego zdolności poparła go w staraniach o przyjęcie na studia uniwersyteckie. Jako student nadal wyróżniał się w nauce języków, a szczególnie w angielskim, francuskim i niemieckim. Talent poparty pracowitością sprawił, że Aleks wybijał się w każdej niemal dziedzinie.

Zaborski podniósł słuchawkę stojącego na biurku telefonu.

– Wzywałem Romanowa – powiedział krótko.

– Kończył właśnie poranny trening – wyjaśniła sekretarka. – Ale natychmiast po otrzymaniu wiadomości poszedł się przebrać.

Szef KGB odłożył słuchawkę, a jego wzrok powrócił do spoczywających przed nim akt.

To, że Romanowa można było zastać w sali gimnastycznej o każdej porze, nie zdziwiło specjalnie Zaborskiego. Fizyczna sprawność Aleksa znana była szeroko poza resortem.

Podczas pierwszego roku studiów Romanow dalej pilnie uprawiał gimnastykę, znalazł się nawet w reprezentacji krajowej, lecz trener w jednym

ze swoich raportów napisał drukowanymi literami: „TEN STUDENT JEST ZA WYSOKI DO ROZGRYWEK OLIMPIJSKICH”. Romanow zastosował się do rady trenera i postawił na judo. Po dwóch latach, w 1958 roku, został wybrany do reprezentacji biorącej udział w igrzyskach państw bloku wschodniego, które odbywały się w Budapeszcie, a w ciągu następnych dwóch lat na jego nieuchronnej drodze do finałów zawodnicy woleli się z nim nie spotykać. Po zwycięstwie Romanowa w mistrzostwach ZSRR w Moskwie prasa zachodnia nadała mu miano „Topora”. Ci, którzy już wtedy snuli długoterminowe plany co do jego przyszłości, uznali, że rozsądniej będzie nie wystawiać Aleksa do reprezentacji olimpijskiej.

Kiedy Romanow skończył piąty rok studiów i uzyskał dyplom (zresztą z wyróżnieniem), pozostał w Moskwie i wstąpił do służby dyplomatycznej.

Zaborski doszedł właśnie w aktach Aleksa do punktu, w którym po raz pierwszy spotkał się z tym pewnym siebie młodym człowiekiem. Co roku KGB wybierało ze służby dyplomatycznej najzdolniejszych ludzi, a Romanow wydawał się wprost wymarzonym kandydatem. Zaborski jednak miał pewną zasadę: nie brać nikogo, kto nie uznaje KGB za elitę. Kandydaci z przymusu nie sprawdzali się w praktyce i często kończyło się na tym, że służyli drugiej stronie. Romanow nie miał w tej sprawie wątpliwości. Zawsze chciał być funkcjonariuszem KGB.

W ciągu następnych sześciu lat pracował w sowieckich ambasadach w Paryżu, Londynie, Pradze i Lagos. Kiedy wrócił do Moskwy do pracy w centrali, był agentem o dużym doświadczeniu, równie swobodnym na dyplomatycznych koktajlach, jak w sali gimnastycznej. Zaborski zaczął czytać komentarze, którymi sam opatrywał raporty przez ostatnie cztery lata – w szczególności odnoszące się do tego, jak bardzo Romanow się zmienił w okresie, kiedy wchodził w skład osobistego personelu szefa KGB. Jako pracownik wywiadu mający za sobą lata służby w terenie dosłużył się stopnia majora, a następnie został mianowany szefem wydziału. Przy jego nazwisku zostały umieszczone dwie czerwone kropki oznaczające udane misje: w sprawie skrzypka, który zamierzał uciec z Pragi, i generała, któremu się wydawało, że zostanie kolejnym szefem afrykańskiego państewka. Niemniej jeśli chodzi o osiągnięcia jego protegowanego, na Zaborskim największe wrażenie zrobiło to, że w pierwszym wypadku prasa zachodnia przypisywała zasługi Czechom, a w drugim Amerykanom. Najwybitniejszym jednak jego osiągnięciem było zwerbowanie agenta

z brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, którego systematyczne awanse pomogły Romanowowi w karierze. Nominacja Romanowa na naczelnika wydziału nie zdziwiła nikogo, łącznie z nim samym, chociaż bardzo szybko stało się dla Zaborskiego jasne, że Aleks tęskni za dreszczem przygody towarzyszącym pracy w terenie.

Szef KGB doszedł do ostatniej strony, oceny charakteru, w której większość autorów była zgodna: ambitny, inteligentny, bezwzględny i arogancki, ale nie zawsze można na nim polegać – ta opinia powtarzała się regularnie niemal w każdym podsumowaniu.

Rozległo się energiczne pukanie. Zaborski zamknął teczkę i nacisnął guzik pod biurkiem. Drzwi otworzyły się, żeby wpuścić Aleksandra Pietrowicza Romanowa.

– Dzień dobry, towarzyszu – powiedział elegancki młody mężczyzna, który stał teraz przed szefem na baczność.

Zaborski spojrzał na niego i poczuł lekkie ukłucie zazdrości na myśl o tym, że bogowie tak hojnie obdarowali tego człowieka. Ale to przecież on, Zaborski, wiedział, jak najlepiej wykorzystać kogoś takiego dla dobra kraju.

Nie przestawał wpatrywać się w te czyste błękitne oczy, nie mogąc oprzeć się myśli, że gdyby Romanow urodził się w Hollywood, z pewnością nie miałby trudności z zarobieniem na życie. Jego garnitur wyglądał jak z Savile Row, skąd chyba rzeczywiście pochodził. Zaborski postanowił nie zwracać uwagi na takie drobne odstępstwa, chociaż odczuwał wielką pokusę, by zapytać młodego człowieka, gdzie sobie szyje koszule.

– Wzywaliście mnie, towarzyszu – rzekł Romanow.

Szef skinął głową.

– Właśnie wróciłem z Kremla – powiedział. – Towarzysz sekretarz generalny powierzył nam zadanie bardzo delikatne i wielkiej wagi dla kraju. – Zawiesił głos. – W rzeczy samej, tak delikatne, że będziecie odpowiedzialni bezpośrednio przede mną. Ludzi możecie sobie dobrać sami, wszelkie niezbędne środki otrzymacie.

– Czuję się szczególnie uhonorowany – stwierdził Romanow i jego głos zabrzmiał wyjątkowo szczerze.

– Będziecie uhonorowani, jeśli uda wam się znaleźć carską ikonę.

– Ale ja myślałem… – zaczął Romanow.

IV

Adam podszedł do łóżka i ze znajdującej się przy nim półki wyjął Biblię, którą dostał od matki z okazji konfirmacji. Kiedy ją otwierał, ze złoconych brzegów kartek uleciał obłok kurzu. Włożył kopertę w „Apokalipsę” i odstawił Biblię na półkę.

Następnie poszedł do kuchni, usmażył sobie jajko i odgrzał pozostałe z wczorajszego dnia pół puszki fasolki. Stawiając na stole kuchennym swój nieatrakcyjny posiłek, nie mógł się wyzbyć myśli o daniu, na jakie Lawrence zaprosił Carolyn do nowej włoskiej knajpy. Po zmyciu naczyń wrócił do pokoju i położył się na łóżku, rozmyślając. Czy zawartość wyblakłej koperty dowiedzie w końcu niewinności jego ojca? W umyśle Adama zaczął dojrzewać pewien plan.

Kiedy stary zegar w holu wybił dziesiątą, spuścił z łóżka długie nogi i ponownie wyciągnął z półki Biblię. Z pewną obawą wyjął z niej kopertę. Następnie zapalił małą lampkę przy niewielkim biurku i rozłożył przed sobą dwa arkusiki papieru. Jeden z nich był pismem Göringa do ojca Adama, drugi robił wrażenie jakiegoś starszego i bardziej oficjalnego dokumentu. Adam odłożył dokument na bok i linijka po linijce zaczął czytać list. Wszystko na nic.

Wyrwał czystą kartkę z notatnika, który znalazł na biurku Lawrence’a, i zabrał się do przepisywania listu Göringa. Opuścił tylko pozdrowienia i to, co uznał za grzecznościową formułkę pożegnalną – hochachtungsvoll – po której następował duży, zamaszysty podpis marszałka Rzeszy. Przed schowaniem oryginału do spłowiałej koperty starannie sprawdził jeszcze kopię. Zaczął właśnie przepisywać dokument na oddzielnej kartce, kiedy od drzwi frontowych doszły go zgrzyt klucza i głosy, z których wywnioskował, że Lawrence i Carolyn wypili więcej niż zapowiedzianą butelkę wina, o czym świadczył szczególnie głos Carolyn, przerywany seriami piskliwych chichotów.

Adam westchnął i zgasił lampkę na biurku, żeby nie poznali, że jeszcze nie śpi. W ciemności każdy odgłos wydawał się bardziej przenikliwy. Jedno z nich poszło do kuchni – usłyszał skrzypnięcie zamykanych drzwi lodówki i kilka sekund później odgłos odkorkowywanej butelki, jak przypuszczał, jego ostatniej butelki białego wina, bo chyba nie byli aż tak pijani, żeby pić ocet.

Niechętnie wstał z krzesła i wysunąwszy przed siebie ręce, wrócił do łóżka. Położył się ostrożnie, niecierpliwie wyczekując chwili, kiedy zamkną się drzwi sypialni Lawrence'a.

Musiał zasnąć, bo następną rzeczą, jaką usłyszał, było tykanie zegara w holu. Polizał palce i przetarł oczy, próbując je przyzwyczaić do ciemności. Zerknął na małą, fosforyzującą tarczę budzika: dziesięć po trzeciej. Niepewnie wstał z łóżka, wymięty i zmęczony. Powoli wymacał w ciemności drogę do komody, o której róg boleśnie uderzył się w kolano; nie zdołał powstrzymać przekleństwa. Znalazł kontakt i kiedy zabłysła żarówka, mrugał chwilę, zanim jego wzrok przywykł do światła. Spłowiała koperta wyglądała niepozornie – może zresztą jej zawartość nie miała większego znaczenia. Dokument w dalszym ciągu leżał na blacie, a obok niego rozpoczęta odręczna kopia.

Adam ziewnął, zagłębiając się ponownie w niemiecki tekst. Kopiowanie dokumentu okazało się nie tak proste jak przepisywanie listu, ponieważ tym razem pismo było chwiejne i zarazem gęste, jakby autor uważał papier za materiał niezwykle cenny. Adam opuścił adres w prawym górnym rogu i odwrócił ośmiocyfrową liczbę na początku; poza tym to, co sporządził, było dokładną kopią.

Ta mozolna praca zajęła mu zdumiewająco dużo czasu. Każde słowo pisał dużymi, drukowanymi literami, a jeśli nie był pewien, czy dobrze je odczytał, pod spodem umieszczał możliwe warianty, chciał bowiem od razu uzyskać wierny przekład.

– Ale z ciebie mrówka. Pracować tak późno w nocy – usłyszał nagle za sobą szept.

Odwrócił się błyskawicznie, czując się jak włamywacz przyłapany na kradzieży sreber rodzinnych.

– Niepotrzebnie się tak denerwujesz. To tylko ja – powiedziała Carolyn, która właśnie stanęła w drzwiach.

Adam spojrzał na wysoką blondynkę, ubraną teraz tylko w luźną, niezapiętą piżamę Lawrence'a i rozdeptane klapki, i wydała mu się jeszcze ładniejsza niż w dzień. Jej długie, jasne włosy rozsypane były na ramionach i Adam zrozumiał, co Lawrence miał na myśli, mówiąc kiedyś o Carolyn, że potrafiłaby zamienić zapałkę w kubańskie cygaro.

– Łazienka jest na końcu korytarza – powiedział niepewnie.

– Ja wcale nie szukam łazienki, ty głuptasie – zachichotała dziewczyna. – Nie mogę dobudzić Lawrence'a. Po tym wczorajszym winie padł jak znokautowany bokser wagi ciężkiej. – Westchnęła. – Na długo przed piętnastą rundą. Nie sądzę, żeby cokolwiek zdołało wyrwać go ze snu. – Zrobiła krok w stronę Adama.

Adam wyjąkał coś o tym, że sam jest wykończony. Upewnił się, że plecami zasłania rozłożone na biurku papiery.

– O Boże, chyba nie jesteś pedałem, co?

– Z całą pewnością nie – odparł Adam nieco pompatycznie.

– Po prostu nie jestem w twoim guście, co?

– Niezupełnie o to chodzi.

– Ale przecież Lawrence to twój kumpel. – Adam nie odpowiedział. – Boże, Adam, w końcu mamy, bądź co bądź, lata sześćdziesiąte. Dzielimy się wszystkim po równo.

– Kiedy właśnie… – wyjąkał Adam.

– Wielka szkoda – rzekła Carolyn. – Może innym razem. – Podeszła na palcach do drzwi i wymknęła się na korytarz, nieświadoma swojego niemieckiego rywala.

Zaraz po wyjściu od szefa Romanow udał się na swoją Alma Mater i osobiście skompletował zespół dwunastu naukowców. Odkąd zostali poinformowani, o co chodzi, zaczęli pracować parami na czterogodzinne zmiany, tak żeby praca toczyła się nieprzerwanie dzień i noc.

Pierwsza informacja wpłynęła już po godzinie i bardzo szybko ustalono, że ikona pozostawała w prywatnych apartamentach cara w Pałacu Zimowym w Petersburgu aż do grudnia 1914 roku. Romanow z nabożeństwem oglądał fotografię niewielkiego, subtelnego malowidła przedstawiającego świętego Jerzego ze smokiem. Wizerunek świętego tworzyła drobniutka błękitno-złota mozaika; smok jarzył się płomienną czerwienią i żółcią. Choć Romanow nigdy nie przejawiał szczególnej wrażliwości na sztukę,

potrafił zrozumieć wrażenie, jakie wywierało na ludziach to maleńkie arcydzieło. Czytając jednak szczegółową historię ikony, w dalszym ciągu nie pojmował, na czym ma polegać jej kapitalne znaczenie dla kraju. Zastanawiał się, czy wie to sam Zaborski.

Carski sługa, który zeznawał przed sądem ludowym rok po rewolucji, twierdził, że ikona zniknęła na kilka dni w 1915 roku, po wizycie Ernesta Ludwika, wielkiego księcia Hesji. Śledczy w tamtych czasach nie interesowali się szczegółami; wystarczyło im, że kiedy zdobywali Pałac Zimowy, ikona wisiała na ścianie w gabinecie cara. Znacznie bardziej intrygowało sąd pytanie, dlaczego w samym środku okrutnej wojny z cesarskimi Niemcami wielki książę Hesji miałby w ogóle odwiedzać cara.

O opinię w tej sprawie poproszono jednego z profesorów historii. Wybitnego uczonego zaskoczyło to pytanie, nigdy bowiem do tej pory KGB nie interesowało się historią kraju. Niemniej poinformował Romanowa o wszystkim, co mu na ten temat było wiadome.

Romanow raz jeszcze w pocie czoła studiował raport profesora. Jak się wydawało, wielki książę składał tajną wizytę swojej siostrze Aleksandrze, carycy. Historycy skłaniali się ku opinii, że celem tej wizyty było osiągnięcie zawieszenia broni pomiędzy Niemcami a Rosją w nadziei, że wtedy Niemcy cały swój wysiłek wojenny skierują na Anglię i Francję.

Nie było żadnego dowodu na to, by car poczynił w imieniu swojego narodu jakiekolwiek obietnice, wiadomo jednak, że wielki książę Hesji nie wrócił z pustymi rękami. Jak wynikało z innych sprawozdań z procesu przeprowadzonego przez sąd ludowy, jednemu ze sług pałacowych polecono zapakować carską ikonę wraz z bagażem wielkiego księcia. Jednakże nikt ze służby nie potrafił powiedzieć, jak to się stało, że kilka dni później ikona pojawiła się znowu na swoim miejscu w prywatnym gabinecie cara.

Główny dokumentalista Romanowa, profesor Oleg Konstantinow, zapoznawszy się z notatkami profesora i doniesieniami innych specjalistów, podkreślił swoje wnioski czerwonym atramentem: „Car, oddawszy szwagrowi oryginał na przechowanie, musiał go zastąpić doskonałą kopią”.

– Ale dlaczego – zapytał Romanow – skoro miał w pałacu pełno dzieł Goi, El Greca, Tycjana i Rubensa, zadawał sobie trud wywożenia z kraju jakiejś tam ikony i dlaczego jest ona aż tak ważna dla Breżniewa?

Romanow polecił profesorowi i jego dwudziestu czterem pracownikom, by swoje zainteresowanie skierowali ku księstwu Hesji, gdyż być może tam

znajdą wskazówki co do dalszych losów carskiej ikony. W ciągu dziesięciu dni zgromadzili więcej informacji o wielkim księciu i jego rodzinie, niżby zebrał jakikolwiek profesor uniwersytetu przez całe życie. W miarę jak na jego biurku pojawiały się kolejne doniesienia, Romanow trawił całe noce, sprawdzając każdy najmniejszy szczegół, który mógłby go przybliżyć do prawdy. Utknął w martwym punkcie, kiedy po śmierci wielkiego księcia ikonę odziedziczył jego syn, który z kolei zginął w wypadku samolotowym. Od tamtej pory wszelki słuch o arcydziele zaginął.

Na początku trzeciego tygodnia poszukiwań Romanow doszedł do wniosku, że już niczego więcej na temat ikony się nie dowie. Przygotowywał właśnie ostatni raport dla szefa KGB, kiedy jedna z dokumentalistek, towarzyszka Pietrowa, osoba o dość niezależnym umyśle, natrafiła na artykuł londyńskiego „Timesa" ze środy 17 listopada 1937 roku. Pietrowa, ominąwszy swego szefa, przedstawiła fotokopię artykułu bezpośrednio Romanowowi, który w ciągu następnych kilku godzin tyle razy przeczytał artykuł, że nauczył się go na pamięć.

Zgodnie z tradycją „Thunderera" zagraniczny korespondent pozostał anonimowy. Wiadomość nosiła datę „Ostenda, 16 listopada 1937" i brzmiała, jak następuje:

> Wielki książę Hesji Jerzy i czworo członków jego rodziny zginęli dziś rano w wypadku samolotu Sabeny, który lecąc z Frankfurtu do Londynu, rozbił się w gęstej mgle na terytorium Belgii.
>
> Wielki książę udawał się do Anglii na ślub swojego młodszego brata, księcia Ludwika, z Jaśnie Wielmożną Panią Joanną Geddes. Młody książę oczekiwał rodziny na lotnisku Croydon, kiedy dosięgła go tragiczna wiadomość. Natychmiast odwołał zaplanowane uroczystości, zamieniając je na cichy ślub w kaplicy w Windsorze.

„Times" podawał dalej:

Książę Ludwik, który odziedziczył po bracie tytuł wielkiego księcia Hesji, jeszcze tego samego dnia wyjechał wraz z małżonką do Ostendy, by eskortować pięć trumien w ich drodze do Niemiec. Pogrzeb odbędzie się 23 listopada w Darmstadt.

Ale dopiero następny akapit towarzyszka Pietrowa zakreśliła grubą kreską.

Niektóre osobiste rzeczy zmarłego tragicznie wielkiego księcia, łącznie z kilkoma prezentami ślubnymi dla księcia Ludwika i panny młodej, poznajdowano rozrzucone w promieniu wielu mil od miejsca wypadku. Rząd niemiecki ogłosił dziś rano, że na czele zespołu ekspertów, których zadaniem będzie odzyskanie wszystkich przedmiotów należących obecnie do spadkobiercy wielkiego księcia, postawił jednego z wyższych generałów.

Romanow natychmiast wezwał telefonicznie Annę Pietrową. Kiedy stawiła się u niego kilka minut później, nie wyglądała na szczególnie speszoną w obliczu naczelnika wydziału. Wiedziała, że skromną garderobą nie zrobi na nim wrażenia, włożyła więc swoje najlepsze rzeczy i ostrzygła się podobnie jak Mia Farrow, którą widziała w jednym z nielicznych dopuszczonych przez władze sowieckie filmów amerykańskich. Miała nadzieję, że Romanow to zauważy.

– Chciałbym, towarzyszko, żebyście, poczynając od 17 listopada 1937 roku, przejrzeli starannie, dzień po dniu, wszystkie numery „Timesa” z sześciu miesięcy, jak również prasę belgijską i niemiecką z tego samego okresu, i dali mi znać w razie znalezienia jakiejkolwiek wzmianki o wynikach prac ekipy poszukiwawczej – powiedział i odprawił ją z uśmiechem.

Po niecałych dwudziestu czterech godzinach od tej rozmowy towarzyszka Pietrowa ponownie wtargnęła do gabinetu Romanowa, nie zadawszy sobie nawet trudu, żeby zastukać. Romanow jedynie uniesieniem brwi skwitował ten brak szacunku, po czym rzucił się na artykuł z soboty 19

stycznia 1938 roku, który dziewczyna znalazła w berlińskiej gazecie „Zeitung”.

> Właśnie zostało zakończone śledztwo w sprawie katastrofy z listopada ubiegłego roku samolotu Sabeny wiozącego do Londynu książęcą rodzinę Hesji. Wszelkie przedmioty osobiste należące do rodziny, a znalezione w pobliżu miejsca wypadku, zostały zwrócone wielkiemu księciu Ludwikowi, który - co zrozumiałe – jest szczególnie zasmucony utratą prezentu ślubnego od świętej pamięci brata, wielkiego księcia. Dar ten, malowidło znane jako „carska ikona”, należało kiedyś do jego wuja, cara Mikołaja II. Ikona przedstawiająca świętego Jerzego ze smokiem, choć jedynie kopia arcydzieła Rublowa, była uważana za jeden z najwspanialszych przykładów kunsztu malarskiego początków dwudziestego wieku.

Romanow spojrzał na Pietrową.

– Do cholery z dwudziestowieczną kopią! – parsknął. – To był piętnastowieczny oryginał, z czego nikt w tamtych czasach, być może nie wyłączając samego wielkiego księcia, nie zdawał sobie sprawy. Nie ulega wątpliwości, że car miał w stosunku do tej ikony zupełnie inne plany… naturalnie gdyby zdołał uciec.

Romanow wzdrygnął się na samą myśl o tym, że właściwie już teraz mógłby dowieść ponad wszelką wątpliwość, iż oryginał carskiej ikony przepadł w katastrofie samolotowej mniej więcej trzydzieści lat wcześniej. Taka nowina nie wróżyła awansu jej zwiastunowi, zwłaszcza że w całej tej sprawie musiało chodzić o coś znacznie ważniejszego od samego obrazu, skoro Zaborskiemu tak bardzo na nim zależało.

Przyjrzał się zdjęciu zamieszczonemu w „Zeitung”. Przedstawiało młodego wielkiego księcia ściskającego dłoń generałowi stojącemu na czele ekipy, która uratowała wiele cennych rodzinnych pamiątek.

– Ale czy wszystkie? Czy zwrócił wszystko? – powiedział Romanow.

– Co macie na myśli, towarzyszu? – spytała Pietrowa.

Romanow jednak machnął tylko ręką, wpatrując się w wyblakłe przedwojenne zdjęcie dwóch mężczyzn. Chociaż generał nie został wymieniony z nazwiska, każde dziecko w Niemczech rozpoznałoby dużą, obojętną twarz o potężnej żuchwie i zimnych, przenikliwych oczach, które zyskały sobie złą sławę w całym obozie alianckim.

Podniósł wzrok na Pietrową.

– Od tej chwili możecie zapomnieć o wielkim księciu, towarzyszko Pietrowa. Skupcie swoje wysiłki na marszałku Rzeszy Hermannie Göringu.

Kiedy Adam się obudził, jego pierwsza myśl pobiegła ku Carolyn, a ziewnięcie przeszło w uśmiech na wspomnienie jej nocnej propozycji. Potem nagle przypomniał sobie. Wyskoczył z łóżka i podszedł do biurka: wszystko było dokładnie tak, jak to wczoraj zostawił. Ziewnął po raz drugi.

Była za dziesięć siódma. Mimo że od wystąpienia z wojska przed siedmioma tygodniami nie stracił kondycji, nie zaniedbywał intensywnych ćwiczeń porannych. Chciał być w szczytowej formie, kiedy będzie przechodził test sprawności fizycznej w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Błyskawicznie włożył koszulkę trykotową i szorty. Na to naciągnął stary wojskowy kombinezon i, na koniec, wskoczył w sportowe buty.

Wyszedł na palcach, żeby nie obudzić Lawrence’a i Carolyn, chociaż podejrzewał, że dziewczyna nie śpi i niespokojnie wyczekuje jakiegoś ruchu. Przez następne czterdzieści pięć minut zrobił trasę do Embankment przez Albert Bridge i Battersea Park, by wrócić Chelsea Bridge. Myślał tylko o jednym: czy po dwudziestu latach plotek i insynuacji trafiła mu się jedyna szansa przywrócenia ojcu dobrego imienia. Zaraz po powrocie zmierzył sobie puls: sto pięćdziesiąt uderzeń na minutę. Sześćdziesiąt sekund później było już tylko sto, a po kolejnej minucie siedemdziesiąt. Przed upływem czwartej minuty puls Adama ustalił się na normalnym poziomie pięćdziesięciu ośmiu miarowych uderzeń na minutę. Jego stary instruktor gimnastyki z Aldershot wbijał mu do głowy, że liczy się nie szybkość, lecz czas powrotu tętna do normy.

Carolyn nigdzie nie było widać. Lawrence, w eleganckim szarym garniturze w prążki, szykował w kuchni śniadanie, przeglądając sportową kolumnę „Daily Telegraph”.

– Indie Zachodnie mają 526 – poinformował Adama ponuro.

– A my weszliśmy do rozgrywek? – zawołał Adam z łazienki.

– Nie, przerwali grę z powodu złego światła.

Adam jęknął, rozbierając się, żeby wziąć prysznic. Był gotów do swojej codziennej próby: jak długo wytrzyma pod lodowatymi igiełkami wody. Jego plecy i pierś zaatakowało jednocześnie czterdzieści osiem mroźnych szpilek i kilkakrotnie głęboko wciągnął powietrze. „Jeśli wytrzymacie pierwsze trzydzieści sekund, to potem już możecie stać bez końca” – zapewniał ich instruktor. Adam wyłonił się trzy minuty później, zadowolony z siebie, ale zły na instruktora, spod którego wpływu nie mógł się jakoś wyzwolić.

Wytarłszy się dokładnie, wrócił do pokoju. Chwilę później narzucił szlafrok i poszedł do kuchni na śniadanie. Lawrence siedział już przy stole nad talerzem płatków kukurydzianych, wodząc palcem wzdłuż kolumny kursów walut w „Financial Timesie”.

Adam spojrzał na zegarek: było już dziesięć po ósmej.

– Nie spóźnisz się do pracy? – zapytał.

– Drogi chłopcze – odparł Lawrence – nie jestem byle pętakiem pracującym w banku, którego klienci ściśle trzymają się godzin otwarcia sklepów.

Adam roześmiał się.

– Ale naturalnie od dziewiątej trzydzieści będę już murem siedział za biurkiem w City – uspokoił go Lawrence. – Ostatnio nie przysyłają po mnie kierowcy – wyjaśnił. – Przy tym ruchu, powiedziałem im, znacznie szybciej dojadę metrem.

Adam zaczął przygotowywać sobie śniadanie.

– Mógłbym cię podwieźć motorem.

– Czy wyobrażasz sobie kogoś z moją pozycją podjeżdżającego do Barclays Bank na motorze? Prezes chybaby dostał zawału – oświadczył Lawrence, składając gazetę.

Adam wbił na patelnię drugie jajko.

– No to do zobaczenia wieczorem, zalotny, choć bezrobotny – zakpił przyjaciel, biorąc ze stojaka na kapelusze parasol.

Adam posprzątał i pozmywał, zadowolony, że może przynajmniej wziąć na siebie obowiązki gospodyni. Mimo że przez wiele lat miał do dyspozycji ordynansa, wiedział, co do niego należy. Przed popołudniową rozmową w Ministerstwie Spraw Zagranicznych zaplanował jedynie długą kąpiel i dokładne, powolne golenie. Następnie uświadomił sobie, że list marszałka Rzeszy w dalszym ciągu spoczywa na biurku w jego pokoju.

– Czy znaleźliście coś, towarzyszko, co mogłoby wskazywać na to, że Göring zatrzymał ikonę dla siebie? – z nadzieją zwrócił się Romanow do Pietrowej.

– Nic oprócz rzeczy oczywistych – odparła Pietrowa od niechcenia.

Zastanawiał się, czy nie zbeształ dziewczyny za taką bezczelność, ale tym razem dał spokój. Mimo wszystko towarzyszka Pietrowa okazała się najbystrzejsza z zespołu.

– A co było takie oczywiste? – zapytał.

– Jest publiczną tajemnicą, że Hitler uczynił Göringa odpowiedzialnym za wszystkie dzieła sztuki zarekwirowane w imieniu Trzeciej Rzeszy. Ponieważ jednak Führer miał dosyć specyficzny pogląd na dzieła sztuki, wiele arcydzieł światowych zostało zakwalifikowanych jako „moralnie wątpliwe", a tym samym niegodne wystawiania na widok publiczny, by oglądali je przedstawiciele „wyższej rasy".

– I co się z nimi stało?

– Hitler kazał je zniszczyć. Wśród skazanych na spalenie były dzieła takich artystów, jak van Gogh, Manet, Monet, a w szczególności młody Picasso, niegodzien czystej rasy aryjskiej, która według planów Hitlera miała rządzić światem.

– Nie chcecie chyba powiedzieć, że Göring ukradł carską ikonę po to tylko, żeby ją następnie spalić? – rzekł Romanow, patrząc w sufit.

– Nie, nie, Göring nie był taki głupi. Jak dziś doskonale wiemy, nie we wszystkim słuchał swego przywódcy.

– Göring miałby nie słuchać rozkazów Hitlera? – spytał z niedowierzaniem Romanow.

– To zależy, z jakiego punktu widzenia się na to spojrzy – odparła Pietrowa. – Czy miał ślepo wykonywać rozkazy szaleńca, czy też posługiwać się zdrowym rozsądkiem?

– Trzymajcie się faktów – nieoczekiwanie ostro osadził ją Romanow.

– Tak jest, towarzyszu majorze – odparła Pietrowa tonem świadczącym o tym, że uważa się za niezastąpioną, przynajmniej w obecnej chwili. – Kiedy przyszło co do czego – podjęła – Göring nie zniszczył „skazanych" przez Führera arcydzieł. Owszem, urządził w Berlinie i w Düsseldorfie publiczne palenie obrazów pomniejszych niemieckich artystów, które i tak nie przyniosłyby więcej niż kilkaset marek, gdyby je sprzedać na wolnym

rynku. Ale prawdziwe dzieła geniuszu zostały po cichu wywiezione za granicę i zdeponowane w skarbcach banków szwajcarskich…

– Istnieje więc szansa, że po znalezieniu ikony…

– …Göring umieścił ją w banku szwajcarskim – dokończyła Pietrowa. – Chciałabym, towarzyszu majorze, żeby sprawa okazała się aż tak prosta, ale niestety, Göring nie był taki głupi, jak go przedstawiali ówcześni karykaturzyści prasowi. Przypuszczam, że obrazy i antyki zdeponował w wielu bankach szwajcarskich, ale jak dotychczas, nie udało się ustalić, ani w których, ani pod jakimi nazwiskami.

– I to jest właśnie zadanie dla nas – rzekł Romanow. – Jak uważacie, od czego powinniśmy zacząć?

– Od zakończenia wojny wiele obrazów zostało odnalezionych i zwróconych prawowitym właścicielom, łącznie z galeriami Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Inne jednak pojawiły się w tak odległych muzeach, jak na przykład Muzeum Getty’ego w Kalifornii czy Gotoh w Tokyo. Jedno z najwybitniejszych dzieł Renoira można dziś oglądać w Metropolitan Museum w Nowym Jorku. Niewątpliwie musiało ono przejść przez ręce Göringa, chociaż kustosz tej placówki nigdy nie wyjaśnił, jak obraz znalazł się w jej zbiorach.

– Czy do tej pory wszystkie dzieła zostały odnalezione? – zapytał Romanow z niepokojem.

– Ponad siedemdziesiąt procent, ale w dalszym ciągu o wielu nic nie wiadomo. Niektóre mogły nawet zostać zniszczone czy zagubione, ale moim zdaniem, sporo nadal spoczywa w bankach szwajcarskich.

– Skąd ta pewność? – zapytał Romanow w obawie, że ten ostatni trop może się urwać.

– Ponieważ banki szwajcarskie zawsze zwracały te depozyty, ilekroć były przekonane co do tytułu własności narodu czy jednostki. W wypadku jednak wielkiego księcia Hesji i carskiej ikony trudno mówić o tytule własności, skoro jej ostatnim prawowitym właścicielem był car Mikołaj II, a ten, jak wie każdy dobry Rosjanin, towarzyszu, nie ma spadkobierców.

– Muszę wobec tego śladem Göringa dotrzeć do banków szwajcarskich. Jakie tam obowiązują przepisy? – zapytał Romanow.

– Różne, w zależności od banku – odparła Pietrowa. – Niektóre czekają dwadzieścia lat albo i więcej, a następnie przez ogłoszenia poszukują właścicieli lub ich spadkobierców. W przypadku Żydów, którzy zginęli z rąk

hitlerowców, często odnalezienie właściciela okazuje się niemożliwe. Oczywiście trudno to udowodnić, ale podejrzewam, że zatrzymują takie depozyty i jakoś się nimi dzielą. To typowe dla kapitalistów.

– To nie jest ani uczciwe, ani zgodne z prawdą, towarzyszko – rzekł Romanow, z zadowoleniem dając Pietrowej do zrozumienia, że i on na własną rękę prowadził pewne poszukiwania. – To jeszcze jeden wielki mit stworzony przez biednych. W gruncie rzeczy bowiem, kiedy taki bank nie jest w stanie ustalić prawnego właściciela, przekazuje te rzeczy Szwajcarskiemu Czerwonemu Krzyżowi na aukcję.

– Ale przecież gdyby carska ikona znalazła się na takiej aukcji, to chyba do tej pory dowiedzielibyśmy się o tym od jednego z naszych agentów!

– Właśnie – rzekł Romanow. – Sprawdziłem to już przez dział inwentaryzacji Czerwonego Krzyża. W ciągu ostatnich dwudziestu lat przekazano w ten sposób cztery ikony, ale żadna nie przedstawiała świętego Jerzego ze smokiem.

– A to może oznaczać tylko jedno: że jakiś nieuczciwy bankier, widząc, że nikt nie rości sobie do niej praw, sprzedał carską ikonę na lewo.

– Kolejna fałszywa poszlaka, towarzyszko Pietrowa.

– Skąd ta pewność, towarzyszu naczelniku?

– Stąd, że bankierzy szwajcarscy znają się bardzo dobrze, całymi rodzinami i, jak do tej pory, nie było wypadku, by któryś złamał prawo. O ile nam wiadomo, szwajcarski wymiar sprawiedliwości traktuje nieuczciwość w bankowości z taką samą surowością jak morderstwo. Dlatego mafia nie próbuje prać pieniędzy w renomowanych bankach. Mają one dzięki transakcjom z ludźmi uczciwymi wystarczająco duże obroty, żeby nie ryzykować dobrego imienia, wchodząc w konszachty z oszustami. Wyjątki od tej reguły są tak nieliczne, że nie przypadkiem ludzie chcą robić interesy właśnie ze Szwajcarami.

– Jeśli więc Göring ukradł carską ikonę i zdeponował ją w jednym z banków szwajcarskich, to może się ona w tej chwili znajdować praktycznie w dowolnym miejscu na świecie? – spytała Pietrowa.

– Wątpię.

– Dlaczego? – Dziewczyna westchnęła zawiedziona, że jej wnioski okazały się fałszywe.

– Ponieważ przez ubiegłe trzy tygodnie rzesze agentów przeczesywały na moje polecenie całą Europę w poszukiwaniu carskiej ikony. Rozmawiali

niemal z każdym kustoszem, strażnikiem, handlarzem i złodziejem obracającym się w świecie sztuki, a mimo to nie wpadli na najmniejszy choćby ślad arcydzieła. Należałoby zapytać: Dlaczego? Otóż dlatego, że jedynymi ludźmi, którzy widzieli tę ikonę po roku 1917, byli książęta hescy i Göring, co skłania mnie ku jedynemu możliwemu wnioskowi… jeżeli naturalnie ikona nie uległa zniszczeniu podczas katastrofy samolotu wielkiego księcia.

– A mianowicie?

– Że podczas gdy cały świat wierzy, iż oryginał Rublowa wisi sobie spokojnie w Pałacu Zimowym, w gruncie rzeczy od dwudziestu lat czeka on w skarbcu jednego z banków szwajcarskich, aż ktoś się po niego zgłosi.

– Bardzo ryzykowne założenie.

– Owszem, zdaję sobie z tego sprawę – rzekł ostro Romanow. – Ale nie zapominajcie, że niektóre banki mają dwudziestopięcio-, a nawet trzydziestoletni okres utajnienia depozytu. A jeden czy dwa nie mają nawet żadnych ograniczeń, jeśli tylko wartość depozytu pokrywa koszty przechowywania.

– Bóg raczy wiedzieć, ile banków należy do tej kategorii – westchnęła Pietrowa.

– Bóg raczy wiedzieć – zgodził się z nią Romanow – ale i wy możecie. Do jutra do dziewiątej rano. Bo wtedy będę musiał złożyć wizytę jedynemu człowiekowi w tym kraju, który wie dosłownie wszystko o bankach.

– Mam zaczynać natychmiast, towarzyszu majorze? – zapytała nieśmiało Pietrowa.

Romanow uśmiechnął się i zajrzał głęboko w jej zielone oczy. W swoim służbowym ciemnoszarym mundurze wyglądała niepozornie, nago prezentowała się wspaniale. Nachylił się tak, że ich usta niemal się spotkały.

– Będziesz musiała jutro wstać bardzo wcześnie, Anno, ale teraz po prostu zgaś światło.

V

Ponowne sprawdzenie obu dokumentów zajęło Adamowi zaledwie kilka minut. Włożył oryginał z powrotem do spłowiałej koperty, a tę z kolei do Biblii, którą odstawił na półkę. Wreszcie kopię listu Göringa złożył na trzy części i starannie pociął wzdłuż załamań na paski, które schował do czystej koperty i położył na stoliku przy łóżku. Następnym problemem Adama było uzyskanie dokładnego tłumaczenia dokumentu i listu Göringa bez wzbudzania niepotrzebnych podejrzeń. Lata treningu wojskowego nauczyły go ostrożności w nowych sytuacjach. Szybko odrzucił ambasadę niemiecką, Niemiecką Izbę Turystyki i Niemiecką Agencję Prasową. Wszystkie te instytucje były zbyt oficjalne i mogły zadawać niewygodne pytania. Ubrał się, wyszedł do holu i zaczął przeglądać książkę telefoniczną Londynu od K do O, aż natrafił na kolumnę, której poszukiwał:

Niemieckie Radio
Niemiecki Instytut Kultury
Niemieckie Koleje Federalne
Niemiecki Szpital
Niemiecki Dom Starców.

Przebiegł wzrokiem po „Niemieckich tłumaczeniach technicznych” i zatrzymał się na czymś bardziej obiecującym. Adres brzmiał: „Bayswater House, Craven Terrace 35, W2”. Spojrzał na zegarek.

Wyszedł z domu parę minut przed dziesiątą. W wewnętrznej kieszeni blezera miał bezpiecznie ukrytą kopertę z trzema kawałkami listu. Ruszył spacerkiem Edith Grove, a następnie King’s Road, napawając się porannym słońcem. Ulica zmieniła się bardzo od jego studenckich czasów. Miejsce antykwariatów z książkami zajęły butiki. Zamiast warsztatu szewskiego był teraz sklep z płytami, a Dolcis ustąpił Mary Quant. Wystarczy wyjechać na dwutygodniowy urlop i już człowiek nie wie, czy zastanie wszystko na swoim miejscu, pomyślał smętnie. Z chodników na jezdnię wylewały się tłumy ludzi, gapiąc się lub mając nadzieję, że inni będą się na nich gapić,

w zależności od wieku. Mijając pierwszy sklep z płytami, Adam zmuszony był wysłuchać *I Want to Hold Your Hand*; melodia wciskała się w uszy każdemu, czy tego chciał, czy nie. Do chwili kiedy osiągnął Sloane Square, świat niemal wrócił do normy: Peter Jones, W.H. Smith i londyńskie metro. Ilekroć wchodził na Sloane Square, wracały we wspomnieniach słowa piosenki, którą matka tak często śpiewała, zmywając naczynia:

Za pięć groszy mięsiwo i sałatka, i piwo
Dla przyjaciół wydajesz kolację,
A żarłoczna gromada do pociągu już wsiada
I tłumy wciąż walą na stację.

Zapłacił szylinga za bilet do Paddington i rozsiadłszy się wygodnie w prawie pustym wagonie, jeszcze raz w myślach powtórzył swój plan. Kiedy się wyłonił z przejścia podziemnego na Paddington, sprawdził nazwę ulicy i upewniwszy się, że idzie we właściwym kierunku, ruszył Craven Road, by przy pierwszym kiosku z gazetami zapytać o Craven Terrace.

– Czwarta w lewo – odparł kioskarz, nie zadając sobie nawet trudu, żeby unieść głowę znad sterty egzemplarzy „Radio Timesa", w których zakreślał jakieś nazwiska.

Adam podziękował mu i chwilę później znalazł się na końcu krótkiej uliczki, przed żółto-zielonym szyldem głoszącym dużymi literami: „Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodych Niemców".

Otworzył furtkę, pewnym krokiem skierował się do domu i wszedł do środka. W korytarzu zatrzymał go portier.

– Czym mogę panu służyć?

Z przesadną wojskową swadą Adam wyjaśnił, że poszukuje młodego człowieka nazwiskiem Hans Kramer.

– Nigdy o takim nie słyszałem – stwierdził portier, na widok wojskowego krawata stając niemal na baczność. Odwrócił się do leżącej na biurku otwartej książki. – Nie jest zarejestrowany – rzekł, wodząc palcem wzdłuż kolumny nazwisk. – Radziłbym zapytać w czytelni albo w sali sportowej. – Wskazał kciukiem drzwi na prawo.

– Dziękuję – powiedział Adam, nie rezygnując z oficjalnego tonu.

Ruszył żwawo korytarzem do dwuskrzydłowych drzwi, które sądząc ze stanu farby, musiały być częściej otwierane kopniakami niż ręką. Rozejrzał

się. Kilkoro studentów czytało niemieckie gazety i czasopisma. Nie wiedział, od kogo zacząć, dopóki nie zobaczył w kącie dziewczyny pochylonej w skupieniu nad „Time'em". Z okładki spoglądała twarz Breżniewa. Adam zajął wolne miejsce obok dziewczyny. Spojrzała na niego z ukosa, z trudem kryjąc zdziwienie jego formalnym strojem. Poczekał chwilę, aż odłoży „Time'a", po czym zapytał:

– Czy mogłaby mi pani pomóc?

– W jaki sposób? – spytała dziewczyna z obawą.

– Nie mogę sobie poradzić z pewnym tłumaczeniem.

Popatrzyła na niego z wyraźną ulgą.

– Nie wiem, czy potrafię. Ma pan przy sobie tekst?

– Tak. Mam nadzieję, że nie jest zbyt trudny. – Wyjął z kieszeni kopertę, a z niej pierwszy fragment listu, po czym schował kopertę, wydobył mały notes i spojrzał wyczekująco na dziewczynę. Czuł się jak początkujący reporter. – Czy coś jest nie w porządku?

– Nie, nie o to chodzi… – odparła skupiona na leżących przed nią kilku zdaniach. – Po prostu ten tekst jest jakby trochę nienowoczesny i dlatego obawiam się, że nie będę potrafiła dokładnie oddać jego treści.

Adam odetchnął z ulgą.

Dziewczyna powtarzała wolno każde zdanie, najpierw po niemiecku, a potem po angielsku, jakby poza dokładnym tłumaczeniem chciała wczuć się w sens słów.

– Przez ostatni… w ciągu ubiegłego roku… poznaliśmy się trochę… Nie, nie – powiedziała – nie trochę. Zupełnie nieźle. – Adam zapisywał słowo po słowie. – Nigdy nie starał się Pan stworzyć pozorów… Zaraz, może lepiej będzie: Nigdy nie ukrywał Pan swojej niechęci do narodowych socjalistów. – Uniosła głowę i spojrzała na Adama.

– To fragment książki – zapewnił ją.

Nie była przekonana, mimo to kontynuowała.

– Ale za każdym razem… Nie, może lepiej: Ale zawsze zachowywał się Pan jak przystało na oficera i dżentelmena. – Uniosła głowę, jeszcze bardziej zdziwiona po przeczytaniu ostatniego słowa. – Czy to wszystko? To nie ma sensu.

– Tak, to wszystko – odparł Adam, pośpiesznie chowając świstek do kieszeni. – Miło z pani strony, że zechciała mi pani pomóc.

Odszedł, z ulgą patrząc, jak dziewczyna, wzruszywszy ramionami, wraca do lektury „Time'a". Ruszył na poszukiwanie sali sportowej. Kiedy popchnął wahadłowe drzwi, natknął się na młodego człowieka w koszulce ozdobionej emblematem Pucharu Świata i brązowych zamszowych szortach, który obojętnie odbijał piłeczkę pingpongową.

– Zagra pan? – zapytał chłopak, nie mając wielkiej nadziei, że uda mu się namówić przybysza.

– Jasne – odparł Adam, zdejmując kurtkę i biorąc rakietkę do ręki.

Przez dwadzieścia minut musiał się starać, żeby być pewnym, że przegra 18-21, 21-12, 17-21. Wkładając kurtkę i gratulując przeciwnikowi, był pewien, że zyskał jego zaufanie.

– Dobrze pan gra – pochwalił go Niemiec. – Nie poszło mi łatwo.

Adam przeszedł na jego stronę stołu.

– Czy przypadkiem nie mógłby mi pan pomóc w jednej sprawie? – zapytał.

– Chodzi panu o bekhend? – spytał młody człowiek.

– Nie, nie, nie o to – odparł Adam. – Chodzi mi o przetłumaczenie z niemieckiego paru zdań. – Wręczył Niemcowi środkowy fragment listu.

I znów przyszły tłumacz miał bardzo zdziwioną minę.

– To fragment książki, więc może się wydawać wyrwany z kontekstu – powiedział Adam nieprzekonywająco.

– Okay, spróbuję. – W chwili kiedy chłopak pochylił się nad listem, do sali sportowej weszła dziewczyna, która tłumaczyła początek, i podeszła prosto do nich.

– Nie bardzo rozumiem, nie umiem tłumaczyć – rzekł chłopak. – Ja myślę, że moja dziewczyna będzie lepsza. Zaraz ją poproszę. *Liebling, kannst Du dies für den Herrn ins Englische?* – I nie patrząc w stronę Adama, podał drugi fragment listu dziewczynie.

– Byłam pewna, że jest dalszy ciąg – powiedziała natychmiast.

– Nie, nie, nie, proszę sobie nie robić kłopotu. – Adam sprzątnął dziewczynie sprzed nosa świstek papieru i odwróciwszy się do chłopaka, dodał: – Dzięki za grę. Przepraszam, że zawracałem panu głowę. – Z tymi słowy szybko skierował się w stronę korytarza i wyszedł frontowymi drzwiami.

– Znalazł go pan?

– Czy go znalazłem? – zdziwił się Adam.

– No, tego Hansa Kramera – odparł portier.

– Tak, tak, dziękuję bardzo – zapewnił go Adam.

Wychodząc, widział depczących mu po piętach chłopaka z dziewczyną.

Wybiegł na ulicę i zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

– Dokąd? – zapytał taksiarz.

– Hotel Royal Cleveland.

– Przecież to zaraz za rogiem.

– Wiem – odparł Adam – ale już i tak jestem spóźniony.

– Jak pan sobie życzy – rzekł taksiarz. – Pańskie pieniądze.

Kiedy taksówka odjeżdżała, Adam przez tylną szybę zobaczył, jak chłopak rozmawia z portierem. Stojąca koło nich dziewczyna pokazywała taksówkę.

Odetchnął z ulgą, kiedy skręcili za róg i zniknęli tamtym z oczu.

Nie minęła nawet minuta, kiedy taksówka zatrzymała się przed Royal Cleveland. Adam wręczył taksiarzowi pół korony i zaczekał na resztę. Następnie przez obrotowe drzwi wszedł do holu hotelowego, pokręcił się po nim chwilę, po czym wrócił na ulicę. Spojrzał na zegarek: była dwunasta trzydzieści. Akurat czas na lunch, pomyślał, jeszcze zdąży coś zjeść przed spotkaniem w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Szybko ruszył Bayswater Road, a potem przez park, wiedząc, że nie znajdzie pubu bliżej niż na Knightsbridge.

Przypomniał się mu mecz tenisa stołowego z młodym Niemcem. Cholera, pomyślał. Powinienem był mu wlać, przynajmniej miałby teraz głowę zaprzątniętą czym innym.

Romanow przebiegł wzrokiem listę czternastu banków. Istniała naturalnie szansa, że to właśnie jeden z nich ma w depozycie carską ikonę, ale nazwy szacownych instytucji nic mu nie mówiły. Był to inny świat i Romanow wiedział, że w tym punkcie musi się uciec do pomocy eksperta.

Otworzył górną szufladę biurka i zaczął kartkować czerwoną książkę, którą mieli tylko najwyżsi rangą oficerowie KGB. Wiele nazwisk zostało wykreślonych lub zastąpionych innymi, w miarę jak zmieniały się reżimy, ale Aleksiej Andriejewicz Poskonow pozostawał na stanowisku prezesa Banku Państwowego od niemal dziesięciu lat i tylko minister spraw zagranicznych Gromyko trzymał się dłużej. Korzystając z prywatnej linii, Romanow wykręcił numer i poprosił, żeby go połączono z prezesem Gosbanku. Dość długo trwało, nim w słuchawce odezwał się głos:

– Czym mogę służyć, towarzyszu Romanow?

– Muszę się z wami pilnie zobaczyć – rzekł Romanow.

– Czyżby? – Na mężczyźnie o zachrypniętym głosie ta informacja najwyraźniej nie zrobiła wrażenia. Romanow słyszał szelest przewracanych kartek. – No to, powiedzmy, wtorek, jedenasta trzydzieści?

– Ale ja mówiłem, że to pilne – powtórzył Romanow. – Sprawa wagi państwowej, która nie może czekać.

– Jesteśmy bankierami tego kraju i może was to zdziwi, towarzyszu, ale mamy parę własnych spraw na głowie – padła niewzruszona odpowiedź. Romanow opanował się i czekał w milczeniu. Znów pochwycił szelest przewracanych stron. – No więc dobrze, może mi się uda przyjąć was dziś na jakieś piętnaście minut o trzeciej czterdzieści pięć – rzekł bankier. – Muszę was jednak uprzedzić, że już od dawna jestem umówiony na czwartą.

– Wobec tego trzecia czterdzieści pięć.

– W moim gabinecie – zakończył Poskonow. W słuchawce zaległa cisza.

Romanow zaklął głośno. Dlaczego każdy próbuje dowodzić własnej ważności akurat w stosunku do KGB? Zaczął zapisywać pytania, na które musiał uzyskać odpowiedzi, żeby móc wprowadzić w życie swój plan. Nie mógł sobie pozwolić na zmarnowanie choćby jednej minuty z przydzielonych piętnastu. Godzinę później poprosił o widzenie z szefem KGB. Tym razem nie kazano mu czekać.

– Chcemy przechytrzyć kapitalistów w ich własnej grze, tak? – rzekł Zaborski, kiedy Romanow przedłożył mu swój plan. – Bądźcie ostrożni, oni w to grają dłużej niż my.

– Zdaję sobie z tego sprawę, towarzyszu – powiedział Romanow. – Ale jeśli ikona rzeczywiście jest na Zachodzie, to przecież muszę stosować ich metody.

– Być może – odparł szef KGB. – Z waszym nazwiskiem jednak takie podejście może zostać źle zrozumiane.

Romanow był za mądry na to, żeby przerwać krótką ciszę, jaka zapadła po tych słowach.

– Nie obawiajcie się, możecie liczyć na jak najdalej idącą pomoc z mojej strony, aczkolwiek nigdy do tej pory niczego takiego ode mnie nie wymagano.

– A czy moglibyście mi powiedzieć, towarzyszu, dlaczego sprawa ikony jest aż tak ważna? – zapytał Romanow.

Szef KGB zmarszczył czoło.

– Nie zostałem upoważniony, by odpowiadać na takie pytania, ale ponieważ zainteresowanie towarzysza Breżniewa sztuką jest ogólnie znane, łatwo się domyślić, że nie chodzi nam o samą ikonę.

Ciekawe, jaki sekret może kryć w sobie to arcydzieło – głowił się Romanow, nie dając za wygraną.

– Zastanawiam się, czy…

Szef KGB stanowczo pokręcił głową.

Aparaty podsłuchowe nie mają oczu, pomyślał Romanow, ale ty wiesz, o co chodzi, prawda?

Zaborski wstał zza biurka, podszedł do ściany i zdarł kartkę z kalendarza.

– Zostało nam jeszcze dziesięć dni na znalezienie tej cholernej ikony – powiedział. – Towarzysz sekretarz generalny dzwoni do mnie codziennie o pierwszej w nocy.

– Codziennie o pierwszej w nocy? – Romanow podjął grę.

– Tak. Podobno biedak nie może spać – powiedział szef KGB, wracając do biurka. – To się może zdarzyć każdemu z nas, nawet wam, towarzyszu Romanow, i może nawet wcześniej, niż się spodziewacie, jeśli nie przestaniecie zadawać pytań. – Uśmiechnął się krzywo do swojego młodego kolegi.

Kilka minut później Romanow wyszedł z gabinetu szefa KGB i wrócił do siebie, żeby jeszcze raz przejrzeć pytania, które miał zadać prezesowi Gosbanku. Nie przestawało go dręczyć pytanie, co też może być ważnego w takiej małej ikonie, ale postanowił wszystkie wysiłki skupić na odnalezieniu arcydzieła; wtedy sprawa wyjaśni się sama.

Romanow znalazł się na stopniach budynku przy Nieglinnej 12 już o trzeciej trzydzieści, ponieważ wiedział, że będzie potrzebował więcej niż przydzielone mu piętnaście minut, jeśli chce uzyskać odpowiedzi na wszystkie pytania. Miał jedynie nadzieję, iż Poskonow zgodzi się przyjąć go natychmiast.

Po zaanonsowaniu się w recepcji ruszył szerokimi marmurowymi schodami w towarzystwie mundurowego strażnika na parter, gdzie już czekał na

niego sekretarz Poskonowa. Zaprowadzono go do poczekalni.

– Zawiadomię prezesa, że już jesteście, towarzyszu Romanow – powiedział sekretarz i zniknął w swoim gabinecie.

Romanow niespokojnie przemierzał niewielką poczekalnię tam i z powrotem, ale sekretarz nie pojawił się, dopóki wskazówki zegara nie utworzyły linii prostej. O trzeciej pięćdziesiąt Romanowa wpuszczono do gabinetu prezesa.

Młodego majora dosłownie zatkało na widok przepychu tego pomieszczenia. Długie czerwone pluszowe zasłony, marmurowa posadzka, wykwintne francuskie meble – wszystko to, jak sądził, byłoby całkowicie na miejscu w apartamentach prezesa Bank of England. Nie po raz pierwszy Romanow uświadomił sobie, że pieniądze to najważniejszy towar na świecie – nawet komunistycznym. Patrzył na starego, przygarbionego człowieka o przerzedzonych siwych włosach i sumiastym wąsie, który trzymał w ręku finanse kraju. Na człowieka, o którym mówiono, że na każdego ma jakiegoś haka. Na każdego oprócz mnie, pomyślał Romanow. Kraciasty garnitur Poskonowa może i został uszyty przed rewolucją, ale teraz znowu może uchodzić za ostatni krzyk mody na londyńskiej King’s Road.

– Co mogę dla was zrobić, towarzyszu Romanow? – zapytał bankier z westchnieniem, jakby miał przed sobą uciążliwego klienta, który przyszedł po niewielką pożyczkę.

– Potrzebuję natychmiast stu milionów dolarów amerykańskich w sztabach złota – oznajmił spokojnym głosem Romanow.

Znużona twarz prezesa banku ożywiła się nagle. Zrobił się purpurowy i opadł na oparcie fotela. Przez chwilę spazmatycznie łapał powietrze, zanim otworzył szufladę, wyjął z niej kwadratowe pudełeczko, a z niego dużą białą pastylkę. Upłynęła pełna minuta, nim odzyskał panowanie nad sobą.

– Czy już zupełnie postradaliście zmysły, towarzyszu? – spytał stary człowiek. – Najpierw prosicie o spotkanie, nie uzasadniając tego w dostateczny sposób, a następnie wpadacie do mojego biura z żądaniem stu milionów dolarów amerykańskich w złocie, też właściwie bez jakiegokolwiek wyjaśnienia. Co was skłoniło do postawienia tak niedorzecznego żądania?

– Interes państwa – odparł Romanow. – Ale skoro już pytacie: zamierzam to złoto złożyć, w równych częściach, na kontach numerowanych w różnych bankach szwajcarskich.

– A na czyje polecenie chcecie dokonać takiej operacji? – zapytał prezes banku spokojnie.

– Sekretarza generalnego partii.

– To dziwne – rzekł Poskonow. – Widuję się z Leonidem Iljiczem przynajmniej raz w tygodniu, ale nigdy mi nie wspominał – spojrzał w rozłożony na biurku notatnik – że niejaki major Romanow, funkcjonariusz KGB średniego szczebla – ostatnie słowa podkreślił z mocą – wystąpił z podobnie niedorzecznym roszczeniem.

Romanow podniósł słuchawkę stojącego koło Poskonowa telefonu i wyciągnął ją w jego stronę.

– Gdybyście, towarzyszu, zechcieli sami zapytać o to Leonida Iljicza, oszczędziłoby to nam być może wiele cennego czasu. – Wyzywająco popchnął telefon w stronę prezesa banku.

Poskonow wytrzymał wzrok Romanowa, wziął od niego słuchawkę i przytknął do ucha. Romanow poczuł napięcie, jakiego doświadczał tylko podczas akcji w terenie.

W telefonie odezwał się głos.

– Dzwoniliście, towarzyszu prezesie?

– Tak – odparł Poskonow. – Odwołajcie moje spotkanie o czwartej i dopilnujcie, żeby mi nie przeszkadzano, dopóki major Romanow nie wyjdzie.

– Tak jest, towarzyszu prezesie.

Poskonow odłożył słuchawkę, bez słowa wstał zza biurka, wskazał majorowi wygodny fotel pod wykuszowym oknem w drugim końcu gabinetu, a sam zajął miejsce naprzeciwko.

– Znałem waszego dziadka – zaczął swoim spokojnym, rzeczowym tonem. – Kiedy spotkałem go po raz pierwszy, byłem zaledwie młodszym urzędnikiem, zaraz po szkole. Potraktował mnie bardzo uprzejmie, ale był tak samo niecierpliwy jak wy. Dlatego właśnie uważano go za najlepszego kupca w branży futrzarskiej w całej Rosji, a jednocześnie za najgorszego pokerzystę.

Romanow roześmiał się. Nie znał swego dziadka, a te nieliczne książki, w których były o nim wzmianki, już dawno zostały zniszczone. Ojciec otwarcie mówił o jego bogactwie i pozycji, co tylko ułatwiło władzom sprawę, dając im argumenty do ręki.

– Wybaczcie moją ciekawość, majorze, ale jeżeli mam wam wręczyć sto milionów dolarów w złocie, to chciałbym przynajmniej wiedzieć, na co te pieniądze zostaną obrócone. O ile wiem, tylko CIA daje kwitki na takie sumy bez żadnych wyjaśnień.

Romanow roześmiał się ponownie i wytłumaczył prezesowi banku, jak ustalono, że carska ikona znajdująca się w Pałacu Zimowym jest tylko kopią, i jak powierzono mu zadanie odzyskania oryginału. Na koniec przedłożył listę czternastu banków. Poskonow studiował ją pilnie, podczas gdy jego gość przedstawiał plan akcji, jaką zamierza podjąć, zapewniając zarazem, że pieniądze powrócą nienaruszone, gdy tylko uda się ustalić miejsce pobytu ikony.

– Ale jak to możliwe, żeby jedna mała ikona była aż tak ważna dla kraju?! – zawołał głośno Poskonow, jakby Romanowa już u niego nie było.

– Nie mam pojęcia – odparł szczerze major, a następnie zapoznał Poskonowa ze swoimi dotychczasowymi ustaleniami.

Kiedy skończył, gospodarz mruknął niezadowolony.

– Czy mógłbym zaproponować plan alternatywny do waszego?

– Bardzo proszę – rzekł Romanow, rad, że udało mu się wciągnąć Poskonowa do współpracy.

– Zapalicie? – zapytał bankier, wyjmując z kieszeni marynarki paczkę dunhillów.

– Nie, dziękuję – odparł Romanow i na widok czerwonej paczki lekko uniósł brwi.

Poskonow zamilkł, zapalając papierosa.

– Ten garnitur też nie był szyty w Moskwie. – Wskazał papierosem ubranie oficera. – Ale do rzeczy. I bardzo proszę, żebyście mnie poprawili, gdyby się okazało, że was w czymkolwiek źle zrozumiałem. Podejrzewacie, że w jednym z tych czternastu banków szwajcarskich – stuknął listę palcem wskazującym – znajduje się oryginał carskiej ikony, prawda? I dlatego chcecie, żebym w każdym z nich zdeponował znaczną ilość złota, w nadziei, że zapewni wam to natychmiastowy dostęp do głowy bankierskiej rodziny albo do prezesa banku. Żebyście mogli zaoferować mu szansę położenia ręki na całych stu milionach w zamian za obietnicę współpracy, tak?

– Tak jest – odparł Romanow. – Przekupstwo to język, który Zachód zawsze doskonale rozumiał.

– Nazwałbym was naiwnym, gdybym nie znał waszego dziadka, chociaż to on zbił milionową fortunę, nie ja. Ale, jak sądzicie, ile to może być dużo pieniędzy dla jednego z największych banków szwajcarskich?

Romanow zastanawiał się chwilę.

– Dziesięć milionów, dwadzieścia milionów?

– Może dla Moskiewskiego Banku Narodowego – rzekł Poskonow. – Ale każdy z banków, z którymi zamierzacie wejść w układy, ma po kilku klientów z depozytami wysokości ponad stu milionów każdy.

Major nie był w stanie ukryć niedowierzania.

– Muszę przyznać – podjął bankier – że nasz szanowny sekretarz generalny okazał nie mniejsze zdziwienie, kiedy go o tym poinformowałem przed laty.

– Czy to znaczy, że muszę mieć miliard? – zapytał Romanow.

– Nie, nie, nie, ale trzeba podejść do sprawy od zupełnie innej strony. Nie złapiecie kłusownika, oferując mu zająca w potrawce.

– Dobrze. Więc skoro Szwajcarzy nie pójdą na duże pieniądze, to na co pójdą?

– Wystarczy zwykła sugestia, że wykorzystano ich bank do działań o charakterze przestępczym.

– Ale jak…

– Chwileczkę, zaraz wszystko wyjaśnię. Twierdzicie, że ikona wisząca w Pałacu Zimowym nie jest oryginałem, tylko kopią. Dobrą, namalowaną przez dwudziestowiecznego malarza dworskiego, ale mimo wszystko kopią. Proponuję, żeby prezesom tych czternastu banków dać w prywatnych rozmowach do zrozumienia, że w wyniku prowadzonych przez nas wnikliwych badań mamy wszelkie powody przypuszczać, że jedno z naszych najcenniejszych arcydzieł sztuki narodowej zostało zastąpione kopią, a oryginał zdeponowany w ich banku. Sądzę, że w takiej sytuacji każdy szwajcarski bankier, chcąc uniknąć afery na szczeblu dyplomatycznym, zgodzi się sprawdzić wszelkie depozyty, po które od dwudziestu lat nikt się nie zgłaszał.

Romanow spojrzał staremu człowiekowi prosto w oczy, zdając sobie sprawę, dlaczego Poskonow przetrwał tyle czystek.

– Zwracam honor, towarzyszu Poskonow.

– Nie ma o czym mówić. Każdy z nas zna się na swojej robocie. Jestem przekonany, że w waszym świecie czułbym się równie zagubiony, jak wy

w moim. A teraz pozwólcie, że skontaktuję się z prezesami czternastu wymienionych przez was banków, by każdemu powiedzieć nie więcej, jak tylko prawdę – towar, który mam obowiązek zaoferować w pierwszej kolejności – a mianowicie, że podejrzewam, iż carska ikona znajduje się właśnie w ich banku. Jestem przekonany, że nie będą się upierali przy dalszym przetrzymywaniu arcydzieła, gdyż stanowiłoby to naruszenie praw suwerennego kraju.

– Sprawa ta jest niezwykle pilna – powiedział Romanow.

– Zupełnie jakbym słyszał waszego dziadka. Zgoda. Jeżeli otrzymam odpowiednie dane, mogę rozmawiać z nimi jeszcze dzisiaj. To jedna z korzyści wynikających z tego, że reszta świata budzi się po nas. Bądźcie spokojni, skontaktuję się z wami, gdy tylko uzyskam jakieś wiadomości.

– Dziękuję – rzekł Romanow, wstając z fotela. – Dziękuję za pomoc. – Miał już dodać, jak zwykle w takich wypadkach: „Poinformuję o tym mojego szefa", ale dał spokój, uświadomiwszy sobie, że Poskonowowi na tym zupełnie nie zależy.

Prezes Gosbanku zamknął drzwi za swoim gościem, podszedł do okna i patrzył, jak Romanow zbiega po stopniach, a następnie wsiada do czekającego samochodu. I tak bym ci nie dał teraz stu milionów w złocie, nawet gdyby sam sekretarz generalny kazał, pomyślał. Wątpię, czy mam w tej chwili w skarbcu dziesięć milionów. I tak już sekretarz polecił mi ulokować każdą uncję złota w Bank of New York; a zrobił to tak sprytnie, że w ciągu godziny od przybycia depozytu CIA wiedziało już o wszystkim. Trudno ukryć ponad siedemset milionów dolarów w złocie, nawet w Ameryce. Usiłowałem mu to wytłumaczyć. Poskonow patrzył za odjeżdżającym samochodem Romanowa. Gdybyś oprócz „Prawdy" czytywał, tak jak twój dziad, „Washington Post", tobyś już do tej pory o tym wiedział.

Wrócił do biurka i sprawdził nazwy wszystkich czternastu banków.

Wiedział, do którego z nich należało zadzwonić.

Adam wyszedł z Tattersalls Tavern na rogu Knightsbridge Green i mijając Hyde Park Hotel, ruszył w stronę Royal Thames Yacht Club. Było to dość dziwne miejsce, jak na spotkanie wyznaczone przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych, ale do tej pory wszystko, co miało związek z jego staraniami o pracę w tej instytucji, wydawało się tajemnicze.

Przyszedł kilka minut wcześniej i zapytał pełniącego funkcję portiera ekssierżanta piechoty morskiej, gdzie się odbywają rozmowy.

– Piąte piętro, sir. Winda jest tam, w rogu. – Wskazał ręką przed siebie. – I proszę zapowiedzieć się w recepcji.

Adam nacisnął guzik. Kiedy winda przyjechała, drzwi otworzyły się natychmiast. Za nim nieco wolniej wsiadł gruby facet w okularach, mniej więcej w tym wieku co on; wyglądał tak, jakby nigdy nie odmówił trzeciej dokładki. Adam nacisnął piątkę. W drodze na górę żaden z nich nie odezwał się słowem. Grubas wysiadł pierwszy.

– Wainwright – poinformował dziewczynę w recepcji.

– Tak jest – powiedziała. – Przyszedł pan trochę za wcześnie, ale proszę usiąść. – Wskazała krzesło w rogu pokoju, po czym przeniosła wzrok na Adama i uśmiechnęła się.

– Scott.

– Tak jest – powtórzyła. – Zechce pan usiąść koło tamtego pana? Pan będzie następny.

Adam podszedł do nieznajomego, który właśnie rozwiązywał krzyżówkę w „Daily Telegraph”, i zanim usadowił się na krześle obok, wziął sobie „Puncha”. Wkrótce jednak znudziło go przeglądanie sterty pism i baczniej przyjrzał się Wainwrightowi.

– Czy zna pan może niemiecki? – zapytał nagle.

– Niemiecki, francuski, włoski i hiszpański. – Wainwright uniósł głowę. – Sądzę, że dlatego się tu znalazłem – odparł z nutą wyższości w głosie.

– Mógłby mi pan wobec tego pomóc w przetłumaczeniu fragmentu listu po niemiecku?

– Z wielką przyjemnością – rzekł Wainwright, zdejmując grube okulary i czekając, aż Adam wyjmie z koperty środkową część listu. – Zaraz zobaczymy. – Wziął do ręki papier i na powrót założył okulary. – Nie wiem, czy sobie poradzę. Mam nadzieję, że nie jest pan członkiem komisji ministerialnej.

– Nie, nie – zapewnił go Adam z uśmiechem. – Jesteśmy w tej samej sytuacji, z tą różnicą, że ja nie znam niemieckiego, francuskiego, włoskiego i hiszpańskiego.

Wainwright jakby poczuł ulgę.

– Zaraz zobaczymy – powtórzył, Adam tymczasem z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął niewielki notes. – W ciągu tego roku nie mógł Pan…

nie mógł Pan nie zauważyć, że od jednego ze strażników dostawałem regularne… regularne przydziały… regularne przydziały cygar hawańskich. Była to jedna z nielicznych przyjemności, na jaką mimo wyroku mi pozwalano. Nie, może lepiej: „zezwalano”. To chyba najwierniejsze tłumaczenie, jak sądzę – dodał Wainwright. – Same cygara służyły jeszcze innemu celowi – podjął grubas, najwyraźniej zadowolony z siebie – ponieważ każde zawierało kapsułkę…

– Pan Scott.

– Tak. – Adam posłusznie zerwał się na nogi.

– Komisja pana prosi – powiedziała recepcjonistka.

– Mam to wykończyć w tym czasie, gdy będą wykańczali pana? – Wainwright zachichotał.

– Tak, bardzo proszę, jeśli nie sprawi to panu zbytniego kłopotu.

– To znacznie łatwiejsze od krzyżówki – odparł Wainwright, odsuwając niedokończoną krzyżówkę.

Aleks Romanow nie należał do ludzi cierpliwych, a teraz, kiedy sekretarz generalny wydzwaniał do jego szefa dwa razy dziennie, nie czuł się najlepiej.

Czekając na wyniki rozmów prezesa Gosbanku, jeszcze raz przeczytał materiały, które mu zostawiono na biurku, i sprawdził każdą nową informację nadesłaną przez agentów z terenu. Niecierpliwił się, wiedząc, że Poskonow co godzina otrzymuje jakieś wiadomości, ale mimo tak wielkiego pośpiechu nie chciał starego naciskać.

Wreszcie Poskonow zadzwonił.

Tym razem Romanowa zawieziono prosto do Banku Państwowego, na Nieglinną 12, i bez chwili zwłoki wpuszczono do elegancko urządzonego gabinetu. Prezes, w innym garniturze, w jeszcze większą kratkę, powitał go przy drzwiach.

– Pewnie myśleliście, że o was zapomniałem, co? – Zaprosił Romanowa, by usiadł w wygodnym fotelu. – Ale chciałem zadzwonić, jak już będę miał jakieś pozytywne wiadomości, żeby nie marnować waszego cennego czasu. Nie palicie, jeśli dobrze pamiętam, prawda? – dodał, wyjmując paczkę dunhillów.

– Nie, dziękuję – odparł major, zastanawiając się, czy lekarz Poskonowa wie, ile stary pali.

Weszła sekretarka i postawiła przed nimi dwie szklanki, oszronioną butelkę i małą salaterkę kawioru.

Romanow czekał w milczeniu.

– W ciągu ostatnich dwóch dni rozmawiałem z prezesami dwunastu banków z waszej listy – zaczął Poskonow, nalewając wódkę do szklanek – ale to dlatego, że pozostałych dwóch pominąłem celowo.

– Pominęliście? – zdziwił się major.

– Cierpliwości, towarzyszu – rzekł Poskonow tonem dobrotliwego wujaszka. – Przed wami dłuższe życie niż przede mną, więc jeśli któryś z nas ma więcej do stracenia, to wy, a nie ja.

Romanow spuścił wzrok.

– Pominąłem jednego z prezesów – podjął Poskonow – gdyż przebywa w Meksyku, dokąd się udał, by poinstruować prezydenta Ordaza, jak można, nie zwracając długu bankowi Chase Manhattan, jednocześnie zaciągnąć jeszcze większą pożyczkę w Bank of America. Jeśli to się powiedzie, powiem sekretarzowi generalnemu, żeby mianował faceta na moje miejsce, kiedy odejdę na emeryturę. Z drugim dżentelmenem nie rozmawiałem, ponieważ oficjalnie przebywa w Chicago, gdzie zawiera poważną transakcję w obligacjach europejskich z bankiem Continental Illinois, podczas gdy w rzeczywistości bawi z kochanką w hotelu St Francis w San Francisco. Zgodzicie się chyba ze mną, towarzyszu majorze, że przeszkadzanie któremukolwiek z nich w tym właśnie momencie nie przyniosłoby pożytku sprawie. Pierwszemu wystarczy problemów do końca tygodnia, drugi może mieć telefon na podsłuchu, a my byśmy przecież nie chcieli, żeby Amerykanie się dowiedzieli, czego szukamy.

– Tak jest, towarzyszu – potwierdził Romanow.

– W każdym razie obaj wracają do Szwajcarii na początku przyszłego tygodnia, a my i tak mamy dość na głowie.

– Tak, ale co…

– Ucieszy was chyba wiadomość, że pozostałych dwunastu prezesów banków obiecało współpracę, z czego pięciu już oddzwoniło, w tym czterech, by powiedzieć, że przeprowadzili staranną kontrolę depozytów klientów, którzy nie kontaktowali się z nimi od ponad dwudziestu lat, ale nie znaleźli niczego, co by choć w najmniejszym stopniu przypominało ikonę. Jeden z nich otworzył sejf depozytowy, nieruszany od 1931 roku, w obec-

ności trzech pozostałych prezesów, ale nie zawierał on niczego oprócz korka od butelki porto Taylora z roku 1929.

– Niczego? – zdziwił się Romanow.

– No cóż, 1929 to był wyjątkowo dobry rocznik – rzekł ze zrozumieniem Poskonow.

– No, a co z piątym prezesem? – zainteresował się major.

– Otóż podejrzewam, że to może być właśnie dla nas punkt zwrotny – podjął Poskonow, wskazując leżącą przed nim teczkę i poprawiając okulary na nosie. – Herr Dieter Bischoff z Bischoff et Cie – spojrzał na Romanowa, jakby ten mógł znać to nazwisko – szacowny człowiek, z którym nieraz w przeszłości miałem do czynienia, szacowny, towarzyszu, naturalnie według standardów zachodnich – dodał, najwyraźniej z siebie zadowolony – no więc ów Bischoff znalazł w skarbcu swego banku coś, co zostało oddane do depozytu w roku 1938. Jest to ponad wszelką wątpliwość ikona, ale Bischoff nie ma możliwości sprawdzenia, czy to ta ikona, o którą nam chodzi.

Romanow z podniecenia niemal podskoczył na krześle.

– Byłoby najlepiej, gdybym pojechał sprawdzić to osobiście. Mógłbym wylecieć już dzisiaj – rzekł.

Poskonow ręką dał mu znak, żeby usiadł.

– I tak najbliższy samolot, którym moglibyście lecieć, startuje z Szeremietiewa dopiero o czwartej trzydzieści pięć. Na wszelki wypadek zabukowałem dla was dwa miejsca.

– Dwa? – zdziwił się Romanow.

– Będzie wam potrzebny rzeczoznawca, chyba że na ikonach znacie się znacznie lepiej niż na bankowości – wyjaśnił Poskonow. – Pozwoliłem sobie zabukować dwa na Swissair. Jeśli tylko można tego uniknąć, nie należy latać Aerofłotem. Od samego początku te linie biją tylko jeden rekord: tracą najwięcej pasażerów w przeliczeniu na liczbę kilometrów w powietrzu, a bankier musi wierzyć w argumenty statystyczne. Umówiłem was z Herr Bischoffem na jutro na dziesiątą rano, chyba że jest coś znacznie ważniejszego, co was zatrzymuje w Moskwie, towarzyszu?

Romanow uśmiechnął się.

– Z waszych akt wnoszę, że nigdy nie pracowaliście w Szwajcarii – zgrywał się stary. – Dlatego chciałbym wam przy okazji polecić hotel St Gothard w Zurychu. Jacques Pontin najlepiej się wami zajmie. Dla Szwaj-

carów narodowość nigdy nie miała znaczenia, tylko pieniądze. Tak się z grubsza przedstawiają wyniki mojego dochodzenia. Odezwę się znów w poniedziałek, kiedy wrócą do Szwajcarii dwaj podróżujący obecnie prezesi banków. A na razie mogę wam jedynie życzyć powodzenia w Zurychu.

– Dziękuję – powiedział Romanow. – Chciałbym jeszcze przy okazji wyrazić uznanie dla waszej, towarzyszu, sumienności.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Nigdy nie zapomnę, co zawdzięczam waszemu dziadkowi. Być może i wy poczujecie się kiedyś zobowiązani wobec mnie, ale na razie dajmy temu spokój.

Romanow usiłował zgłębić znaczenie słów starego, ale w wyrazie jego twarzy nie znalazł żadnej wskazówki, bez słowa więc opuścił gabinet prezesa Gosbanku. Gdy jednak schodził szerokimi marmurowymi schodami, co chwila wracał do sentymentów Poskonowa, pamiętając o tym, że w rozmowie z funkcjonariuszami KGB nie rzuca się słów na wiatr.

Kiedy Romanow wrócił na plac Dzierżyńskiego, sekretarz poinformował go, że dzwonił zastępca Herr Bischoffa z Zurychu, żeby potwierdzić termin spotkania nazajutrz o dziesiątej rano. Romanow polecił mu zadzwonić do kierownika recepcji hotelu St Gothard i zarezerwować dwa pokoje.

– Aha, i potwierdźcie moją rezerwację w liniach Swissair – dodał, a następnie udał się dwa piętra wyżej, żeby zdać szefowi sprawę ze swojej wizyty u prezesa Gosbanku.

– Dzięki Bogu – brzmiały pierwsze słowa Zaborskiego. – Zostało nam zaledwie dziewięć dni, więc przynajmniej będę miał co powiedzieć sekretarzowi generalnemu, kiedy zadzwoni o pierwszej w nocy.

Romanow uśmiechnął się.

– Powodzenia, towarzyszu. Polecimy naszej ambasadzie, żeby w razie potrzeby udzieliła wam wszelkiej możliwej pomocy. Miejmy nadzieję, że uda wam się przywrócić to arcydzieło ścianom Pałacu Zimowego.

– Jeżeli tylko znajduje się ono w tym banku, to jutro wieczorem będziecie je mieli – rzekł Romanow i z uśmiechem opuścił gabinet szefa.

Udał się do swego biura, gdzie już czekała Pietrowa.

– Wzywaliście mnie, towarzyszu?

– Tak. Jedziemy do Zurychu. – Major spojrzał na zegarek. – Za trzy godziny. Miejsca w samolocie i pokoje w hotelu mamy zarezerwowane.

– Na nazwiska Herr i Frau Schmidt, jak sądzę – powiedziała jego kochanka.

VI

Po rozmowie w ministerstwie Adam był spokojny i pewny siebie. Przewodniczący komisji spytał go, czy za tydzień będzie mógł się poddać gruntownym badaniom lekarskim. Adam odpowiedział, że nie widzi nic takiego, co by mu mogło w tym przeszkodzić. Cieszyła go perspektywa pracy w służbie zagranicznej.

W poczekalni Wainwright wręczył mu świstek papieru.

– Bardzo panu dziękuję – rzekł Adam z udawaną obojętnością, chowając kartkę do wewnętrznej kieszeni marynarki i nawet nie patrząc na tłumaczenie.

– Jak poszło? – zapytał ostrożnie Wainwright.

– Dla kogoś, kto zna niemiecki, francuski, hiszpański i włoski, nie widzę problemu – zapewnił go Adam. – W każdym razie życzę powodzenia.

– Panie Wainwright – powiedziała sekretarka – komisja pana prosi.

Adam zjechał windą i postanowił wrócić do domu pieszo. Po drodze zatrzymał się na rogu Wilton Place, żeby kupić torbę jabłek od chłopaka, który robił wrażenie, jakby nieustannie wypatrywał policji. Adam ruszył przed siebie, cały czas powtarzając w pamięci pytania komisji i swoje odpowiedzi, co – jak sam uznał – było bezcelowe, skoro czuł, że poszło mu dobrze. Nagle zatrzymał się tak gwałtownie, że idący za nim mężczyzna omal na niego nie wpadł.

Uwagę Adama zwrócił szyld: „Niemiecka żywność”. Przy kasie koło drzwi siedziała ładna, uśmiechnięta dziewczyna o roześmianych oczach. Wszedł do sklepu i nie zamierzając niczego kupować, skierował się prosto do dziewczyny.

– Nic pan nie kupił? – spytała z lekkim obcym akcentem.

– Nie, dopiero zamierzam – wyjaśnił Adam. – Ale… czy pani zna niemiecki?

– Większość dziewcząt z Moguncji zna niemiecki – odparła z uśmiechem.

– Słusznie, powinny – rzekł Adam, przyglądając się jej. Uznał, że musi mieć niewiele ponad dwudziestkę, a jej miły uśmiech i bezpośredniość wydały mu się ujmujące. Ciemne, lśniące włosy miała związane dużą czerwoną kokardą w koński ogon. Biały sweterek i zgrabna spódniczka w kratę zwróciłyby uwagę każdego mężczyzny. Szczupłe nogi wsunęła pod krzesło. – Mam do pani prośbę. Czy byłaby pani tak miła i przetłumaczyła mi z niemieckiego parę zdań?

– Spróbuję – odparła, cały czas się uśmiechając.

Adam wyjął z kieszeni kopertę z ostatnim fragmentem listu i wręczył dziewczynie.

– Styl jest trochę staroświecki – oświadczyła z poważną miną. – To musi chwilę potrwać.

– Ja w tym czasie zrobię jakieś zakupy – powiedział Adam i wolno ruszył wzdłuż zastawionych towarami półek.

Wybrał kawałek salami, frankfurterki, bekon i niemiecką musztardę, od czasu do czasu zerkając na dziewczynę, żeby zobaczyć, jak sobie radzi. O ile mógł to ocenić, zdołała przetłumaczyć zaledwie kilka słów, ponieważ nieustannie przeszkadzali jej klienci. Upłynęło ze dwadzieścia minut, nim zobaczył, że odłożyła tekst. Natychmiast podszedł do kasy.

– Jeden funt, dwa szylingi i dziesięć pensów – powiedziała dziewczyna. Adam wręczył jej dwa funty i dostał resztę wraz z kartką. – To dość surowe tłumaczenie – wyjaśniła – ale chyba oddaje sens.

– Nie wiem, jak pani dziękować – rzekł Adam.

W tej chwili stanęła za nim starsza kobieta.

– Może mnie pan zaprosić na te frankfurterki – roześmiała się dziewczyna.

– Wspaniały pomysł. A może byśmy zjedli dziś razem kolację?

– Ależ ja tylko żartowałam.

– A ja wcale nie żartuję.

Do kolejki dołączyła jeszcze jedna osoba i starsza pani zrobiła zniecierpliwioną minę.

Adam wziął z lady ulotkę reklamową, cofnął się w głąb sklepu i zaczął pisać swoje nazwisko, adres i numer telefonu. Poczekał, aż dwoje klientów przed nim zapłaci, następnie zaś wręczył dziewczynie „jedyną życiową szansę” zakupu Persilu.

– A to co znowu? – zapytała z niewinną miną.

– W środku zapisałem swoje nazwisko i adres. Będę na ciebie czekał około ósmej. Przynajmniej znasz menu.

Dziewczyna miała bardzo niepewną minę.

– Ja naprawdę tylko żartowałam.

– Nie bój się, nie zjem cię – uspokoił ją Adam. – Zadowolę się kiełbaskami.

Spojrzała na broszurkę reklamową, którą trzymała w ręce, i roześmiała się.

– Zastanowię się.

Adam, pogwizdując, wyszedł na ulicę. Zły ranek, dobre popołudnie i – być może – jeszcze lepszy wieczór.

Wrócił do domu akurat w porę, żeby obejrzeć wiadomości o piątej czterdzieści pięć. Pani Gandhi, nowy premier Indii, stanęła wobec otwartej rewolty w swoim gabinecie i Adam zastanawiał się, czy Wielka Brytania mogłaby kiedykolwiek mieć premiera kobietę. Anglia uzyskała w pierwszej części gry sto siedemnaście na siedem, a Indie Zachodnie dalej prowadziły.

Jęknął i zgasił telewizor. Umieścił zakupy w lodówce i poszedł do swojego pokoju, żeby złożyć w całość kawałki listu Göringa. Po przeczytaniu wszystkich fragmentów wyjął notatnik i zaczął je po kolei przepisywać: najpierw akapit przetłumaczony przez dziewczynę z Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Młodych Niemców, potem fragment nabazgrany przez Wainwrighta w notesie i wreszcie koniec w przekładzie uroczej dziewczyny z Moguncji. A następnie powoli przeczytał cały tekst.

Norymberga, 15 października 1946

Szanowny Panie Pułkowniku

W ciągu ubiegłego roku poznaliśmy się zupełnie nieźle. Nigdy Pan nie ukrywał swojej niechęci do narodowych socjalistów, ale zawsze zachowywał się Pan jak przystało na oficera i dżentelmena.

W ciągu tego roku nie mógł Pan nie zauważyć, że od jednego ze strażników dostawałem regularnie przydziały cygar hawańskich. Była to jedna z nielicznych przyjemności, na jaką mimo wyroku mi zezwalano. Cygara te służyły jeszcze innemu celowi: każde zawierało kapsułkę

z niewielką dawką trucizny, wystarczającą do tego, żebym przeżył proces, ale jednocześnie gwarantującą, że oszukam kata.

Żałuję w tym wszystkim jedynie tego, że Pan jako dowódca warty w okresie, kiedy najprawdopodobniej umrę, może odpowiadać za coś, do czego nie przyłożył ręki. W ramach zadośćuczynienia przesyłam Panu dokument na nazwisko niejakiego Emmanuela Rosenbauma, który powinien pomóc Panu we wszelkich finansowych kłopotach, w jakich mógłby się Pan znaleźć w najbliższej przyszłości.

Do Pana będzie należało jedynie…

– Czy jest ktoś w domu?! – zawołał Lawrence.

Adam poskładał kartki, szybko podszedł do półki i razem z oryginałem listu włożył je do Biblii na chwilę przed tym, nim w drzwiach ukazała się głowa przyjaciela.

– Co za cholerny ruch – powiedział Lawrence wesoło. – Nie mogę się doczekać, kiedy zostanę prezesem banku i dadzą mi luksusowe mieszkanie na najwyższym piętrze, nie mówiąc już o kierowcy i służbowym samochodzie.

Adam roześmiał się.

– Miałeś w pracy ciężki dzień, kochanie? – błaznował, wyjmując jedzenie z lodówki.

Na widok niecodziennych smakołyków Lawrence powiedział:

– Ciekawe, kogo będziemy dziś mieli na kolacji.

– Mam nadzieję, że pewną ładną młodą Niemkę – odparł Adam.

– Co chcesz powiedzieć przez „mam nadzieję”?

– Trudno by to nazwać oficjalnym zaproszeniem, więc nie jestem pewien, czy się pojawi.

– Wobec tego na wszelki wypadek zostanę, bo jeśli cię zostawi na lodzie, to przynajmniej pomogę ci wszystko zjeść.

– Dzięki za dobre chęci, ale wydaje mi się, że teraz twoja kolej, żeby zniknąć. Ale, ale, co z Carolyn?

– Carolyn to dziewczyna wczorajsza, że zacytuję szanownego Harolda Wilsona. W jaki sposób znalazłeś swoją *gnädiges Fräulein*?

– Pracuje w sklepie spożywczym przy Knightsbridge.

– Rozumiem. To już tak nisko upadliśmy, że bierzemy się do ekspedientek.

– Szczerze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia, ani kim ona jest, ani nawet jak się nazywa – rzekł Adam. – Ale mam nadzieję, że się dzisiaj dowiem. Przypominam, że twoja kolej zniknąć.

– *Natürlich*. Jak widzisz, możesz na mnie liczyć, gdybyś potrzebował tłumacza.

– Wystarczy, jeśli wstawisz wino do lodówki i nakryjesz do stołu.

– To już nie ma poważniejszych zadań dla człowieka o moich kwalifikacjach? – Lawrence roześmiał się.

Kiedy zegar wybił ósmą, stół był nakryty i kolacja gotowa. O wpół do dziewiątej przestali czekać i Adam podał dwie porcje frankfurterek, salami i niemiecką sałatkę z kartofli zaprawioną sokiem z kiszonej kapusty. Następnie powiesił za drzwiami fartuch kuchenny i zajął miejsce naprzeciwko Lawrence’a, który nie czekając ani chwili dłużej, zaczął nalewać wino.

– *Och*, *mein liebes Mädchen*, wyglądasz uroczo w tym tweedowym żakiecie od Harrisa – powiedział Lawrence, unosząc kieliszek.

Adam miał mu właśnie w odpowiedzi przyłożyć łyżką od jarzyn, kiedy rozległo się głośne stukanie do drzwi. Przyjaciele spojrzeli po sobie, po czym Adam pośpieszył otworzyć. W progu stał mężczyzna wzrostu dobrze ponad metr osiemdziesiąt, o barach zawodowego bramkarza. Koło niego, mała przez kontrast z olbrzymem, dziewczyna, którą Adam zaprosił na kolację.

– To mój brat Jochen – wyjaśniła.

Adam natychmiast zauważył, jak dziewczyna pięknie wygląda w ciemnoniebieskiej bluzce w deseń i granatowej plisowanej spódnicy tuż za kolana. Jej długie, ciemne włosy, teraz luźno puszczone, robiły wrażenie dopiero co umytych, lśniły bowiem nawet w świetle zwisającej z sufitu czterdziestowatowej żarówki.

– Witam – powiedział, z trudem ukrywając zaskoczenie.

– Jochen mnie tylko podrzucił.

– Ależ naturalnie, bardzo proszę. Proszę wejść, zaraz zrobię drinka.

– Nie, dziękuję, ja też jestem umówiony. Ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, to wstąpię po Heidi, wracając koło jedenastej.

– Doskonale. – Adam przynajmniej znał teraz imię dziewczyny.

Olbrzym pochylił się i ucałował siostrę w oba policzki. Następnie uścisnął dłoń Adamowi i zostawił ich samych.

– Przepraszam, że się spóźniłam – powiedziała Heidi. – Ale mój brat wrócił z pracy dopiero po siódmej.

– Nic się nie stało. – Adam poprowadził dziewczynę w głąb mieszkania. – Gdybyś przyszła wcześniej, nie byłbym gotów. Ale pozwól, to mój współlokator, Lawrence Pemberton.

– W Anglii mężczyźni potrzebują przyzwoitek? – spytała Heidi i obaj mężczyźni się roześmiali.

– Ależ skąd – odparł Lawrence. – Właśnie wychodziłem. Podobnie jak twój brat, mam randkę. Sama widzisz, stół nakryty jest tylko na dwie osoby. Wrócę koło jedenastej, Adam, żeby sprawdzić, czy nic złego ci się nie stało. – Uśmiechnął się do Heidi, włożył płaszcz i zanim którekolwiek z nich zdążyło zaprotestować, już go nie było.

– Mam nadzieję, że nie wypłoszyłam twojego przyjaciela – rzekła Heidi.

– Ależ skąd – odparł Adam, zapraszając ją, by zajęła miejsce Lawrence'a. – Już i tak jest spóźniony na randkę. Ma uroczą dziewczynę Carolyn, która pracuje w opiece społecznej. – Szybko dopełnił kieliszek Heidi, udając, że dopiero teraz zaczął nalewać wino.

– I wyszło na to, że jednak będę jadła własne kiełbaski – powiedziała ze śmiechem, który nie cichł przez cały wieczór, kiedy opowiadała o swoim życiu w Niemczech, o rodzinie i o pracy, którą podjęła w czasie wakacji jako studentka uniwersytetu w Moguncji.

– Rodzice pozwalają mi jeździć tylko do Anglii, bo w Londynie jest Jochen. Oczywiście chodzi o mój angielski. A teraz, Adamie, chętnie bym się dowiedziała, co ty porabiasz w czasie, kiedy nie podrywasz dziewczyn w sklepach spożywczych.

– Dziewięć lat służyłem w wojsku, a teraz mam nadzieję wstąpić do służby zagranicznej.

– W jakim charakterze, jeśli wolno spytać?

– Spytać wolno, ale nie wiem, czy potrafię odpowiedzieć.

– Kiedy ktoś mówi o pracy w służbie zagranicznej, to zwykle się okazuje, że jest szpiegiem.

– Jeśli mam być szczery, to nie wiem, jak będzie w moim wypadku, ale już w przyszłym tygodniu chyba się dowiem. W każdym razie nie sądzę,

żeby był ze mnie dobry szpieg. A co ty zamierzasz robić po powrocie do Niemiec?

– Skończyć studia na uniwerku i poszukać pracy w telewizji jako dokumentalistka.

– A co z Jochenem? – zainteresował się Adam.

– Gdy tylko wróci do domu, będzie pracował z ojcem w jego kancelarii adwokackiej.

– To jak długo jeszcze zamierzasz zostać w Londynie? – wymknęło się Adamowi.

– Dwa miesiące, jeżeli oczywiście wytrzymam w tej pracy.

– Dlaczego jej nie zmienisz, skoro jest taka zła?

– Nie znam lepszej metody nauczenia się języka niż kontakt ze zdenerwowanymi klientami, z których każdy mówi z innym akcentem.

– Mam jednak nadzieję, że wytrzymasz całe te dwa miesiące.

– Ja też. – Dziewczyna się uśmiechnęła.

Kiedy punktualnie o jedenastej zjawił się Jochen, Adam i Heidi zmywali naczynia.

– Dzięki za interesujący wieczór – powiedziała Heidi, wycierając ręce.

– Niewłaściwe słowo – zwrócił jej uwagę Jochen. – Nie interesujący. Raczej miły, uroczy, przyjemny.

– Owszem – rzekł Adam. – Wszystko to, co mówisz, tak, ale interesujący także.

Heidi uśmiechnęła się.

– Mogę wpaść jutro po kiełbaski?

– Będę bardzo zadowolona – odparła. – Ale tym razem nie utrudniaj zakupów starym, zgorzkniałym babom jakimiś tłumaczeniami. À propos, nawet mi nie powiedziałeś, na co ci potrzebne tłumaczenie tego dziwnego tekstu. Zastanawiałam się, kim był ten Rosenbaum i co komu zostawił.

– Może ci powiem następnym razem. – Adam był lekko speszony.

– I następnym razem sam możesz odwieźć moją siostrę do domu. – Jochen mocno uścisnął Adamowi dłoń.

Po wyjściu Heidi Adam usiadł i dopił ostatni kieliszek wina, uświadamiając sobie, że już od dawna nie spędził tak miłego, uroczego, przyjemnego i interesującego wieczoru.

Czarna limuzyna z zaciemnionymi oknami i nieoświetloną tablicą rejestracyjną stała w przeznaczonej dla VIP-ów części zuryskiego Kloten. Ostrożni szwajcarscy policjanci dwukrotnie podchodzili do samochodu i sprawdzali dokumenty kierowcy, zanim major Romanow i Anna Pietrowa wyszli z hali odpraw celnych i zajęli miejsca z tyłu.

Było już ciemno, kiedy kierowca ruszył w kierunku łuny świateł miasta. Do chwili gdy wóz zajechał przed hotel St Gothard, rozmowa między kierowcą a Romanowem ograniczyła się do zakomunikowania przez tego ostatniego, że wraca do Moskwy we wtorek porannym samolotem.

Szef hotelu, Jacques Pontin, czekał przy drzwiach na nowych gości. Przedstawiwszy im się, niezwłocznie sprawdził ich dokumenty i zadzwonił na portiera, żeby pomógł wnieść bagaże. Chwilę później pojawił się mężczyzna po dwudziestce w zielonej liberii.

– Apartament siedemdziesiąty trzeci i pokój siedemdziesiąty czwarty – powiedział Jacques do młodego mężczyzny w zielonej liberii, a następnie zwrócił się do Romanowa: – Mam nadzieję, Herr Romanow, że pański pobyt tutaj okaże się owocny. Gdyby pan czegokolwiek potrzebował, proszę niezwłocznie dać mi znać.

– Dziękuję – rzekł Romanow, po czym podszedł do portiera, który stał jak na warcie przy otwartych drzwiach, i odsunął się na bok, puszczając Annę przodem.

Winda zatrzymała się na siódmym piętrze i portier poprowadził ich długim korytarzem do narożnego apartamentu. Przekręcił klucz w zamku i zaprosił gości do środka. Zgodnie z przewidywaniami Romanowa apartament reprezentował zupełnie inną klasę niż najlepsze nawet hotele Moskwy czy Leningradu. Na widok kolekcji drobiazgów w marmurowej łazience pomyślał, że odwiedzający Rosję doświadczeni goście przywożą własne zatyczki do wanien.

– Pani pokój jest tam. – Portier otworzył przed Anną sąsiednie drzwi.

Mimo że pomieszczenie było mniejsze od apartamentu Romanowa, odznaczało się tą samą bezpretensjonalną elegancją. Portier wręczył Romanowowi klucz i spytał, czy nie potrzebuje jeszcze czegoś. Major zapewnił go, że nie, i wsunął mu do ręki pięciofrankowy banknot.

Mężczyzna skłonił się lekko i zamykając za sobą drzwi, pozostawił Romanowa zajętego rozpakowywaniem bagażu. Gdy Anna Pietrowa poszła do siebie, Romanow zaczął się rozbierać, po czym zniknął w łazience.

Chwilę studiował swoje odbicie w lustrze. Był próżny na punkcie wyglądu, ale jeszcze bardziej na punkcie sprawności fizycznej. W wieku dwudziestu dziewięciu lat i przy stu osiemdziesięciu centymetrach wzrostu ważył zaledwie siedemdziesiąt pięć kilogramów na zachodniej wadze, a jego mięśnie były twarde i sprężyste.

Wszedł do sypialni dziewczyny i usłyszał w jej łazience szmer prysznicu. Podszedł na palcach i uchylił drzwi. Widział teraz wyraźnie Annę stojącą w obłoku pary. Uśmiechnął się i bezszelestnie wycofał po miękkim dywanie, a następnie wśliznął się do łóżka Pietrowej. Czekał, aż zakręci kurek.

Adam wyszedł spod lodowatego prysznicu. Po chwili, już ubrany, siadał w kuchni wraz z Lawrence'em do śniadania.

– W dalszym ciągu nie mogę cię obciążyć rachunkiem za ciepłą wodę, co? – rzucił Lawrence, patrząc, jak przyjaciel ponad jego ramieniem śledzi ostatnie wyniki rozgrywek w krykieta.

– Dlaczego nie możemy się dorobić naprawdę szybkich rzucających? – zadał retoryczne pytanie Adam.

– Nie mogę tu tkwić i godzinami rozmawiać z bezrobotnym – powiedział Lawrence, biorąc teczkę. – Szach Iranu chce ze mną omówić swoje problemy finansowe. Przepraszam cię, że lecę, nim zdążyłeś zjeść swoje płatki kukurydziane, ale nie mogę pozwolić na to, żeby jego wysokość na mnie czekał.

Zostawszy sam, Adam ugotował sobie jajko na miękko, przypalił grzankę, a następnie zatonął w lekturze gazety, z której się dowiedział o ostatnich ofiarach w Wietnamie i o planowanej podróży prezydenta Johnsona na Daleki Wschód. Uznał, że nie wygra konkursu „Daily Mail" na Gospodynię Roku, ale wreszcie pozmywał, pościelił łóżko, posprzątał po przyjacielu – dziewięć lat dyscypliny wojskowej zrobiło swoje – i przystąpił do opracowywania planu dnia.

Doszedł do wniosku, że już dłużej nie może odkładać decyzji. Usiadł za biurkiem i zaczął się zastanawiać, jak uzyskać tłumaczenie dokumentu bez wzbudzania podejrzeń.

Niemal bezwiednie zdjął z półki Biblię i wyjął z niej list, który przeczytał poprzedniego wieczoru. Ostatni akapit w dalszym ciągu go zdumiewał. Raz jeszcze przyjrzał się tłumaczeniu Heidi:

Do Pana będzie należało jedynie zgłosić się pod adresem widniejącym w prawym górnym rogu dokumentu z jakimś dowodem identyfikującym Pana jako pułkownika Geralda Scotta. W zupełności wystarczy paszport. Otrzyma Pan wówczas zapis, który sporządziłem dla Pana na nazwisko Emmanuela Rosenbauma.

Mam nadzieję, że cała sprawa przyniesie Panu szczęście.

Adam skupił się na treści dokumentu. W dalszym ciągu nie był w stanie ocenić, czego dotyczy zapis, nie mówiąc już o tym, czy przedstawia jakąkolwiek wartość. Zastanawiał się, jak mogło dojść do tego, że człowiek tak zły zdobył się na wielkoduszny gest, i to zaledwie na kilka godzin przed swą spodziewaną śmiercią – gest, który w sposób jednoznaczny zmuszał Adama do zaangażowania się w całą sprawę.

Romanow zgarnął wszystkie prześcieradła i jednym ruchem zrzucił je na podłogę, odkrywając Annę, która spała skulona jak dziecko, kolanami niemal dotykając obnażonych piersi. Wyciągnęła rękę w poszukiwaniu rąbka prześcieradła, którym mogłaby się okryć.

– Śniadanie w łóżku? – wymamrotała z nadzieją.

– Za dziesięć minut masz być ubrana albo w ogóle nie będzie śniadania – padła odpowiedź.

Anna niepewnie spuściła nogi na puszysty dywan, poczekała, aż pokój przestał jej wirować przed oczami, po czym ruszyła do łazienki. Romanow usłyszał, jak prysznic wybucha kaskadą igiełek, po czym doszło go piskliwe: „Aaach!” Uśmiechnął się na myśl o tym, że zostawił prysznic nastawiony na zimną wodę.

Podczas śniadania dyskutowali w kółko o tym, jaki przyjąć kurs wobec banku, o ile Pietrowa zdoła ustalić, że ikona jest rzeczywiście oryginalnym dziełem Rublowa. Romanow, który cały czas niespokojnie spoglądał znad stolika, nagle, bez uprzedzenia, powiedział:

– Idziemy.

– Dlaczego? – spytała Anna, która była właśnie w połowie grzanki.

Romanow, nie zadając sobie nawet trudu, by jej cokolwiek wyjaśnić, wyszedł z jadalni i udał się prosto do windy. Dogoniła go tuż przed tym, jak drzwi windy zamknęły się za nim.

– Dlaczego? – powtórzyła, ale Romanow nie odezwał się do niej, dopóki nie znaleźli się w jego apartamencie. Najpierw jednak otworzył duże okno wychodzące na dworzec kolejowy.

– Ach, to jest za twoim pokojem – powiedział, spoglądając w prawo, i szybko przeszedł do sypialni Anny.

Minął rozgrzebane podwójne łoże, szybkim ruchem otworzył najbliższe okno i wyszedł na zewnątrz. Pietrowa spojrzała z siódmego piętra i poczuła zawrót głowy. Znalazłszy się na samym dole schodów ewakuacyjnych, Romanow puścił się biegiem w stronę przejeżdżającego tramwaju. Pietrowa nigdy by sobie sama nie poradziła, gdyby dosłownie siłą nie wciągnął jej do środka.

– Co się stało? – spytała, w dalszym ciągu nie posiadając się ze zdumienia.

– Nie jestem pewien – odparł Romanow, wyglądając przez tylną szybę – ale jedno wiem z całą pewnością, a mianowicie, jak wygląda miejscowy agent CIA.

Anna spojrzała w stronę hotelu, ale nie dostrzegła nic oprócz tłumu anonimowych przechodniów.

Przejechali mniej więcej milę, po czym Romanow wyskoczył z tramwaju i zatrzymał zdążającą w przeciwnym kierunku taksówkę.

– Bischoff et Cie – rzucił kierowcy, czekając na zdyszaną Annę.

Taksówka ruszyła w stronę hotelu, lawirując zręcznie w porannym gąszczu samochodów. W końcu zatrzymała się przed okazałym granitowym budynkiem wypełniającym przestrzeń pomiędzy dwiema przecznicami. Romanow zapłacił taksówkarzowi i stanął przed imponującymi wrotami z grubego szkła pokrytego ornamentem z kutego żelaza, który przedstawiał konary drzewa. Obok drzwi, dyskretnie wyrzeźbiony w kamieniu i pozłocony, widniał napis: „Bischoff et Cie”. Oprócz tego jednego elementu nic nie wskazywało na to, co kryje się za potężnymi drzwiami.

Romanow przekręcił ciężką gałkę z kutego żelaza i weszli do obszernego holu. Po lewej stronie stało biurko, za którym siedział elegancko ubrany młody mężczyzna.

– *Guten Morgen, mein Herr* – zwrócił się do Romanowa.

– Dzień dobry – odparł major. – Jesteśmy umówieni z panem Dieterem Bischoffem.

– Zgadza się, panie Romanow. – Recepcjonista pochylił się nad leżącą przed nim listą nazwisk. – Proszę uprzejmie wjechać windą na piąte piętro, gdzie zajmie się państwem sekretarka pana Bischoffa.

Kiedy dwójka Rosjan wysiadła z windy, wyszła im naprzeciw kobieta w skromnym, dobrze skrojonym kostiumie.

– Pozwolą państwo za mną – powiedziała bez cienia akcentu i poprowadziła gości obwieszonym obrazami korytarzem do wygodnego pomieszczenia, które kojarzyło się bardziej z salą recepcyjną wiejskiego dworku niż z bankiem. – Pan Bischoff zaraz przyjdzie – dodała, zostawiając ich samych.

Romanow rozglądał się po pokoju. Niemal całą przeciwległą ścianę zajmowały oprawione w ramki czarno-białe fotografie ponurych starych mężczyzn w szarych garniturach, którzy usiłowali wyglądać na ponurych starych mężczyzn w szarych garniturach. Pozostałe ściany zdobiły skromne, lecz miłe dla oka obrazki olejne przedstawiające miejskie i wiejskie pejzaże dziewiętnastowiecznej Szwajcarii. Pośrodku pokoju królował wspaniały owalny stół w stylu Ludwika XIV z ośmioma rzeźbionymi mahoniowymi krzesłami. Romanow poczuł ukłucie zazdrości na myśl o tym, że nigdy nie będzie żył na takim poziomie.

Otworzyły się drzwi i wszedł sześćdziesięciokilkuletni mężczyzna w towarzystwie trzech innych mężczyzn w ciemnoszarych garniturach. Jeden rzut oka na Herr Bischoffa wystarczył Romanowowi, by stwierdzić, czyja fotografia uzupełni kolekcję ponurych szarych panów.

– Cóż za honor dla naszego małego banku, Herr Romanow. – Bischoff energicznie potrząsnął ręką gościa. Major skinął głową i przedstawił swoją asystentkę, pod której adresem skierowano taki sam uprzejmy ukłon i uścisk dłoni. – Państwo pozwolą, że im przedstawię mojego syna i wspólników, panów Mullera i Weizkopfa.

Trzej mężczyźni skłonili się jednocześnie, ale stali, podczas gdy Bischoff usiadł przy stole na honorowym miejscu, gestem zapraszając Romanowa i Annę, by zajęli krzesła obok niego.

– Czy mógłbym obejrzeć pański paszport? – zapytał Bischoff, jakby dawał tym samym do zrozumienia, że rozpoczęła się formalna część spotkania.

Romanow wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki mały niebieski paszport i wręczył gospodarzowi. Bischoff studiował go chwilę, jak filatelista przyglądający się staremu znaczkowi, nim uznał, że wszystko jest w porządku.

– Dziękuję – rzekł, zwracając paszport, a następnie uniósł rękę i na to hasło jeden z mężczyzn natychmiast opuścił pokój. – Proszę moment zaczekać, mój syn zaraz przyniesie ikonę, którą trzymamy w sejfie – rzekł konfidencjonalnie. – A tymczasem, może kawy… rosyjskiej zresztą?

Kawa zjawiła się błyskawicznie, wniesiona przez inną elegancko ubraną kobietę.

– Dziękuję bardzo – rzekła Pietrowa, najwyraźniej onieśmielona, ale Romanow nie odezwał się aż do chwili, kiedy syn Bischoffa wrócił z niewielką skrzynką, którą wręczył ojcu.

– Rozumiecie, państwo, że jest to sprawa w najwyższym stopniu delikatna i tak też ją muszę traktować – rzekł Bischoff. – Ikona może nie okazać się tą, której poszukuje pański rząd.

– Rozumiem – powiedział Romanow.

– To wspaniałe arcydzieło sztuki rosyjskiej jest u nas od 1938 roku, kiedy to zostało zdeponowane w banku na nazwisko niejakiego Emmanuela Rosenbauma.

Goście spojrzeli po sobie zaskoczeni.

– *Niewozmożno* – odezwała się Anna, zerkając na swojego szefa. – On by nigdy…

– Przypuszczam, że właśnie dlatego wybrał takie nazwisko. – Romanow zgasił Pietrową zaniepokojony jej brakiem dyskrecji. – Nie widzisz, że to się układa w logiczną całość? Czy mógłbym obejrzeć ikonę? – zwrócił się do Bischoffa.

Prezes banku ustawił skrzynkę pośrodku stołu. Trzej mężczyźni w szarych garniturach postąpili krok do przodu. Romanow spojrzał na nich.

– Według szwajcarskich przepisów otwarcie skrzynki w obecności innych osób wymaga trzech świadków – wyjaśnił Bischoff.

Romanow energicznie skinął głową.

Stary zaczął otwierać metalową skrzynkę kluczem, który wyjął z kieszeni, podczas gdy jego syn otwierał drugi zamek innym kluczem. Na zakończenie tej krótkiej ceremonii Bischoff uniósł wieko skrzynki i odwrócił ją w stronę gości. Romanow włożył ręce do środka jak niecierpliwe

dziecko sięgające do świątecznej pończochy i wyjął ikonę. W zachwycie patrzył na piękne malowidło. Niewielki drewniany prostokąt cały pokryty był plamkami czerwieni, złota i błękitu układającymi się w mozaikę przedstawiającą postać mężczyzny, który wyglądał tak, jakby dźwigał na swych barkach wszystkie troski świata. Twarz, chociaż smutna, odznaczała się jakąś dziwną wewnętrzną pogodą. Ikona, którą trzymał Romanow, była wręcz wspaniała, doskonałością nie ustępowała dziełom, które widywał w Pałacu Zimowym.

Ponieważ wstrzymywał się od wyrażenia jakiejkolwiek opinii, zapadła niezręczna cisza.

Przerwała ją wreszcie Anna Pietrowa.

– To arcydzieło – rzekła – i to niewątpliwie piętnastowieczne, choć, jak widać, nie przedstawia świętego Jerzego ze smokiem.

Romanow skinął głową na znak potwierdzenia, ale w dalszym ciągu nie wypuszczał malowidła z rąk.

– Znacie pochodzenie tej ikony? – zapytał w końcu.

– Znam – odparła Anna, szczęśliwa, że po raz pierwszy została doceniona. – To ikona przedstawiająca świętego Piotra, o, widać w jego ręce klucze… namalowana w 1471 roku przez Dionizego, i chociaż bez wątpienia należy do jego największych arcydzieł, nie jest to carska ikona.

– Ale czy stanowi ona własność ludu rosyjskiego? – zapytał Romanow, spodziewając się przynajmniej jakiej takiej nagrody za swoje trudy.

– Nie, towarzyszu majorze – odparła jego asystentka z naciskiem. – To własność Pinakoteki Monachijskiej. Ikona zniknęła stamtąd w dniu, w którym Hitler został kanclerzem Rzeszy.

Herr Bischoff naskrobał coś na leżącym przed nim świstku papieru. Przynajmniej jeden bank w Monachium ucieszy się z perspektywy zrobienia z nim w przyszłości interesu.

Romanow niechętnie zwrócił Bischoffowi ikonę, zdobywszy się jedynie na powściągliwe „Dziękuję”.

– Bardzo proszę – odparł niewzruszony prezes banku, chowając ikonę do skrzynki i przekręcając klucz w zamku. Jego syn powtórzył tę operację drugim kluczem i zniknął, unosząc nieodebrany skarb.

Romanow uznał, że już nic nie zyska, więc wstał, szykując się do wyjścia. Przynajmniej odkrył pseudonim Göringa, w każdym razie jeden z wielu.

– Herr Romanow, czy mógłbym zamienić z panem kilka słów na osobności? – zwrócił się do niego bankier.

– Naturalnie.

– To sprawa dość delikatnej natury – zaczął Bischoff – dlatego pomyślałem sobie, że może wolałby pan, żeby pańska asystentka zostawiła nas samych.

– Nie ma takiej potrzeby – odparł Romanow, zastanawiając się, co takiego mógłby mu powiedzieć bankier, czego i tak nie musiałby później omówić z Pietrową.

– Jak pan sobie życzy – rzekł Bischoff. – Ciekaw jestem, czy był jeszcze jakiś powód pańskiej wizyty, oprócz tego, który znam?

– Nie bardzo rozumiem, o co panu chodzi – powiedział Romanow.

– Otóż chciałbym poznać prawdziwą przyczynę, dla której wybrał pan właśnie mój bank jako pierwszy w swoich poszukiwaniach ikony.

– Ja go nie wybierałem. Pański bank był po prostu jedynym, który… – Major przerwał w pół zdania.

– Rozumiem… – rzekł Bischoff; tym razem on był nieco zdezorientowany. – Mógłbym wobec tego zadać panu kilka pytań?

– Bardzo proszę, jeśli pan musi – odparł Romanow, któremu nagle zaczęło się śpieszyć.

– Pan jest Aleksander Pietrowicz Romanow, prawda?

– Sądzę, że gdyby pan nie miał co do tego pewności, to nie zaszlibyśmy w naszych stosunkach tak daleko.

– Jedyny syn Piotra Nikołajewicza Romanowa?

– Tak.

– I wnuk hrabiego Nikołaja Aleksandrowicza Romanowa?

– Czy to ma być lekcja historii poświęcona mojemu drzewu genealogicznemu? – spytał Romanow, wyraźnie zirytowany.

– Nie, chciałem się po prostu upewnić co do niektórych faktów, zwłaszcza że jestem coraz bardziej przekonany o tym, że byłoby wskazane, by pańska towarzyszka zostawiła nas na chwilę samych – powtórzył nieśmiało bankier.

– Jestem innego zdania – upierał się Romanow. – W Związku Radzieckim wszyscy jesteśmy równi – dodał pompatycznie.

– Tak, z pewnością. – Bischoff rzucił Annie szybkie spojrzenie, po czym podjął: – Czy pański ojciec zmarł w 1946 roku?

– Owszem. – Romanow poczuł się wyraźnie nieswojo.

– I pan jest jego jedynym żyjącym potomkiem?

– Jestem – odparł z dumą major.

– A więc mój bank posiada… – Bischoff zawahał się.

Jeden z mężczyzn w szarych garniturach wręczył mu teczkę z aktami. Bankier założył na nos oprawne w złoto okulary w kształcie półksiężyców, celowo przedłużając tę czynność.

– Proszę już nic więcej nie mówić – rzekł cicho Romanow.

Bischoff podniósł na niego wzrok.

– Przepraszam bardzo, ale miałem wszelkie dane po temu, by sądzić, że pańska wizyta została zaplanowana.

Pietrowa siedziała na samym brzeżku krzesła, z zapartym tchem śledząc rozwój wypadków. Przewidziała to, co się miało stać, i była bardzo zawiedziona, kiedy Romanow polecił jej krótko:

– Zaczekajcie na mnie na zewnątrz.

Wstała niechętnie i wyszła nadąsana.

Bischoff upewnił się, że drzwi są dobrze zamknięte, i dopiero wtedy popchnął akta po stole do Romanowa. Ten otworzył teczkę niepewnie. Na samej górze pierwszej strony widniało trzykrotnie podkreślone nazwisko jego dziadka. Pod nazwiskiem – kolumny niezrozumiałych liczb.

– Przyzna pan, mam nadzieję, iż działaliśmy dokładnie według instrukcji pańskiego dziadka, inwestując ostrożnie i zachowując podstawowy zestaw akcji. – Bischoff nachylił się i wskazał liczbę świadczącą o tym, że w ciągu ostatnich czterdziestu dziewięciu lat bank uzyskał średni wzrost 6,7 procent w skali rocznej.

– A co oznacza ta liczba na dole strony? – spytał Romanow.

– Łączną wartość pańskich akcji, obligacji i gotówki na dziś, na godzinę dziewiątą rano. Co poniedziałek, od dnia, w którym w roku 1916 pański dziadek założył konto w naszym banku, ta wartość jest uaktualniana. – Stary człowiek z dumą spojrzał na wiszące na ścianie trzy fotografie.

– Mój Boże – rzekł Romanow, kiedy dotarła do niego wysokość sumy. – A w jakiej to jest walucie?

– Pański dziadek miał zaufanie jedynie do funta angielskiego.

– Mój Boże – powtórzył major.

– Czy sądząc z pańskiej reakcji, mogę uważać, że jest pan zadowolony z naszego powiernictwa?

Romanow zaniemówił.

– Może zainteresuje pana fakt, że jest też u nas kilka skrzyń, których zawartości nawet nie znamy. Wkrótce po wojnie pański ojciec złożył nam wizytę. Robił wrażenie zadowolonego z naszych działań i zapewnił nas, że zgłosi się ponownie, ale już nigdy nie mieliśmy z nim kontaktu. Ze smutkiem przyjęliśmy wiadomość o jego śmierci. Może w tej sytuacji wolałby pan kiedy indziej zbadać zawartość skrzyń? – ciągnął bankier.

– Tak – odparł cicho Romanow. – Może dziś po południu?

– Bank jest zawsze do dyspozycji waszej ekscelencji – rzekł Herr Bischoff.

Od czasów rewolucji nikt nie tytułował żadnego z Romanowów w należny im sposób. Major czas jakiś jeszcze siedział w milczeniu, po czym wstał i uścisnął Bischoffowi dłoń.

– Przyjdę po południu – powtórzył, zanim dołączył do czekającej na korytarzu Anny.

Żadne z nich nie odezwało się słowem, dopóki nie znaleźli się przed bankiem. Romanow, do głębi wstrząśnięty tym, czego się dowiedział, zupełnie nie zauważył mężczyzny, którego tak bardzo starał się unikać w hotelu, stojącego na przystanku tramwajowym po drugiej stronie ulicy.

VII

Pastor siedział przy stole, studiując dokument, ale dłuższy czas wstrzymywał się od wyrażenia swego zdania. W odpowiedzi na prośbę Adama zaprosił go do swojego niewielkiego biura na tyłach niemieckiego kościoła luterańskiego.

Był to skromny pokój z drewnianym stołem i krzesłami nie od kompletu. Jedyną ozdobę surowo pobielonych ścian stanowił mały czarny krucyfiks. Dwa spośród krzeseł zajmowali teraz Adam i odziany w czarną sutannę kapłan, który wsparłszy się łokciami o stół, ujął głowę w dłonie i czytał rozłożony przed nim dokument.

Po dłuższym czasie, nie podnosząc głowy znad stołu, powiedział:

– O ile się nie mylę, jest to pokwitowanie. Nie znam się wprawdzie na tych sprawach, ale jestem niemal pewien, że Roget et Cie, firma, która musi być szwajcarskim bankiem z siedzibą w Genewie, posiada przedmiot, zwany tutaj carską ikoną. Jeśli dobrze pamiętam z historii, oryginał musi się znajdować gdzieś w Moskwie. Wygląda na to – ciągnął pastor z oczyma nadal utkwionymi w dokumencie – że gdy posiadacz tego pokwitowania zgłosi się w Genewie, będzie miał prawo odebrać wspomnianą wyżej ikonę, przedstawiającą świętego Jerzego i smoka, zdeponowaną w tamtejszym banku przez niejakiego Emmanuela Rosenbauma. Przyznaję – rzekł, po raz pierwszy podnosząc wzrok – że nigdy się z czymś takim nie spotkałem. – Złożył starannie dokument i wręczył go Adamowi.

– Dziękuję – rzekł Adam. – Była to dla mnie wielka pomoc.

– Żałuję, że nasz biskup przebywa akurat na swoim dorocznym urlopie, z pewnością bowiem mógłby rzucić na tę sprawę znacznie więcej światła.

– Ale ja się od ojca dowiedziałem właściwie wszystkiego, na czym mi zależało. – I nie mogąc się powstrzymać, dodał: – A czy, tak ogólnie, ikony przedstawiają dużą wartość?

– Jak już mówiłem, nie jestem najlepszą osobą do wydawania takich opinii. Mogę panu powiedzieć jedynie, że tak jak to jest ze wszystkimi dzie-

łami sztuki, wartość danego obiektu może się wahać w skrajnych granicach bez żadnych widocznych dla nas, zwykłych śmiertelników, przyczyn.

– Czyli że oszacowanie wartości tej konkretnej ikony jest praktycznie niemożliwe?

– Trudno mi powiedzieć, ale sądzę, że rzeczoznawcy takich domów aukcyjnych, jak Sotheby’s czy Christie, z pewnością by się tego podjęli. Stale zapewniają, że dysponują ekspertami z wszystkich dziedzin sztuki.

– Wobec tego złożę im wizytę. – Z tymi słowy Adam wstał, uścisnął pastorowi dłoń i powiedział: – Oddał mi ojciec wielką przysługę.

– Ależ to drobiazg. Jest mi przyjemnie, że mogłem w czymś pomóc. Była to dla mnie miła odmiana po problemach małżeńskich Frau Gerber i strzykaniu w kolanach naszego kościelnego.

Adam wsiadł do autobusu jadącego do Hyde Park Corner i wyskoczył, kiedy ten skręcał w lewo w Knightsbridge. Przeszedł następnie podziemnym przejściem do Piccadilly i szybko ruszył w stronę Ritza. Gdzieś przeczytał, że Sotheby’s mieści się na Bond Street, ale nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek widział szyld.

Przeszedł jeszcze jakieś sto metrów, zanim skręcił w lewo, po czym zwolnił nieco, żeby móc dokładnie czytać wszystkie napisy po obu stronach ulicy. Minął Gucciego, Cartiera i Asprey i zaczął się zastanawiać, czy aby nie zawiodła go pamięć i nie powinien przypadkiem sprawdzić adresu w książce telefonicznej. Minął już Irlandzką Izbę Turystyki i Celines, kiedy wreszcie nad małym kioskiem po drugiej stronie ulicy zobaczył złote litery.

Przeciął jezdnię i wszedł frontowymi drzwiami przy kiosku. Czuł się jak uczeń w nowej szkole, który nie wie, do kogo ma się zwrócić o pomoc. Większość ludzi udawała się schodami prosto na górę i Adam właśnie miał pójść w ich ślady, kiedy usłyszał:

– Schodami na górę i prosto, szanowna pani. Za kilka minut rozpocznie się aukcja.

Adam odwrócił się i zobaczył mężczyznę w długim zielonym płaszczu. Na lewej kieszeni widniała wyhaftowana nazwa firmy: „Sotheby’s”.

– Chciałbym dokonać wyceny pewnej rzeczy. Gdzie mógłbym się z tym zwrócić? – zapytał Adam.

– Tym korytarzem do końca, a tam po lewej stronie zobaczy pan w recepcji dziewczynę – wyrecytował mężczyzna.

Adam podziękował mu, pomyślawszy sobie, że poprzednim miejscem pracy tego faceta musiał być plac musztry w Aldershot, i ruszył w stronę recepcji.

Kiedy tam dotarł, właśnie jakaś starsza pani wyjaśniała jednej z siedzących za kontuarem dziewcząt, że tę wazę zostawiła jej kilka lat temu babka, a ona chciałaby wiedzieć, ile ta waza jest warta.

Dziewczyna ledwie rzuciła okiem na skarb rodzinny i spytała starszą panią, czy mogłaby przyjść ponownie za piętnaście minut.

– Do tej pory nasz pan Makepeace zdąży obejrzeć wazę i określić jej wartość.

– Dziękuję ci, dziecko – odparła staruszka z nadzieją.

Dziewczyna chwyciła ozdobną wazę i zaniosła do pomieszczenia w głębi. Kiedy wróciła po kilku minutach, czekał na nią Adam.

– Czym mogę panu służyć?

– Właśnie nie wiem… Chciałbym uzyskać poradę w sprawie pewnej ikony.

– A ma ją pan może przy sobie?

– Nie, ikona jest jeszcze w tej chwili za granicą.

– Mógłby pan podać jakieś szczegóły?

– Szczegóły?

– Nazwisko artysty, datę powstania dzieła, jego wielkość. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby miał pan przy sobie fotografię.

– Niestety nie mam – rzekł Adam speszony. – Znam tylko tytuł dzieła, ale mam tutaj dokumentację – dodał, wręczając dziewczynie pokwitowanie, które pokazał pastorowi.

– To niewiele – powiedziała, studiując niemiecki opis. – Ale zapytam szefa działu ikon rosyjskich i greckich, pana Sedgwicka, może on będzie mógł panu pomóc.

– Dziękuję bardzo – odparł Adam, patrząc, jak dziewczyna podnosi słuchawkę.

– Czy pan Sedgwick mógłby przyjść i porozmawiać z klientem? – zapytała. Chwilę trzymała słuchawkę przy uchu, po czym ją odłożyła. – Pan będzie uprzejmy zaczekać. Pan Sedgwick już idzie.

– Dziękuję. – Adam poczuł się jak oszust.

Dziewczyna zajęła się następnym interesantem, on zaś zaczął oglądać fotografie na ścianie. Były tam zdjęcia dzieł sztuki, które ostatnio poszły

pod młotek. Wielki obraz Picassa przedstawiający trzy kobiety tańczące na plaży sprzedano za czternaście tysięcy funtów. Był pewien, że to kobiety, ponieważ miały piersi, choć niekoniecznie na swoim miejscu. Z Picassem sąsiadował Degas. Obraz przedstawiał dziewczynę biorącą lekcję tańca; tym razem nie ulegało najmniejszej wątpliwości, jakiej płci jest namalowana osoba. Ale najbardziej przemówił do wyobraźni Adama duży olejny obraz nieznanego mu artysty, Jacksona Pollocka, który sprzedano za jedenaście tysięcy funtów. Zastanawiał się, kogo dziś stać na wydawanie tak wielkich sum na dzieła sztuki.

– Wspaniały przykład stylu malarskiego – usłyszał za sobą głos. Odwrócił się i znalazł twarzą w twarz z wysokim, przygarbionym chudzielcem o ryżym wąsie i mocno przerzedzonych rudych włosach. Garnitur wisiał na nim jak na wieszaku. – Nazywam się Sedgwick – oznajmił mężczyzna belferskim tonem.

– Scott – rzekł Adam, wyciągając do niego rękę.

– Może sobie tu usiądziemy, a pan mi powie, w czym mogę pomóc.

– Właśnie nie jestem pewien, czy w ogóle będzie pan mógł mi pomóc – powiedział Adam, zajmując miejsce naprzeciwko Sedgwicka. – Chodzi o to, że w testamencie zapisano mi ikonę i mam powody sądzić, że przedstawia ona znaczną wartość.

– Nieźle, jak na początek – rzekł pan Sedgwick, wyjmując okulary z górnej kieszeni marynarki.

– Ale mogę się mylić, bo zupełnie się nie znam na malarstwie, a nie chciałbym marnować pańskiego czasu – powiedział Adam.

– Ależ nie marnuje pan mojego czasu – zapewnił go Sedgwick. – Sprzedajemy wiele przedmiotów, których wartość nie przekracza dziesięciu funtów. – Łagodny głos mężczyzny uspokoił nieco Adama. – Rozumiem, że nie dysponuje pan fotografią tej ikony?

– Właśnie. Ikona jest w dalszym ciągu za granicą i jeśli mam być szczery, nigdy jej nie widziałem.

– Rozumiem – rzekł Sedgwick. – Ale czy mógłby mi pan powiedzieć cokolwiek na temat jej pochodzenia?

– Niewiele. Wiem tylko, że jest znana jako carska ikona i przedstawia świętego Jerzego ze smokiem.

– O, to dziwne, bo nie dalej jak w ubiegłym tygodniu ktoś pytał o to samo malowidło, ale niestety, nie zostawił nazwiska.

– Ktoś jeszcze interesuje się carską ikoną? – zdziwił się Adam.

– Tak, jakiś Rosjanin, jeśli się nie mylę. – Sedgwick stukał okularami w kolano. – Na jego życzenie zasięgnąłem wyczerpujących informacji o tej ikonie, ale nie znalazłem niczego, co nie byłoby dotychczas solidnie udokumentowane. Chodziło mu o to, czy kiedykolwiek mieliśmy tę ikonę w swoich rękach albo czy przynajmniej o niej słyszeliśmy. Poinformowałem go, że wielkie dzieło Rublowa znajduje się w Pałacu Zimowym i że każdy może je tam podziwiać. Oryginał łatwo poznać po inkrustacji na odwrocie: srebrnej carskiej koronie. Od czternastego wieku powstało wiele kopii arcydzieła Rublowa, które w znacznym stopniu różnią się zarówno jakością, jak i wartością, ale ten dżentelmen wydawał się zainteresowany kopią wykonaną około 1914 roku na polecenie cara Mikołaja przez malarza dworskiego. Nie znalazłem jednak nawet śladu takiej kopii w żadnym z ogólnie znanych źródeł. Ma pan może jakąkolwiek dokumentację swojej ikony? – zapytał.

– Mam niewiele – odparł Adam – ale dysponuję pokwitowaniem przekazanym mi w testamencie.

Sedgwick założył okulary i przez chwilę uważnie studiował dokument.

– Wspaniale, po prostu wspaniale – rzekł w końcu. – Wszystko wskazuje na to, że jeśli tylko Roget et Cie wydadzą dzieło, to znajdująca się u nich kopia carskiej ikony pędzla ówczesnego malarza dworskiego należy do pana. Nie ulega jednak wątpliwości, że musi ją pan odebrać osobiście.

– Ale czy to jest warte zachodu? – spytał Adam. – Mógłby pan przynajmniej w przybliżeniu określić jej wartość?

– Trudno to precyzyjnie określić, nie widząc dzieła – odparł Sedgwick, oddając Adamowi dokument.

– Proszę mi wobec tego podać dolną granicę sumy, jaką mógłbym ewentualnie za nią uzyskać.

– Dziesięć – powiedział rzeczoznawca po rzetelnym namyśle. – No, może piętnaście. Góra dwadzieścia.

– Dwadzieścia funtów… – Adam nie potrafił ukryć rozczarowania. – Niepotrzebnie zabierałem panu cenny czas.

– Ależ nie, pan mnie źle zrozumiał. Miałem na myśli dwadzieścia *tysięcy* funtów.

VIII

– Jeszcze trochę kawioru, towarzyszu? – spytała Pietrowa, kiedy siedzieli przy lunchu.

Romanow zmarszczył czoło. Wersja o „ściśle poufnej informacji”, możliwej do przekazania tylko na najwyższym szczeblu, wywołała jedynie domyślny uśmiech. Anna nie uwierzyła też w pilną sprawę w konsulacie, o której szef zapomniał jej wcześniej powiedzieć.

Wyciągnęła w stronę Romanowa kopiastą łyżkę kawioru, jakby karmiła grymaśne dziecko.

– Dziękuję, nie – odmówił stanowczo.

– Jak chcesz – powiedziała dziewczyna, nim kawior zniknął w jej ustach.

Romanow poprosił o rachunek. Na widok sumy nie mógł się oprzeć refleksji, że za te pieniądze przeciętna rosyjska rodzina żyłaby miesiąc. Zapłacił bez słowa.

– Zobaczymy się później w hotelu – rzucił krótko.

– Naturalnie. – Pietrowa dopijała jeszcze kawę. – O której mogę się ciebie spodziewać?

– Nie przed siódmą.

– A dla mnie macie na to popołudnie jakieś plany, towarzyszu majorze?

– Możecie robić, co wam się podoba. – Bez dalszej dyskusji Romanow wstał od stołu.

Kiedy znalazł się na ulicy, ruszył w kierunku odwrotnym niż bank, nie sądził jednak, żeby udało mu się zwieść Pietrową, która w dalszym ciągu obserwowała go podejrzliwie przez okno restauracji, ani agenta, który od dwóch godzin czekał cierpliwie po przeciwnej stronie.

O trzeciej Romanow znów siedział w prywatnym gabinecie na piątym piętrze, w którym ze ścian patrzyło na niego trzech panów Bischoffów. Czwarty siedział naprzeciwko niego, piąty zaś stał za jego krzesłem.

– Jesteśmy w posiadaniu – zaczął oficjalnie Herr Bischoff, nadając rozmowie ten sam nieśpieszny rytm, w jakim upłynęło poranne spotkanie – pięciu skrzyń, które znajdują się w skarbcu, nieotwierane od chwili, kiedy pański ojciec złożył nam wizytę w 1945 roku. Czy zechciałby pan obejrzeć ich zawartość?

– A po cóż innego bym przychodził? – odpowiedział pytaniem Romanow, zirytowany wystudiowanym tonem bankiera i przewlekłym rytuałem wstępnym.

– Istotnie – rzekł Herr Bischoff, udając, że nie dostrzega żadnego uchybienia w zachowaniu gościa. – Wobec tego muszę pana prosić o podpisanie dokumentu, w którym rezygnuje pan z ewentualnych roszczeń, tak jak tego wymaga szwajcarskie prawo. – Romanow spojrzał zaniepokojony. – To jedynie formalność. – Rosjanin milczał w dalszym ciągu. – Może pan być spokojny, ekscelencjo, że nie pan jeden spośród pańskich rodaków zasiada od czasu do czasu na tym fotelu.

Herr Bischoff podsunął mu przez stół arkusz papieru. Dokument zawierał ponad dwadzieścia klauzul drobnym drukiem w języku niemieckim. Romanow podpisał się pomiędzy dwoma iksami wręczonym mu złotym piórem. Nawet nie udawał, że próbuje zgłębić treść tego, co podpisuje. Jeżeli do tej pory nie sprzeniewierzyli spuścizny po dziadku, rozumował, dlaczego mieliby usiłować zrobić to teraz?

– Pan pozwoli za mną – rzekł Herr Bischoff. Wręczył dokument swojemu synowi, który natychmiast z nim zniknął, sam zaś wstał i poprowadził Romanowa korytarzem. Tym razem zjechali do podziemi, i to prywatną windą prezesa.

Kiedy drzwi windy się otworzyły, znaleźli się w pomieszczeniu przypominającym więzienie – tyle że pręty były lśniące, stalowe. Mężczyzna siedzący za biurkiem po drugiej stronie krat zerwał się na widok prezesa i długim kluczem otworzył stalowe drzwi. Romanow wszedł za gospodarzem, po czym drzwi znów zostały zamknięte. Strażnik poprowadził ich korytarzem przypominającym piwnice winne, z zainstalowanymi co kilka kroków urządzeniami do pomiaru temperatury i wilgotności. W skąpym świetle ledwie widzieli, po czym stąpają. Na końcu korytarza, przed wielkimi, stalowymi, łukowymi drzwiami, oczekiwał ich syn Herr Bischoffa. Stary człowiek skinął głową i młodszy Bischoff przekręcił klucz w zamku, po czym

sam prezes otworzył drugi zamek. Ojciec i syn wspólnie pchnęli dwudziestocentymetrowej grubości drzwi, ale żaden nie przekroczył progu skarbca.

– Jest pięć sejfów. Numery to: 1721, 1722, 1723, 1724…

– I zapewne 1725 – dokończył zniecierpliwiony Romanow.

– Tak jest – potwierdził Bischoff, po czym wyjął z kieszeni niewielką paczuszkę i dodał: – A oto pańska koperta. W środku znajdzie pan klucz do wszystkich sejfów.

Romanow wziął kopertę i odwrócił się ku otwartej krypcie.

– Zanim jednak pan zacznie, musimy otworzyć zamki bankowe – powiedział Bischoff. – Zechce pan pójść za nami.

Romanow skinął głową i obaj Bischoffowie weszli do skarbca. Rosyjski gość schylił się i wszedł za nimi. Młody Bischoff otworzył górne zamki wszystkich pięciu sejfów, z których trzy mniejsze ułożono na dwóch większych, tworząc idealny sześcian.

– A teraz zostawimy tu waszą ekscelencję samego i zamkniemy drzwi. Gdyby je pan zechciał z jakichś względów otworzyć, proszę jedynie przycisnąć ten czerwony guzik na ścianie z boku i nas wezwać. Uprzedzam, że o szóstej skarbiec zamyka się automatycznie i może zostać otwarty dopiero nazajutrz o dziewiątej rano. O siedemnastej czterdzieści pięć odezwie się jednak sygnał ostrzegawczy.

Romanow spojrzał na wiszący na ścianie zegar; była piętnasta siedemnaście. Nie wyobrażał sobie, żeby obejrzenie zawartości tych pięciu sejfów mogło mu zająć ponad dwie godziny. Ojciec i syn skłonili się i wyszli.

Znalazłszy się sam, Romanow rozejrzał się po jaskini Aladyna. Na wszystkich czterech ścianach skarbca było dwa albo trzy tysiące skrytek, tworząc rodzaj biblioteki sejfów. Podejrzewał, że ta jedna piwnica mieści więcej bogactw skupionych w prywatnych rękach, niż potrafiłaby zużyć większość krajów świata. Sprawdził numery swoich sejfów i stał, patrząc na nie jak sierota w oczekiwaniu na dokładkę jedzenia.

Postanowił zacząć od jednego z trzech mniejszych. Przekręcił klucz i usłyszał szczęknięcie zamka, po czym wysunął sztywną szufladkę pełną papierów. Przejrzał je i stwierdził, że są to tytuły prawne do wielu ogromnych obszarów ziemi na terenie Czechosłowacji i Bułgarii, niegdyś wartych krocie, dziś stanowiących własność socjalistycznych państw. Kiedy sprawdzał dokumenty, przyszło mu do głowy stare powiedzenie, że coś nie jest warte nawet papieru, na którym zostało napisane. Drugi sejf zawierał

skrypty dłużne spółek zarządzanych niegdyś przez jego ekscelencję hrabiego Nikołaja Aleksandrowicza Romanowa. Ostatni raz wykazały dochód w roku 1914. Romanow przeklął system, w którym się urodził, i przeszedł do trzeciego sejfu. Ten zawierał tylko jeden dokument: testament jego dziadka. Aleks nie musiał specjalnie się wczytywać, by się zorientować, że wszystko zostało zapisane jego ojcu i że tym samym on jest spadkobiercą wszystkiego… i niczego.

Zawiedziony ukląkł, żeby zbadać zawartość większych sejfów, z których każdy był na tyle duży, iż mógłby pomieścić wiolonczelę. Zawahał się chwilę, zanim przekręcił klucz w zamku pierwszego i wyjął duży pojemnik.

Patrzył w pełnym niepokoju oczekiwaniu. Pojemnik był pusty. Aleks domyślał się, że musiał być pusty od ponad pięćdziesięciu lat, chyba że jego ojciec wszystko stąd zabrał, ale do takich przypuszczeń nie było podstaw. Szybko otworzył piąty sejf i z determinacją uniósł wieko.

Sejf był podzielony na dwanaście jednakowych przegródek. Aleks zajrzał do pierwszej i oniemiał z wrażenia. Zawierała drogie kamienie takich rozmiarów, kolorów i różnorodności, że wprawiłyby w zdumienie chyba każdego, może z wyjątkiem członków rodów królewskich. Ostrożnie uniósł wieko drugiej przegródki; jego oczom ukazały się perły tak wspaniałe, że jeden ich sznur zamieniłby zwykłą dziewczynę w wytworną damę. Na widok zawartości trzeciej przegródki podziw Romanowa bynajmniej nie zmalał. Zaczęło do niego docierać, dlaczego jego dziadek był uważany za jednego z najbardziej przedsiębiorczych kupców swoich czasów. I teraz wszystko to należało do Aleksa Romanowa, gołego jak święty turecki funkcjonariusza KGB, który się właśnie zastanawiał, w jaki sposób mógłby zrobić użytek z takiego bogactwa.

Przejrzenie zawartości pozostałych dziewięciu przegródek zajęło mu jeszcze godzinę. Przy ostatniej – był to już moment niemal odprężenia, zawierała bowiem same złote monety – poczuł się całkowicie wykończony. Spojrzał na zegar ścienny. Była siedemnasta trzydzieści. Zaczął zamykać po kolei przegródki, ale przy okazji natknął się na pamiątkę tak wspaniałą, że nie mógł się powstrzymać przed zabraniem jej. Uniósł ciężki złoty łańcuch z medalionem. Po jednej stronie medalionu była podobizna jego dziadka – hrabiego Nikołaja Aleksandrowicza Romanowa, dumnego, przystojnego mężczyzny, po drugiej zaś profil babki, kobiety pięknej i jakby stworzonej do noszenia tych wszystkich wspaniałych klejnotów.

Romanow chwilę trzymał łańcuch w ręku, po czym wolno założył go sobie na szyję. Raz jeszcze przyjrzał się medalionowi, a następnie starannie ukrył go pod koszulą. Dopiero wtedy zamknął i wsunął na miejsce ostatni sejf.

Po raz drugi tego dnia wrócił myślami do ojca i decyzji, jaką musiał on podjąć w obliczu tak ogromnej fortuny. Swoją tajemnicę przywiózł do Rosji. Czy zamierzał oszczędzić synowi harówki, jaka nieuchronnie go czekała? Ojciec zawsze go zapewniał, że ma wspaniałe perspektywy, ale że są sprawy, o których nie może mu jeszcze powiedzieć, ponieważ jest za mały, o czym on, jego syn, poinformował władze. W nagrodę za donos przyjęto go do Komsomołu. Tak więc ojciec musiał zabrać swoją tajemnicę do grobu i Aleks nigdy by się o niej nie dowiedział, gdyby nie Poskonow.

Pomyślał o Poskonowie. Czy wiedział od początku, czy tylko przypadkiem posłał go w pierwszej kolejności do Bischoffa? Nie, w fachu Poskonowa nie ma miejsca na przypadki.

Romanow wiedział, że wystarczyłby jeden fałszywy krok, żeby się znalazł we wspólnym grobie z ojcem i dziadkiem. Musi się bardzo pilnować przy następnym spotkaniu ze starym bankierem, inaczej nie dożyje chwili, kiedy będzie mógł wybrać pomiędzy dysponowaniem władzą w kraju a pieniędzmi na Zachodzie.

– Zdecyduję się po znalezieniu carskiej ikony – powiedział na głos, po czym odwrócił się gwałtownie, ponieważ ciszę przeszył dzwonek alarmu. Spojrzał na zegar, zdziwiony, że tyle czasu spędził w tym zamknięciu. Podszedł do drzwi skarbca i nie oglądając się za siebie, przycisnął czerwony guzik. Wielkie wrota otworzyły się, ukazując zaniepokojonych Bischoffów. Syn szybko wszedł do środka i pozamykał zamki bankowe pięciu sejfów.

– Zaczęliśmy się już poważnie niepokoić, że pan nie zdąży – rzekł stary Bischoff. – Mam nadzieję, że wszystko znalazł pan w porządku.

– Całkowitym – powiedział Romanow. – Ale co by się stało, gdybym dłuższy czas nie mógł się do państwa zgłosić?

– Ach, to nie ma znaczenia – uspokoił go Bischoff. – Sejfy nie będą ruszane aż do pańskiego przyjazdu, a ponieważ są hermetycznie zamknięte, ich zawartość nie dozna uszczerbku.

– W jakiej temperaturze są przechowywane?

– W temperaturze dziesięciu stopni Celsjusza – odparł Bischoff, nieco zdziwiony pytaniem.

– A czy skrzynie są szczelne?

– Oczywiście – rzekł bankier. – Nawet wodoszczelne, choć muszę powiedzieć, że nie zdarzyło się jeszcze, by nasze piwnice zostały zalane – dodał z powagą.

– I mogę być pewien, że ich zawartość nie będzie przez nikogo przeszukiwana?

– Jest pan trzecią osobą w ciągu pięćdziesięciu lat, która miała dostęp do sejfów – padła stanowcza odpowiedź.

– To świetnie, ponieważ niewykluczone, że jutro rano przyniosę jeszcze jedną paczkę, którą chciałbym zostawić w depozycie.

– Może mnie pani połączyć z panem Pembertonem? – poprosił Adam.

Zaległa długa cisza.

– U nas nikt o tym nazwisku nie pracuje, proszę pana.

– Ale to jest Barclays International, oddział w City, prawda?

– Tak jest, proszę pana.

– Chodzi mi o Lawrence'a Pembertona. Jestem przekonany, że to właściwy oddział.

Tym razem zapadła jeszcze dłuższa cisza.

– Ach, tak – rozległo się wreszcie w słuchawce. – Już wiem, w jakim dziale pracuje pan Pemberton. Zaraz sprawdzę, czy jest obecny. – Adam usłyszał dzwoniący gdzieś telefon. – Nie ma go w tej chwili w pokoju, ale może zechce pan zostawić wiadomość.

– Nie, dziękuję. – Adam odłożył słuchawkę.

Siedział zamyślony, nawet nie zapalając światła, mimo że się ściemniło. Jeśli miał zrealizować swój pomysł, to potrzebne mu były pewne informacje, których Lawrence, jako pracownik banku, mógłby mu z łatwością dostarczyć. Usłyszał zgrzyt klucza w drzwiach. Wszedł Lawrence i zapalił światło. Spojrzał zdziwiony na siedzącego po ciemku Adama.

– Jak otworzyć konto w banku szwajcarskim? – zaatakował Adam natychmiast przyjaciela.

– To nie takie proste dla kogoś, kto ma do dyspozycji jedynie czek na zasiłek dla bezrobotnych na najbliższy tydzień – odparł Lawrence. – Poza tym pamiętaj, że dla swoich brytyjskich klientów banki szwajcarskie mają specjalne nazwy kodowe – dodał, kładąc na stole „Evening News". – Ty mógłbyś mieć na przykład: „Żebrak".

– Może cię to zdziwi, ale pytam serio – rzekł Adam.

– Słuchaj, w zasadzie każdy może otworzyć konto w banku szwajcarskim – Lawrence przybrał poważny ton – pod warunkiem że dysponuje odpowiednią sumą. A przez odpowiednią sumę rozumiem przynajmniej dziesięć tysięcy funtów.

– Dobrze, a jak można podejmować pieniądze z takiego konta?

– Można to załatwić albo telefonicznie, albo osobiście. W tym względzie banki szwajcarskie nie różnią się tak bardzo od angielskich. Niewielu klientów jednak ryzykuje telefoniczne załatwienie sprawy, chyba że mieszkają w kraju, w którym nie grozi im nagła zmiana przepisów podatkowych, ale po co by im wtedy były gnomy z Zurychu?

– A co się dzieje, jak klient umrze i bank nie wie, kto dziedziczy depozyt?

– To nie jest sprawa banku, tylko osoby, która rości sobie do tego depozytu prawo. Musi po prostu udowodnić, że jest spadkobiercą. To zresztą żaden problem, jeśli się ma odpowiednie dokumenty, jak testament i dowód tożsamości. Nie ma dnia, żebyśmy nie mieli takich spraw.

– Ale przed chwilą sugerowałeś, że to nielegalne.

– Nie dla klientów zagranicznych ani w wypadku, kiedy bank musi wyrównać nasze zapasy złota, nie mówiąc już o księgowości bankowej. Ale Bank of England pilnuje dosłownie każdego pensa, który wpływa i wypływa z kraju.

– Wobec tego gdyby wujek z Argentyny zostawił mi w banku szwajcarskim złoto wartości miliona funtów, a ja mógłbym na podstawie dokumentów udowodnić, że jestem jego spadkobiercą, to wystarczyłoby, żebym się tam po prostu zgłosił z tymi papierami?

– Najzupełniej. Chociaż w świetle obowiązujących przepisów powinieneś wwieźć to złoto do Anglii i sprzedać je Bank of England po wyznaczonej przezeń cenie, a następnie zapłacić podatek spadkowy od tej sumy. – Adam milczał. – Ale jeśli rzeczywiście wujek z Argentyny zostawił ci w Szwajcarii tyle złota, to najlepiej zrobisz, jeśli go stamtąd nie ruszysz. Bo według obowiązujących u nas przepisów, gdybyś chciał ich naturalnie bardzo rygorystycznie przestrzegać, nie ocaliłbyś dla siebie więcej niż jakieś siedem i pół procent wartości całego spadku.

– Niestety, nie mam wujka w Argentynie – westchnął Adam.

– On zresztą nie musiałby być Argentyńczykiem – powiedział Lawrence, uważnie obserwując reakcję przyjaciela.

– Dzięki za informacje – rzekł Adam i zniknął w swoim pokoju.

Ostatnie elementy układanki wskakiwały na miejsce. Miał pokwitowanie Roget et Cie dotyczące ikony pierwotnie przeznaczonej dla jego ojca i pozostawało mu jedynie przedstawić egzemplarz testamentu, na którego mocy ów dokument stawał się jego własnością. Wtedy będzie mógł udowodnić, że jest właścicielem bezwartościowej lub bezcennej – sam nie był pewien – kopii carskiej ikony. Tej nocy Adam, leżąc bezsennie, przypominał sobie fragmenty listu ojca.

Jeżeli więc istotnie z zawartości koperty można odnieść jakąś korzyść, mam w związku z tym tylko jedną prośbę: niech Twoja matka będzie pierwszą osobą, która z tego skorzysta, pod warunkiem jednak, że nigdy się nie dowie, czemu zawdzięcza ten szczęśliwy traf.

Kiedy Romanow wrócił do hotelu via konsulat, zastał Pietrową w jej pokoju. Ubrana w dżinsy i jaskraworóżowy sweter, siedziała z nogami przerzuconymi przez poręcz fotela i czytała.

– Mam nadzieję, że owocnie spędziłaś popołudnie? – zapytał uprzejmie.

– Owszem – odparła. – Galerie w Zurychu są wspaniałe. Ale powiedz mi, jak tobie się udało popołudnie. Też było owocne?

– Rewelacyjne, moja mała. Wiesz co, zapraszam cię na intymną kolację u mnie w pokoju, żeby ci móc wszystko spokojnie opowiedzieć. Uczcimy to w pięknym stylu, zgoda?

– Cudowny pomysł. Ale czy pozwolisz, że ja zamówię kolację?

– Naturalnie.

Pietrowa upuściła książkę na podłogę i zaczęła studiować menu pozostawione na stoliku nocnym Romanowa. Spędziła sporo czasu, wybierając starannie każde danie, i kiedy kolacja się wreszcie zjawiła, nawet na Romanowie wywarła wielkie wrażenie.

Jako przekąskę Anna zamówiła gravad lax w sosie koperkowym, a do tego pół butelki chablis Premier Cru rocznik tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt osiem. Pomiędzy jednym a drugim kęsem major opowiedział jej o spadku i przy opisie każdego następnego klejnotu oczy Anny robiły się coraz większe.

Monolog Romanowa został przerwany jedynie raz – przez kelnera, który wwiózł na wózku srebrne naczynie, a w nim żeberka jagnięce w otoczeniu cukinii i maleńkich młodych kartofli. Do tego szczególnego dania podano gevrey chambertin.

Ostatnie danie, leciutki suflet malinowy, aż się prosiło w pojęciu Anny Pietrowej o najlepsze château yquem. Wybrała rocznik czterdziesty dziewiąty, po którym zaczęła śpiewać rosyjskie piosenki ludowe, co zważywszy na okoliczności, wydało się Romanowowi niezbyt stosowne.

Po wysuszeniu ostatniej kropli wina Pietrowa wstała dość chwiejnie i powiedziała:

– Zdrowie Aleksa, mężczyzny, którego kocham.

Romanow skinął głową w uznaniu dla tego toastu i zaproponował, żeby się położyli, jako że nazajutrz rano mieli pierwszym samolotem wracać do Moskwy. Wyprowadził następnie wózek na korytarz i na gałce drzwi umieścił wywieszkę „Nie przeszkadzać”.

– Pamiętny wieczór – powiedziała Anna Pietrowa, zsuwając pantofle. Romanow przystanął, żeby popatrzeć na rozbierającą się dziewczynę, a kiedy rozpiął koszulę, wydała okrzyk zdumienia i zastygła w bezruchu. – Jakie to wspaniałe! – rzekła z podziwem.

Major uniósł złoty medalion.

– To małe piwo w porównaniu z tym, co tam zostało – zapewnił ją.

– Towarzyszu kochanku – zaszczebiotała Anna dziecięcym głosikiem, ciągnąc Romanowa do łóżka – czy wiecie, jak bardzo was wielbię, podziwiam i szanuję?

– Mhm – mruknął.

– I wiecie także – ciągnęła – że nigdy dotychczas o nic was nie prosiłam?

– Ale wydaje mi się, Anno Pietrowa – rzekł Romanow, kiedy odrzuciła koc – że właśnie macie zamiar to zrobić.

– Skoro ten złoty łańcuch to, jak się wyraziliście, tylko małe piwo, może byście pozwolili mi go od czasu do czasu założyć.

– Od czasu do czasu? – rzekł Aleks, patrząc Annie w oczy. – Dlaczego od czasu do czasu? Dlaczego nie miałabyś go nosić stale, kochanie? – Po czym bez dalszych słów zdjął łańcuch i zawiesił dziewczynie na szyi, nie wypuszczając go jednak z ręki.

Anna westchnęła, przesuwając palcami po grubych złotych ogniwach.

– Boli, Aleks – powiedziała z uśmiechem. – Puść. – Ale Romanow pociągnął jeszcze mocniej. W miarę jak metal wrzynał jej się w ciało, po policzkach Pietrowej płynęły łzy. – Nie mogę oddychać – wyjęczała. – Przestań się wygłupiać. – On jednak coraz mocniej zaciskał łańcuch na jej szyi, aż twarz dziewczyny poczerwieniała.

– Nie powiesz nikomu, jaka mi się trafiła gratka, prawda, maleńka?

– Nie, nigdy, Aleks. Nikomu. Możesz na mnie polegać – wykrztusiła rozpaczliwie.

– Ale czy mogę być absolutnie pewny? – zapytał z odcieniem groźby.

– Oczywiście, że możesz – wycharczała, drobnymi dłońmi czepiając się jasnych włosów kochanka.

Romanow nadal zaciskał jej na szyi złoty łańcuch, coraz ciaśniej i ciaśniej, jak na torturach. Nie czuł nawet palców spazmatycznie wczepionych w jego włosy, kiedy po raz ostatni skręcił pętlę.

– Jestem przekonany, że mnie rozumiesz. Muszę mieć absolutną pewność co do tego, że z nikim nie podzielisz się naszym sekretem – wyjaśnił dziewczynie, ale Anna już tego nie słyszała, ponieważ jej rdzeń kręgowy nie wytrzymał uścisku.

Podczas porannej przebieżki po bulwarze Adam rozmyślał nad różnymi drobnymi sprawami, które pozostały mu jeszcze do załatwienia.

Gdyby wyleciał w środę rano z Heathrow, mógłby jeszcze tego samego dnia wieczorem być z powrotem w Londynie, no, najpóźniej w czwartek. Ale zanim poleci do Genewy, ma przed sobą ciągle parę spraw.

Zatrzymał się na chodniku przed domem, w którym mieszkał, zmierzył sobie puls, po czym ruszył schodami na górę.

– Trzy listy do ciebie – zakomunikował Lawrence. – A do mnie nic. W tym – dodał, kiedy Adam wszedł do kuchni – dwie szare koperty.

Adam wziął listy i idąc pod prysznic, rzucił je na łóżko. Po pięciu minutach lodowatego bicza wodnego wytarł się energicznie, ubrał i dopiero wtedy otworzył koperty. Zaczął od białej. Heidi dziękowała mu za kolację i wyrażała nadzieję, że się jeszcze zobaczą. Z uśmiechem rozdarł pierwszą z szarych kopert i znalazł kolejne pismo z Komisji Koordynacyjnej Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Zapraszano mianowicie kapitana Scotta – stopień wojskowy wydawał się już zbędny – by w poniedziałek o trzeciej zgłosił się na badanie lekar-

skie przy Harley Street 122 do doktora Johna Vance’a.

Adam otworzył drugą szarą kopertę. Było to pismo z mieszczącej się przy Pall Mall filii Lloyds, Cox and King, z którego wynikało, że bank otrzymał od firmy Holbrooke, Holbrooke and Gascoigne czek na pięćset funtów, a jednocześnie stan rachunku bieżącego na koniec poprzedniego dnia wynosił zaledwie dwieście siedemdziesiąt dwa funty osiemnaście szylingów i cztery pensy. Adam stwierdził, że po raz pierwszy w życiu zrobił debet na koncie. Gdyby w dalszym ciągu był w wojsku, zostałoby to uznane za zachowanie wysoce naganne jak na oficera, a jeszcze dwadzieścia lat temu za podobne sprawy groził sąd wojskowy. Co by powiedzieli jego dawni koledzy oficerowie, gdyby się dowiedzieli, że pobiera z banku około dwustu funtów, nie mając pokrycia na koncie?

Skończył się ubierać i poszedł do Lawrence’a do kuchni.

– No, jak tam szach Iranu? – zapytał.

– O, w porządku – odparł Lawrence, przewracając stronę „Daily Telegraph” – biorąc pod uwagę okoliczności. Obiecał, że zrobi, co będzie mógł, w tej trudnej sytuacji finansowej, w jakiej się znalazł, chociaż w prawdziwej kropce znajdzie się, jeżeli Zachód nie pozwoli mu podnieść cen ropy.

– No i gdzie go w końcu zabrałeś na lunch? – zapytał Adam, który bawił się świetnie.

– Och, wziąłem go na zapiekankę do Green Mana, ale sukinsyn zaczął zadzierać nosa. Byli, zdaje się, umówieni z cesarzową u Harrodsa, żeby im zdjęto miarę na nowy tron. Miałem z nimi naturalnie iść, ale szef sobie akurat zażyczył, żeby opróżnić mu kosz na śmieci, więc Harrods przeszedł mi koło nosa.

– A co dzisiaj robisz?

– Nie powinienem ci o tym mówić – odparł Lawrence, przyglądając się fotografii Teda Dextera, przegranego kapitana angielskiej drużyny krykieta – ale prezes Bank of England chce się mnie poradzić, czy powinniśmy zdewaluować funta w stosunku do dolara z 2,80 na 2,40.

– A jakie jest twoje zdanie w tej sprawie?

– Już mu mówiłem, że jedyne 240, o jakim wiem, to numer autobusu kursującego na trasie Golders Green–Edgware, i że jeśli się nie pośpieszę, to nie zdążę na moją ukochaną czternastkę – odparł Lawrence, spoglądając na zegarek.

Adam z uśmiechem patrzył, jak przyjaciel zatrzaskuje teczkę i znika za drzwiami.

Lawrence bardzo się zmienił od ukończenia Wellington. Może dlatego, że Adam zapamiętał go jako „kapitana uczniów”, opuszczającego szkołę ze stypendium dla najlepszych z przedmiotów klasycznych i idącego do Balliol. W tamtych czasach Lawrence traktował wszystko tak poważnie, jakby rzeczywiście był stworzony do wyższych celów. Nikt by nie uwierzył, że skończy jako specjalista do spraw inwestycji w Barclays Bank. Jego koledzy w Oksfordzie żartowali zawsze, że Lawrence zostanie ministrem. Czy to możliwe, że z reguły oczekujemy zbyt wiele po idolach zaledwie parę lat od nas starszych? Po szkole ich przyjaźń okrzepła i kiedy Adama wysłano na Malaje, Lawrence nigdy nie przyjął do wiadomości uznania go przez władze wojskowe za zaginionego, a najprawdopodobniej – poległego. Gdy zaś Adam oznajmił, że wychodzi z wojska, Lawrence, nie domagając się żadnych wyjaśnień, okazał mu wszelką możliwą pomoc jako bezrobotnemu na zasiłku. Adam nie tracił nadziei, że będzie miał kiedyś okazję zrewanżować się przyjacielowi za jego lojalność.

Usmażył sobie teraz jajko na kilku plasterkach bekonu. Niewiele więcej zdążył zrobić przed wpół do dziesiątej, chociaż znalazł chwilę, żeby napisać krótki list do siostry, do którego dołączył czek na pięćdziesiąt funtów.

O dziewiątej trzydzieści zadzwonił. Pan Holbrooke – Adam zastanawiał się, czy facet ma w ogóle jakiekolwiek imię – nie potrafił ukryć zdumienia, że słyszy głos młodego Scotta. Teraz, po śmierci ojca, to ja jestem starym panem Scottem, chciał mu powiedzieć Adam. Kiedy zaś wyłuszczył, o co chodzi, Holbrooke wydawał się jeszcze bardziej zdziwiony.

– Niewątpliwie ma to jakiś związek z tą kopertą – mruknął, ale zgodził się wysłać Adamowi popołudniową pocztą testament ojca.

Inne sprawy nie kwalifikowały się do rozmowy telefonicznej, więc Adam zamknął mieszkanie na cztery spusty i wsiadł do autobusu jadącego na King’s Road. Wysiadł z piętrusa przy Hyde Park Corner i poszedł do Lloyds Bank na Pall Mall, gdzie stanął w kolejce do okienka wymiany walut.

– Czym mogę służyć? – spytała uprzejmie kasjerka.

– Chciałbym prosić o pięćdziesiąt funtów we frankach szwajcarskich, pięćdziesiąt funtów w gotówce i sto w czekach podróżnych.

– Pańskie nazwisko?

– Adam Scott.

Dziewczyna liczyła chwilę na stojącej na biurku dużej maszynie, zanim kilka razy zakręciła korbką. Popatrzyła na wynik, po czym na parę minut zniknęła, aby powrócić z egzemplarzem wyciągu bankowego, który Adam otrzymał w porannej poczcie.

– Całkowita suma, łącznie z kosztami manipulacyjnymi, wyniesie dwieście dwa funty, jednego szylinga i osiem pensów. Po dokonaniu tej operacji pozostanie panu na koncie siedemdziesiąt funtów, szesnaście szylingów i cztery pensy – poinformowała go.

– Tak – zgodził się Adam, nie wspominając ani słowem, iż w rzeczywistości będzie to zaledwie dwadzieścia funtów, szesnaście szylingów i cztery pensy, gdy tylko zostanie zrealizowany czek, który wysłał siostrze. Miał nadzieję, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych płaci tygodniowo, w przeciwnym bowiem razie czekał go kolejny miesiąc zaciskania pasa. Chyba że…

Podpisał dziesięć czeków podróżnych w obecności kasjerki, która następnie wypłaciła mu pięćset dziewięćdziesiąt franków szwajcarskich i pięćdziesiąt funtów gotówką. Była to największa suma, jaką Adam kiedykolwiek podejmował naraz.

Jeszcze jeden kurs autobusem i znalazł się na Cromwell Road, w terminalu BEA, gdzie zarezerwował bilet do Genewy i z powrotem.

– Klasa pierwsza czy ekonomiczna? – zapytała kobieta.

– Ekonomiczna – odparł Adam, ubawiony myślą o tym, że ktoś mógłby go posądzić o pierwszą klasę.

– Trzydzieści jeden funtów.

Adam zapłacił gotówką i wsunął bilet do wewnętrznej kieszeni marynarki, po czym udał się do domu na lekki lunch. Po południu zadzwonił do Heidi i umówił się z nią na kolację o ósmej w Chelsea Kitchen. Postanowił jednak, że zanim spotka się z Heidi, upewni się co do jednej rzeczy.

Romanowa obudził telefon.

– Tak, słucham.

– Dzień dobry, towarzyszu Romanow. Tu Mieliński, drugi sekretarz ambasady.

– Dzień dobry, towarzyszu. Czym mogę służyć?

– Chodzi o towarzyszkę Pietrową. – Romanow uśmiechnął się na myśl o leżącej w wannie Pietrowej. – Czy od chwili, kiedy zameldował pan o jej

zaginięciu, coś się może zmieniło?

– Nie – odparł Romanow. – I wiem, że nie spała tej nocy u siebie.

– Rozumiem – rzekł drugi sekretarz. – A zatem wasze podejrzenia, że mogła uciec, nabierają cech prawdopodobieństwa?

– Obawiam się, że tak. Zaraz po powrocie do Moskwy przedstawię przełożonym szczegółowy raport w tej sprawie.

– Oczywiście, towarzyszu majorze.

– Podkreślę też, towarzyszu drugi sekretarzu, że zrobiliście wszystko, co w waszej mocy, żeby mi pomóc.

– Dziękuję, towarzyszu majorze.

– I proszę mnie natychmiast zawiadomić, gdybyście uzyskali jakąkolwiek informację co do miejsca jej pobytu.

– Oczywiście, towarzyszu majorze.

Romanow odłożył słuchawkę i poszedł do sąsiedniej łazienki. Popatrzył na skulone w wannie ciało. Oczy Anny wychodziły z orbit, twarz była wykrzywiona, a skóra ziemista. Zarzucił zmarłej ręcznik na głowę, starannie zamknął drzwi i udał się do swojej łazienki, żeby wziąć szczególnie długi prysznic.

Po powrocie, owinięty ręcznikiem, usiadł po swojej stronie na brzegu łóżka i podniósł słuchawkę telefonu. Zamówił śniadanie, które mu przyniesiono po piętnastu minutach, co akurat wystarczyło, by zdążył się ubrać. Po soku pomarańczowym z croissantami wrócił do telefonu, usiłując sobie przypomnieć imię kierownika hotelu. Przypomniało mu się dokładnie w chwili, kiedy usłyszał w słuchawce: „*Guten Morgen, mein Herr*” recepcjonistki.

– Poproszę Jacques’a – powiedział jedynie Romanow.

Chwilę później usłyszał głos kierownika.

– Dzień dobry, Herr Romanow.

– Mam pewien delikatny problem i sądzę, że mógłby mi pan pomóc w jego rozwiązaniu.

– Postaram się, proszę pana – padła uprzejma odpowiedź.

– Mam dość cenny przedmiot, który chciałbym zdeponować w banku, a jednocześnie wolałbym nie…

– Rozumiem, doskonale rozumiem. W jaki sposób mógłbym pomóc?

– Potrzebny mi jest duży pojemnik, w którym mógłbym ten przedmiot wywieźć.

– Czy wystarczy kosz na brudną bieliznę?

– Byłby idealny, ale czy ma dobre zamknięcie?

– O, tak, bez obawy, często zrzucamy kosze do szybów wind.

– To wspaniale – rzekł Romanow.

– Za chwilę będzie go pan miał – zapewnił Jacques. – Przyślę panu do pomocy portiera. Może byłoby wskazane, żeby ten bagaż zwieźć windą towarową na tyłach hotelu, tak żeby nikt pana nie widział.

– Bardzo rozsądna rada – pochwalił go major.

– Czy przyjedzie po pana jakiś samochód?

– Nie – odparł Romanow. – Ja…

– Wobec tego zamówię taksówkę. Na którą pan sobie życzy?

– Za jakieś pół godziny.

– Za dwadzieścia minut taksówka będzie czekała przed wejściem służbowym na tyłach hotelu.

– Dziękuję bardzo za pomoc – rzekł Romanow, po czym dodał: – Prezes Gosbanku nie przesadzał, podnosząc pana zalety.

– Pan jest bardzo uprzejmy – powiedział Jacques. – Czy mogę jeszcze czymś służyć?

– Prosiłbym bardzo o przygotowanie rachunku, tak żebym nie musiał czekać.

– Oczywiście.

Romanow odłożył słuchawkę, myśląc z żalem, że nie można zaimportować do Moskwy usług na takim poziomie. Nie zwlekając, wykręcił pierwszy z dwu numerów lokalnych. W obu wypadkach jego życzenia zostały natychmiast spełnione. Kiedy po raz trzeci odkładał słuchawkę, usłyszał delikatne stukanie do drzwi. Szybko poszedł otworzyć. Na korytarzu stał, uśmiechając się grzecznie, młody portier z wielkim koszem. Romanow zaledwie skinął mu głową, po czym wciągnął kosz do pokoju.

– Proszę przyjść, jak tylko pojawi się taksówka.

Portier skłonił się bez słowa.

Zaraz po jego wyjściu Romanow zamknął drzwi, zabezpieczył je łańcuchem, wwiózł kosz do głównej sypialni i ustawił przy łóżku. Odpiął mocne skórzane pasy i podniósł wieko, po czym otworzył drzwi łazienki i przydźwigał sztywne już ciało Pietrowej. *Rigor mortis* zrobił swoje – nogi nie chciały się zgiąć i zwłoki nie dawały się wtłoczyć do kosza. Romanow położył nagą Annę na podłodze. Wyprostował palce i nagle uderzył prawą

nogę trupa z taką siłą, że trzasnęła niczym gałąź podczas burzy. To samo powtórzył z lewą. Działał precyzyjnie, jak gilotyna. Podwinął nogi pod ciało i z rozbawieniem pomyślał, że gdyby to on został zamordowany, Pietrowa nigdy nie zdołałaby wepchnąć go do kosza, obojętne, co próbowałaby mu połamać. Następnie wtoczył kosz do pokoju Anny i, opróżniwszy szuflady z jej rzeczy, wrzucił na wierzch wszystko – ubrania, czyste i brudne, buty, przybory toaletowe, szczoteczkę do zębów i nawet swoje stare zdjęcie, które ku swemu zdziwieniu, znalazł wśród jej drobiazgów. Na koniec zdjął z szyi Anny medalion, upewnił się, że nic więcej nigdzie nie zostało, przykrył ciało ręcznikiem hotelowym i spryskał obficie wodą Chanel No. 5, należącą do hotelowego wyposażenia. Starannie zamknąwszy pokrywę kosza, przypiął ją pasami, a potem przetoczył skrzypiący wózek i zostawił go przy drzwiach wejściowych.

Kiedy przystąpił do pakowania własnych rzeczy, usłyszał pukanie.

– Proszę zaczekać – rzucił krótko.

Zza drzwi doszło go przytłumione:

– *Ja, mein Herr.*

Chwilę później Romanow otworzył. Wszedł portier i skinąwszy głową, zaczął ciągnąć kosz, ale dopiero kiedy major solidnie popchnął go nogą, wózek ruszył z miejsca. Portier z wysiłkiem pchał go korytarzem, a Romanow zaczekał, aż wózek został wtoczony do windy towarowej, po czym wsiadł sam.

Kiedy drzwi windy rozsunęły się na dole, z ulgą odpowiedział na pozdrowienie Jacques’a stojącego przy dużym mercedesie z otwartym bagażnikiem. Taksiarz do spółki z portierem wsadzili kosz do bagażnika, ale walizka Romanowa już się nie zmieściła i trzeba ją było położyć na przednim siedzeniu obok kierowcy.

– Czy przesłać rachunek do konsulatu, *mein Herr*?

– Tak… tak będzie najlepiej.

– Mam nadzieję, że wszystko poszło dobrze i że jest pan zadowolony – powiedział dyrektor, otwierając przed gościem drzwi samochodu.

– Idealnie – zapewnił go Romanow.

– Cieszę się. Czy czekamy jeszcze na pańską znajomą? – Jacques spojrzał przez ramię w stronę hotelu.

– Nie – odparł Romanow. – Ona już wcześniej pojechała na lotnisko.

– Rozumiem. Szkoda, że nie miałem okazji jej pożegnać. Proszę przekazać pani moje ukłony.

– Oczywiście – rzekł major. – Mam nadzieję, że niedługo znów skorzystam z usług pańskiego hotelu.

– Będzie nam bardzo miło.

Romanow wśliznął się na tylne siedzenie mercedesa, a szef hotelu zatrzasnął za nim drzwi.

W Swissair błyskawicznie odprawiono mu walizkę i Romanow udał się do banku. W holu czekał na niego syn Herr Bischoffa w towarzystwie mężczyzny ubranego, tak jak on, w szary garnitur.

– Miło widzieć pana tak szybko z powrotem – przywitał go młody Bischoff. Jego głęboki głos zaskoczył majora.

Kierowca taksówki czekał przy otwartym bagażniku mercedesa. Tymczasem towarzysz młodego Bischoffa, masywnie zbudowany olbrzym, podniósł kosz na bieliznę, jakby to było biszkoptowe ciasto. Romanow zapłacił taksiarzowi i ruszył za Bischoffem do windy.

– Zgodnie z naszą rozmową telefoniczną, jesteśmy przygotowani na przyjęcie pańskiego depozytu – rzekł syn bankiera. – Ojciec przeprasza, że nie mógł się zjawić osobiście, ale miał od dawna wyznaczone spotkanie z innym klientem. Z pewnością pan go zrozumie.

Romanow machnął ręką.

Winda zjechała prosto do podziemi, gdzie strażnik na widok młodego Bischoffa otworzył wielką stalową klatkę. Romanow szedł powoli korytarzem w towarzystwie bankiera, a za nimi kroczył olbrzym z koszem. Przy drzwiach do skarbca powitał ich jeden ze wspólników Bischoffa, którego Romanow zapamiętał z poprzedniego spotkania. Na skinienie Bischoffa wspólnik bez słowa otworzył górny zamek drzwi skarbca. Zaraz potem Bischoff otworzył drugi, po czym obaj popchnęli masywne stalowe wrota. Herr Bischoff i jego towarzysz weszli przodem i pootwierali górne zamki wszystkich pięciu sejfów Romanowa, strażnik tymczasem postawił koło nich na podłodze kosz.

– Czy będzie panu potrzebna pomoc, Herr Romanow? – spytał bankier, wręczając swojemu rosyjskiemu klientowi zapieczętowaną kopertę.

– Nie, dziękuję bardzo – odparł Romanow, ale nie odprężył się, dopóki nie zobaczył, jak drzwi zamykają się za Szwajcarami, którzy bezszelestnie opuścili skarbiec.

Upewniwszy się, że został sam, spojrzał na sejf, o którym wiedział, że jest pusty. Był mniejszy, niż mu się wydawało. Czoło Romanowa pokryło się kropelkami potu. Przekręcił klucz w zamku, wyciągnął szufladę i uniósł hermetyczne wieko. Miał przed sobą trudne zadanie. Odpiął rzemienie przytrzymujące pokrywę kosza i wyjął z niego wszystko oprócz zwłok. Przez chwilę patrzył na wykrzywioną twarz i sine już teraz pręgi na szyi Pietrowej. Pochylił się, ujął zwłoki w talii i podniósł. Oprócz połamanych nóg nie drgnęła żadna część ciała i Romanow musiał je włożyć do sejfu głową w dół, z wysiłkiem naginając poszczególne członki, żeby wieko się domknęło. Gdyby Anna była choć o kilka centymetrów wyższa, operacja by się nie powiodła. Następnie poupychał po bokach osobiste rzeczy kochanki, pozostawiając w koszu na bieliznę jedynie pachnący wodą toaletową ręcznik hotelowy.

Zamknąwszy hermetyczne wieko, wsunął szufladę na miejsce, po czym dwukrotnie sprawdził, czy bez użycia jego osobistego klucza nikt nie otworzy sejfu. Wynik był zadowalający – wieko ani drgnęło. Z wahaniem spojrzał na drugi duży sejf, ale uznał, że nie czas na przyjemności; musi z tym poczekać do następnej okazji. Zadowolony, że wszystko jest w porządku, zamknął pokrywę kosza, pozapinał pasy i przetoczył wózek do drzwi skarbca. Na koniec przycisnął czerwony guzik.

– Mam nadzieję, że wszystko było w porządku – rzekł młody Bischoff, zamknąwszy wszystkie pięć sejfów.

– Tak, dziękuję bardzo. Czy mogę liczyć na to, że ktoś od państwa odwiezie kosz do hotelu St Gothard?

– Naturalnie – odparł bankier, kiwając głową w stronę osiłka.

– I mogę być spokojny, że nikt nie będzie otwierał sejfów w czasie mojej nieobecności? – upewniał się Romanow, kiedy szli korytarzem.

– Ależ oczywiście, wasza ekscelencjo – rzekł Bischoff, zdegustowany nieco takim brakiem zaufania. – Kiedykolwiek pan się zgłosi, zastanie pan wszystko w takim stanie, w jakim to zostawił.

No, niezupełnie, pomyślał Romanow.

Kiedy wysiedli z windy na parterze, zauważył starego Bischoffa w towarzystwie innego klienta.

Szach Iranu szybko wsiadł do czekającego rolls-royce’a. Kiedy odjeżdżał w eskorcie policyjnego motocykla, właściciel banku pomachał mu dyskretnie.

Przy drzwiach młody Bischoff skłonił się swojemu klientowi.

– Polecamy się i ponownie oczekujemy w Zurychu, ekscelencjo.

– Dziękuję bardzo – powiedział Romanow, ściskając mu rękę i kierując się ku czarnemu samochodowi, który miał go zawieźć na lotnisko.

Zaklął. Tym razem dostrzegł agenta, którego wcześniej zauważył w hotelu.

IX

– Niech go pan zabije, sir – szepnął Adamowi do ucha kapral.

– Słaba nadzieja – mruknął Adam, wyskakując na środek ringu.

Czekał tam na niego szczupły, muskularny instruktor.

– Zrobimy kilka rundek i zobaczymy, jak pan sobie radzi, sir.

Adam wykonywał uniki i tańczył, szukając okazji do zadania ciosu. Spróbował lewego prostego i dostał lekko w nos.

– Gardę wyżej – powiedział starszy sierżant.

Adam zaatakował powtórnie, zadając mocny cios w pierś, za co oberwał ostry lewy sierpowy w głowę. Zachwiał się i poczuł mrowienie w uchu, ale tym razem zdołał się zasłonić, nim dosięgnął go prawy, a zaraz potem lewy.

– Jest pan słaby, sir, i na tym polega pański problem. Muchy by pan nie przewrócił.

Adam zamarkował cios prawą, a potem strzelił lewą z taką siłą, że kiedy trafił w punkt, sierżant zatoczył się i upadł.

Stojący koło ringu kapral uśmiechnął się, widząc, że instruktor nie wstaje. W końcu jednak sierżant zdołał się jakoś pozbierać.

– Przepraszam – powiedział Adam, trzymając gardę.

– Nie przepraszaj, ty durniu… sir. Zadał pan cholernie dobry cios. A ściślej mówiąc, to był techniczny nokaut. Będę musiał poczekać z dzień czy dwa z rewanżem.

Adam westchnął z ulgą i opuścił ręce.

– Ale to nie znaczy, sir, że ma pan to wszystko z głowy. Czeka pana teraz trening siłowy, równoważnia i ćwiczenia wolne.

Przez następną godzinę starszy sierżant gonił Adama, kopał, dręczył i znęcał się nad nim, aż wreszcie ten bezwładnie osunął się na podłogę; nie miałby siły podnieść nawet wieczornej gazety.

– Nieźle, sir. Czuję, że znajdzie się dla pana jakieś miejsce w ministerstwie. Ma pan nawet szansę zabłysnąć na tle tamtejszych łajz.

– Pan mi pochlebia, sierżancie – rzekł Adam z podłogi.

– Wstawać! – ryknął instruktor.

Adam pozbierał się z trudem.

– Proszę mi nie mówić, sierżancie…

– …że to czas powrotu do normy się liczy, a nie szybkość – wyrecytowali unisono.

– Smutno się zrobiło, jak pan odszedł z wojska – powiedział instruktor, kiedy się znaleźli w szatni Queen's Club. – Mało który z oficerów może się pochwalić tym, że mnie rzucił na ziemię. – Ostrożnie pomacał podbródek. – To skutki tego, że nie doceniłem faceta, który dziewięć miesięcy przeżył na chińskim żarciu. Miejmy nadzieję, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie powtórzy mojego błędu. – Wstał z ławki przy swojej szafce. – To co, w środę o tej samej porze, tak?

– W środę nie dam rady, sierżancie. Wyjeżdżam do Genewy i mogę do tego czasu nie wrócić.

– Aha, wycieczka po Europie, tak?

– Myślę, że możemy się umówić na czwartek rano, jeśli to panu odpowiada – rzekł Adam, ignorując żart.

– Badanie lekarskie w poniedziałek, o ile dobrze pamiętam?

– Zgadza się.

– To wobec tego w czwartek o dziesiątej rano. Będzie pan miał czas pomyśleć o moim prawym sierpowym.

Szef KGB studiował leżący przed nim raport: coś tu nie grało. Spojrzał na Romanowa.

– Byliście w banku Bischoff et Cie, ponieważ tamci twierdzili, że mają ikonę, która mogłaby odpowiadać opisowi tej przez nas szukanej, tak?

– Tak jest, towarzyszu. Prezes Gosbanku może potwierdzić, że to on osobiście zaaranżował spotkanie.

– Ale okazało się, że ikona przedstawia świętego Piotra, a nie świętego Jerzego ze smokiem.

– I to zostało potwierdzone przez towarzyszkę Pietrową w jej raporcie.

– A właśnie, towarzyszka Pietrowa. – Zaborski powrócił wzrokiem do leżącego przed nim arkusza papieru.

– Tak, towarzyszu.

– I później tego wieczoru Pietrowa nie zjawiła się na spotkaniu z wami, tak?

– W sposób niewytłumaczalny – rzekł z naciskiem Romanow.

– O czym zameldowaliście towarzyszowi Mielińskiemu z ambasady. – Zaborski zrobił pauzę. – Ale to wy wybraliście Pietrową, prawda?

– Zgadza się, towarzyszu.

– Czy to aby nie lekkomyślność z waszej strony?

Romanow milczał. Wzrok szefa powrócił do akt.

– Kiedy obudziliście się nazajutrz, w dalszym ciągu nie było dziewczyny, tak?

– Nie pojawiła się też na śniadaniu, jak było umówione – powiedział Romanow – a kiedy poszedłem do jej pokoju, stwierdziłem, że zniknęły również wszystkie jej rzeczy.

– I to was przekonało, że uciekła?

– Tak, towarzyszu.

– Policja szwajcarska – rzekł Zaborski – nie natrafiła na ślad dziewczyny, a ja zadaję sobie pytanie: Dlaczego taka Pietrowa miałaby uciekać? Jej mąż i najbliższa rodzina mieszkają w Moskwie. Wszyscy są na państwowych posadach, a poza tym to przecież nie był jej pierwszy wyjazd na Zachód. – Romanow nie odezwał się słowem. – A może Pietrowa zaginęła dlatego, że mogłaby powiedzieć coś, o czym nie chcielibyście, żebyśmy wiedzieli?

Romanow dalej milczał. Wzrok szefa KGB znów powędrował do akt.

– Ciekawe, co też ta dziewczyna mogła mieć nam do powiedzenia. Z kim jeszcze spaliście tej nocy, co, towarzyszu? – Romanowa przeszły ciarki na myśl o tym, ile Zaborski może wiedzieć. Szef KGB przerwał, udając, że coś jeszcze sprawdza w raporcie. – A może mogłaby nam powiedzieć, po co drugi raz poszliście do Bischoff et Cie? – Ponownie zrobił pauzę. – Trzeba będzie wdrożyć śledztwo w sprawie zniknięcia Pietrowej. Ponieważ, towarzyszu Romanow, kiedy po raz trzeci zgłosiliście się u Bischoffa, każdy najpośledniejszy szpieg stąd do Istambułu wiedział, że czegoś poszukujemy. – Zawiesił głos. Romanow rozpaczliwie usiłował dociec, czy Zaborski dysponuje jakimikolwiek dowodami. Przez chwilę milczeli obaj. – Zawsze chodziliście swoimi drogami, majorze Romanow, i przyznaję, że często wasze osiągnięcia pozwalały mi przechodzić do porządku nad waszymi drobnymi uchybieniami. Ale ja nie chodzę swoimi drogami. Jestem człowiekiem siedzącym za biurkiem i nie mam takiej swobody działania jak wy. – Zaborski bawił się przyciskiem do papieru

w kształcie *Łuny 9*. – Jestem człowiekiem od dokumentów, od papierów. Sporządzam raporty w trzech egzemplarzach, wypełniam ankiety w czterech, a z decyzji tłumaczę się w pięciu. Teraz będę musiał wyjaśniać Biuru Politycznemu okoliczności dziwnego zniknięcia towarzyszki Pietrowej w niezliczonej ilości egzemplarzy.

Romanow milczał – była to postawa, którą KGB wpajało mu wiele lat. Zaczynał się utwierdzać w przekonaniu, że ze strony Zaborskiego wszystko to są jedynie domysły. Gdyby podejrzewał prawdę, ich rozmowa odbywałaby się w podziemiu, gdzie przesłuchania miewały z reguły mniej dyskursywny charakter.

– W Związku Radzieckim – podjął Zaborski, wstając z krzesła – wbrew opiniom, jakie urabia nam Zachód, staramy się badać okoliczności nagłych zgonów – na chwilę zawiesił głos – albo ucieczek znacznie skrupulatniej niż jakiekolwiek inne społeczeństwo. A wam, towarzyszu Romanow, łatwiej byłoby wykonywać wasz zawód, gdybyście się urodzili w Afryce, Ameryce Południowej czy nawet w Los Angeles. – Romanow nie odezwał się słowem. – Dziś o pierwszej nad ranem towarzysz sekretarz generalny zawiadomił mnie, że nie jest zachwycony waszymi osiągnięciami, a dokładniej, że jest wręcz niezadowolony, zwłaszcza po waszym wspaniałym starcie. Ponieważ jednak najważniejsze jest dla niego w tej chwili odnalezienie carskiej ikony, zdecydował, że śledztwa nie będzie. Ale jeżeli jeszcze raz pozwolicie sobie, towarzyszu, na takie nieodpowiedzialne zachowanie, to czeka was nie śledztwo, tylko trybunał, a wszyscy wiemy, jaki los spotkał ostatniego Romanowa, który stanął przed trybunałem. – Zamknął teczkę. – Za moją radą, a także dlatego, że został nam już tylko niecały tydzień, sekretarz generalny postanowił dać wam drugą szansę, ufając, że w końcu znajdziecie carską ikonę. Czy wyrażam się jasno, towarzyszu?! – warknął.

– Bardzo jasno – odparł Romanow i zgrabnie zrobiwszy w tył zwrot, szybko opuścił gabinet szefa.

Zaborski odczekał, aż za majorem zamknęły się drzwi, i znów zagłębił się w aktach. Co ten Romanow kombinuje? – zastanawiał się, dotarło bowiem do niego nagle, że i jego kariera może być zagrożona. Przycisnął guzik na małej konsoli.

– Znajdźcie mi majora Wołczka – polecił.

– Nigdy do tej pory nie piłem szampana pod kawior – wyznał Adam, patrząc na siedzącą naprzeciwko niego śliczną dziewczynę. Podobało mu się jej uczesanie, ubranie, ale nade wszystko jej uśmiech.

– Nie obawiaj się, kawior nam nie grozi – żartowała sobie z niego Heidi. – Ale może niedługo, kiedy staniesz się dumnym posiadaczem carskiej ikony, to znaczy, jeżeli pan Rosenbaum…

Adam przyłożył palec do ust.

Dziewczyna spojrzała na niego zaciekawiona.

– Nikt o tym jeszcze nie wie, nawet Lawrence.

– Bardzo słusznie – szepnęła Heidi. – Pewnie będzie chciał, żebyś całe pieniądze ze sprzedaży ikony władował w jego beznadziejny bank.

– A dlaczego uważasz, że miałbym sprzedać ikonę? – zapytał Adam, badając, ile Heidi zdołała się domyślić.

– Jeżeli masz rolls-royce’a, a jesteś bezrobotny, to przecież nie wynajmujesz szofera, prawda?

– Ja mam tylko motor.

– Ale i motor będziesz musiał sprzedać, jeśli ikona okaże się bezwartościowa – powiedziała ze śmiechem.

– Mam podać kawę? – zapytał kelner, który właśnie sprzątał ich stolik w nadziei, że przed zamknięciem lokalu zdoła przy nim posadzić jeszcze ze dwójkę klientów.

– Tak, proszę, dwa razy cappuccino – odparł Adam, powracając spojrzeniem do Heidi. – Ciekawe, że kiedy jeden jedyny raz zadzwoniłem do Lawrence’a do pracy – podjął po odejściu kelnera – telefonistka nie mogła go znaleźć.

– I co w tym takiego dziwnego? – spytała Heidi.

– Zachowywała się tak, jakby nigdy o nim nie słyszeli. A zresztą może mi się tylko wydawało.

– Taki bank musi mieć z tysiąc pracowników. Można pracować latami i też wszystkich nie poznać.

– Może masz rację.

Kelner postawił przed nimi dwie kawy.

– Kiedy się wybierasz do Genewy? – Heidi spróbowała kawy i uznała, że jest za gorąca.

– W środę rano i mam nadzieję, że jeszcze tego samego dnia wieczorem będę z powrotem.

– Bardzo sprytnie.

– Jak mam to rozumieć?

– Że wybrałeś sobie akurat mój jedyny wolny dzień, żeby wyjechać – odparła. – Nie powiem, żebyś był szczególnie romantyczny.

– To jedź ze mną – zaproponował Adam, nachylając się przez stół i biorąc Heidi za rękę.

– To by się mogło okazać bardziej znaczące niż wspólne jedzenie kiełbasek.

– Mam nadzieję, a zresztą naprawdę mogłabyś mi się przydać.

– Już jak ty coś powiesz… – rzekła dziewczyna.

– Wiesz przecież, że nie o to mi chodziło. Po prostu nie mówię ani po niemiecku, ani po francusku, a w Szwajcarii byłem tylko w czasach szkolnych, na nartach.

Heidi znów spróbowała kawy.

– No jak? – spytał Adam, nie wypuszczając jej ręki.

– Szwajcarzy doskonale mówią po angielsku – powiedziała Heidi w końcu. – A gdybyś miał jakiekolwiek problemy z bankiem, zawsze możesz zadzwonić do Lawrence’a.

– Ale to przecież tylko jeden dzień.

– I strata twoich pieniędzy.

– Ty też nie jesteś romantyczna.

– *Touché*.

– Pomyśl o tym – powiedział Adam. – Po wykupieniu biletu dla ciebie zostanie mi niecałe dwadzieścia tysięcy funtów. Nie wiem, jak sobie poradzę.

– Widzę, że mówisz poważnie. – Przestała żartować. – Ale kobiety nie są stworzeniami impulsywnymi.

– Zawsze możesz wziąć ze sobą Jochena.

Heidi roześmiała się.

– Nie zmieściłby się do samolotu.

– Powiedz, że pojedziesz – naciskał Adam.

– Pod jednym warunkiem – odparła z namysłem.

– Osobnym samolotem, tak? – Adam uśmiechnął się.

– Nie, ale jeśli ikona okaże się bezwartościowa, pozwolisz mi zwrócić koszt mojego przelotu, zgoda?

– Ikona, tak czy inaczej, nie może być warta mniej niż trzydzieści jeden funtów, więc przyjmuję twoje warunki. – Nachylił się i pocałował dziewczynę w usta. – Może zresztą zajmie mi to więcej niż jeden dzień. Co ty na to?

– Zażądałabym oddzielnych hoteli – powiedziała Heidi z uśmiechem – gdyby nie wysoki kurs franka szwajcarskiego.

– Zawsze można na was polegać, towarzyszu Romanow. Macie zadatki na dobrego bankiera.

Romanow pilnie studiował twarz starego człowieka, szukając jakichś oznak tego, że dokładnie wiedział, co na majora czekało w banku.

– A wy zawsze sprawnie działacie, towarzyszu Poskonow. – Romanow zawiesił głos. – To podstawowy warunek w moim zawodzie.

– Do licha, rozmawiamy jak dwóch podstarzałych komisarzy na dorocznym spotkaniu. Jak tam Zurych? – Poskonow zapalił papierosa.

– Jak polski traktor. Te części, które działały, były dobre.

– Z tego wnoszę, że nie wszystkie działały i że wobec tego carskiej ikony nie macie, tak?

– Tak, ale zarówno Bischoff, jak i Jacques okazali się w najwyższym stopniu pomocni. Spełniali dosłownie każde moje życzenie.

– Każde?

– Każde – odparł Romanow.

– To przyzwoity gość ten Bischoff – rzekł Poskonow. – Dlatego posłałem was w pierwszej kolejności do niego. – Zapadł się w fotel.

– Czy był jeszcze jakiś powód, dla którego posłaliście mnie w pierwszej kolejności do niego?

– Jeszcze pięć powodów – odparł Poskonow. – Ale nie będziemy sobie nimi zawracać głowy, dopóki nie znajdziecie swojej ikony.

– A jeśli ja bym wolał zawracać sobie nimi głowę? – nalegał twardo Romanow.

– Przeżyłem dwa pokolenia Romanowów – zaczął Poskonow, podnosząc wzrok – i nie chciałbym przeżyć trzeciego. Zostawmy na razie tę sprawę. Mam nadzieję, że będziemy mogli do niej wrócić, kiedy przestaniecie być w centrum zainteresowania.

Major skinął głową.

– Myślę, że będziecie ze mnie zadowoleni, jeśli wam powiem, że i ja nie próżnowałem podczas waszej nieobecności. Obawiam się jednak, że moje osiągnięcia również przypominają polski traktor.

Bankier wskazał gościowi krzesło, a następnie otworzył teczkę, która znacznie pogrubiała, odkąd Romanow widział ją po raz ostatni.

– Na początku – zaczął prezes Gosbanku – przedstawiliście mi listę czternastu banków, z których jedenaście odpowiedziało, że nie mają carskiej ikony.

– Zastanawiam się – rzekł Romanow – czy można im wierzyć na słowo?

– Niekoniecznie – powiedział Poskonow – ale ogólnie rzecz biorąc, Szwajcarzy wolą się raczej nie angażować, niż świadomie podawać fałszywe informacje. Zwłaszcza w czasach, kiedy takie oszustwo musi zostać ujawnione, a ja z tego miejsca kontroluję przepływ gotówki ośmiu krajów i wprawdzie nie mogę spowodować wielkiego krachu finansowego, ale z pewnością mogę wsadzić kij w szprychy kapitalistycznego systemu monetarnego.

– Zostają nam jeszcze trzy banki, prawda? – rzekł major.

– Słusznie, towarzyszu. Pierwszy z nich to Bischoff et Cie, w którym byliście, dwa pozostałe odmówiły jakiejkolwiek współpracy.

– Dlaczego wasze wpływy, towarzyszu, tam nie sięgają?

– To bardzo proste – odparł Poskonow. – Inni mają tam silniejsze. Jeżeli na przykład głównym źródłem dochodów tych banków są najpotężniejsze rodziny żydowskie albo dla odmiany Amerykanie, to nie pomogą żadne naciski. Bankierzy nie zaczną robić interesów ze Związkiem Radzieckim. – Romanow skinął głową na znak, że rozumie. – Istnieje jednak szansa – podjął Poskonow – że jeden z tych banków ma carską ikonę, ale ponieważ nigdy się do tego przed matuszką Rosją nie przyzna, nie mam pojęcia, co wam w tej sytuacji radzić. – Rozparł się wygodnie z fotelu, czekając, aż sens tej informacji w pełni dotrze do Romanowa. – Jesteście dzisiaj jakoś dziwnie milczący – dodał, zapaliwszy drugiego papierosa.

– Podsunęliście mi pewną myśl – rzekł w końcu major. – Amerykanie nazwaliby to prawdopodobnie dobrym zagraniem, sądzę jednak, że to Rosjanie zaliczą punkt.

– Muszę przyznać, że nigdy nie rozumiałem baseballu. W każdym razie cieszę się, jeśli mogłem być dzisiaj w czymś pomocny. Chociaż podejrzewam, że mimo wszystko może wam się to przydać. – Z tymi słowy Posko-

now wyjął z teczki i wręczył Romanowowi kartkę, na której było napisane: „Simon et Cie, Zurych (odmowa), Roget et Cie, Genewa (odmowa)”. – Bo nie wątpię, że wkrótce znów będziecie musieli jechać do Szwajcarii.

Major patrzył bankierowi prosto w oczy.

– Ale tym razem nie radziłbym wam odwiedzać Bischoffa, Aleks. Będzie na to czas w przyszłości.

Romanow wyprostował palce.

Poskonow odwzajemnił jego spojrzenie.

– Mnie nie pozbędziecie się tak łatwo jak Pietrowej – dodał.

X

Starszy mężczyzna zajął miejsce na końcu kolejki do taksówek. Robił wrażenie tak kruchego i taki był przygarbiony, że nie dało się ocenić jego wzrostu. Ogromny płaszcz, który mógł być nawet starszy od właściciela, sięgał niemal ziemi, a z rękawów wystawały ledwie czubki palców obleczone w szare wełniane mitenki. Mężczyzna trzymał małą skórzaną walizkę z czarnymi inicjałami E.R., tak zniszczoną, że z powodzeniem mogła należeć do jego dziadka.

Żeby zobaczyć twarz mężczyzny, trzeba by się bardzo nachylić albo być bardzo niskim, a była to twarz całkowicie zdominowana przez nos, którego nie powstydziłby się sam Cyrano de Bergerac. Mężczyzna posuwał się powoli w ogonku, aż nadeszła jego kolej. Wsiadanie trwało długo i taksiarz zaczął już bębnić palcami o kierownicę, kiedy wreszcie pasażer powiedział nosowym głosem, że prosi, aby go zawieziono do banku Simon et Cie. Kierowca ruszył, nie pytając o dalsze instrukcje. Szwajcarscy taksówkarze znają drogę do banków tak samo dobrze, jak londyńscy do teatrów czy nowojorscy do barów na West Side.

Po przybyciu na miejsce starzec grzebał chwilę w bilonie, zanim zapłacił za kurs. Następnie wolno wygramolił się z taksówki i jakiś czas stał na chodniku, przyglądając się marmurowemu budynkowi. Jego solidność napełniła go poczuciem bezpieczeństwa. Właśnie wyciągnął rękę w stronę drzwi, kiedy otworzył mu je mężczyzna w eleganckim granatowym uniformie.

– Chciałbym się zobaczyć… – zaczął starzec łamaną niemczyzną, ale portier wskazał mu dziewczynę siedzącą w recepcji. Starzec poczłapał w tamtą stronę i powtórzył: – Chciałbym się zobaczyć z panem Daumierem. Nazywam się Emmanuel Rosenbaum.

– Czy pan był umówiony?

– Obawiam się, że nie.

– W tej chwili pan Daumier jest na konferencji – odparła dziewczyna – ale zaraz sprawdzę, czy ktoś z dyrekcji będzie mógł z panem porozmawiać. – Po krótkiej telefonicznej wymianie zdań w języku niemieckim dziewczyna powiedziała: – Zechce pan wjechać windą na trzecie piętro.

Pan Rosenbaum z wyraźną niechęcią skinął głową, ale zastosował się do wskazówki. Kiedy wysiadał z windy, której drzwi omal go nie przytrzasnęły, natknął się na kolejną dziewczynę. Pozdrowiła go i poprosiła, by zechciał zaczekać w czymś, co przypominało szatnię z dwoma krzesłami. Minęła dłuższa chwila, nim się ktoś pojawił. Gdy wreszcie przyszedł przedstawiciel banku, pan Rosenbaum nie był w stanie ukryć zdumienia z powodu młodego wieku swego rozmówcy.

– Jestem Welfherd Praeger, współudziałowiec banku – wyjaśnił młody człowiek.

– Proszę siadać, proszę siadać – powiedział Rosenbaum – nie mogę tak długo zadzierać głowy. – Praeger zastosował się do życzenia starca. – Nazywam się Emmanuel Rosenbaum. W 1938 roku zostawiłem w waszym banku paczkę i przyszedłem ją teraz zabrać.

– Tak, oczywiście – rzekł Praeger, którego ton zmienił się nieco. – Ma pan może jakiś dowód tożsamości albo jakiekolwiek dokumenty z banku?

– O tak. – Starzec wręczył Praegerowi paszport i pokwitowanie bankowe, tak wiele razy składane i rozkładane, że było dosłownie w kawałkach.

Młody człowiek starannie przestudiował oba dokumenty. Natychmiast rozpoznał izraelski paszport. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku. Pokwitowanie banku, choć wystawione w roku jego urodzenia, też robiło wrażenie autentycznego.

– Mógłbym pana na chwilę przeprosić?

– Naturalnie – odparł starzec. – Jak ktoś czekał dwadzieścia osiem lat, to może poczekać jeszcze kilka minut.

Wkrótce po wyjściu młodego człowieka pojawiła się kobieta i zaprosiła Rosenbauma do innego pokoju, większego i lepiej urządzonego. Po kilku minutach pojawił się Praeger, tym razem w towarzystwie drugiego mężczyzny, którego przedstawił jako Herr Daumiera.

– Myśmy się chyba nigdy nie spotkali, prawda? – powiedział prezes banku uprzejmie. – Musiał pan załatwiać sprawy z moim ojcem.

– Nie, nie – odparł Rosenbaum. – Z pańskim dziadkiem Helmutem.

W oczach Daumiera pojawił się wyraz respektu.

– Pańskiego ojca widziałem zaledwie raz, przy tej jedynej okazji, i z wielkim smutkiem przyjąłem do wiadomości jego przedwczesną śmierć – dodał Rosenbaum. – Był zawsze szalenie uważający. Pan, widzę, nie nosi w klapie róży, tak jak ojciec?

– Nie, to na znak takiego małego buntu.

Rosenbaum próbował się roześmiać, ale tylko się rozkasłał.

– Ma pan może jeszcze jakiś dowód tożsamości oprócz paszportu? – spytał uprzejmie pan Daumier.

Emmanuel Rosenbaum uniósł głowę i obdarzył Daumiera udręczonym spojrzeniem, a następnie odwrócił rękę wewnętrzną stroną i pokazał wytatuowany na przedramieniu numer 712910.

– Bardzo przepraszam – rzekł Daumier wyraźnie speszony. – Zechce pan chwilę zaczekać, zaraz przyniosę pański depozyt.

Rosenbaum mrugnął, jakby był zbyt zmęczony, żeby chociaż skinąć głową. Dwaj mężczyźni zniknęli i chwilę później pojawili się znów z niedużym płaskim pudełkiem, które postawili na stole. Herr Daumier otworzył górny zamek w obecności drugiego mężczyzny jako świadka, a następnie wręczył Rosenbaumowi drugi klucz.

– Zostawiamy teraz pana samego – powiedział. – Gdyby pan potrzebował naszej pomocy, proszę nacisnąć guzik pod stołem.

– Dziękuję bardzo – rzekł Rosenbaum, czekając, aż za mężczyznami zamkną się drzwi.

Zaraz potem przekręcił klucz w zamku i uniósł wieko skrzynki. W środku znajdowała się paczka w kształcie obrazu, mniej więcej czterdzieści pięć na pięćdziesiąt centymetrów, owinięta w muślin i starannie zawiązana. Rosenbaum ostrożnie przełożył paczkę do swojej starej walizki, po czym zamknął skrzynkę na klucz. Wreszcie przycisnął guzik pod stołem i w ciągu dosłownie kilku sekund pojawił się pan Daumier ze swoim młodym wspólnikiem.

– Mam nadzieję, że zastał pan wszystko w takim stanie, w jakim pan to zostawił, Herr Rosenbaum – rzekł prezes banku. – Od tamtej pory upłynęło sporo czasu.

– Tak, dziękuję bardzo. – Stary człowiek skinął głową.

– Czy mógłbym zapytać o rzecz dość błahą? – spytał Daumier.

– Bardzo proszę.

– Zamierza pan w dalszym ciągu korzystać z depozytu? Bo fundusze, które pan zostawił na jego pokrycie, już się wyczerpały…

– Nie, dziękuję, nie ma takiej potrzeby.

– Jest pan nam wprawdzie winien niewielką kwotę, ale w tej sytuacji chętnie umorzymy panu ten drobny dług.

– To miło z pańskiej strony.

Herr Daumier skłonił się, a jego młody wspólnik odprowadził klienta do drzwi, pomógł mu wsiąść do taksówki i powiedział kierowcy, żeby jechał na lotnisko.

Na lotnisku długo trwało, nim pan Rosenbaum zgłosił się do odprawy, ponieważ najwyraźniej bał się ruchomych schodów, a pokonanie zwykłych z ciężką już teraz walizką okazało się dla niego zadaniem niełatwym.

Przy kontuarze pokazał bilet i z zadowoleniem stwierdził, że poczekalnia jest niemal pusta. Poczłapał w kąt i opadł na wygodną kanapkę. Upewnił się, że nikt go nie widzi, po czym nacisnął dwa przyciski i wieko walizki odskoczyło niechętnie. Wyjął paczkę i przytulił do piersi. Dłuższą chwilę jego palce walczyły z węzełkami na sznurku, zanim udało mu się je wreszcie rozwiązać. Na koniec zdjął muślin i oczom jego ukazało się arcydzieło: Łany kukurydzy van Gogha, które – czego nie mógł wiedzieć – zniknęło z Wiedeńskiej Galerii Narodowej w 1938 roku.

Emmanuel Rosenbaum zaklął, co nie było w jego zwyczaju, a następnie zapakował obraz, schował go do walizki i podszedł do stanowiska linii Swissair zabukować bilet na najbliższy lot do Genewy. Przy odrobinie szczęścia miał jeszcze szansę zdążyć do Roget et Cie przed zamknięciem.

Viscount BEA wylądował na lotnisku w Genewie tego samego dnia o jedenastej dwadzieścia pięć czasu lokalnego, parę minut później, niż to wynikało z rozkładu lotów. Stewardesa zaleciła pasażerom, żeby przestawili zegarki o godzinę naprzód – według czasu środkowoeuropejskiego.

– Wspaniale – rzekł Adam. – Będziemy w Genewie akurat w porze lunchu, potem wizyta w banku i… lot powrotny o piątej pięć.

– Traktujesz to wszystko jak ćwiczenia wojskowe – powiedziała Heidi ze śmiechem.

– Wszystko prócz ostatniego punktu programu.

– Ostatniego punktu programu?

– Mam na myśli naszą uroczystą kolację.

– Pewnie znów w Chelsea Kitchen.

– I tu się mylisz. Zamówiłem na ósmą dwuosobowy stolik w Coq d'Or w pobliżu Piccadilly.

– Nie chwal dnia przed zachodem słońca, dobrze ci radzę.

– Co za krotochwile się ciebie trzymają!

– Krotochwile? Nie rozumiem.

– Wyjaśnię ci to podczas naszej dzisiejszej kolacji.

– Miałam nadzieję, że nie zdążymy – powiedziała Heidi.

– Dlaczego?

– Bo jedyne, co mnie jutro czeka, to lada w sklepie „Niemiecka żywność".

– Lepsze to niż zajęcia ze starszym sierżantem o dziesiątej – jęknął Adam. – Zaraz po dziesiątej będę leżał na łopatkach, żałując, że w ogóle wyjeżdżałem z Genewy.

– To cię powinno nauczyć, jak go znokautować – rzekła Heidi. – A może rzeczywiście lepiej się stąd nie ruszajmy – dodała, biorąc Adama pod rękę.

Adam pochylił się i delikatnie pocałował ją w policzek. Stali właśnie w przejściu, czekając, aż ich wypuszczą z samolotu, i patrzyli na siąpiący na schodki deszcz. Adam rozpiął płaszcz przeciwdeszczowy i próbował okryć nim Heidi, kiedy biegli przez płytę lotniska do budynku Biura Imigracyjnego.

– Dobrze, że nie zapomniałem wziąć płaszcza.

– To nie płaszcz, to cały namiot – powiedziała Heidi.

– To mój stary płaszcz wojskowy – zapewnił ją Adam. – Można w nim zmieścić wszystko: mapy, kompasy, nawet przybory do spania.

– Adamie, przecież to ma być spacer po Genewie w środku lata, a nie błądzenie po Schwarzwaldzie w środku zimy.

Adam roześmiał się.

– Ilekroć będzie padało, przypomnę sobie twoją ironię.

Autobus łączący lotnisko z miastem jechał do centrum Genewy zaledwie dwadzieścia minut. Minąwszy przedmieścia, znaleźli się wkrótce nad wspaniałym spokojnym jeziorem, otoczonym wzgórzami. Jakiś czas jechali wzdłuż brzegu, aż wreszcie autobus zatrzymał się naprzeciwko potężnej fontanny, która biła na ponad sto dwadzieścia metrów w górę.

– Zaczynam się czuć jak na wycieczce – powiedziała Heidi, gdy wysiadali, zadowoleni, że przestało padać.

Kiedy szli wzdłuż jeziora szeroką promenadą, na której nie leżał choćby jeden śmieć czy papierek, uderzyła ich czystość miasta. Eleganckie hotele, banki i sklepy po drugiej stronie ulicy harmonizowały z całym otoczeniem.

– Najpierw musimy się dowiedzieć, gdzie jest nasz bank, żebyśmy przed wzięciem łupu mogli sobie gdzieś blisko zjeść lunch.

– A jak wojskowy poradzi sobie z tak trudnym zadaniem? – spytała Heidi.

– Bardzo prosto. Wstąpimy do pierwszego z brzegu banku, jaki zobaczymy, i zapytamy o Rogeta.

– Jestem przekonana, że w czasach skautowskich miałeś masę sprawności.

Adam wybuchnął śmiechem.

– Aż tak źle ze mną?

– Jeszcze gorzej – odparła Heidi. – Jesteś uosobieniem prawdziwego angielskiego dżentelmena, jak go widzi każdy Niemiec.

Adam obrócił się, delikatnie dotknął jej włosów, nachylił się i pocałował ją w usta.

Heidi nagle poczuła na sobie spojrzenia przechodniów.

– Wydaje mi się, że Szwajcarzy nie akceptują takiego zachowania w miejscu publicznym – powiedziała. – A niektórzy podobno nawet w prywatnym.

– Mam iść i pocałować tę starą wiedźmę, która się na nas gapi?

– Nie rób tego, Adamie. Mógłbyś się zamienić w żabę. Lepiej zacznijmy realizować twój plan strategiczny – powiedziała Heidi, wskazując Banque Populaire po drugiej stronie ulicy.

Kiedy tam dotarli, Heidi zapytała portiera o Roget et Cie. Trzymając się jego wskazówek, ruszyli w kierunku centrum, ponownie zachwycając się ogromną fontanną.

Roget et Cie nie rzucał się w oczy i dwukrotnie przegapili bank, zanim Heidi wypatrzyła obok drzwi z kutego żelaza i taflowego szkła dyskretnie wyryty w kamieniu szyld.

– Wygląda imponująco – rzekł Adam. – Nawet podczas przerwy na lunch.

– A czegoś się spodziewał? Małej prowincjonalnej filii? Wiem, że wy, Anglicy, niechętnie to przyznajecie, ale Szwajcaria jest światowym centrum bankowym.

– Poszukajmy lepiej tej restauracji, zanim nasze *entente cordiale* się załamie – powiedział Adam.

Wrócili do fontanny i widząc, jak słońce próbuje się przedrzeć przez szczeliny między chmurami, wybrali małą kawiarenkę pod gołym niebem z widokiem na jezioro. Oboje zamówili sałatkę serową i do tego pół butelki białego wina. Adam tak się dobrze czuł w towarzystwie Heidi, że zaczął jej opowiadać historie z czasów, kiedy był w wojsku. Musiała go powstrzymywać, uświadamiając mu, że dochodzi druga. Niechętnie poprosił o rachunek.

– Nadszedł czas, żeby sprawdzić, czy carska ikona rzeczywiście istnieje – powiedział.

Kiedy wrócili pod bank, pchnął ciężkie drzwi, wszedł i rozejrzał się po mrocznym holu.

– O, tam – powiedziała Heidi, wskazując siedzącą za biurkiem dziewczynę.

– Dzień dobry, nazywam się Adam Scott. Przyszedłem po pewien depozyt, który odziedziczyłem na mocy testamentu.

Kobieta uśmiechnęła się.

– Czy jest pan z kimś umówiony? – spytała po angielsku z ledwo wyczuwalnym akcentem.

– Nie – odparł Adam. – Nie wiedziałem, że jest to konieczne.

– Myślę, że i tak uda się sprawę załatwić. – Podniosła słuchawkę, wybrała jedną cyfrę i odbyła krótką rozmowę po francusku. Odłożywszy słuchawkę, poleciła im udać się na czwarte piętro.

Adam ze zdziwieniem stwierdził, że oczekuje go tam mężczyzna mniej więcej w jego wieku.

– Dzień dobry panu. Nazywam się Pierre Neffe i jestem współudziałowcem banku – powiedział młody mężczyzna nienaganną angielszczyzną.

– A mówiłam ci, że będę tu niepotrzebna – szepnęła Adamowi do ucha Heidi.

– Nie mów hop – rzekł Adam. – Jeszcze nawet nie zaczęliśmy wyjaśniać, o co chodzi.

Neffe poprowadził ich do niewielkiego, elegancko urządzonego pokoju.

– Bardzo tu przytulnie – powiedział Adam, zdejmując płaszcz. – Człowiek czuje się jak u siebie w domu.

– Właśnie o to nam chodzi – rzekł protekcjonalnym tonem Neffe – żeby nasi klienci czuli się jak u siebie.

– Pan nie był u mnie – rzekł Adam, ale Neffe się nie roześmiał.

– Czym mogę panu służyć? – spytał jedynie.

– Mój ojciec, który zmarł w ubiegłym miesiącu, zapisał mi w testamencie pokwitowanie na coś, co jak sądzę, znajduje się u państwa w depozycie od roku 1938. Jest to dar, który otrzymał od jednego z państwa klientów. – Adam zawahał się. – Od niejakiego Emmanuela Rosenbauma.

– Czy ma pan jakiekolwiek dokumenty dotyczące tego daru? – spytał Neffe.

– O tak. – Adam sięgnął do kieszeni prochowca i podał młodemu bankierowi pokwitowanie wystawione przez Roget et Cie.

Neffe studiował je chwilę, po czym skinął głową.

– Czy mógłbym zobaczyć pański paszport?

– Naturalnie. – Adam ponownie sięgnął do kieszeni płaszcza i podał paszport.

– Zechce pan chwilę zaczekać. – Neffe wstał i wyszedł, zostawiając ich samych.

– Jak myślisz, co oni kombinują? – spytała Heidi.

– Najpierw pewnie sprawdzą, czy mają tę ikonę, a później, czy moje pokwitowanie jest autentyczne. Od 1938 roku wiele się wydarzyło.

W miarę upływu czasu Adam czuł się coraz bardziej rozczarowany, potem przygnębiony, aż wreszcie uznał, że cała ta sprawa nie jest warta funta kłaków.

– Zawsze możesz zdjąć ze ściany jeden z tych obrazków i schować do kieszeni – przekomarzała się z nim Heidi. – Jestem przekonana, że w Londynie dostałbyś za niego dobrą cenę, może nawet lepszą niż za tę swoją ukochaną ikonę.

– Za późno – stwierdził Adam, w drzwiach bowiem pojawił się Neffe z drugim mężczyzną, którego przedstawił jako pana Rogeta.

– Dzień dobry – powitał ich Roget. – Przykro mi, że mój ojciec nie mógł pana przyjąć osobiście, ale zatrzymały go w Chicago ważne sprawy. – Uścisnął rękę zarówno Adamowi, jak i Heidi. – Mamy w dokumentach list pana Rosenbauma z wyraźnymi instrukcjami dla banku, a mianowicie, że skrzynki ma nie otwierać nikt oprócz – spojrzał na kartkę, którą przyniósł –

pułkownika Geralda Scotta, kawalera Orderu za Wzorową Służbę, Orderu Imperium Brytyjskiego i Krzyża Wojskowego.

– To mój ojciec – rzekł Adam. – Ale jak już wyjaśniłem panu Neffe'owi, ojciec zmarł w ubiegłym miesiącu i zapisał mi ten dar w testamencie.

– Wierzę panu – powiedział Roget. – Zechce pan jednak łaskawie okazać mi akt zgonu i testament.

Adam uśmiechnął się na myśl o własnej przezorności i raz jeszcze włożył rękę do kieszeni, po czym wyjął dużą szarą kopertę z grubym czarnym nadrukiem: „Holbrooke, Holbrooke & Gascoigne", z koperty zaś akt zgonu ojca, testament oraz list zatytułowany: „Do okazania odnośnym władzom" i wręczył wszystko to Rogetowi, który przestudiował powoli trzy dokumenty i przekazał je wspólnikowi, ten zaś z kolei po przeczytaniu ich szepnął coś do ucha swojemu szefowi.

– Czy pozwoli pan, że w jego obecności zadzwonimy do pana Holbrooke'a? – spytał Roget.

– Bardzo proszę – odrzekł Adam – ale uprzedzam, że jest on raczej dosyć gburowaty.

– Gburowaty? – zdziwił się bankier. – Nie znam tego słowa, ale chyba rozumiem, co pan ma na myśli. – Odwrócił się i zamienił kilka słów ze wspólnikiem, a ten spiesznie wyszedł z pokoju, jednak już po chwili wrócił z egzemplarzem Rejestru Angielskiego Towarzystwa Prawniczego z 1966 roku.

Adam z uznaniem dla solidności banku patrzył, jak Roget sprawdza zgodność numeru i adresu na nagłówku listu z numerem i adresem w rejestrze.

– Nie sądzę, żeby telefonowanie do pana Holbrooke'a było konieczne – rzekł w końcu Roget – mamy tu jednak pewien problem.

– Mianowicie? – spytał Adam nerwowo.

– Pan Rosenbaum jest nam winien pewną sumę, a przepisy naszego banku stanowią, że dopóki konto nie zostanie wyrównane, nie możemy otworzyć depozytu.

Na myśl o tym, że nie przewidział takiej ewentualności i nie wziął ze sobą dostatecznej sumy, Adamowi zaczęło walić serce.

– Suma ta to zaledwie sto dwadzieścia franków. Stanowi ona należność za przechowywanie depozytu przez dwa lata, od chwili kiedy fundusz pana Rosenbauma się wyczerpał.

Adam odetchnął z ulgą. Wyjął portfel, podpisał czek podróżny i wręczył go bankierowi.

– Pozostaje nam jeszcze poprosić pana o wypełnienie formularza zwalniającego nas z odpowiedzialności materialnej.

Roget podsunął Adamowi długi, gęsto zadrukowany formularz w języku francuskim, na który Adam ledwie spojrzał, po czym podał go Heidi. Dziewczyna czytała formularz dokładnie, klauzula po klauzuli. Roget wyjaśnił Adamowi, że to rutynowa formalność.

Heidi skinęła głową. Adam złożył zamaszysty podpis na kropkowanej linii.

– Doskonale – rzekł bankier. – Pozostało nam już tylko pójść po pańską skrzynkę.

– Obawiam się, że będzie pusta – rzekł Adam, kiedy znów zostali sami.

– A ja uważam, że będzie nabita złotymi dublonami, ty pesymisto – powiedziała Heidi.

Kilka minut później obaj bankierzy wrócili z metalową płaską szkatułką o wymiarach trzydzieści na dwadzieścia trzy na siedem centymetrów.

Adam poczuł się nieco rozczarowany skromnymi wymiarami skrzynki, ale starał się tego nie okazywać. Roget otworzył kluczem bankowym górny zamek, po czym wręczył Adamowi spłowiałą kopertę z sygnaturą banku na woskowej pieczęci.

– Cokolwiek znajduje się w szkatułce, należy do pana, panie Scott – rzekł Roget. – Proszę dać nam znać, jak pan będzie gotów. Zaczekamy na korytarzu. – Po czym obaj mężczyźni wyszli z pokoju.

– Prędzej – powiedziała Heidi. – Ja się już nie mogę doczekać.

Adam otworzył kopertę. Wypadł z niej kluczyk. Wsunął go do zamka i po chwili wieko szkatułki odskoczyło z lekkim szczęknięciem. W środku znajdowała się niewielka płaska paczuszka zawinięta w muślin i mocno związana sznurkiem. Przez chwilę Adam męczył się z supłami, aż wreszcie zniecierpliwiony zerwał sznurek i zsunął muślin. Ich zdumionym oczom ukazało się niewiarygodnie wspaniałe arcydzieło.

Na widok prostego piękna kombinacji plam złota, czerwieni i błękitu dosłownie zaniemówili. Żadne nie spodziewało się czegoś aż tak olśniewającego. Z niedowierzaniem patrzyli na postać świętego Jerzego pochylającego się nad smokiem, którego serce ma przebić potężnym mieczem.

Buchający ze smoczego pyska ogień, w kolorze głębokiej czerwieni, kontrastował ostro ze złotem płaszcza spowijającego świętego.

– Coś cudownego – powiedziała Heidi, odzyskawszy wreszcie głos.

Adam wciąż trzymał delikatne malowidło.

– Powiedz coś – rzekła dziewczyna.

– Szkoda, że mój ojciec tego nie widział. Ta ikona mogła odmienić jego życie.

– Nie zapominaj, że jego życzeniem było, żeby odmieniła twoje – zauważyła Heidi.

Adam odwrócił w końcu ikonę i zobaczył winkrustowaną w drewno srebrną koronę carską. Usiłował sobie przypomnieć, co na temat ikony mówił pan Sedgwick w Sotheby's.

– Szkoda, że ojciec nie otworzył tego listu – rzekł. Ponownie odwrócił ikonę, podziwiając postać triumfującego świętego Jerzego. – Bo przecież prawnie to się jemu należało.

Heidi sprawdziła, czy nic nie zostało w skrzynce, po czym zatrzasnęła wieko. Adam zamknął skrzynkę swoim kluczem, a następnie owinął malowidło muślinem, owiązał sznurkiem i wsunął do kieszeni płaszcza.

Heidi uśmiechnęła się.

– Wiedziałam, że dowiedziesz przydatności tego płaszcza, nawet jeśli nie będzie padało.

Adam otworzył drzwi. Dwaj bankierzy wyrośli jak spod ziemi.

– Mam nadzieję, że znalazł pan w skrzynce to, czego pan oczekiwał – rzekł Roget.

– Tak, dokładnie – odparł Adam. – Ale skrzynka już mi nie będzie potrzebna – dodał, zwracając bankierowi kluczyk.

– Jak pan sobie życzy. – Roget skłonił się. – A tu jest reszta z pańskiego czeku. – Podał Adamowi kilka szwajcarskich banknotów. – Przepraszam, ale jestem zmuszony państwa opuścić. Pan Neffe państwa odprowadzi. – Uścisnął dłoń Adamowi, skłonił się lekko Heidi i dodał z uśmiechem: – Mam nadzieję, że nie uzna mnie pan za zbyt gbu… gburowatego.

Roześmiali się obaj.

– A ja życzę państwu miłego pobytu w naszym mieście – rzekł Neffe, kiedy winda powoli wiozła ich w dół.

– Ten pobyt z konieczności będzie bardzo krótki – powiedział Adam. – Za niecałą godzinę musimy być na lotnisku.

Winda zatrzymała się na parterze i Neffe odprowadził Adama i Heidi przez hol do drzwi. Te wprawdzie przed nimi otwarto, ale młodzi ludzie zatrzymali się, żeby przepuścić starszego mężczyznę wchodzącego właśnie do banku. Większość ludzi zapewne gapiłaby się na jego nos, ale Adam przede wszystkim zwrócił uwagę na jego przenikliwe spojrzenie.

Starzec podszedł do siedzącej w recepcji dziewczyny i oznajmił:

– Chciałbym się widzieć z panem Rogetem.

– Obawiam się, że pan Roget jest w tej chwili w Chicago, ale zobaczę, może jego syn będzie mógł pana przyjąć. Kogo mam zapowiedzieć?

– Emmanuela Rosenbauma.

Kobieta podniosła słuchawkę i ponownie odbyła krótką rozmowę w języku francuskim.

– Zechce pan się udać na czwarte piętro – zwróciła się do starca.

Rosenbaum znów musiał wsiąść do okropnej windy i znów jej okrutne szczęki mało go nie przytrzasnęły. Do poczekalni odprowadziła go pani w średnim wieku. Rosenbaum grzecznie odmówił kawy, którą mu zaproponowała, stukając się znacząco w serce.

– Za chwilę przyjdzie pan Roget – zapewniła go kobieta.

I rzeczywiście, wkrótce pojawił się uśmiechnięty Roget.

– Miło mi pana poznać – rzekł. – Jaka szkoda, że pan się rozminął z panem Scottem.

– Z panem Scottem? – zdziwił się starzec.

– Tak. Wyszedł dosłownie przed chwilą, ale załatwiliśmy wszystko dokładnie według instrukcji zawartej w pańskim liście.

– W moim liście? – powtórzył Rosenbaum.

– Tak – odparł bankier, po raz drugi tego ranka sięgając do akt nieruszanych od ponad dwudziestu lat, po czym wręczył Rosenbaumowi list.

Emmanuel Rosenbaum wyjął z wewnętrznej kieszeni okulary, założył je powoli i zaczął czytać znajome pismo. Dużymi literami gęstym czarnym atramentem napisano:

Forsthaus Haarhot
Amsberg 14
Vosswinnel
Sachsen
Niemcy

12 września 1946

Szanowny Panie Roget

W moim sejfie nr 718 zostawiłem u Pana małą ikonę przedstawiającą św. Jerzego ze smokiem. Niniejszym przenoszę tytuł własności tej ikony na oficera armii brytyjskiej, pułkownika Geralda Scotta, kawalera Orderu za Wzorową Służbę, Orderu Imperium Brytyjskiego i Krzyża Wojskowego. Gdyby pułkownik Scott kiedykolwiek zgłosił się po ową ikonę, proszę mu niezwłocznie wydać mój klucz.

Z góry dziękuję za pomoc w tej sprawie i żałuję, że nie miałem okazji poznać Pana osobiście.

Pozostaję z szacunkiem
Emmanuel Rosenbaum

– I pan twierdzi, że dzisiaj, nieco wcześniej, zgłosił się do pana po ten depozyt pułkownik Scott?

– Ależ nie. Pułkownik Scott zmarł niedawno i zapisał go swojemu synowi, Adamowi Scottowi. Wspólnie z panem Neffe'em sprawdziliśmy dokładnie wszystkie dokumenty, łącznie z aktem zgonu i testamentem, i nie mamy najmniejszych wątpliwości, że oba dokumenty były autentyczne, a co za tym idzie, że wszystko jest w porządku. Syn pułkownika Scotta przedstawił mi także pańskie pokwitowanie. – Młody bankier zawahał się. – Mam nadzieję, że nie doszło z naszej strony do żadnego uchybienia?

– Żadnego. Przyszedłem jedynie sprawdzić, czy wszystko zostało załatwione zgodnie z moim życzeniem.

Roget uśmiechnął się z ulgą.

– Chciałbym również wspomnieć, że na pańskim koncie był niewielki deficyt.

– Ile jestem panom winien? – spytał starzec, sięgając do wewnętrznej kieszeni.

– Nic pan nie jest winien – odparł Roget. – Absolutnie nic. Pan Scott już to uregulował.

– A zatem jestem winien tę sumę panu Scottowi. Czy mógłby mi pan podać jej wysokość?

– Sto dwadzieścia franków.

– Muszę niezwłocznie zwrócić te pieniądze. Ma pan może adres, pod którym mógłbym znaleźć pana Scotta?

– Przykro mi, ale nie jestem w stanie panu pomóc. Nie mam pojęcia, gdzie się zatrzymał.

Neffe dotknął łokcia Rogeta i szepnął mu coś do ucha.

– Okazuje się – rzekł Roget – że pan Scott zamierzał natychmiast wrócić do Anglii. Mówił, że przed piątą ma być na lotnisku.

Starzec wstał.

– Dzięki serdeczne za pomoc, nie będę zabierał panom więcej czasu.

– Lot BE 171, miejsca 14 A i B – poinformował ich pracownik linii lotniczych przy odprawie. – Samolot odleci o czasie, więc powinni państwo najdalej za dwadzieścia minut zgłosić się przy wyjściu numer dziewięć.

– Dziękuję – powiedział Adam.

– Czy mają państwo jakiś bagaż, który by wymagał odprawy?

– Nie – odparł Adam. – Przyjechaliśmy do Genewy tylko na jeden dzień.

– W takim razie życzę państwu miłego lotu – rzekł mężczyzna, wręczając im karty pokładowe.

Adam i Heidi udali się w stronę ruchomych schodów, które miały ich zawieźć do hali odlotów.

– Zostało mi jeszcze siedemset siedemdziesiąt franków szwajcarskich – powiedział Adam, licząc banknoty. – Muszę kupić dla matki pudełko dobrych czekoladek z likierem. Kiedy byłem chłopcem, dostawała ode mnie malutką bombonierkę na każde Boże Narodzenie. Przysiągłem sobie, że gdy dorosnę i pojadę do Szwajcarii, przywiozę jej najwspanialszą bombonierkę, jaką znajdę.

Heidi wskazała półkę, na której widać było całe rzędy efektownych pudełek. Adam podszedł do kontuaru i wybrał dużą złotą bombonierkę czekoladek Lindt, którą sprzedawczyni elegancko mu zapakowała i włożyła do torby.

– Dlaczego jesteś taka smutna? – zwrócił się do Heidi, chowając resztę.

– Bo ona mi przypomniała, że i ja jutro rano będę siedzieć przy kasie – odparła dziewczyna.

– Za to dziś wieczorem czeka nas Coq d’Or – rzekł Adam i spojrzał na zegarek. – Została nam jeszcze chwila. Wiele nie zdziałamy, ale moglibyśmy sobie wybrać jakieś wino w sklepiku wolnocłowym.

– Ja bym chętnie kupiła „Der Spiegel”, zanim przejdziemy odprawę celną.

– Dobrze. Tu, w rogu, jest kiosk z gazetami.

– Telefon do pana Adama Scotta. Pan Adam Scott jest proszony o zgłoszenie się do stanowiska BEA na parterze – rozległo się z głośnika.

Adam i Heidi popatrzyli na siebie zdumieni.

– Pewnie nam dali złe numery miejsc w samolocie. – Adam wzruszył ramionami. – Chodź, pójdziemy sprawdzić.

Zeszli na dół i zgłosili się do mężczyzny, który wręczał im karty pokładowe.

– To, zdaje się, pan nas wzywał. Jestem Adam Scott.

– A tak. Jest dla pana pilna wiadomość. – Mężczyzna spojrzał w notatnik. – Pan Roget z banku Roget et Cie, numer w Genewie 271279, prosi pana o telefon. – Wydarł kartkę i wręczył Adamowi. – Telefony są tam, w rogu, za stanowiskiem KLM. Trzeba wrzucić dwadzieścia centymów.

– Dziękuję – powiedział Adam, oglądając kartkę, z której jednak nie mógł się dowiedzieć, czego chce od niego pan Roget.

– Ciekawe, o co chodzi – zastanawiała się Heidi. – Chyba trochę za późno na żądanie, żeby mu zwrócić ikonę.

– Istnieje tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć – rzekł Adam i wręczając Heidi torbę, dodał: – Popilnuj mi tego, zaraz wrócę.

– Ja tymczasem spróbuję sobie kupić „Spiegla”, jeżeli znajdę na tej kondygnacji kiosk z prasą – powiedziała Heidi, biorąc od niego kolorową torbę z czekoladkami.

– W porządku – rzucił. – Za parę minut się tu spotkamy.

– *Roget et Cie. Est-ce-que je peux vous aider?*

– Pan Roget życzył sobie, żebym zadzwonił – powiedział Adam, nie siląc się nawet na francuszczyznę.

– Rozumiem. Kogo mam zapowiedzieć? – zapytała telefonistka, natychmiast przechodząc na angielski.

– Adama Scotta.

– Proszę chwileczkę zaczekać, sprawdzę, czy pan Roget jest.

Adam odwrócił się, żeby zobaczyć, czy Heidi już wróciła do stanowiska BEA, a nie ujrzawszy jej, uznał, że jeszcze szuka kiosku z gazetami. W tym momencie dostrzegł idącego przez halę starego mężczyznę. Mógłby przysiąc, że już go kiedyś widział.

– Czy pan Scott?

Adam nachylił się do słuchawki.

– Tak. Podobno chciał pan ze mną rozmawiać.

– Ja z panem? – Roget wydawał się zaskoczony. – Nic nie rozumiem.

– Na stanowisku BEA zastałem wiadomość, że mam do pana zadzwonić. W pilnej sprawie.

– To chyba jakieś nieporozumienie. Nie zostawiałem żadnej wiadomości. Ale skoro już pan dzwoni, to może pana zainteresuje, że zaraz po pańskim wyjściu złożył nam wizytę pan Emmanuel Rosenbaum.

– Emmanuel Rosenbaum? – powtórzył Adam. – A ja myślałem, że on…

– Przepraszam, czy mogłaby mi pani pomóc?

Heidi podniosła wzrok na starego mężczyznę, który zwrócił się do niej wprawdzie po angielsku, ale z jakimś dziwnym środkowoeuropejskim akcentem. Zastanawiała się, dlaczego uznał, że ona musi mówić po angielsku, ale doszła do wniosku, że to widocznie jedyny język, w którym stary czuje się pewnie.

– Chciałbym złapać taksówkę. Obawiam się, że i tak jestem spóźniony, ale cóż… wzrok już nie ten.

Heidi odłożyła na półkę „Spiegla”.

– Taksówki są tam, za tymi podwójnymi drzwiami pośrodku, zaraz pana zaprowadzę.

– Jak to miło z pani strony – rzekł mężczyzna. – Przykro mi, że sprawiam pani tyle kłopotu.

– Ależ to drobiazg – powiedziała Heidi, biorąc starca pod ramię i prowadząc go w stronę wyjścia z napisem: „Taksówki i autobusy”.

– Jest pan pewien, że to był Rosenbaum? – zapytał zaniepokojony Adam.

– Jestem pewien – odparł bankier.

– I był rad, że wziąłem ikonę?

– O tak, panu Rosenbaumowi chodziło jedynie o to, żeby zwrócić panu te sto dwadzieścia franków. Przypuszczam, że będzie usiłował się z panem skontaktować.

– Start samolotu pasażerskiego BEA lot BE 171 do Londynu. Pasażerowie proszeni są do wyjścia numer dziewięć.

– Muszę już kończyć – rzekł Adam. – Za kilka minut odlatuje mój samolot.

– Życzę panu miłego lotu – powiedział bankier.

– Dziękuję bardzo.

Adam odwiesił słuchawkę, po czym spojrzał w stronę stanowiska BEA i ze zdumieniem stwierdził, że Heidi jeszcze nie wróciła. W obawie, że mogła nie słyszeć komunikatu, zaczął wzrokiem szukać kiosku z gazetami. W pewnym momencie spostrzegł, że dziewczyna właśnie przeprowadza przez podwójne drzwi starego mężczyznę, którego wcześniej zauważył.

Zawołał ją i szybko ruszył w ich stronę. Coś tu nie grało. Kiedy dotarł do automatycznych drzwi, musiał przystanąć i zaczekać, aż się rozsuną. Widział Heidi stojącą na chodniku i otwierającą mężczyźnie drzwi taksówki.

– Heidi! – zawołał. Starzec odwrócił się nagle i Adam po raz drugi odniósł wrażenie, że to ten sam człowiek, którego wcześniej widział w banku. – Czy pan Rosenbaum? – spytał.

Ze zdumiewającą siłą i szybkością starzec wepchnął Heidi na tylne siedzenie taksówki, następnie sam do niej wskoczył, zatrzasnął drzwi i wrzasnął na cały głos:

– *Allez vite!*

Na chwilę Adam oniemiał, ale już sekundę później rzucił się do taksówki. Zdołał jednak zaledwie dotknąć klamki, gdy samochód wyrwał do przodu i odjechał. Zobaczył jeszcze w tylnej szybie osłupiałą Heidi, nim nagły pęd odrzucił go na chodnik. Gapiąc się na tablicę rejestracyjną odjeżdżającego wozu, zapamiętał jedynie GE-7-1-2 oraz markę i kolor samochodu: był to granatowy mercedes. Rozpaczliwie rozejrzał się za drugą taksówką, ale do jedynej wolnej ładowano właśnie czyjś bagaż.

Po drugiej stronie placu zatrzymał się akurat volkswagen garbus. Zza kierownicy wysiadła kobieta i poszła otworzyć bagażnik. Z przeciwnej strony podszedł mężczyzna i włożył do niego walizkę, po czym kobieta zatrzasnęła klapę.

Na krawężniku dwójka ludzi padła sobie w ramiona. Adam jednym susem dopadł volkswagena, wskoczył do niego od strony pasażera i przesunął się na miejsce kierowcy. Kluczyk tkwił w stacyjce. Adam przekręcił go, wrzucił bieg, nacisnął gaz i ruszył do tyłu. Całująca się para patrzyła na to w osłupieniu. Adam zmienił bieg ze wstecznego na jedynkę. Silnik zareago-

wał powoli, ale dostatecznie szybko, żeby Adam zdołał umknąć ścigającemu go mężczyźnie. To musiała jednak być trójka, pomyślał, przełożył dźwignię i kierując się znakami, ruszył w stronę Genewy.

Do chwili, kiedy osiągnął pierwsze rondo, zdołał już opanować biegi, ale musiał bardzo uważać, żeby się trzymać prawej strony jezdni. GE712, GE712 – powtarzał nieustannie w myślach, żeby wbić sobie numer do głowy. Przyglądał się tablicom rejestracyjnym i pasażerom każdej mijanej granatowej taksówki. Naliczywszy ich z tuzin, zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem taksówka, którą odjechała Heidi, nie skręciła z głównej ulicy. Cisnął gaz do deski: 90, 100, 110, 120 kilometrów na godzinę. Minął jeszcze trzy taksówki, ale w dalszym ciągu nie było śladu Heidi.

W pewnym momencie zobaczył na zewnętrznym pasie, w znacznej odległości przed sobą, mercedesa z zapalonymi światłami pędzącego z szybkością znacznie większą niż dozwolona w tym miejscu. Był przekonany, że volkswagenem dogoni mercedesa, zwłaszcza jeśli jest to diesel. Metr po metrze zmniejszał dzielącą go od mercedesa odległość, zastanawiając się, dlaczego starzec miałby porywać Heidi. Czyżby to był Rosenbaum? Ale przecież Rosenbaum cieszył się z tego, że Adam odebrał ikonę, a przynajmniej tak wynikało z zapewnień Rogeta. Wszystko to razem nie miało sensu i prowadził z uczuciem, że lada chwila obudzi się z przykrego snu.

Kiedy znaleźli się na peryferiach, Adam jadący za mercedesem starannie wybraną przez niego trasą wiedział, że to nie sen. Na następnym rondzie dzieliły ich już tylko trzy samochody.

– Czerwone światło, muszę mieć czerwone światło! – wykrzyknął, ale trzy pierwsze światła były uparcie zielone. A kiedy wreszcie zapaliło się czerwone, wpakowała się przed niego półciężarówka, znów zwiększając dystans między nimi. Zaklął, wyskoczył z samochodu i zaczął biec w stronę taksówki, ale w tym momencie światło znów zmieniło się na zielone i mercedes ruszył. Adam śpiesznie wrócił do volkswagena, zaledwie jednak zdążył przejechać skrzyżowanie, światło znów zmieniło się na czerwone. Decyzja opuszczenia samochodu kosztowała go kilka bezcennych sekund i teraz, kiedy spojrzał przed siebie, taksówka była zaledwie punktem w oddali.

Kiedy dotarli do Avenue de France, biegnącej równolegle do zachodniego brzegu jeziora, oba samochody z trudem lawirowały w ruchu ulicznym. Nagle mercedes skręcił w lewo i zaczął się wspinać na niewielkie

wzgórze. Adam błyskawicznie obrócił kierownicą – przez chwilę jechał pod prąd, z trudem tylko unikając zderzenia czołowego z wozem pocztowym i jednocześnie pilnie obserwując mercedesa, który znów skręcił w lewo. Żeby nie stracić z nim kontaktu, Adam tak nieoczekiwanie zajechał drogę autobusowi, że zmusił kierowcę do gwałtownego hamowania. Kilku pasażerów wyrzuconych z miejsc pogroziło mu pięścią, a zdenerwowany kierowca zatrąbił na niego.

Taksówka była teraz zaledwie dwieście metrów od niego. W Adama znów wstąpiła nadzieja, gdy nagle mercedes z piskiem opon zatrzymał się przy krawężniku. Przez następne kilka sekund, kiedy Adam zbliżał się do stojącego wozu, nic się nie działo. Zaparkował volkswagena tuż za mercedesem, wysiadł i ruszył w stronę taksówki, a wtedy nagle wyskoczył z niej stary mężczyzna i zaczął uciekać w boczną ulicę, unosząc kolorową torbę Heidi i małą walizeczkę.

Adam otworzył tylne drzwi mercedesa, patrząc na Heidi, która siedziała dziwnie bez ruchu.

– Nic ci nie jest? Czy nic ci nie jest? – powtarzał w kółko, zdawszy sobie nagle sprawę, jak bardzo Heidi jest mu droga.

Ale dziewczyna nawet nie drgnęła ani nie odezwała się słowem. Położył jej ręce na ramionach i spojrzał w oczy, ale zobaczył w nich kompletną pustkę. Zaczął głaskać Heidi po włosach, lecz nagle jej głowa opadła bezwładnie na jego ramię, a z kącika ust wyciekła strużka krwi. Adama przejął zimny dreszcz, zrobiło mu się niedobrze i zaczął dygotać na całym ciele. Spojrzał na taksiarza. Siedział pochylony i oparty o kierownicę, a jego ręce zwisały bezwładnie po bokach. Nie zdradzał najmniejszych oznak życia.

Adam nie mógł uwierzyć, że tych dwoje jest martwych.

Nie wypuszczając Heidi, spojrzał w stronę starca, który właśnie osiągał szczyt pagórka.

Dlaczego w dalszym ciągu myślał o nim jako o starym człowieku? Przecież ten facet wcale nie był stary, przeciwnie – zupełnie młody i bardzo sprawny. Nagle strach Adama zamienił się w gniew. Miał ułamek sekundy na podjęcie decyzji. Puścił Heidi i ruszył pędem za mordercą. Paru przechodniów przystanęło na chodniku, przyglądając się Adamowi i samochodom. Musi złapać uciekającego mężczyznę. Biegł najszybciej, jak potrafił, ale płaszcz krępował mu ruchy i kiedy osiągnął szczyt wzniesienia, morderca miał nad nim jakieś sto metrów przewagi i właśnie docierał do głów-

nej ulicy. Adam próbował wydłużyć krok, widząc, jak mężczyzna wskakuje do przejeżdżającego tramwaju, był jednak za daleko, żeby mieć na to jakikolwiek wpływ. Mógł jedynie patrzeć, jak tramwaj nieuchronnie niknie mu z oczu.

Stojący na stopniu zbieg odwrócił się, spojrzał na Adama i prowokacyjnie uniósł torbę. Nie był już ani przygarbiony, ani słaby i kruchy, i nawet z tej odległości cała jego postawa wyrażała triumf. Adam stał chwilę pośrodku ulicy, patrząc, jak tramwaj rozpływa się w dali.

Usiłował zebrać myśli. Zdawał sobie sprawę, że złapanie taksówki w godzinach szczytu jest prawie niemożliwe. Za sobą słyszał syreny, jak sądził, karetek pogotowia usiłujących dotrzeć na miejsce wypadku.

– Wypadek – powiedział głośno. – Zaraz się zorientują, że to morderstwo.

Próbował uporządkować jakoś w głowie szalone wydarzenia ostatniej półgodziny. Nic się tu nie trzymało kupy. Z pewnością zaraz się okaże, że to wszystko to jakaś straszna pomyłka… Dotknął kieszeni, dotknął carskiej ikony. Przecież morderca nie zadawałby sobie takiego trudu dla głupich dwudziestu tysięcy funtów, przecież nie mordowałby dwojga niewinnych ludzi tylko dlatego, że stanęli mu na drodze… Dlaczego? Dlaczego ta ikona jest taka ważna? Zaraz… Co takiego powiedział ten facet w Sotheby’s? „Pytał o nią właśnie jakiś Rosjanin”? Myśli Adama zaczęły wirować. Jeśli to był rzeczywiście Emmanuel Rosenbaum i jeśli mordował dla tej ikony, to został z dużym pudełkiem szwajcarskich czekoladek w ręku!

Kiedy usłyszał za sobą gwizdek, odczuł ulgę na myśl o zbliżającej się pomocy. Odwróciwszy się jednak, zobaczył dwóch policjantów z wycelowanymi w niego pistoletami. Instynktownie zaczął biec i obejrzawszy się przez ramię, stwierdził, że już kilku funkcjonariuszy rzuciło się za nim w pościg. Przyśpieszył i mimo krępującego ruchy płaszcza wątpił, czy którykolwiek z nich zdoła wytrzymać tempo, jakie narzucił na dystansie ponad czterystu metrów. Skręcił w pierwszą przecznicę i jeszcze przyśpieszył. Uliczka była wąska, tak wąska, że nie minęłyby się na niej nawet dwa rowery. Z kolei wybrał ulicę jednokierunkową, gęsto zastawioną samochodami. Tu mógł łatwo i bezpiecznie lawirować w powolnym ruchu napływających z naprzeciwka pojazdów.

W ciągu kilku minut zgubił ścigających go policjantów, biegł jednak nadal, stale zmieniając kierunek, dopóki nie przebył jakichś trzech kilome-

trów. Na koniec skręcił w niewielką, cichą uliczkę, w połowie której dostrzegł szyld hotelu Monarque; była to właściwie gospoda, z całą pewnością niezasługująca na miano hotelu. Ciężko dysząc, przystanął na chwilę w zacienionym miejscu. Po upływie jakichś trzech minut, kiedy oddech mu się wyrównał, wszedł do hoteliku.

XI

Stał nagi, oglądając w hotelowym lustrze podobiznę Emmanuela Rosenbauma. Nie był zadowolony z tego, co widział. Najpierw wyjął zęby, a następnie zaczął kłapać własnymi – raz i dwa, raz i dwa. Uprzedzano go, że dziąsła mogą boleć jeszcze kilka dni. Potem ostrożnie, warstwa po warstwie, zaczął demontować ogromny nos, podziwiając artyzm i kunszt, z jakim to monstrum zostało wykonane. Mówił im, że ten nos będzie się zbytnio rzucał w oczy. O to chodzi, skupi na sobie całą uwagę tamtych, odpowiadali eksperci.

Po usunięciu ostatniej warstwy to, co zostało – jego arystokratyczny nos – wydawało się wprost śmieszne pośrodku takiej twarzy. Następnie zabrał się do pobrużdżonego czoła, które się nawet poruszało, kiedy robił miny. W miarę jak znikały zmarszczki, ubywało mu lat. Potem przyszła kolej na zwiotczałe policzki i podbródek. Szwajcarscy bankierzy byliby zdumieni, gdyby widzieli, z jaką łatwością zwykły pumeks radzi sobie z wytatuowanym na przedramieniu numerem. Raz jeszcze obejrzał się w lustrze. Z włosami, krótkimi i ufarbowanymi na siwo, natura dłużej zmitręży. Kiedy go ostrzygli i obłożyli mu głowę gęstą, przypominającą błocko mazią, zrozumiał, jak musi się czuć Irlandczyk oblepiony smołą i piórami. Po chwili stał pod ciepłym prysznicem, mocno masując sobie skórę na głowie. Po twarzy i całym ciele płynęły mu czarne strumyki, które znikały w kratce odpływowej. Zużył pół butelki szamponu, zanim jego włosy odzyskały mniej więcej naturalny kolor, ale doszedł do wniosku, że długo jeszcze będzie wyglądał jak sierżant amerykańskiej piechoty morskiej.

W kącie pokoju leżały długi workowaty płaszcz, niezgrabny wyświechtany garnitur, czarny krawat, szarawa koszula, wełniane rękawiczki z pięcioma palcami oraz paszport izraelski. Efekt wielogodzinnych przygotowań został zniszczony w ciągu kilku minut. Marzył o tym, żeby to wszystko spalić, ale ostatecznie zostawił rekwizyty zwalone na stertę w rogu pokoju. Następnie wszedł do sypialni i wyciągnął się na łóżku jak ziewający kot.

Od długotrwałego przygarbienia bolał go kręgosłup. Wstał, dotknął czubków palców u nóg, a następnie pięćdziesiąt razy wyrzucił wysoko nad głowę ramiona. Minutę odpoczywał, po czym wykonał pięćdziesiąt pompek.

Wrócił do łazienki i wziął drugi prysznic, tym razem zimny. Wreszcie poczuł się jak człowiek. Na koniec przebrał się w świeżo wyprasowaną kremową jedwabną koszulę i nowy dwurzędowy garnitur.

Zanim zadzwonił do Londynu i dwa razy do Moskwy, zamówił posiłek do pokoju. Niech go nie widzą – po co ma się tłumaczyć z tego, że kiedy się meldował w hotelu, był o trzydzieści lat starszy od mężczyzny, który teraz samotnie je kolację. Jak wygłodzone zwierzę, szarpał zębami stek i żłopał wino.

Popatrzył na kolorową torbę, ale nie miał ochoty zakończyć kolacji jedną z likierowych czekoladek Scotta. Znów wezbrała w nim złość na myśl o tym, że Anglik jednak go przechytrzył.

Zatrzymał wzrok na skórzanej walizeczce, która leżała na podłodze koło łóżka. Otworzył ją i wyjął kopię ikony, którą Zaborski kazał mu zawsze nosić przy sobie, żeby nie było wątpliwości, gdyby się mimo wszystko natknął na oryginał.

Chwilę po jedenastej nastawił wieczorne wiadomości. Nie mieli zdjęcia podejrzanego, a jedynie zdjęcie głupiego taksówkarza, który jechał tak wolno, że przypłacił to życiem, i ładnej młodej Niemki, która próbowała się bronić. Był w tym pewien patos – jeden czysty cios i została z przetrąconym karkiem. Spiker telewizyjny podał, że policja poszukuje jakiegoś bliżej nieokreślonego Anglika. Romanow uśmiechnął się na samą myśl o tym, że policja szuka Scotta, podczas gdy on raczy się stekiem w luksusowym hotelu. Chociaż szwajcarska policja nie miała zdjęcia podejrzanego, Romanowowi nie było ono potrzebne. Tej twarzy nigdy nie zapomni. A zresztą jego kontakt w Anglii w jednej rozmowie telefonicznej powiedział mu o kapitanie Scotcie znacznie więcej, niż szwajcarska policja dowie się o nim w ciągu tygodnia.

Kiedy usłyszał o karierze wojskowej Scotta i o jego odznaczeniach za odwagę, pomyślał, że przyjemnie byłoby zabić takiego człowieka.

Leżąc na małym, nędznym wyrku, Adam próbował uporządkować elementy układanki, które zaczynały tworzyć całość. Jeżeli Göring zostawił

ikonę jego ojcu i jeżeli Emmanuel Rosenbaum to pseudonim Göringa, to Emmanuel Rosenbaum nie istnieje. Ale przecież istnieje: usiłując położyć łapę na ikonie, zabił dwie osoby. Adam zapalił nocną lampkę i z kieszeni płaszcza wyjął mały pakunek. Ostrożnie rozwinął ikonę i wysunął ją do światła. Z malowidła spoglądał na niego święty Jerzy, może tym razem nie tyle wspaniały, ile oskarżycielski. Adam bez wahania oddałby Rosenbaumowi ikonę, gdyby to miało przywrócić Heidi życie.

O północy wiedział już, co ma dalej robić, ale ze swojej klitki wyruszył dopiero po trzeciej. Cicho wstał z łóżka, wyjrzał na korytarz, a następnie, bezszelestnie zamknąwszy za sobą drzwi, zszedł na dół. Na ostatnim stopniu zatrzymał się, nasłuchując. Nocny portier kiwał się przed telewizorem, który wydawał teraz monotonny szum. Pośrodku ekranu widniał srebrny punkt. Dotarcie do drzwi wejściowych zajęło Adamowi około dwóch minut, w czasie których raz tylko stąpnął na skrzypiącą klepkę, ale chrapanie portiera zagłuszyło hałas. Znalazłszy się na zewnątrz, rozejrzał się, ale nie dostrzegł żadnego ruchu. Nie zamierzał się zbytnio oddalać, więc pozostając w cieniu, posuwał się wzdłuż jezdni w nietypowym dla siebie tempie. Na rogu ulicy dostrzegł to, o co mu chodziło, ale od celu dzieliło go jeszcze ze sto metrów.

Wciąż nie było żywego ducha, szybko więc ruszył w stronę budki telefonicznej. Wcisnął do otworu dwudziestocentymową monetę i czekał. Po chwili odezwał się głos:

– *Est-ce-que je peux vous aider?*

Adam odpowiedział jednym słowem:

– Międzynarodowa.

Chwilę później inny głos powtórzył to samo pytanie.

– Chciałem zamówić rozmowę z Londynem na koszt abonenta – powiedział Adam wyraźnie. Nie zamierzał się powtarzać.

– Taa – rzekł głos. – Pańskie nazwisko.

– George Cromer.

– Pański numer telefonu?

– Genewa 271982. – Celowo przestawił trzy ostatnie cyfry, bo obawiał się, że tej nocy wszystkie telefony do Anglii będą na podsłuchu. Potem podał telefonistce numer w Anglii.

– Proszę chwilę zaczekać.

– Czekam – odparł Adam, raz jeszcze rozglądając się i wypatrując jakiegoś ruchu. Ale dostrzegł tylko przejeżdżający samochód. Stał wciśnięty w kąt budki.

Słyszał, jak telefonistka go łączy. „Obudź się”, błagały bezgłośnie jego usta. Wreszcie sygnał ucichł i w słuchawce rozległ się znajomy głos.

– Kto mówi? – Lawrence był wyraźnie zirytowany, ale całkowicie przytomny.

– Zgadza się pan na obciążenie kosztami za telefon od niejakiego George’a Cromera z Genewy?

– George Cromer, lord Cromer, prezes Bank of Eng…? Tak, zgadzam się.

– To ja, Lawrence – powiedział Adam.

– Dzięki Bogu! Co się z tobą dzieje?

– Jestem w dalszym ciągu w Genewie, ale nie wiem, czy uwierzysz w to, co mam ci do powiedzenia. Kiedy czekaliśmy na lotnisku, żeby wsiąść do samolotu, jakiś facet wciągnął Heidi do taksówki i zamordował ją, zanim zdążyłem ich dogonić. Problem jednak polega na tym, że szwajcarska policja poszukuje mnie jako mordercy.

– Spokojnie, Adam. Tyle wiem. To wszystko podawali w wieczornych wiadomościach telewizyjnych. Policja już tu była. Wygląda na to, że zidentyfikował cię jej brat.

– Co chcesz powiedzieć przez „zidentyfikował”? Przecież ja tego nie zrobiłem. To był niejaki Rosenbaum, nie ja, Lawrence.

– Rosenbaum? A kto to jest Rosenbaum?

Adam usiłował uspokoić głos.

– Dziś rano przyjechaliśmy z Heidi do Genewy, żeby w jednym z banków odebrać dar, który ojciec zapisał mi w testamencie. Okazało się, że to pewne malowidło. Kiedy mieliśmy już wracać i czekaliśmy na lotnisku, ten Rosenbaum porwał Heidi, myśląc, że to ona ma ikonę, co było bez sensu, bo rzecz jest warta zaledwie dwadzieścia tysięcy funtów.

– Ikonę? – zdziwił się Lawrence.

– Tak, ikonę przedstawiającą świętego Jerzego ze smokiem. Ale to nieważne. Ważne, że…

– Posłuchaj mnie. Słuchaj uważnie – przerwał mu Lawrence – bo nie będę powtarzał. Ukrywaj się do rana, a potem zgłoś się do konsulatu. Postaraj się tam dobrnąć w jednym kawałku, a moja w tym głowa, żeby konsul

cię przyjął. Tylko bądź tam nie wcześniej niż o jedenastej, bo jest godzinne przesunięcie czasu w stosunku do Genewy, a ja i tak będę się musiał sprężyć, żeby zdążyć wszystko nagrać i żeby personel był odpowiednio przygotowany.

Adam uśmiechnął się po raz pierwszy od dwunastu godzin.

– Czy morderca dostał to, o co mu chodziło? – spytał Lawrence.

– Nie, nie dostał ikony. Nabrał się na czekoladki, które kupiłem dla matki w prezencie.

– Dobre i to. W każdym razie siedź w ukryciu i nie pokazuj się szwajcarskiej policji, bo wszyscy są przekonani, że to ty zamordowałeś Heidi.

– Ale… – zaczął Adam.

– Żadnych ale. Masz być o jedenastej w konsulacie. A teraz lepiej się rozłącz – rzekł Lawrence. – O jedenastej, pamiętaj, i nie spóźnij się.

– Dobrze, Lawrence, ale… – raz jeszcze zaczął Adam, w słuchawce jednak usłyszał tylko buczenie.

Dzięki Ci, Boże, za Lawrence’a, pomyślał. Cudowny Lawrence z dawnych czasów, który nie musiał o nic pytać, bo sam wszystko wiedział. Chryste, w co ja się władowałem? Adam ponownie rozejrzał się po ulicy. Żywego ducha. Chyłkiem przebył dwieście metrów dzielące go od hotelu. Drzwi frontowe w dalszym ciągu były otwarte, portier dalej spał, telewizor szumiał, srebrna kropka tkwiła na miejscu. Pięć po czwartej był w łóżku. Ale nie spał. Zbyt wiele było elementów łamigłówki, które do siebie nie pasowały: Heidi, kierowca taksówki, rosyjski dżentelmen w Sotheby’s.

Ale najbardziej niepokoiła go rozmowa z Lawrence’em – czyżby rzeczywiście Lawrence’em z dawnych czasów?

Tego czwartkowego ranka, o siódmej dwadzieścia, do hotelu Monarque przybyło dwóch policjantów. Byli zmęczeni, niezadowoleni i głodni. Od północy odwiedzili czterdzieści trzy hotele po zachodniej stronie miasta, wszystko na nic. Sprawdzili ponad tysiąc kart meldunkowych i obudzili siedmiu Bogu ducha winnych Anglików, którzy w najmniejszym nawet stopniu nie pasowali do rysopisu Adama Scotta.

O ósmej zakończą służbę i będą mogli wracać do swoich żon i na śniadanie, ale przedtem muszą jeszcze sprawdzić trzy hotele. Na widok wchodzących do holu policjantów właścicielka wybiegła im na spotkanie. Nienawidziła policji i była zdania, że szwajcarskie gliny są jeszcze gorsze niż

Niemcy. Dwukrotnie w ciągu ubiegłego roku została ukarana grzywną, a raz nawet grożono jej więzieniem za to, że nie melduje wszystkich gości. Gdyby znów ją na tym złapano, jak nic straciłaby licencję i nie miałaby z czego żyć. Z trudem zbierając myśli, próbowała ustalić, kto przybył ubiegłego wieczoru. Zameldowało się osiem osób, ale tylko dwie zapłaciły gotówką: Anglik, który prawie nie otwierał ust i w karcie wpisał nazwisko Pemberton, i Maurice, który zawsze, będąc w Genewie, pojawiał się z inną dziewczyną. Obie karty zniszczyła, a pieniądze schowała do kieszeni. Maurice i dziewczyna ulotnili się około siódmej, już nawet zaścieliła łóżko, ale Anglik dalej spał w swoim pokoju.

– Chcielibyśmy sprawdzić karty meldunkowe z ubiegłego wieczoru, *madame*.

– Bardzo proszę, *monsieur* – odparła z ciepłym uśmiechem i wręczyła sześć kart: dwóch Francuzów, jednego Włocha, dwóch Szwajcarów z Zurychu i jednego z Bazylei.

– Czy nie zatrzymał się tu wczoraj u pani Anglik?

– Nie – odpowiedziała stanowczo. – Anglika nie mieliśmy – dodała przymilnie – co najmniej od miesiąca. Zechcą panowie rzucić okiem na karty z ubiegłego tygodnia?

– Nie, to zbyteczne – odparł jeden z policjantów. Właścicielka mruknęła coś z zadowoleniem. – Ale musimy sprawdzić wolne pokoje. Z licencji wynika, że w hotelu jest dwanaście pokoi – ciągnął policjant – a zatem sześć powinno być pustych.

– I są puste – powiedziała właścicielka. – Już je dziś rano sprawdzałam.

– Ale my musimy stwierdzić to sami – upierał się drugi policjant.

Wziąwszy klucz służbowy, kobieta powlokła się ku schodom. Zdobywała je, jakby to był szczyt Everestu. Otworzyła pokoje pięć, siedem, dziewięć i jedenaście. Pokój Maurice’a został sprzątnięty w ciągu paru minut po jego wyjściu, ale wiedziała dobrze, że jeśli otworzy dwunastkę, bez wątpienia straci licencję. Z trudem powstrzymała się przed zapukaniem, zanim przekręciła klucz w zamku. Puściła policjantów przodem, sama zaś wolała zostać na korytarzu, na wypadek gdyby wynikły jakieś kłopoty. Nie po raz pierwszy tego dnia przeklinała sprawność szwajcarskiej policji.

– Dziękujemy, *madame* – powiedział pierwszy policjant, wycofując się. – Przepraszamy, że sprawiliśmy pani kłopot – dodał i na swojej liście przy hotelu Monarque postawił znaczek.

Kiedy policjanci schodzili na parter, osłupiała właścicielka weszła do pokoju numer dwanaście. Łóżko było nietknięte, jakby nikt w nim nie spał, nie było też śladu po jakimkolwiek gościu. Odwołała się do swojej zmęczonej pamięci. Nie piła znów tak wiele poprzedniego wieczoru – jakby na potwierdzenie swojej trzeźwości dotknęła spoczywających w kieszeni dziesięciu franków.

– Ciekawe, co się z nim stało – mruknęła.

Przez ostatnią godzinę Adam krył się przycupnięty za starym wagonem kolejowym stojącym na bocznicy towarowej niecałe osiemset metrów od hotelu. Miał stąd dobry widok we wszystkich kierunkach w promieniu jakichś stu metrów. Obserwował, jak dojeżdżający do pracy wczesnym rankiem wysypują się z wszelkich możliwych pociągów. Ósmą dwadzieścia uznał za godzinę szczytu. Sprawdził, czy ikona jest na swoim miejscu, i opuścił kryjówkę, by włączyć się w strumień podążających do pracy ludzi. Po drodze zatrzymał się przy kiosku, żeby kupić gazetę. Jedyną angielską gazetą o tej wczesnej porze była „Herald Tribune” – londyńskie gazety przywożono pierwszym samolotem, ale Adam widział, jak „Herald Tribune” wyładowują z paryskiego pociągu. W tym samym kiosku kupił jeszcze dwie rzeczy: plan Genewy i tabliczkę czekolady Nestlé.

Zostały mu jakieś dwie godziny do zameldowania się w konsulacie. Mimo sporej odległości widział majaczący w oddali budynek, który zaznaczył na planie jako swoją następną kryjówkę. Ruszył w tamtą stronę, starając się trzymać ludzi. Znalazłszy się na sporym placu, przemykał się wzdłuż jego dłuższego boku pod markizami sklepów, starannie unikając otwartych przestrzeni. Zajęło mu to sporo czasu, ale wyliczył sobie wszystko idealnie. Przed drzwiami kościoła znalazł się dokładnie w chwili, kiedy setki wiernych wychodziło z porannego nabożeństwa.

Wewnątrz poczuł się bezpiecznie. Katedra Świętego Piotra była rozplanowana jak większość katedr na świecie, dlatego natychmiast zorientował się w jej rozkładzie. Wolno ruszył boczną nawą w stronę kaplicy Matki Boskiej. Po drodze wrzucił do puszki drobną sumę, zapalił świeczkę i wetknął ją w pusty uchwyt pod figurą Najświętszej Marii Panny. Wreszcie ukląkł, ani na chwilę nie zamykając jednak oczu. Katolik jedynie z urodzenia, Adam już od dawna nie wierzył w Boga, chyba że w chorobie, w niebezpieczeństwie albo w samolocie. Po jakichś dwudziestu minutach z rozpaczą stwierdził, że w kościele została zaledwie garstka ludzi. Pierwsze

ławki obsiadły stare kobiety w czerni, które przesuwając paciorki różańca, mamrotały:

– *Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum, benedicta…*

Kilku turystów, zadzierając głowy, podziwiało belkowanie sufitu.

Adam podniósł się wolno, zerkając na boki. Szybko ruszył w stronę konfesjonału częściowo ukrytego za filarem. Niewielki znak umieszczony na drewnianej podpórce zawiadamiał, że konfesjonał jest nieczynny. Wśliznął się do środka, usiadł i zaciągnął zasłonki.

Najpierw wyjął z kieszeni płaszcza „Herald Tribune", a potem zerwał srebrną folię z czekolady i łapczywie się na nią rzucił. Następnie zabrał się do szukania doniesień na swój temat. Większość artykułów była poświęcona sprawom amerykańskim i na pierwszą stronę trafiła tylko jedna czy dwie wiadomości z Anglii. „Czy funt za 2 dolary 80 centów w dalszym ciągu jest za drogi?" – brzmiał jeden z tytułów. Przesunął wzrokiem po mniejszych nagłówkach, aż znalazł to, czego szukał, w lewym dolnym rogu: „Młoda Niemka i kierowca taksówki zamordowani, policja poszukuje Anglika". Przeczytał notatkę, ale przestraszył się na dobre dopiero, gdy się dowiedział, że znają jego nazwisko.

„Poszukuje się kapitana Adama Scotta, który niedawno wystąpił z Królewskiego Pułku Wessex… ciąg dalszy na stronie piętnastej". Zaczął przewracać wielkie strony. Nie było to łatwe w ograniczonej przestrzeni konfesjonału. „…w celu poddania go przesłuchaniu przez genewską policję w związku z…"

– *Au nom du Père, du Fils et du Saint Esprit.*

Adam, zaskoczony, podniósł głowę znad gazety i już miał się rzucić do ucieczki, ale długotrwały trening pozwolił mu przezwyciężyć ten odruch.

– Spowiadam się Panu Bogu Wszechmogącemu w Trójcy Świętej jedynemu… – odpowiedział automatycznie.

– Dobrze, synu. Wyznaj, czym zgrzeszyłeś – rzekł kapłan z akcentem, ale poprawną angielszczyzną.

Nie mogę w żaden sposób zdradzić, kim jestem, myślał Adam gorączkowo. Wyjrzał zza zasłonki i z niepokojem zauważył dwóch policjantów, którzy przy zachodnich drzwiach pytali o coś innego księdza. Zaciągnął zasłonkę i z jedynym akcentem, jaki potrafił w sposób całkowicie wiarygodny naśladować, zaczął:

– Ojcze, jestem z Dublina, wczoraj wieczorem poderwałem w barze tutejszą dziewczynę i zabrałem ją do hotelu.

– Tak, synu.

– I tak od jednego do drugiego…

– Do czego drugiego, synu?

– No, wziąłem ją do pokoju.

– I co dalej, synu?

– I ona zaczęła się rozbierać.

– I co się potem stało?

– Potem ta dziewczyna zaczęła rozbierać mnie.

– Próbowałeś się opierać, synu?

– Tak, ojcze, ale było mi coraz trudniej…

– Czy doszło do stosunku, synu?

– Obawiam się, że tak, ojcze. Nie mogłem się powstrzymać. Ona była taka piękna – dodał Adam.

– A czy masz wolę poślubić tę dziewczynę, synu?

– Ach, nie, ojcze. Ja już jestem żonaty i mam dwójkę rozkosznych dzieciaków, Seamusa i Maureen.

– Pamiętaj, synu, że masz o tej sprawie jak najprędzej zapomnieć.

– Chciałbym, ojcze.

– Czy to się już wcześniej zdarzało?

– Nie, ojcze, po raz pierwszy jestem sam za granicą. Przysięgam.

– Niech więc to będzie dla ciebie nauczka na przyszłość, moje dziecko, i niech Pan w swoim miłosierdziu przebaczy ci ten ohydny grzech. A teraz, synu, wzbudź w sobie żal za grzechy.

– Za wszystkie grzechy serdecznie żałuję…

Kiedy Adam dokończył akt żalu za grzechy, kapłan udzielił mu rozgrzeszenia i jako pokutę zadał odmówienie trzech dziesiątek różańca.

– I jeszcze jedno – rzekł ksiądz.

– Słucham, ojcze.

– Jak tylko wrócisz do Irlandii, do żony, wyznasz jej wszystko. Inaczej nie możesz liczyć na odpuszczenie grzechu. Musisz mi to obiecać, synu.

– Jak tylko wrócę do żony, wyznam jej wszystko, co stało się tamtej nocy, ojcze – obiecał Adam, znów wyglądając przez szparę między zasłonkami. Policjanci gdzieś zniknęli.

– Dobrze, synu. Módl się do Najświętszej Marii Panny, by cię chroniła przed takimi pokusami.

Adam poskładał gazetę, wepchnął ją do kieszeni płaszcza, wyszedł z konfesjonału i usiadł na końcu ławki. Rozłożywszy przed sobą plan Genewy, opuścił głowę i zaczął szeptać *Ojcze nasz*. Przy „odpuść nam nasze winy” znalazł konsulat brytyjski za rozległym zielonym skwerem. Ocenił, że odległość między konsulatem a katedrą musi wynosić około półtora kilometra i że od bezpiecznego miejsca dzieli go siedem ulic i most – tyle miał jeszcze do pokonania. Wrócił do kaplicy Matki Boskiej i ukląkłszy, spojrzał na zegarek. Było za wcześnie, żeby opuścić katedrę, więc pozostał w niej jeszcze jakieś pół godziny z twarzą ukrytą w dłoniach, rozpatrując w myślach trasę, jaką miał do przebycia. Zobaczywszy gromadkę turystów z przewodnikiem, odprowadził ich wzrokiem aż do wielkich drzwi w zachodnim skrzydle świątyni. Musiał idealnie zgrać wszystko w czasie.

Nagle zerwał się z miejsca, ruszył boczną nawą do kruchty i przyłączył się do grupy turystów. Zasłonięty przez nich wydostał się na plac przed katedrą, dał nura pod najbliższą markizę sklepową, a następnie przeszedł wzdłuż trzech boków placu, unikając policjanta przechadzającego się na jego północnym rogu. Kiedy zmieniły się światła, przeszedł na drugą stronę pierwszej przecznicy i ruszył ulicą jednokierunkową. Pamiętając, że przy jej końcu ma skręcić w lewo, trzymał się wewnętrznej strony chodnika. Zza rogu wyszło dwóch policjantów, kierując się wprost na niego. Wpadł do pierwszego lepszego sklepu i ustawił się tyłem do ulicy.

– *Bonjour, monsieur* – powitała go młoda kobieta. – *Vous désirez quelque chose?*

Adam rozejrzał się. Otaczały go gibkie manekiny w majtkach, stanikach i długich czarnych pończochach z podwiązkami.

– Szukam prezentu dla żony.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Może haleczkę? – zaproponowała.

– Dobrze – odparł Adam – niech będzie haleczka. Czy mogłaby być w kolorze czerwonego wina? – zapytał, odwracając się dyskretnie w chwili, kiedy policjanci mijali drzwi sklepu.

– Wydaje mi się, że tak, ale muszę sprawdzić w magazynie.

Zanim dziewczyna wróciła „dokładnie z tym, o co chodziło”, Adam był już przy najbliższym skrzyżowaniu.

Trzy następne skrzyżowania pokonał bez przygód. Mając jednak świadomość, że pozostało mu jeszcze do przebycia ostatnie dwieście metrów, poczuł, że serce wali mu jak młotem. Na ostatnim skrzyżowaniu był tylko jeden policjant, wyraźnie zajęty regulowaniem ruchu. Adam starał się trzymać tyłem do niego. Widział już przed sobą skwer zaznaczony na planie jako mała zielona plamka. Po drugiej stronie skweru, nad niebieskimi drzwiami, dostrzegł flagę brytyjską.

„Nigdy nie pokonuj biegiem ostatnich kilku metrów, zwłaszcza kiedy teren jest otwarty” – powtarzał mu wiele razy sierżant na patrolu w dżungli malajskiej. Przeszedł przez ulicę i stanął na skraju niewielkiego zieleńca, zaledwie pięćdziesiąt metrów od bezpiecznego azylu. Ulicę patrolował policjant, ale to dlatego – wytłumaczył sobie Adam – że w tym miejscu sąsiadowało ze sobą kilka konsulatów. Bacznie obserwował funkcjonariusza. Dwie minuty zajęło mu dojście do konsulatu francuskiego, zanim odwrócił się i podjął swój powolny spacer w przeciwnym kierunku. Schował się za drzewo, wybierając sobie jednocześnie po przeciwległej stronie ulicy następne, w odległości zaledwie kilku kroków od drzwi konsulatu, które miało go zasłonić przez zbliżającym się policjantem. Obliczył, że idąc niezwracającym uwagi tempem, w ciągu dziesięciu sekund pokona ostatni, trzydziestometrowy odcinek drogi. Czekał, aż policjant osiągnie najdalszy punkt swojej trasy.

Spojrzał na drzwi konsulatu i z ulgą stwierdził, że właśnie wchodzi tam jakaś dziewczyna z teczką. Drzwi pozostały uchylone, a w pobliżu nie było widać żadnego strażnika. Rzucił okiem na wykuszowe okno na parterze. Zobaczył w nim dwóch mężczyzn, którzy wyglądali na skwerek, jakby kogoś oczekiwali. Lawrence’owi udało się wszystko nagrać. Za chwilę będzie bezpieczny. Podniósł kołnierz płaszcza i ruszył żwawo właśnie w chwili, kiedy zegar na katedrze wybił jedenastą. Policjanta dzieliło jeszcze od najdalszego punktu kilka kroków, ale w dalszym ciągu szedł w przeciwnym kierunku. Adam pokonał ulicę odmierzonym krokiem. Kiedy dotarł do szyn tramwajowych pośrodku jezdni, musiał się nagle zatrzymać, żeby przepuścić samochód. Policjant odwrócił się, by rozpocząć spacer w odwrotnym kierunku.

Adam zamarł na chwilę między szynami tramwajowymi, gapiąc się na drzewo, które sobie wybrał jako tarczę, w razie gdyby policjant odwrócił się, zanim on zdoła dotrzeć do drzwi konsulatu. Kiedy pewnym krokiem

ruszył do celu, drogę zastąpił mu wysoki mężczyzna atletycznej budowy, z jasnymi, ostrzyżonymi na jeża włosami.

Gdyby nie oczy, Adam by go nie poznał.

CZĘŚĆ DRUGA

DOWNING STREET 10
LONDYN

17 czerwca 1966

XII

DOWNING STREET 10, LONDYN

17 czerwca 1966

Kiedy sir Morris Youngfield wyszedł od premiera, w dalszym ciągu nie rozumiał, dlaczego posiadanie jakiejś ikony może być aż tak ważną sprawą.

Pozostawiwszy za sobą Downing Street numer 10, sir Morris ruszył szybko w stronę Ministerstwa Spraw Zagranicznych i już wkrótce wysiadał z windy na siódmym piętrze. Kiedy wchodził do swojego gabinetu, jego sekretarka Tessa właśnie przygotowywała dla niego jakieś dokumenty.

– Niech się natychmiast zbierze D4 – zwrócił się do kobiety, która służyła mu wiernie od czternastu lat. – I powiedz kapitanowi Buschowi, żeby dołączył do zespołu.

Tessa uniosła brwi, ale sir Morris zignorował jej milczący komentarz – wiedział, że nie poradzi sobie bez pomocy Amerykanów. Raz jeszcze rozważył polecenia premiera. Harold Wilson nie musiał mu tłumaczyć, że nie tak znów często zdarzają mu się telefony Lyndona Johnsona z prośbą o pomoc.

Ale rosyjska ikona przedstawiająca angielskiego świętego?

Na widok zbliżającego się Romanowa Adam zrobił krok do tyłu, żeby zejść z szyn i przepuścić tramwaj. Kiedy tramwaj przejechał, Scotta już nie było. Romanow parsknął pogardliwie na tak amatorski trik, biegiem pokonał dwadzieścia metrów dzielące go od wagonu i ku ogólnemu zdumieniu, wskoczył do środka. Systematycznie, rząd po rzędzie, zaczął sprawdzać twarze pasażerów.

Adam odczekał, aż tramwaj przejedzie jeszcze ze dwadzieścia metrów, i wychylił się zza drzewa. Był spokojny, że do drzwi konsulatu dotrze na długo przed tym, jak morderca Heidi zdoła wrócić. Spojrzał na przeciwległą stronę ulicy i zaklął pod nosem. Policjant znajdował się zaledwie kilka

kroków od konsulatu i nieubłaganie się do niego zbliżał. Adam obejrzał się na tramwaj, który właśnie mijał się z tramwajem jadącym w jego kierunku. Ku swojej rozpaczy zobaczył, jak jego przeciwnik ze zręcznością wyczynowego gimnastyka przeskakuje z jednej platformy na drugą. W tej sytuacji nie pozostało mu nic innego, jak tylko wycofać się i rzucić sprintem w jednokierunkową uliczkę. Ubiegłszy pięćdziesiąt metrów, obejrzał się przez ramię. Mężczyzna, którego znał dotychczas jako Rosenbauma, a który teraz ruszył za nim, w niczym nie przypominał niezdarnego starca.

Usiłując zwiększyć dystans, Adam skoczył pomiędzy samochody i autobusy i wmieszał się w tłum przechodniów. Na pierwszym skrzyżowaniu zobaczył grubą kobietę, która akurat wychodziła z oddalonej o kilka kroków budki telefonicznej. Zmienił kierunek, wpadł do budki i przycupnął w rogu. Drzwi ze skrzypieniem zamknęły się za nim. Rosenbaum przebiegł jeszcze ze dwadzieścia kroków, zanim się zorientował, że Adam zmienił kierunek o sto osiemdziesiąt stopni. Adam wiedział, że ma zaledwie pięć sekund potrzebne napastnikowi na zorientowanie się, jaki kierunek obrała ofiara. Biegnąc, odliczał: jeden i dwa, i trzy, i cztery, i pięć. Spojrzał w prawo i pokonał trzy stopnie, po czym pchnął jakieś drzwi wahadłowe. Znalazł się przed niewielkim kontuarem, za którym siedziała młoda kobieta z plikiem biletów.

– *Deux francs, monsieur* – powiedziała.

Adam szybko wyjął dwa franki i ruszył długim, ciemnym korytarzem, który kończył się kolejnymi drzwiami wahadłowymi. Stanął z tyłu sali, czekając, aż mu się przyzwyczai wzrok. Był to pierwszy seans i sala kinowa świeciła pustkami. Zajął miejsce na końcu jednego z rzędów w jednakowej odległości od obu wyjść.

Gapił się na ekran, szczęśliwy, że film się dopiero zaczął, potrzebował bowiem czasu na ułożenie jakiegoś planu działania. Za każdym razem, kiedy ekran się rozjaśniał, wypatrywał na mapie zaznaczonej na czerwono drogi, a następnie, używając czubka kciuka jako miarki, ocenił, że najbliższe przejście graniczne z Francją znajduje się w odległości zaledwie dwunastu kilometrów w Ferney-Voltaire. Stamtąd mógłby się udać via Dijon do Paryża i być w domu niemal w tym samym czasie, jaki by mu zajęło ponowne obejrzenie *Exodusu*. Zdecydowawszy się na trasę, musiał obmyślić środek transportu i postanowił wynająć samochód. Podczas przerwy został na miejscu, żeby raz jeszcze sprawdzić trasę. W chwili, kiedy Paul

Newman pojawił się na ekranie, Adam złożył mapę, wstał i opuścił kino wyjściem najmniej używanym w ciągu ostatnich czterech godzin.

Kiedy sir Morris wszedł do pokoju, gdzie miało się odbyć spotkanie Wydziału Północnego, zastał tam już zespół D4 w komplecie, pochylony nad aktami, które zostały im dostarczone zaledwie godzinę wcześniej.

Powiódł wzrokiem wokół stołu po doborowej garstce ludzi, z których tylko jednego uważał za równego sobie. Nie był to jednak stary wyjadacz Alec Snell, który pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych dłużej niż wszyscy pozostali i który teraz nerwowo muskał wąsa, czekając, aż sir Morris zajmie miejsce. Obok niego siedział Brian Matthews, znany w wydziale jako „człowiek zrównoważony”: humanista, z pięścią jak młot i do tego straszny zabijaka. Matthews miał naprzeciwko siebie kapitana Ralpha Buscha, przedstawiciela CIA i okropnego choleryka, który po pięciu latach pracy w ambasadzie na Grosvenor Square uważał się za bardziej brytyjskiego od Anglika i żeby tego dowieść, nosił się nawet w stylu Ministerstwa Spraw Zagranicznych. W końcu stołu zajmował miejsce zastępca sir Morrisa, według niektórych za młody na pierwszego po Bogu, chociaż wszyscy, z wyjątkiem Tessy, zapomnieli, że sir Morris objął swoje stanowisko w tym samym wieku.

Czterej członkowie komitetu umilkli, kiedy sir Morris usiadł na honorowym miejscu.

– Panowie – zaczął, jako że jedyną obecną wśród nich kobietą była Tessa, której i tak nie dostrzegał – premier udzielił D4 pełnego błogosławieństwa. Wymaga od was szczegółowych raportów co dwanaście godzin bez względu na to, gdzie się znajduje, i o każdej porze dnia i nocy, gdyby wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Jak więc widzicie, nie mamy chwili do stracenia. Ta szczególna grupa dokooptowała do swego składu oficera łącznikowego CIA, kapitana Ralpha Buscha. Współpracowałem z kapitanem Buschem kilka razy w ciągu ostatnich pięciu lat i jestem szczęśliwy, że ambasada amerykańska wybrała właśnie jego.

Mężczyzna siedzący po prawej stronie sir Morrisa skłonił się lekko. Mając nieco ponad sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, szerokie bary i schludnie przystrzyżoną czarną bródkę, Busch do złudzenia przypominał żeglarza z reklamy papierosów Players. I rzeczywiście, skojarzenie wyda-

wało się właściwe, ponieważ podczas drugiej wojny światowej był dowódcą ścigaczy torpedowych.

– Z najświeższych raportów, jakie otrzymałem – podjął sir Morris, otwierając leżącą przed nim teczkę z dokumentami – wynika, że Scott nie dotarł dziś rano do konsulatu, pomimo że zwróciliśmy się do policji, żeby w promieniu dwustu metrów od skwerku mieli tylko symboliczną obsadę. BEA potwierdziły – ciągnął, zaglądając do leżącej przed nim notatki – naszą wczorajszą wiadomość, że będąc na lotnisku, Scott otrzymał telefon z banku Roget et Cie. Na skutek silnych nacisków naszego ambasadora i Interpolu uzyskaliśmy od pana Rogeta informację, że celem wizyty Scotta w jego banku było podjęcie spadku po niejakim Emmanuelu Rosenbaumie. Dalsze postępowanie wyjaśniające pozwoliło ustalić, że ów Rosenbaum przybył wczoraj rano do Zurychu i po południu udał się do Genewy. Rano opuścił swój hotel, a następnie znikł z powierzchni ziemi. Ale nie byłoby w tym wszystkim nic szczególnego, gdyby pan Rosenbaum nie leciał do Zurychu – tu sir Morris nie mógł odmówić sobie zrobienia retorycznej pauzy – z Moskwy. Sądzę więc, iż założenie, że pan Rosenbaum pracuje pośrednio albo bezpośrednio dla KGB, nie jest pozbawione słuszności. Ale jak się nieraz mieliśmy okazję boleśnie przekonać, KGB jest w Genewie silnie reprezentowane przez obywateli Europy Wschodniej, pracujących pod przykrywką różnych agend ONZ-owskich, jak Międzynarodowa Organizacja Pracy czy Międzynarodowa Organizacja Zdrowia, i korzystających ze statusu dyplomatycznego umożliwiającego im wykonywanie tajnej roboty. W dalszym ciągu jednak pozostaje dla mnie tajemnicą, dlaczego niejaki Rosenbaum miałby zabijać dwie niewinne osoby dla jakiejś niewiadomego pochodzenia ikony. Na tym się mój raport kończy, ale może któryś z panów ma coś nowego. – Zwrócił się do swojego zastępcy.

Lawrence Pemberton spojrzał ze swojego końca stołu.

– Od czasu naszego porannego spotkania, sir, rozmawiałem z siostrą i matką Scotta, jak również z kancelarią adwokacką w Appleshaw, która załatwiała sprawę testamentu jego ojca. Okazało się, że ojciec nie zostawił Scottowi nic, co by przedstawiało jakąkolwiek wartość, oprócz koperty, która, jak twierdzi jego matka, zawierała list od marszałka Rzeszy Hermanna Göringa.

W pokoju podniósł się gwar, który ucichł, dopiero kiedy sir Morris zastukał w stół.

– Czy wiadomo, co w tym liście było? – zapytał.

– Całości nie znamy, ale Scott poprosił jednego z egzaminowanych w ministerstwie kandydatów, niejakiego Wainwrighta, o przetłumaczenie kawałka tekstu, który, jak sądzimy, musiał być fragmentem tego listu, ponieważ później Wainwright zapytał komisję egzaminacyjną, czy był to test. – Lawrence wyjął z leżącej przed nim teczki kartkę i odczytał jej treść:

W ciągu tego roku nie mógł Pan nie zauważyć, że od jednego ze strażników dostawałem regularnie przydziały cygar hawańskich. Była to jedna z nielicznych przyjemności, na jaką mimo wyroku mi zezwalano. Cygara te służyły jeszcze innemu celowi: każde zawierało kapsułkę z niewielką dawką trucizny, wystarczającą do tego, żebym przeżył proces, ale jednocześnie gwarantującą, że oszukam kata.

– I to wszystko? – zapytał sir Morris.

– Obawiam się, że tak – odparł Lawrence – chociaż wydaje mi się, że ten fragment tylko potwierdza to, co Scott wczoraj wieczorem powiedział o celu swojej podróży do Genewy. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że paczka, po którą pojechał, zawierała ikonę świętego Jerzego ze smokiem podarowaną jego ojcu przez Göringa.

– Świętego Jerzego ze smokiem? – zdziwił się Matthews. – Ależ to jest właśnie ta ikona, której od dwóch tygodni gorączkowo poszukuje połowa KGB, a mój wydział usiłuje ustalić dlaczego.

– No i co ustaliliście? – zapytał sir Morris.

– Niewiele – przyznał Matthews – ale uznaliśmy, że to jakiś podstęp, ponieważ carska ikona przedstawiająca świętego Jerzego ze smokiem wisi w Pałacu Zimowym w Leningradzie już, chwała Bogu, od trzystu lat.

– Coś jeszcze? – zapytał sir Morris.

– Tyle tylko, że szef sekcji, która zajmuje się poszukiwaniem ikony, nazywa się Aleks Romanow – rzekł Matthews.

Snell gwizdnął cicho.

– Przynajmniej wiemy, że mamy do czynienia z Pierwszym Wydziałem – powiedział.

Zaległa dłuższa cisza, zanim znów zabrał głos sir Morris.

– Jedno jest jasne. Musimy pierwsi dotrzeć do Scotta, a po drugie, należy przyjąć, że musimy stawić czoło Romanowowi. Co w tej sytuacji robimy?

– To, na co sobie możemy pozwolić – rzekł Lawrence. – Razem z Amerykanami mamy w Genewie siedemnastu ludzi, którzy poszukują Scotta.

– Szwajcarska policja ma tysiąc, zajętych tym samym, chociaż Bóg raczy wiedzieć, po czyjej są stronie – dodał Snell.

– I właściwie nie ma sposobu na to, aby ich przekonać, że Scott nie ma nic wspólnego z tymi dwoma morderstwami – wtrącił Lawrence. – Dlatego musimy go wyjąć bez ich pomocy.

– A co by się stało, gdyby tak Romanow czy ten Rosenbaum, który też musi być powiązany z KGB, pierwsi położyli na nim łapę? – spytał Matthews.

– Cywil przeciwko jednemu z najbardziej bezwzględnych agentów KGB. Tylko tego nam brakuje – rzekł kapitan Busch.

Lawrence skłonił głowę ku Amerykaninowi.

– Znam Adama prawie całe życie. Ironia jego obecnego położenia polega na tym, że to ja, bez jego wiedzy, spowodowałem, że został wezwany na rozmowę jako kandydat do Wydziału Północnego. To z mojej inicjatywy miał przyjść do nas zaraz po skończeniu przeszkolenia sprawnościowego. Jeśli więc Romanow czy którykolwiek z jego pobratymców stanie twarzą w twarz ze Scottem, to niech nie zapomina, że Adam został odznaczony Krzyżem Wojskowym za stawienie czoła tysiącowi Chińczyków.

– A gdyby to był sam Romanow, to czy Scott byłby w stanie go zabić? – zapytał Snell.

– Nim Rosenbaum zamordował jego dziewczynę, powiedziałbym, że nie – odparł Lawrence.

– Nie byłbym pewien jego szans nawet teraz – powiedział Busch.

– Ani ja – dodał Matthews.

– To dlatego, że nie znacie Adama Scotta – rzekł Lawrence.

Matthews spuścił oczy, żeby uniknąć spięcia z szefem. Szef, młodszy od niego o dziesięć lat, mając dwóch do wyboru, na podsekretarza stanu wybrał innego absolwenta Oxbridge. Matthews wiedział, że z punktu widzenia pracy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych chodził do niewłaściwej szkoły i skończył niewłaściwy uniwersytet. Powinien był posłuchać

ojca i iść do policji. Tam przynajmniej nie istniały bariery klasowe i do tej pory byłby już z pewnością nadinspektorem.

Sir Morris ignorował takie wybuchy, które się zresztą powtarzały od chwili, kiedy awansował Pembertona z pominięciem starszego mężczyzny.

– Czy możemy wiedzieć – wtrącił się Snell, patrząc na Buscha – dlaczego jakaś tam stosunkowo mało znana ikona ma tak wielkie znaczenie zarówno dla Rosji, jak i dla Stanów Zjednoczonych?

– Jesteśmy tym tak samo zdumieni jak pan – odparł Amerykanin. – Do waszych informacji możemy dodać jedynie, że dwa tygodnie temu bez żadnego wyjaśnienia Rosjanie zdeponowali w Nowym Jorku złoto w sztabach wartości siedmiuset milionów dolarów. W tej chwili jeszcze nie jesteśmy pewni, czy te dwie sprawy mają jakikolwiek związek.

– Siedemset milionów dolarów? – zdziwił się sir Morris. – Za te pieniądze można by kupić połowę krajów stowarzyszonych w Organizacji Narodów Zjednoczonych.

– I wszystkie ikony, jakie kiedykolwiek zostały namalowane – dodał Matthews.

– Ale wróćmy do tego, co wiemy na pewno, i przestańmy zgadywać, co by było gdyby – rzekł sir Morris, zwracając się do swego zastępcy. – Jaka jest sytuacja Akcji Bezpośredniej?

Lawrence otworzył teczkę z czerwoną opaską i napisem: „Akcja Bezpośrednia”. Właściwie nie musiał do niej zaglądać, ale od czasu do czasu zerkał tylko na dokumenty, aby się upewnić, że niczego nie zapomniał.

– Jak już mówiłem, mamy w terenie siedemnastu agentów, a dzisiaj Amerykanie dostarczą do Genewy jeszcze dwunastu. Ale biorąc pod uwagę, że zarówno Rosjanie, jak i Szwajcarzy przetrząsają miasto niczym rycerze Okrągłego Stołu w poszukiwaniu świętego Graala, możemy mieć tylko nadzieję, że któryś z naszych ludzi natknie się na Scotta w miarę szybko. Jednym z naszych największych problemów jest to, że jak już wyjaśniałem, Szwajcarzy odmawiają współpracy. Według nich Scott to po prostu zbiegły kryminalista i postawili sprawę jasno, że jak się do niego dobiorą, to nie ma mowy o żadnym immunitecie dyplomatycznym. Zaczęliśmy, podobnie jak Szwajcarzy, a także z pewnością Rosjanie – ciągnął Lawrence – od przeszukiwania miejsc oczywistych, jak hotele, pensjonaty, restauracje, lotniska, wypożyczalnie samochodów, a nawet toalety. Cały czas jesteśmy w kontakcie z naszymi agentami działającymi w terenie. Jeśli więc natkniemy się na

Scotta, musimy być natychmiast gotowi do przyjścia mu z pomocą. – Uniósł wzrok i stwierdził, że jeden z obecnych wszystko notuje. – Ponadto poczta rejestruje wszelkie rozmowy między Genewą a Barclays Bank. Jeśli Scott będzie znów próbował dzwonić do mnie do banku albo do domu, to ta rozmowa automatycznie zostanie przełączona tutaj, do biura.

– Czy Scott się orientuje, że pan pracuje w wywiadzie? – zapytał Snell, przeczesując palcami ciemne włosy.

– Nie. Tak jak moja poczciwa mama wierzy święcie, że jestem pracownikiem Barclays Bank zatrudnionym w wydziale międzynarodowym. Ale oczywiście już niedługo musi się zorientować, że to tylko parawan. W przeciwieństwie jednak do mojej matki, Adam nie zawsze wierzy w każde moje słowo, a po naszej wczorajszej rozmowie naturalnie musiał nabrać podejrzeń.

– Czy mamy jeszcze coś? – spytał sir Morris, spoglądając na Lawrence’a.

– W tej chwili już chyba nic szczególnie ważnego. Robimy wszystko, co w naszej mocy, choć nie gramy na swoim boisku, sir. Mimo to mam nadzieję, że tak czy inaczej, w ciągu jakichś dwudziestu czterech godzin zakończymy całą operację. Z tego powodu zarządziłem odpowiednie przygotowania. Kiedy panowie wrócą z kolacji, zastaną w swoich pokojach pościelone łóżka.

– Dziś nie ma mowy o żadnej kolacji – rzekł sir Morris.

Drzwi kina wychodziły na ruchliwą ulicę. Adam wymknął się i włączył w strumień ludzi spieszących teraz do domu na obiad. Idąc, starał się jak najmniej kręcić głową, choć jego oczy ogarniały wszystko w promieniu stu osiemdziesięciu stopni. Minąwszy trzy przecznice, zobaczył po drugiej stronie ulicy czerwony znak Avis kołyszący się lekko w podmuchach popołudniowego wiatru. Bezpiecznie pokonał ruchliwe skrzyżowanie, ale kiedy dotknął stopą krawężnika po drugiej stronie, zamarł. Przed nim w mrowiącym się tłumie stał mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym i nieustannie rozglądał się, nie próbując iść ani w jedną, ani w drugą stronę. Czy był to człowiek Rosenbauma, policjant czy może ktoś ze służb brytyjskich? Trudno było ocenić, po czyjej jest stronie. Adam nie spuszczał z niego wzroku. Mężczyzna wyjął krótkofalówkę i przytknąwszy ją do ust, szepnął:

– Nic nowego, sir. Dalej ani śladu naszego człowieka, nie widziałem też nikogo z KGB.

Adam, który nie słyszał słów, skręcił w boczną ulicę tak szybko, że mało nie przewrócił chłopaka z gazetami. *Le soldat anglais toujours à Genève!* – krzyczał nagłówek. Scott szybko przeszedł jeszcze jedną ulicę, gdzie znów przystanął, tym razem za marmurową figurą pośrodku niewielkiego trawnika. Czas jakiś gapił się na wznoszący się przed nim budynek, ale wiedział, że tam nie znajdzie schronienia. Miał już odejść, gdy przed budynkiem zatrzymał się pusty autokar z wielkim niebieskim napisem: „Królewska Orkiestra Filharmoniczna". Adam patrzył, jak frontowymi drzwiami wychodzą z hotelu muzycy, z instrumentami w futerałach najrozmaitszej długości i szerokości, i wsiadają do autokaru. Jeden taszczył nawet ogromny kocioł, który włożył do komory bagażowej. Spoglądając na wysypujących się muzyków, Adam uznał, że lepsza okazja mu się nie trafi. Kiedy w drzwiach ukazała się kolejna grupa, błyskawicznie ruszył przed siebie i wmieszał się w nią, zanim ktokolwiek zdążył go zauważyć, po czym wyminąwszy muzyków, wszedł w otwarte drzwi hotelu. Pierwszą rzeczą, jaką zauważył w zatłoczonym holu, był oparty o ścianę kontrabas. Spojrzał na nalepkę wokół przewężenia nieporęcznego futerału. „Robin Beresford". Szybko podszedł do recepcji.

– Potrzebuję pilnie klucza od mojego pokoju. Zostawiłem smyk na górze i wszyscy na mnie czekają.

– Proszę bardzo – rzekł recepcjonista. – Który numer?

– Chyba 312. Czy zresztą może to wczoraj miałem ten numer?

– Pańskie nazwisko?

– Beresford, Robin Beresford.

Recepcjonista wręczył mu klucz od pokoju 612.

– Pomylił się pan o trzy piętra – skomentował jedynie.

– Dziękuję – powiedział Adam. Odchodząc, odwrócił się jeszcze, by się upewnić, że recepcjonista jest zajęty następnym gościem. Dziarskim krokiem podszedł do windy, z której wyłaniali się coraz to nowi muzycy. Kiedy kabina się opróżniła, wszedł, nacisnął guzik numer 6 i czekał. Poczuł radość, gdy drzwi się zamknęły i po raz pierwszy od kilku godzin znalazł się sam. Kiedy drzwi windy otworzyły się ponownie, z ulgą stwierdził, że na korytarzu szóstego piętra nie ma nikogo. Szybko ruszył w kierunku numeru 612.

Po otwarciu drzwi powiedział pewnym głosem z najlepszym akcentem, na jaki go było stać: „Obsługa hotelowa”. Ponieważ nikt się nie odezwał, śmiało wszedł i zamknął za sobą drzwi. W rogu stała zamknięta walizka. Sprawdził nalepkę. Najwyraźniej pan Beresford nie miał nawet czasu się rozpakować. Adam obszedł pokój, ale poza karteczką na małym stoliku nie było śladu hotelowego gościa. Na kartce była wypisana na maszynie trasa:

Europa: Genewa, Frankfurt, Berlin, Amsterdam, Londyn.

Genewa: wyjazd autobusem o 17.00 do filharmonii na próbę o 18.00, koncert – 19.30, bisy – 22.00.

Program: III koncert na róg Es-dur Mozarta, część pierwsza, Symfonia D-dur Brahmsa i Niedokończona symfonia Schuberta.

Adam spojrzał na zegarek. Do czasu kiedy Robin Beresford skończy *Niedokończoną symfonię*, on już będzie za granicą. W każdym razie na wszelki wypadek do zmroku pozostanie w pokoju 612.

Podniósł słuchawkę stojącego przy łóżku telefonu i połączył się z obsługą.

– Beresford, 612 – oznajmił i zamówił kolację, a następnie udał się do łazienki. Na umywalce stała plastikowa torebka z nadrukiem: „Z serdecznymi życzeniami od dyrekcji hotelu”. Wewnątrz Adam znalazł mydło, małą szczoteczkę i pastę do zębów oraz plastikową maszynkę do golenia.

Ledwie skończył się golić, usłyszał pukanie do drzwi.

– Obsługa hotelowa.

Szybko na nowo pokrył twarz pianą i zanim otworzył drzwi, włożył hotelowy szlafrok. Kelner nakrył do stołu, nawet na niego nie patrząc.

– Zechce pan podpisać rachunek? – spytał na koniec i wręczył Adamowi skrawek papieru.

Adam podpisał: „Robin Beresford” i dał kelnerowi piętnastoprocentowy napiwek.

– Dziękuję.

Po wyjściu kelnera obrzucił wzrokiem ucztę, na którą składały się: zupa cebulowa, stek z zielonym groszkiem i ziemniakami oraz malinowy sorbet

na deser. Butelka stołowego wina stała odkorkowana i czekała tylko na nalanie. Nagle Adam poczuł, że wcale nie jest głodny.

W dalszym ciągu nie mógł się pogodzić z tym wszystkim, co go spotkało. Gdyby tylko nie namawiał Heidi na towarzyszenie mu w tej niepotrzebnej podróży! Jeszcze tydzień temu się nie znali, a teraz był odpowiedzialny za jej śmierć. Czekało go wyjaśnienie rodzicom Heidi, co się stało z ich jedyną córką. Ale zanim będzie się przed nimi tłumaczył, sam musi dojść do tego, czego nawet jeszcze nie zaczął pojmować. Nie wyłączając sprawy tej głupiej ikony. Głupiej?

Po zjedzeniu mniej więcej połowy posiłku wytoczył wózek na korytarz i na gałce drzwi zawiesił tabliczkę „Nie przeszkadzać". Znalazłszy się w sypialni, wyjrzał przez okno na miasto. Słońce wyglądało tak, jakby specjalnie dla Genewy zarezerwowało sobie jeszcze jedną godzinę. Leżąc na łóżku, zaczął się zastanawiać nad tym wszystkim, co w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin wydarzyło się w jego życiu.

– Antarktyka posiada ikonę świętego Jerzego ze smokiem. Ale z dokumentów dotyczących tamtych czasów wiemy, że ta konkretna ikona uległa zniszczeniu, kiedy samolot wielkiego księcia Hesji rozbił się w Belgii w 1937 roku.

– Może w waszych dokumentach tak jest napisane – powiedział mężczyzna po drugiej stronie linii. – A co, jeśli wasze informacje w Langley okażą się fałszywe i ikona została znaleziona przez Göringa, który jej nie oddał wielkiemu księciu?

– Ale Stalin potwierdził w Jałcie, że ikona wraz z zawartością została zniszczona w katastrofie lotniczej. Zgodził się odstąpić od roszczeń, ponieważ nie miał oryginalnych dokumentów. Mimo wszystko to z tego powodu Roosevelt zyskał tak mało, a Stalin tak wiele. Nie pamiętasz, jakiego szumu narobił wtedy Churchill?

– Oczywiście, że pamiętam, bo się zorientował, że to nie Anglia skorzysta na tej decyzji.

– A jeśli Rosjanie odkryli, że oryginalna ikona jednak istnieje?

– Zmierzasz do tego, że mogą także położyć łapę na oryginale dokumentu?

– Właśnie. Dlatego musisz koniecznie dotrzeć do Antarktyki przed Rosjanami czy, jeśli już o tym mowa, przed ludźmi z Ministerstwa Spraw

Zagranicznych.

– Ale przecież ja jestem członkiem ich grupy operacyjnej.

– I właśnie o to nam chodzi: żeby Ministerstwo Spraw Zagranicznych dalej w to wierzyło.

– „A któż to taki śpi w moim łóżku? – zapytała Matka Niedźwiedzica”.

Adam drgnął i zerwał się z uczuciem przerażenia. Nad nim stała dziewczyna, która w jednej ręce trzymała kontrabas, a w drugiej smyk. Miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i musiała ważyć znacznie więcej od niego. Jej długie, lśniące rude włosy tak bardzo kontrastowały z resztą postaci, jakby Stwórca rozpoczął swoje dzieło od głowy, ale bardzo szybko mu się to znudziło. Dziewczyna miała na sobie białą bluzkę i czarną, zwiewną spódnicę, sięgającą prawie do ziemi.

– Kim pani jest? – zapytał Adam zaskoczony.

– Czerwonym Kapturkiem – odparowała, nie tracąc kontenansu. – Ale przepraszam, może raczej należałoby odwrócić to pytanie. Kim jest pan?

Adam zawahał się.

– Nawet gdybym pani powiedział, to i tak by pani nie uwierzyła.

– Ciekawe dlaczego. Nie wygląda pan ani na księcia Karola, ani na Elvisa Presleya, więc proszę, niech pan próbuje, może uwierzę.

– Nazywam się Adam Scott.

– Mam paść zemdlona do pańskich stóp czy z wrzaskiem uciekać? – spytała dziewczyna.

Adam zorientował się nagle, że musiała nie czytać gazet ani nie oglądać telewizji przynajmniej od dwóch dni. Zmienił więc taktykę.

– Myślałem, że to pokój jednego z moich przyjaciół, zarezerwowany na nazwisko Robin Beresford – rzekł konfidencjonalnie.

– Ja też tak myślałam, dopóki nie zobaczyłam pana w moim łóżku.

– To pani jest Robin Beresford?

– Jest pan wyjątkowo bystry jak na kogoś, kto dopiero co się obudził.

– Ale Robin?

– To nie moja wina, że mój ojciec marzył o synu. Pan jednak w dalszym ciągu nie wyjaśnił, co porabia w moim łóżku.

– Czy jest szansa, że przez pięć minut posłucha mnie pani spokojnie, nie przerywając mi ciągle? – spytał Adam.

– Owszem, tylko dajmy już sobie spokój z bajkami, zgoda? – rzekła Robin. – Mój ojciec był urodzonym łgarzem, ale odkąd skończyłam dwanaście lat, potrafiłam go przejrzeć na wylot.

– Na pani miejscu bym usiadł – wtrącił Adam. – To może potrwać dłużej niż normalny akompaniament na kontrabasie.

– Ja jednak wolę postać, jeśli to panu nie zrobi różnicy – powiedziała dziewczyna. – Przynajmniej do pierwszego kłamstwa.

– Jak pani wygodniej. Co pani woli najpierw: dobrą czy złą wiadomość?

– Spróbujmy zacząć od złej.

– Szwajcarska policja chce mnie aresztować i…

– Za co? – przerwała mu Robin.

– Za morderstwo – odparł Adam.

– A dobra wiadomość?

– Jestem niewinny.

Romanow stał w gabinecie ambasadora, rozczapierzonymi palcami opierając się o stół.

– Mam do siebie pretensję – powiedział bardzo spokojnie. – Znacznie większą niż do kogokolwiek z was. Nie doceniłem Anglika. Jest dobry i jeżeli ktokolwiek z was ma nadzieję go zabić, zanim ja go dopadnę, to musi być bardzo dobry.

Nikt z obecnych tej nocy w gabinecie ambasadora jakoś nie miał ochoty się sprzeczać z towarzyszem majorem. Romanow przerwał, żeby się przyjrzeć grupie mężczyzn ściągniętych w trybie pilnym z różnych krajów satelickich Europy Wschodniej. Każdy z nich mógł się poszczycić długą służbą dla kraju, ale tylko jednego, Wołczka, Romanow znał osobiście. Wołczek jednak zbyt ściśle współpracował z Zaborskim, żeby można mu było zaufać. Aleks wiedział też, że tylko nieliczni znają Genewę. Mógł się jedynie modlić o to, aby się okazało, że zarówno Anglicy, jak i Amerykanie są w podobnej sytuacji.

Powiódł wzrokiem dokoła pokoju. Największą szansę znalezienia Scotta ma policja szwajcarska, ale trudno liczyć na jej pomoc, pomyślał z żalem. Z zadowoleniem jednak dowiedział się, że Szwajcarzy odmawiają również współpracy z Anglikami i Amerykanami.

– Towarzysze – powiedział, kiedy już wszyscy zajęli miejsca – nie muszę wam chyba przypominać, że ojczyzna postawiła przed nami wielkie

zadanie. – Zrobił pauzę, by sprawdzić, czy na żadnej twarzy nie dostrzeże oznak ironii, po czym zadowolony podjął: – Musimy więc dalej bardzo starannie przeczesywać Genewę, na wypadek gdyby Scott ukrywał się jeszcze gdzieś w mieście. Ja uważam, że jak przystało na amatora, nadal przebywa w Genewie i czeka albo do zmroku, albo do pierwszego brzasku, żeby prysnąć przez najbliższą granicę. W tej sytuacji największą szansę stwarza mu granica francuska. Mimo że w ciągu ubiegłych pięćdziesięciu lat Brytyjczycy dwukrotnie wojowali z Niemcami, nie uważali za stosowne uczyć się niemieckiego, chociaż nieliczni mówią nie najgorzej po francusku. Dlatego we Francji będzie się czuł pewniej. A poza tym oznacza to dla niego przekroczenie tylko jednej granicy, zanim się dostanie nad morze. Jeżeli jest na tyle głupi, żeby się zdecydować na samolot, to po prostu stwierdzi, że wszystkie porty lotnicze mamy obstawione. Jeśli wybierze pociąg, na dworcach też się natknie na naszych ludzi. Ale ja w dalszym ciągu uważam, że Scott będzie uciekał jakimś pojazdem spalinowym. Wobec tego wezmę ze sobą na granicę francuską pięciu z was, a drugich pięciu weźmie major Wołczek do Bazylei, żeby obstawić granicę szwajcarsko-niemiecką. Reszta pozostanie w Genewie. Ci z was, którzy dopiero co przyjechali, zmienią tych, którzy już pracują w terenie. Tylko nie sądźcie, że Scott będzie się snuł po mieście jak pierwszy lepszy turysta. Przestudiujcie dokładnie rysopis Anglika i przygotujcie się nawet na to, że w jakiś amatorski sposób będzie próbował się przebrać i ucharakteryzować. – Romanow zrobił pauzę dla większego efektu. – Ten, kto mi przyniesie carską ikonę, może się nie obawiać o swoją przyszłość, kiedy wrócimy do kraju. – Sięgnął do kieszeni i wyjął kopię ikony, a następnie uniósł ją nad głowę, żeby wszyscy mogli się przyjrzeć. Na twarzach mężczyzn po raz pierwszy pojawiła się nadzieja. – Kiedy znajdziecie oryginał tego, co wam w tej chwili pokazuję, wasze zadanie będzie zakończone. Przyjrzyjcie się dokładnie, towarzysze, ponieważ zdjęć żadnych nie ma. I pamiętajcie – dodał – jedyna różnica pomiędzy tą kopią a ikoną Scotta to mała srebrna korona na odwrocie ramy tamtej. Jeżeli zobaczycie koronę, będziecie wiedzieli, że znaleźliście zaginione arcydzieło. – Schował ikonę do kieszeni i powiódł wzrokiem po milczących mężczyznach. – I pamiętajcie, że Scott jest dobry, ale nie aż tak.

XIII

– Jest pan niezły, Scott, całkiem niezły – rzekła Robin, która wysłuchała historii Adama oparta o kontrabas. – Albo jest pan cholernym łgarzem, albo zupełnie straciłam wyczucie.

Adam z uśmiechem spojrzał na zwalistą dziewczynę, w której ręce smyk wyglądał jak wykałaczka.

– Czy mogłabym zobaczyć tę ikonę, czy mam uwierzyć panu na słowo?

Adam wyskoczył z łóżka i z kieszeni płaszcza wyjął zawiniątko. Robin oparła kontrabas i smyk o ścianę i usiadła na jedynym znajdującym się w pokoju krześle. Adam wręczył jej ikonę. Jakiś czas Robin przyglądała się twarzy świętego Jerzego w milczeniu.

– Coś wspaniałego – rzekła w końcu. – Rozumiem każdego, kto by jej pożądał. Ale nie ma na świecie malowidła, które byłoby warte takiej tragedii i komplikacji.

– Tak, zgadzam się, że to jest zupełnie niezrozumiałe – powiedział Adam. – Ale Rosenbaum, czy jak się ten facet naprawdę nazywa, zabił już dwie osoby, żeby położyć na niej łapę, i nie ulega dla mnie wątpliwości, że póki mam ikonę, jestem następny na jego liście.

Robin dalej wpatrywała się w maleńkie plamki złota, czerwieni, błękitu i żółci, z których składały się postacie świętego Jerzego i smoka.

– I żadnych innych poszlak?

– Tylko list Göringa do mojego ojca.

Robin obróciła w ręku ikonę.

– A co znaczy to? – Pokazała zatopioną w drewnie małą srebrną koronę.

– Według opinii eksperta Sotheby’s to znaczy, że ikona należała kiedyś do cara. Co naturalnie, jak mnie zapewnił, w znacznym stopniu podnosi jej wartość.

– Ale przecież nie do tego stopnia, żeby z jej powodu zabijać – rzekła Robin, zwracając Adamowi ikonę. – Jakąż to jeszcze tajemnicę kryje w sobie święty Jerzy?

Adam wzruszył ramionami i zmarszczył czoło, ponieważ od śmierci Heidi sam nieustannie zadawał sobie to pytanie. Wsunął do kieszeni milczącego świętego.

– Jaki był pański plan, gdyby pan nie zaspał? – spytała Robin. – Czy jeszcze coś oprócz zaścielenia łóżka?

Adam uśmiechnął się.

– Miałem znowu zadzwonić do Lawrence'a i sprawdzić, czy ma może dla mnie jakieś dalsze wiadomości. Gdyby go jeszcze nie było albo gdyby już mi nie mógł pomóc, zamierzałem wynająć samochód i próbować przekroczyć granicę szwajcarsko-francuską, żeby potem z Francji udać się do Anglii. Jestem przekonany, że Rosenbaum, jego ludzie i policja szwajcarska pilnują wszystkich lotnisk i dworców kolejowych.

– Ale jeśli Rosenbaum jest choć w połowie tak dobry, jak pan mówi, to niewykluczone, że wpadł na ten sam pomysł – rzekła Robin. – Może jednak lepiej skontaktujmy się z tym pana przyjacielem Lawrence'em i zobaczmy, czy przypadkiem on nie ma lepszego rozwiązania. – Dźwignęła się z krzesła i ruszyła do telefonu.

– Ale pani nie musi się w to angażować osobiście – rzekł Adam niepewnie.

– Już i tak się zaangażowałam, a zapewniam pana, że to jest znacznie ciekawsze niż *Niedokończona symfonia* Schuberta. Jak tylko pański przyjaciel się odezwie, oddam panu słuchawkę i nikt się nie zorientuje, kto dzwoni.

Adam podał jej numer i Robin poprosiła telefonistkę, żeby ją połączyła.

Adam spojrzał na zegarek; była jedenasta czterdzieści. Do tej pory Lawrence powinien być w domu. Jeszcze nie przebrzmiały dwa pierwsze sygnały, kiedy Robin usłyszała męski głos. Natychmiast wręczyła Adamowi słuchawkę.

– Halo, kto mówi?

Adama zawsze dziwiło, że Lawrence, odbierając telefon, nigdy się nie przedstawia.

– Lawrence, to ja.

– Gdzie jesteś?

– W dalszym ciągu w Genewie.

– Moi ludzie czekali na ciebie dziś rano o jedenastej.

– Rosenbaum też.

– A kto to jest Rosenbaum?

– Wysoki dryblas, jasnowłosy i niebieskooki potwór, który dybie na moje życie.

Przez chwilę Lawrence milczał.

– A czy w dalszym ciągu masz naszego świętego patrona?

– Tak, mam – odparł Adam – ale co może być takiego ważnego…

– Odłóż słuchawkę i zadzwoń do mnie ponownie za trzy minuty.

Połączenie zostało przerwane. Adam nie mógł zrozumieć nagłej zmiany zachowania starego przyjaciela. Ciekawe, co przegapił przez te ostatnie miesiące, kiedy z nim mieszkał. Usiłował przypomnieć sobie szczegóły, które uważał za mało ważne, a które Lawrence tak zręcznie ukrywał.

– Czy wszystko jest w porządku? – przerwała mu tok myśli Robin.

– Mam nadzieję – odparł Adam trochę tajemniczo. – Prosi, żebym zadzwonił do niego za trzy minuty. Nie będzie to pani przeszkadzało?

– Już i tak na to tournée podatnicy wyrzucili osiem tysięcy funtów. Kilka rozmów międzynarodowych mniej czy więcej, co za różnica?

Trzy minuty później Robin podniosła słuchawkę i powtórzyła numer. Po jednym sygnale Lawrence znów był na linii.

– Ogranicz się do odpowiedzi na moje pytania.

– Nie, nie ograniczę się do odpowiedzi na twoje pytania – rzekł Adam, coraz bardziej zaniepokojony zachowaniem Lawrence’a. – Zanim cokolwiek ze mnie wyciągniesz, ty musisz mi odpowiedzieć na jedno czy dwa pytania. Czy wyrażam się jasno?

– Tak. – Głos Lawrence’a zabrzmiał tym razem nieco łagodniej.

– Kto to jest Rosenbaum?

Lawrence jakiś czas nie odpowiadał.

– Niczego się już ode mnie nie dowiesz, dopóki nie zaczniesz mówić prawdy – rzekł Adam.

– Kierując się twoim opisem, mam powody sądzić, że Rosenbaum to rosyjski agent, którego prawdziwe nazwisko brzmi Aleks Romanow.

– Rosyjski agent? Ale dlaczego rosyjski agent miałby chcieć położyć łapę na mojej ikonie?

– Nie wiem – odparł Lawrence. – Mieliśmy nadzieję, że to ty nam powiesz.

– Mieliśmy?

Znów długa cisza.

– Jacy my? – naciskał Adam. – Chyba nie chcesz, żebym nadal wierzył, że pracujesz w Barclays Bank?

– Pracuję w Ministerstwie Spraw Zagranicznych – odparł Lawrence.

– W jakim charakterze?

– Nie mogę… nie jestem upoważniony…

– Przestań być taki napuszony, Lawrence. W jakim charakterze?

– Jestem zastępcą szefa niewielkiej komórki zajmującej się… – Lawrence zawahał się.

– W żargonie powszechnie używanym przez nas, laików, nazywa się to szpiegostwem – rzekł Adam – a jeśli tak bardzo potrzebna wam jest moja ikona, to postaraj się mnie z tego wyciągnąć żywcem, bo jak zapewne dobrze wiesz, Romanow zamierza mnie skrócić o głowę.

– Gdzie jesteś w tej chwili?

– W hotelu Richmond.

– W budce telefonicznej? – spytał Lawrence z niedowierzaniem.

– Nie, w prywatnym pokoju.

– Ale nie zameldowany pod własnym nazwiskiem?

– Nie, pod nazwiskiem kogoś z przyjaciół, dziewczyny.

– Czy ona jest z tobą?

– Tak.

– Cholera! – zaklął Lawrence. – Dobrze. Nie opuszczaj tego pokoju aż do siódmej rano, a potem znów zadzwoń pod ten numer. Do tej pory postaram się wszystko zorganizować.

– I nic więcej nie możesz zrobić? – zapytał Adam, ale połączenie zostało już przerwane. – Wygląda na to, że jest pani na mnie skazana jeszcze przez najbliższą noc – powiedział do Robin, odkładając słuchawkę.

– Odwrotnie. To pan jest na mnie skazany – odparła Robin, znikając w łazience.

Adam kilkakrotnie obszedł pokój, po czym przymierzył się do kanapki. Albo położy głowę na poduszce wspartej na drewnianej poręczy, albo będą mu wisiały nogi. Do czasu kiedy z łazienki wyłoniła się Robin w błękitnej piżamie, podjął decyzję: spędzi noc na podłodze.

– Lepiej niż na krześle, co? – rzekła Robin. – Ale wywiad brytyjski nic mi nie mówił, że mam zamówić dwuosobowy pokój. – Weszła do łóżka i zgasiła światło. – O, jak wygodnie – brzmiały jej ostatnie słowa.

Adam ułożył się na wznak na podłodze, kładąc pod głowę poduszkę z krzesła, a hotelowego szlafroka używając jako koca. To zasypiał, to się budził, usiłując dociec, dlaczego ikona jest taka ważna, skąd Lawrence tyle wie na jej temat i wreszcie, jak, do diabła, zamierzają go stąd wyciągnąć żywcem.

Romanow czekał cierpliwie, aż ktoś odbierze telefon.

– Tak? – rozległ się głos, który Romanow rozpoznał natychmiast.

– Gdzie on jest? – zapytał jedynie.

W odpowiedzi usłyszał od Mentora cztery słowa, po czym połączenie zostało przerwane.

Adam drgnął gwałtownie. Za godzinę miał dzwonić do Lawrence'a. Blisko czterdzieści minut leżał nieruchomo na podłodze i tylko regularny oddech Robin przypominał mu, że nie jest sam. Nagle zdał sobie sprawę z dziwnych odgłosów na korytarzu. Dwa albo trzy kroki, pauza, szelest i znów dwa albo trzy kroki, pauza, szelest. Wstał cicho i podkradł się do drzwi. Rytm oddechu Robin ani na chwilę nie uległ zakłóceniu. Szelest… teraz się zbliżył. Adam wziął ze stołu przy drzwiach ciężki drewniany wieszak. Chwycił go mocno prawą ręką, uniósł nad głowę i czekał. Znów szelest. W szparze pod drzwiami ukazała się gazeta, a kroki oddaliły się. Adam nie musiał się schylać, by zobaczyć, że jego fotografia zdominowała pierwszą stronę międzynarodowego wydania „Herald Tribune". Wziął gazetę do łazienki, cicho zamknął drzwi, zapalił światło i przeczytał artykuł wstępny. Była to wczorajsza historia z ostrożnym komentarzem jego dawnego dowódcy i kilku zawstydzonymi słowami matki. Poczuł się bezradny.

Skradając się, podszedł do Robin w nadziei, że się nie obudzi. Chwilę stał nad śpiącą dziewczyną, ale się nie poruszyła. Cicho podniósł słuchawkę telefonu i schował się z nią w łazience. Ledwie zdołał zamknąć drzwi, połączył się z telefonistką i podał numer.

Gdy tylko sygnał umilkł, zapytał:

– To ty, Lawrence?

– Tak – padła odpowiedź.

– Sprawy wyglądają bardzo źle. Siedzę dalej zadołowany w hotelu, ale moje zdjęcie jest na pierwszych stronach wszystkich gazet.

– Wiem – powiedział Lawrence. – Chcieliśmy temu zapobiec, ale Szwajcarzy odmawiają współpracy.

– Z tego wynika, że równie dobrze mogę się oddać w ich ręce – rzekł Adam. – Do jasnej cholery, przecież ja jestem niewinny.

– Nie, Adam, dla Szwajcarów jesteś winien, dopóki nie udowodnisz swojej niewinności, a chyba do tej pory zdążyłeś się już zorientować, że jesteś zamieszany w coś znacznie poważniejszego niż tylko podwójne morderstwo.

– A co może być poważniejsze od podwójnego morderstwa i tego, że cały świat uważa cię za mordercę? – powiedział Adam ze złością.

– Doskonale rozumiem, co czujesz, ale twoja jedyna szansa to stosować się dokładnie do moich instrukcji i traktować podejrzliwie dosłownie każdą osobę, z którą się będziesz kontaktował.

– Słucham – rzekł Adam.

– Zapamiętaj dokładnie wszystko, co będę mówił, ponieważ nie zamierzam się powtarzać. W tym samym hotelu co ty zatrzymała się Królewska Orkiestra Filharmoniczna. O dziesiątej rano jadą do Frankfurtu. Opuścisz pokój za pięć dziesiąta, dołączysz w holu hotelowym do orkiestry i podejdziesz razem z grupą do drzwi frontowych, przed którymi stoi zaparkowany autokar. Nasz samochód będzie na ciebie czekał po drugiej stronie ulicy. Jest to czarny mercedes, którego poznasz po kierowcy w szarym uniformie. Będzie trzymał dla ciebie otwarte drzwi. Załatwiliśmy już, że między dziewiątą trzydzieści a dziesiątą trzydzieści nie zaparkuje po tej stronie ulicy żaden inny samochód, tak żebyś się nie mógł pomylić. Usiądź z tyłu i czekaj. Będzie tam z tobą jeszcze jeden facet i zawiozą cię pod bezpieczne skrzydła naszego konsulatu. Czy mam coś powtórzyć?

– Nie – odparł Adam – ale…

– Życzę szczęśliwej drogi – powiedział Lawrence i połączenie zostało przerwane.

O siódmej trzydzieści, gdy Robin dalej leżała pogrążona w głębokim śnie, Adam wziął prysznic. Zazdrościł jej – by jego poderwać na równe nogi, wystarczyło najmniejsze skrzypnięcie za drzwiami. Dwa lata spędzone w dżungli malajskiej w oczekiwaniu na atak Chińczyków, kiedy nie mógł przespać naraz więcej niż dwie lub trzy godziny – te dwa lata pozostawiły trwały ślad.

Robin spała jeszcze pół godziny, które Adam spędził, siedząc na sofie i powtarzając w myślach instrukcje Lawrence'a. Za dziesięć ósma wreszcie się obudziła, ale upłynęło jeszcze kilka minut, zanim całkowicie oprzytomniała. Zamrugała do Adama i na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Więc jednak nie zamordowałeś mnie we śnie – powiedziała.

– I tak byś chyba nie zauważyła – rzekł Adam.

– Gdyby twój ojciec był nałogowym pijakiem i wracał do domu o najbardziej fantastycznych porach dnia i nocy, to też byś się nauczył wszystko przesypiać – wyjaśniła, mocno stawiając stopy na dywanie. – Czy ty przypadkiem nie miałeś dzwonić do Londynu?

– Już to zrobiłem.

– No i jaki plan działania? – spytała, idąc do łazienki i trąc oczy.

– Wyjdę razem z tobą.

– Większość moich jednorazowych partnerów znika znacznie wcześniej – zauważyła Robin, zamykając za sobą drzwi łazienki.

Adam próbował czytać, słuchając, jak napełnia wannę.

– Czy to znaczy, że we Frankfurcie też będziemy dzielili pokój? – spytała kilka minut później, wychodząc z łazienki, jakby nie przerywali rozmowy.

– Nie. Jak tylko wyjdziemy z hotelu, opuszczę cię przy autokarze i pójdę do samochodu, który ma na mnie czekać po drugiej stronie ulicy.

– Tak robią wszyscy mężczyźni w moim życiu – powiedziała. – Ale przynajmniej możemy zjeść pożegnalne śniadanie – dodała, podnosząc słuchawkę. – Mam fioła na punkcie wędzonych śledzi. A ty?

Adam nie odpowiedział. Co chwila spoglądał na zegarek. Kiedy jakieś piętnaście minut później kelner przyniósł śniadanie, czekał ukryty w łazience. Nie okazał jednak zainteresowania jedzeniem, Robin zjadła więc wszystkie cztery śledziki i większość grzanek. Minęła dziewiąta. Kelner zabrał wózek z resztkami śniadania i Robin zaczęła się pakować. Zadzwonił telefon i Adam podskoczył nerwowo. Dziewczyna podniosła słuchawkę.

– Tak, Stephen – powiedziała. – Nie, nie, nie potrzebuję żadnej pomocy. Tym razem nie. Poradzę sobie z bagażem. – Odłożyła słuchawkę. – O dziesiątej wyjeżdżamy do Frankfurtu.

– Wiem – powiedział Adam.

– Powinniśmy zrobić Lawrence’a inspektorem orkiestry. Wie wszystko, jeszcze zanim zapadną decyzje. – Adam pomyślał dosłownie to samo. – No cóż, przynajmniej znalazłam kogoś, kto mi pomoże nieść walizkę – dodała Robin.

– Mogę ci ponieść kontrabas, jeśli chcesz – ofiarował się Adam.

– Chciałabym to zobaczyć.

Adam podszedł do ogromnego instrumentu, który stał w futerale oparty o ścianę, i próbował go ruszyć z różnych stron, ale zdołał jedynie unieść z podłogi wielkie pudło. Robin podeszła do niego i jednym zgrabnym ruchem zarzuciła sobie instrument na ramię, utrzymując go w idealnej równowadze, po czym przespacerowała się tam i z powrotem po pokoju, demonstrując swoją sprawność.

– Trzeba trochę zręczności, cherlaku – powiedziała. – I pomyśleć, że uwierzyłam w te wszystkie twoje opowieści: jak to się wymknąłeś szwajcarskiej policji po to tylko, żeby spędzić ze mną noc.

Adam usiłował się zaśmiać. Wziął swój płaszcz, upewniwszy się, że kieszeń z ikoną jest zapięta na suwak. Nie mógł jednak powstrzymać drżenia wywołanego mieszaniną strachu i oczekiwania.

Robin spojrzała na niego.

– Nie martw się – powiedziała łagodnie. – Za kilka minut będzie po wszystkim. – W tym momencie zobaczyła leżącą na podłodze gazetę. – Na twoim miejscu podałabym ich do sądu.

– O co?

– W naturze jesteś znacznie przystojniejszy.

Adam uśmiechnął się i przytulił dziewczynę.

– Dzięki za wszystko – rzekł. – No, ale na mnie już czas.

– Coraz bardziej przypominasz mi moich kochasiów – powiedziała ponuro.

Adam wziął jej walizkę, a Robin zarzuciła na ramię ogromny instrument. Otworzyła drzwi i wyjrzała na korytarz. Przy windzie czekało dwóch jej kolegów z orkiestry, poza tym nie było nikogo. Podeszli do muzyków, ale po wymianie powitań nikt się już nie odezwał aż do chwili, kiedy otworzyły się drzwi windy. W kabinie jednak koledzy Robin nie potrafili odmówić sobie przyjemności bliższego przyjrzenia się jej partnerowi. Początkowo Adam był niespokojny, że poznali go z gazety. Dopiero potem dotarło do niego, że to raczej ciekawość, z kim ich koleżanka spędziła noc. Robin

posłała mu lubieżne spojrzenie, jakby chciała potwierdzić ich podejrzenia. Adam natomiast, ukryty w kącie za kontrabasem, oddychał głęboko, nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie winda znajdzie się na dole. Drzwi rozsunęły się w końcu i Robin zaczekała, aż jej koledzy wysiądą, po czym osłaniając Adama najlepiej, jak umiała, przeprowadziła go przez hol hotelowy. Wzrok Adama był teraz utkwiony w drzwiach wyjściowych. Widział autokar zajmujący prawie całą szerokość ulicy i kilku członków orkiestry, którzy właśnie wsiadali. Jeszcze minuta i będzie bezpieczny. Patrzył, jak do wielkiej komory bagażowej ładują kotły.

– O Boże, zapomniałam – powiedziała Robin. – Muszę wstawić instrument do pomieszczenia na bagaż z tyłu autokaru.

– Zrobisz to później – warknął Adam. – Idź prosto do drzwi. – W tym momencie dostrzegł samochód po drugiej stronie ulicy. Uczucie ulgi sprawiło, że poczuł się jak pijany. Ktoś trzymał otwarte drzwi samochodu. Z tyłu siedział mężczyzna, dokładnie tak, jak obiecał Lawrence. Gdzieś daleko zegar wybił dziesiątą. Przy otwartych drzwiach wozu stał mężczyzna w uniformie szofera z czapką naciśniętą na czoło i wyczekująco patrzył w stronę hotelu. Adam spojrzał na mężczyznę, który czujnie obserwował wejście. Uniform na niego nie pasował.

– Do autokaru – syknął Adam.

– Z tym? Zabiją mnie – odparła Robin.

– W przeciwnym razie on mnie zabije.

Robin usłuchała mimo wrogich komentarzy wywołanych jej przepychaniem się z kontrabasem, którym zasłaniała swego partnera przed wzrokiem mężczyzny stojącego po drugiej stronie ulicy. Adamowi zrobiło się niedobrze. Opadł na siedzenie obok Robin, oddzielony od niej instrumentem.

– Który? – wyszeptała dziewczyna.

– Ten w uniformie szofera.

Wyjrzała przez okno.

– Może i on jest zły, ale wygląda bardzo dobrze – powiedziała ni przypiął, ni przyłatał.

Adam popatrzył na nią z niedowierzaniem. Robin uśmiechnęła się usprawiedliwiająco.

– Wszyscy obecni! – zawołał mężczyzna z początku autokaru. – Sprawdzałem dwukrotnie, ale wychodzi na to, że mamy jednego nadprogramowego.

Boże – pomyślał Adam – zaraz mnie wyrzuci.

– To mój brat! – krzyknęła Robin. – On nie jedzie z nami do końca.

– Wobec tego w porządku – powiedział inspektor orkiestry. – Ruszamy – zwrócił się do kierowcy.

– Obserwuje autokar – szepnęła Robin. – Ale chyba cię nie widzi. Nie, w porządku, znów zaczął się gapić na wejście do hotelu.

– Nie wiedziałem, że masz brata – powiedział inspektor, który nagle wyrósł koło nich.

Autokar wolno wytoczył się z placyku.

– Ja też nie, aż do dziś – mruknęła dziewczyna, w dalszym ciągu wyglądając przez okno. Po czym odwróciła się i spojrzała na szefa. – Tak, zapomniałam powiedzieć, że mój brat może być w Szwajcarii akurat w tym samym czasie co orkiestra. Mam nadzieję, że to nie przeszkadza.

– Absolutnie – zapewnił ją inspektor.

– Adam, pozwól, to jest Stephen Grieg, jak się zapewne domyśliłeś, inspektor naszej orkiestry.

– Pan też jest muzykiem? – spytał Stephen, potrząsając dłonią Adama.

– Nie. Muszę się przyznać, że nigdy nie udało mi się opanować żadnego instrumentu.

– Słoń nadepnął mu na ucho – wtrąciła Robin. – To po ojcu. On pracuje w oponach – ciągnęła, bawiąc się doskonale.

– O! A w jakiej firmie? – zapytał Stephen.

– Pirelli. – Adam palnął pierwszą nazwę, jaka mu przyszła do głowy.

– Pirelli? To oni wydają te słynne kalendarze? – dociekał Grieg.

– Ciekawe, co takiego szczególnego w nich jest – rzuciła Robin niewinnie. – Gdybyś uznał, że ci się przyda taki kalendarz, to z pewnością Adam ci go skombinuje.

– Ach, to by było wspaniale – rzekł Stephen. – Mam nadzieję, że nie sprawi to panu zbytniego kłopotu.

– Żadnego – odpowiedziała Robin, konspiracyjnie nachylając się do Adama. – Żeby ci uchylić rąbka rodzinnej tajemnicy: mówi się, że wkrótce Adam ma wejść do zarządu. Będzie najmłodszym członkiem zarządu w historii firmy.

– To świetnie – rzekł inspektor, przyglądając się bliżej nowemu nabytkowi orkiestry.

– Dokąd mam wysłać kalendarz? – bąknął Adam.

– Na adres siedziby orkiestry. Nie muszę go chyba panu podawać, prawda?

– Oczywiście w szarej kopercie – rzekła Robin. – I nie przejmuj się rokiem. Jemu nie o daty chodzi.

– Stephen, o której mamy być we Frankfurcie?! – krzyknął ktoś z początku autokaru.

– Muszę was przeprosić – powiedział inspektor. – I dzięki za obietnicę kalendarza. Robin ma naturalnie rację. Rok jest obojętny.

– Kto cię nauczył tak nawijać? – spytał Adam, gdy tylko Stephen odszedł.

– Ojciec – odparła Robin. – Szkoda, że nie możesz go posłuchać, kiedy jest w sztosie. Stanowi klasę sam dla siebie. Problem polega na tym, że matka do dziś wierzy w każde jego słowo.

– No, bez wątpienia byłby z ciebie dumny.

– A więc przynajmniej wiemy, z czego żyjesz – powiedziała Robin. – Czy możemy się z kolei dowiedzieć, co planuje na najbliższą przyszłość najmłodszy z dyrektorów Pirelli?

Adam uśmiechnął się.

– Usiłowałem utożsamić się ze sposobem myślenia Rosenbauma i doszedłem do wniosku, że pozostanie w Genewie jeszcze godzinę, najwyżej dwie, co by mi dawało nad nim przewagę jakichś siedemdziesięciu pięciu kilometrów. – Rozłożył mapę na obu siedzeniach i powiódł palcem wzdłuż drogi, którą jechali. Pierwsza odezwała się Robin.

– A to znaczy, że mógłbyś dotrzeć do lotniska w Zurychu, zanim miałby szansę cię dogonić.

– Może, ale byłoby to zbyt wielkie ryzyko. Kimkolwiek bowiem jest Rosenbaum – Adam zgodnie z zaleceniem Lawrence’a nie wtajemniczał Robin w szczegóły – wiemy już teraz z pewnością, że stoi za nim cała profesjonalna organizacja, i dlatego nie ulega wątpliwości, że mają obstawione przede wszystkim porty lotnicze. Poza tym nie zapominaj, że w dalszym ciągu poszukuje mnie policja szwajcarska.

– To dlaczego nie chcesz jechać z nami do Frankfurtu? – zapytała Robin. – Stephen z pewnością nie miałby nic przeciwko temu.

– Myślałem i o tym – odparł Adam – ale doszedłem do wniosku, że byłoby to zbyt ryzykowne.

– Dlaczego?

– Bo jak tylko Rosenbaum zacznie się nad tym zastanawiać, natychmiast sobie przypomni o autokarze. Bez trudu dowie się, w jakim kierunku pojechaliśmy, i pojedzie za nami.

Wzrok Robin powrócił do mapy.

– Wobec tego musisz zdecydować, kiedy i gdzie wysiąść.

– No właśnie – szepnął Adam. – Mogę zaryzykować dziewięćdziesiąt, góra sto kilometrów.

Palec Robin powrócił do mapy.

– To będzie mniej więcej tutaj – powiedziała, zatrzymując go na miasteczku Solothurn.

– Tak, to chyba ta odległość.

– Ale jak wysiądziesz z autokaru, czym się będziesz dalej poruszał?

– Wybór mam niewielki: mogę albo iść na piechotę, albo próbować autostopu, dopóki nie ukradnę następnego samochodu.

– Z twoim szczęściem, czuję, że jedyną osobą, jaka się zatrzyma, będzie Rosenbaum.

– Owszem, przewidziałem i to. Muszę znaleźć długi odcinek drogi, jakieś sto metrów, gdzie będę wszystko widział, samemu nie będąc widzianym, i zatrzymywać samochody tylko angielskie, a przynajmniej z angielską rejestracją.

– Widzę, że cię nauczyli w wojsku paru trików, co? Ale jak zamierzasz ze swoim paszportem przekroczyć granicę?

– To jest właśnie jeden z problemów, których jeszcze nie rozwiązałem.

– Gdybyś się jednak mimo wszystko zdecydował zostać z nami, to naprawdę nie będzie żadnego problemu.

– Jakim cudem?

– Bo ilekroć przekraczamy granicę, patrzą tylko, czy liczba osób w autokarze zgadza się z liczbą paszportów, i jeżeli władze nie mają żadnych zastrzeżeń, to nie zadają sobie trudu, żeby sprawdzać indywidualnie każdego. Ostatecznie, po co by mieli to robić? Liczba członków orkiestry jest znana. Musiałabym tylko dołożyć twój paszport do naszych i powiedzieć Stephenowi.

– Pomysł jest dobry, ale niestety, nie do przyjęcia. Gdyby Rosenbaum dopadł autokaru w czasie, kiedy byłbym z wami, nie miałbym żadnej możliwości ucieczki.

Robin milczała chwilę.

– A jak się od nas odłączysz, to znów się skontaktujesz z Lawrence’em?

– Tak. Muszę mu powiedzieć, co się stało rano, bo z kimkolwiek Lawrence ma do czynienia, ten ktoś musi być w bezpośrednim kontakcie z Rosenbaumem.

– A może to sam Lawrence?

– Wykluczone – odparł Adam.

– Twoja lojalność jest wzruszająca – rzekła Robin, odwracając się do niego. – Czy może raczej nie chcesz uwierzyć, że to mógłby być sam Lawrence?

– Do czego zmierzasz?

– Moja matka też nie mogła uwierzyć, że ojciec jest pijakiem i łgarzem. Dlatego przymknęła oko na jego słabostki. Nawet kiedy umarł na marskość wątroby, powiedziała: „To dziwne jak na człowieka, który nigdy nie pił”.

Adam zastanowił się nad swoimi związkami z Lawrence’em i pomyślał, czy to możliwe, żeby znać kogoś dwadzieścia lat i tak mało o nim wiedzieć.

– W każdym razie uważaj na to, co do niego mówisz – ostrzegła go Robin.

Siedzieli w milczeniu, podczas gdy Adam studiował mapę, rozważając wszelkie możliwe warianty ucieczki od chwili, kiedy opuści autokar. Postanowił, że dostanie się do granicy niemieckiej, a stamtąd, zamiast najkrótszą i najbardziej oczywistą trasą przez Calais albo Ostendę, wróci do Anglii dłuższą drogą, z Hamburga albo Bremerhaven.

– Wiem – powiedziała nagle Robin.

– Co? – Adam uniósł wzrok znad mapy.

– Jak rozwiążemy problem twojego paszportu – mruknęła.

Spojrzał na nią z nadzieją.

– Daj mi swój paszport, a ja go zamienię na paszport tego z członków orkiestry, który jest najbardziej do ciebie podobny. Nikt tu, w naszym końcu autokaru, nie zauważy nic szczególnego, dopóki nie wrócimy do Anglii w niedzielę wieczorem.

– Niezły pomysł, pod warunkiem że jest w waszej orkiestrze ktoś, kto choćby w najodleglejszy sposób mnie przypomina.

– Zobaczymy, co się da zrobić – powiedziała Robin. Usiadła prosto, wolno wodząc wzrokiem od jednej osoby do drugiej. Kiedy dotarła do końca, na jej twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech. – Mam dwóch, którzy mogą uchodzić za podobnych do ciebie. Jeden jest jakieś pięć lat starszy,

a za to drugi o jakieś dziesięć centymetrów niższy, ale na razie obmyślaj dalej najlepszy sposób ucieczki, bo ja muszę jeszcze ustalić pewne rzeczy. Daj mi swój paszport.

Adam wręczył jej paszport, z którym dziewczyna poszła na przód autokaru i usiadła obok inspektora. Stephen rozmawiał właśnie z kierowcą na temat miejsca postoju na lunch.

– Przepraszam, że wam przeszkadzam, ale muszę coś sprawdzić w moim paszporcie – powiedziała Robin.

– Nic nie szkodzi. Paszporty są pod moim siedzeniem w plastikowej torbie – rzekł Stephen, nie przerywając rozmowy z kierowcą.

Robin schyliła się i zaczęła przekładać paszporty, jakby szukała swojego. Wyjęła te dwa, które uznała za nadające się do podmiany, i zaczęła studiować fotografie. Zdjęcie starszego musiało być co najmniej sprzed pięciu lat, ale mogło od biedy uchodzić za podobiznę Adama, pod warunkiem jednak że władze na granicy nie będą zbyt dokładnie sprawdzać daty urodzenia. Pomieszała paszporty, wkładając w środek paszport Adama. Następnie wrzuciła wszystkie z powrotem do plastikowej torby, tę schowała pod siedzeniem inspektora, po czym wróciła na swoje miejsce.

– Przyjrzyj się sobie – powiedziała, dyskretnie podając Adamowi paszport.

Adam zaczął oglądać zdjęcie.

– Gdyby nie wąsy, podobieństwo byłoby spore. W tej sytuacji to chyba jedyna dla mnie szansa. Ale co się stanie, kiedy po waszym przyjeździe do Londynu okaże się, że mój paszport został podmieniony?

– Ty będziesz w Anglii znacznie wcześniej niż my – powiedziała Robin. – Włóż ten paszport do koperty razem z kalendarzem i wyślij na adres orkiestry: Wigmore Street Wl, a ja już dopilnuję, żebyś odzyskał swój.

Adam przysiągł sobie, że po powrocie do Anglii zostanie dożywotnim członkiem koła przyjaciół Królewskiej Orkiestry Filharmonicznej.

– Wygląda na to, że jeden z twoich problemów został rozwiązany.

– Przynajmniej na razie. Szkoda, że nie mogę zabrać cię ze sobą w dalszą podróż.

– Frankfurt, Berlin, Amsterdam. To na wypadek, gdyby ci się znudziło. Nie mam nic przeciwko temu, żeby się spotkać z Rosenbaumem, ale tym razem twarzą w twarz.

– Zdaje się, że nareszcie miałby godnego siebie przeciwnika.

– Czy mogę jeszcze ostatni raz rzucić okiem na ikonę? – Robin zignorowała jego uwagę.

Adam nachylił się, ostrożnie wyjmując ikonę z kieszeni płaszcza, tak żeby nikt oprócz Robin jej nie zobaczył. Dziewczyna jakiś czas wpatrywała się w oczy świętego, po czym powiedziała:

– Kiedy leżałam tej nocy bezsennie, czekając, żebyś mnie zgwałcił, skracałam sobie czas, próbując dociec, jaki sekret kryje w sobie to malowidło.

– Myślałem, że śpisz – rzekł Adam z uśmiechem. – A w rzeczywistości oboje byliśmy zaprzątnięci tym samym. No i co, doszłaś do jakichś sensownych wniosków?

– Po pierwsze, że wolisz kontrabasistów płci męskiej – rzekła Robin – bo inaczej nie mógłbyś mi się oprzeć.

– Ale co to ma do świętego Jerzego i smoka? – Adam uśmiechnął się.

– Zastanawiam się, czy te maleńkie elementy mozaiki nie stanowią jakiegoś szyfru. Ale obraz jest wykonany tak precyzyjnie, że ewentualny szyfr musiałby być dobrany już potem. A to wydaje się mało prawdopodobne.

– Dobrze kombinujesz, Batmanie.

– Nie, Batman to ty. Więc zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem pod spodem nie ma drugiego malowidła. Ze szkolnych czasów pamiętam, że na przykład taki Rembrandt czy Constable często malowali na swoich starych obrazach: albo po prostu dlatego, że im już nie zależało na tamtych, albo dlatego, że jak w przypadku Rembrandta, nie stać ich było na nowe płótna.

– Gdyby takie było rozwiązanie zagadki, to tylko ekspert mógłby zdjąć wierzchnią warstwę.

– Zgadza się – rzekła Robin. – Więc odrzuciłam i tę koncepcję. Trzecia myśl, która mi przyszła do głowy, dotyczyła tej srebrnej korony z tyłu. – Odwróciła ikonę. – Jak ci powiedział ten twój specjalista, oznacza ona, że mamy do czynienia z oryginałem Rublowa, a nie z kopią, co usiłowano ci wmówić.

– Brałem i to pod uwagę podczas mojej bezsennej nocy i chociaż naturalnie fakt ten w znacznej mierze podnosi wartość ikony, to jeszcze nie tłumaczy, dlaczego Rosenbaum miałby dla niej zabijać kogo popadnie.

– Może jeszcze komuś zależy na carskiej ikonie w tym samym stopniu co Rosenbaumowi – powiedziała Robin.

– Ale komu i dlaczego?

– Bo nie chodzi o samą ikonę, tylko o coś innego. O coś ukrytego za albo pod malowidłem.

– Od tego zacząłem oględziny – rzekł Adam skwapliwie. – Ale nie mam wątpliwości, że jest to lity kawałek drewna.

– Nie zgadzam się z tobą. – Robin zaczęła opukiwać ikonę, jak lekarz opukuje klatkę piersiową chorego. – Całe życie miałam do czynienia z instrumentami muzycznymi, patrzyłam, jak się je robi, grałam na nich, a nawet z nimi sypiałam, i chociaż nie wiem, jak tego dowieść, to mogłabym przysiąc, że ikona nie jest w środku pełna. Cokolwiek jednak zostało w niej ukryte, nie może być przeznaczone dla takich laików jak my.

– Widzę, że masz głowę nie od parady.

– Normalka – rzuciła Robin, oddając Adamowi ikonę. – Zawiadom mnie, jeśli kiedykolwiek odkryjesz, co jest tam w środku – dodała.

– Jak będę miał wolne pięć minut, to może poświęcę je na opracowanie własnych hipotez – rzekł Adam, chowając ikonę do kieszeni płaszcza.

– Do Solothurn jeszcze dwa kilometry. – Robin wskazała przez okno drogowskaz.

Adam zapiął płaszcz.

– Odprowadzę cię – powiedziała i ruszyli do wyjścia. Kiedy znaleźli się z przodu autokaru, Adam poprosił kierowcę, żeby go wysadził przed najbliższą miejscowością.

– Bardzo proszę – odparł kierowca, nie oglądając się do tyłu.

– Już nas pan opuszcza? – spytał Stephen.

– Niestety, już muszę, ale dziękuję za podwiezienie. Będę pamiętał o kalendarzu.

Kierowca zatrzymał się w zatoczce, nacisnął guzik i mechanizm hydrauliczny otworzył drzwi.

– Cześć, Robin. – Adam złożył jej na policzku braterski pocałunek.

– Cześć, braciszku, i uściskaj mamę, jeśli ją zobaczysz przede mną. – Uśmiechnęła się i pomachała mu, gdy tymczasem drzwi się zamknęły i autokar włączył się w strumień pojazdów na autostradzie do Frankfurtu.

Adam znów został sam.

XIV

Profesora Brunwelda rzadko kiedy traktowano z respektem. Dawno doszedł do wniosku, że taki to już los akademików. Powiedzieli tylko: „prezydent”, a on się zastanawiał, czy im wierzyć. To prawda, że w środku nocy wyciągnęli go z łóżka i po cichu zawieźli do Pentagonu. Oświadczyli, że jest im potrzebna jego opinia jako eksperta. Czy to możliwe? Po Kubie i Dallas wszystko było możliwe.

Kiedyś czytał, że budynek Pentagonu sięga na tyle pięter w głąb, na ile wznosi się nad ziemię. Teraz przekonał się, że to prawda.

Wręczyli mu dokument i zostawili samego. Chcieli, żeby im odpowiedział tylko na jedno pytanie. Brunweld ponad godzinę studiował klauzulę układu, zanim ich wezwał. Według niego, oświadczył, dokument jest autentyczny i jeżeli Rosjanie w dalszym ciągu mają swój egzemplarz, również podpisany w roku 1867, to jego przybrana ojczyzna jest… zaraz, jak to mówią Amerykanie?… tak, jest w kropce.

Na dobre zaczęło do niego docierać, jak poważna jest sprawa, kiedy mu powiedziano, że nie może opuścić Pentagonu aż do poniedziałku. Nie zdziwiło go to specjalnie, odkąd zobaczył datę pod układem. A więc ma przed sobą trzy dni samotności, z dala od wrzawy studentów i paplaniny żony. Nigdy nie trafi mu się lepsza okazja do tego, żeby sobie usiąść w spokoju i poczytać dzieła zebrane Prousta.

Romanow zdawał sobie sprawę, że już dużo dłużej nie może stać przy samochodzie. Był ubrany w sposób zbyt charakterystyczny, by go nie zauważył dosłownie każdy, kto wychodził z hotelu. Trzy minuty później rzucił szarą czapkę na tylne siedzenie, a Wołczkowi polecił pozbyć się samochodu i wracać do konsulatu.

Wołczek skinął głową. Właśnie na polecenie Romanowa sprzątnął dwóch brytyjskich agentów, tak jakby go poproszono o naprawę pękniętej rury wodociągowej. Jedyne, co nie poszło zgodnie z planem, to to, że nie

mógł dopiąć na sobie uniformu martwego szofera. Romanowowi wydało się, że dostrzegł na twarzy Wołczka cień uśmieszku, kiedy się okazało, kto musi być szoferem.

Romanow schował się w cień, gdzie czekał jeszcze pół godziny. Doszedł do wniosku, że coś musiało nawalić w planie ze strony Londynu. Zatrzymał taksówkę i kazał się wieźć do sowieckiego konsulatu. Nawet nie zauważył wyrazu niedowierzania na twarzy kierowcy, wywołanego widokiem pasażera w uniformie szofera.

Czy to możliwe, żeby już dwa razy zgubił Scotta? Czyżby go nie docenił? Znów? Zaborski zażąda bardzo przekonujących wyjaśnień.

W drodze do konsulatu w wyobraźni Romanowa nieustannie migał obraz, którego znaczenia major jednak nie pojmował. Przed hotelem wydarzyło się coś, co mu nie pasowało do całości. Gdyby tylko na chwilę mógł się skupić, to z pewnością wszystko stałoby się jasne. W kółko przeżywał w myślach ostatnie trzydzieści minut, jakby cofał taśmę starego filmu, ale niektóre klatki pozostawały nieostre.

Kiedy znalazł się w konsulacie, Wołczek wręczył mu dużą kopertę, która jak powiedziano, przyszła właśnie z Moskwy pocztą dyplomatyczną.

Dwukrotnie przeczytał rozszyfrowany teleks, ale nie był w stanie zgłębić jego znaczenia.

Wyszła na jaw informacja dotycząca zmarłego pułkownika Geralda Scotta, kawalera Orderu za Wzorową Służbę, Orderu Imperium Brytyjskiego i Krzyża Wojskowego, która może się okazać użyteczna w kontakcie ze ściganym. Pełną dokumentację otrzymacie najpóźniej do rana.

A1

Romanow zastanawiał się, czegóż to dowiedzieli się w Centrali na temat ojca Scotta, co mogłoby się okazać dla niego interesujące. Dalej trwał w mocnym postanowieniu wysłania syna w to samo miejsce, w którym znajduje się ojciec, na długo zanim przyjdzie z Moskwy kolejna korespondencja.

Pomyślał o swoim ojcu oraz o tym, jaką otworzył przed nim drogę ucieczki, pozostawiając mu rodzinną fortunę, i jak go dla kariery zdradził

własny syn. Teraz, dla dalszego awansu, musi zabić Scotta i wrócić do kraju z ikoną. Jeśli mu się nie uda… machnął ręką na obu ojców.

– Albo jest bardzo bystry, albo ma szczęście – rzekł, wchodząc do niewielkiego pokoiku, który mu udostępniono.

Wołczek, który wszedł za nim, powstrzymał się od komentarza i spytał tylko o dalsze polecenia.

– Powiedzcie mi, co widzieliście, kiedy staliśmy przed hotelem.

– Ale dokładnie o co chodzi?

– Zamiast zadawać pytania – warknął Romanow, przebierając się – odpowiadajcie na moje. Powiedzcie mi wszystko po kolei, co widzieliście od momentu, kiedy podjechaliśmy pod hotel.

– Przyjechaliśmy pod Richmond kilka minut przed dziesiątą – zaczął Wołczek. – Zaparkowaliśmy mercedesa po drugiej stronie ulicy i czekaliśmy na pojawienie się Scotta. Staliśmy do kilku minut po dziesiątej, ale Scott się nie pojawił.

– Nie, nie, nie. Dokładniej. Bez ogólników. Na przykład, czy pamiętacie może coś szczególnego, co się wydarzyło, kiedy czekaliśmy?

– Nic szczególnego nie pamiętam. Cały czas ludzie wchodzili i wychodzili z hotelu, ale jestem pewien, że nie było wśród nich Scotta.

– Macie szczęście, że jesteście tacy pewni. A co było potem?

– Potem? Kazaliście mi wracać do konsulatu i czekać tam na was.

– O której to było?

– Musiało być jakieś siedem po dziesiątej. Pamiętam, bo akurat jak odjeżdżał ten autokar, spojrzałem na zegarek.

– Autokar? – powtórzył Romanow.

– Tak, ten załadowany instrumentami muzycznymi. Odjechał około…

– Instrumentami, właśnie – rzekł Romanow. – Teraz już wiem, co mnie tak niepokoiło. Wiolonczele, skrzypce i kontrabas, który nie poszedł do bagażnika. – Wołczek patrzył zdumiony, ale nie odezwał się słowem. – Dzwońcie natychmiast do tego hotelu i dowiedzcie się, kto i dokąd odjechał tym autokarem.

Wołczek wyszedł pośpiesznie.

Romanow spojrzał na zegarek. Była dziesiąta pięćdziesiąt pięć. Trzeba działać, i to szybko. Nacisnął guzik interkomu obok telefonu.

– Potrzebny mi jest szybki samochód, a co ważniejsze, doskonały kierowca. – Kiedy odkładał słuchawkę, znów pojawił się Wołczek.

– Autokar został wynajęty przez Królewską Orkiestrę Filharmoniczną, która odbywa tournée po Europie…

– Dokąd teraz pojechali?

– Do Frankfurtu.

Wychodząc z miasteczka, rejestrował wszystko profesjonalnym okiem żołnierza. Główna ulica była pusta, jeśli nie liczyć chłopaka, który niestrudzenie kopał plastikową piłkę; bramkę stanowiła szczelina w zboczu pagórka. Na widok Adama chłopak odwrócił się i kopnął piłkę w jego stronę. Adam wykonał fachowe podanie, za co został nagrodzony szerokim uśmiechem. Uśmiech znikł jednak, kiedy malec zobaczył, że Adam, nie zatrzymując się, szybko podchodzi pod górę. Przy głównej ulicy stało kilka starych domów. Po jednej stronie ciągnął się groźnie wyglądający parów, a za nim widoczne w dali porośnięte drzewami wzgórza. Po drugiej rozciągały się zielone łąki, na których pasły się krowy z dzwonkami na szyjach, pogodnie przeżuwając trawę. Pod wpływem tego widoku Adam poczuł głód.

Idąc dalej zboczem w górę, doszedł nagle do ostrego zakrętu. Spoglądając w dół, widział wszystko w promieniu ośmiuset metrów, sam niewidoczny. Kilka minut stał w miejscu, usiłując wypróbować swój plan, i już wkrótce stał się biegły w odróżnianiu samochodów brytyjskich lub z brytyjską rejestracją z odległości nawet dwustu czy trzystu metrów. Bardzo szybko się zorientował, jak niewielu cudzoziemców kupuje angielskie wozy.

W ciągu następnych dwudziestu minut z nadzieją zatrzymywał po kolei siedem samochodów z angielską rejestracją zmierzających w kierunku Lozanny, ale bezskutecznie. Przypomniał sobie, jak łatwo mu szło, kiedy nosił mundur kadeta. W tamtych czasach zatrzymywał się prawie każdy. Spojrzał na zegarek: może próbować jeszcze tylko przez minut. Zignorowały go trzy dalsze samochody, a kiedy czwarty zwolnił i Adam podbiegł, kierowca nacisnął na gaz i przyśpieszył.

Dwadzieścia po jedenastej zdecydował, że już dłużej nie może się wystawiać na widok publiczny. Spojrzał w dół, ku wąwozowi, i uznał, że nie pozostaje mu nic innego, jak tylko iść na piechotę. Wzruszył ramionami i zaczął schodzić jednym ze stromych szlaków w nadziei, że spotka się on z drugą wyraźnie zaznaczoną na mapie drogą.

Zaklął na widok otwartej przestrzeni, jaka go dzieliła od bezpiecznej strefy. Pożałował, że nie wystartował godzinę wcześniej.

– Obawiam się, że Antarktyka przestał być niezastąpiony.

– Dlaczego?

– Ponieważ teraz wiemy, że jego ojciec był zamieszany w sprawę ułatwienia Göringowi samobójstwa.

– Nie rozumiem.

– Nie ma powodów, żebyś rozumiał, choć jest to dość proste. Ten twój nadęty angielski patriota jest synem skurwysyna, który przemycił do celi Göringa w Norymberdze kapsułkę z cyjankiem potasu. W nagrodę za swoje zasługi, jak się okazuje, dostał carską ikonę.

– Ale wszyscy członkowie D4 są przekonani, że ten facet to nasza jedyna nadzieja.

– A co mnie obchodzi, co sobie myśli wasze D4! Jeżeli ojciec mógł kombinować z Niemcami podczas wojny, to dlaczego syn nie miałby kombinować z ruskimi w czasie pokoju?

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

– Właśnie.

– Więc co mam robić?

– Po prostu informuj na bieżąco, co zamyśla Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Nasi agenci w Szwajcarii załatwią resztę.

– Prędzej! – rzucił Romanow, świadom, że jego polecenie nie może zostać spełnione, jako że kierowca ambasadora był profesjonalistą najwyższej klasy. Nie po raz pierwszy Aleks miał uczucie, że coś przegapił, że stracił okazję, a przecież jeszcze dodatkowe pięć kilometrów na godzinę na szybkościomierzu i można by nadrobić uchybienie. Od chwili kiedy znaleźli się na autostradzie, pędząc na wszystkich światłach i z ręką na klaksonie, strzałka szybkościomierza rzadko spadała poniżej stu trzydziestu kilometrów na godzinę.

– Musimy ich dogonić przed granicą – powtarzał, uderzając pięścią w obłożoną skórą deskę rozdzielczą.

Pokonawszy sto kilometrów w pięćdziesiąt minut, trzej mężczyźni zaczęli wypatrywać autokaru, ale dopiero po dalszych trzydziestu kilometrach Wołczek wskazał ręką i zawołał:

– To muszą być oni, jakiś kilometr w górę.

– Zepchnijcie ich na pobocze – polecił Romanow, nie spuszczając autokaru z oka.

Kierowca przystąpił do wyprzedzania, a kiedy już znalazł się przed autokarem, zajechał mu drogę, zmuszając kierowcę do przyhamowania i zjechania na bok. Wołczek władczym ruchem nakazał mu stanąć. Mężczyzna zatrzymał autokar na poboczu na skraju wzniesienia.

– Niech żaden z was się nie odzywa, wszystko zostawcie mnie – rzucił Romanow. – I bądźcie w pobliżu kierowcy, na wypadek gdyby były jakieś kłopoty.

Romanow wyskoczył z samochodu i podbiegł do autokaru, wypatrując śmiałka, który odważyłby się go opuścić. Zniecierpliwiony, załomotał w drzwi. W odpowiedzi na to kierowca nacisnął guzik i Romanow wsiadł, a tuż za nim jego dwaj towarzysze. Z wewnętrznej kieszeni Aleks wyjął paszport, pomachał nim przed oczami przerażonemu kierowcy i wrzasnął:

– Kto tu jest szefem?!

Wstał Stephen Grieg.

– Ja jestem szefem zespołu i mogę…

– Szwajcarska policja – powiedział Romanow. Grieg miał właśnie o coś zapytać, kiedy major dodał: – Czy opuszczając dziś rano hotel w Genewie, brał pan jakichś dodatkowych pasażerów?

– Nie – odparł Grieg. Romanow zrobił wściekłą minę. – Chyba że liczyć brata Robin Beresford.

– Brata Robin Beresford? – powtórzył major, unosząc brwi.

– Tak – rzekł Grieg. – Adama Beresforda. Ale on podjechał z nami tylko do Solothurn i tam wysiadł.

– Kto z państwa jest Robin? – spytał Romanow, ogarniając wzrokiem morze twarzy.

– Ja – odezwał się piskliwy głos z tyłu.

Romanow poszedł w tamtą stronę, zobaczył wielki futerał kontrabasu i nagle wszystko stało się dla niego jasne. Zawsze go bardzo męczyło, gdy jakiś element nie pasował mu do całości. Tak, to właśnie od początku wydawało się podejrzane. Dlaczego nie włożyła kontrabasu razem z innymi dużymi instrumentami do komory bagażowej autokaru? Popatrzył z góry na potężną kobietę, która siedziała teraz za monstrualnym instrumentem.

– To pani brat ma na imię Adam?

– Tak – odparła Robin.

– Co za zbieg okoliczności.

– Nie rozumiem, o co panu chodzi – rzekła Robin, starając się panować nad głosem.

– Człowiek, którego poszukujemy, też ma przypadkiem na imię Adam.

– To dość popularne imię – powiedziała dziewczyna. – Widzę, że pan nie czytał pierwszego rozdziału Biblii.

– Sto osiemdziesiąt dwa, może sto osiemdziesiąt pięć centymetrów, ciemne włosy, ciemne oczy, szczupły, wysportowany. Dziwne, jak na pani brata – dodał Romanow, studiując sylwetkę dziewczyny.

Robin odgarnęła do tyłu rude włosy, ale nie wstała. Z pełnych napięcia twarzy dokoła Romanow domyślił się, że to Scott był w autokarze.

– A dokąd wybierał się *brat* – podkreślił to słowo z przekąsem – po rozstaniu z panią? – Uderzał przy tym w rękę swoim paszportem jak batutą.

– Nie mam pojęcia – odparła Robin, w dalszym ciągu nie zmieniając wyrazu twarzy, na której malowała się uprzejma obojętność.

– Dam pani jeszcze jedną szansę okazania chęci współpracy. Dokąd wybierał się pani brat?

– A ja raz jeszcze odpowiem, że nie wiem.

– Jeśli odmówi pani odpowiedzi na moje pytania – rzekł Romanow – będę zmuszony panią aresztować.

– W czyim imieniu? – zapytała Robin spokojnie.

Romanow rozważał chwilę, czy pokazać jej swój paszport, ale doszedł do wniosku, że dziewczyna jest ostrzejsza zarówno od kierowcy, jak i od szefa zespołu.

– W imieniu szwajcarskiej policji – odpowiedział bezczelnie.

– Spodziewam się wobec tego, że mi pan okaże dowód tożsamości.

– Niech pani nie będzie niegrzeczna – rzekł ostro Romanow, który górował nad siedzącą dziewczyną.

– To pan zachowuje się niegrzecznie. – Robin wstała. – Najpierw zajechał nam pan drogę jak wariat, prawie spychając nas w przepaść, a potem wtargnęliście panowie we trzech jak gangsterzy z Chicago i podajecie się za szwajcarską policję. Nie mam pojęcia, kim ani czym jesteście, ale zdradzę wam dwa sekrety. Niech pan mnie tylko tknie palcem, a jest tu, w autokarze, czterdziestu facetów, którzy z pana i pańskich dwóch kumpli zrobią miazgę, jeśli zaś nawet zdołacie ujść z życiem, to zapamiętajcie sobie

dobrze, że macie do czynienia z członkami brytyjskiej Królewskiej Orkiestry Filharmonicznej i że jako tacy jesteśmy gośćmi rządu szwajcarskiego. A za kilka chwil, po przekroczeniu granicy, będziemy gośćmi rządu zachodnioniemieckiego. W ten sposób szybko znajdziecie się na pierwszych stronach wszystkich ważniejszych gazet świata. Sami nadacie zupełnie nowy sens sformułowaniu „incydent dyplomatyczny". – Wychyliła się do przodu i celując palcem w Romanowa, powiedziała: – Powtarzam panu jeszcze raz, niezależnie od tego, kim pan jest, jak przystało na damę: odpieprz się pan.

Romanow chwilę stał, gapiąc się na Robin, która nie spuszczała z niego wzroku, po czym zaczął się wycofywać. Kiedy znalazł się na przodzie autokaru, dał znak Wołczkowi i kierowcy, żeby wysiedli. Usłuchali go niechętnie. Gdy tylko Romanow dotknął ziemi, kierowca autokaru zamknął drzwi, wrzucił jedynkę i włączył się w ruch na autostradzie.

Cała orkiestra obróciła się i uhonorowała Robin owacjami przeznaczonymi zwykle na wejście dyrygenta.

Owacja jednak nie została odpowiednio doceniona. Robin opadła na siedzenie, nie mogąc powstrzymać drżenia, aż nazbyt świadoma tego, że żaden z obecnych w autokarze mężczyzn nie podniósłby ręki na Rosenbauma.

Sir Morris Youngfield powiódł wzrokiem dokoła stołu. Wszyscy członkowie D4 byli na miejscu, mimo że szef wezwał ich zaledwie kilka minut wcześniej.

– Wysłuchajmy ostatniego raportu – powiedział, patrząc na swego zastępcę, który i tym razem siedział na końcu stołu.

– Obawiam się, że nie jest najlepiej – zaczął Lawrence. – Wybraliśmy dwóch najbardziej doświadczonych agentów, żeby zgodnie z planem wzięli Scotta spod hotelu Richmond i odstawili go do konsulatu brytyjskiego.

– No i co się stało? – zapytał sir Morris.

– W naszym biurze w Genewie nie wiedzą. W każdym razie ci dwaj nie pojawili się przed hotelem i od tej pory nikt ich nie widział.

– A co mówi szwajcarska policja? – zapytał Busch.

– Nie kwapią się do współpracy – odparł Lawrence. – Mają świadomość, że nie jesteśmy jedyną obcą siłą zaangażowaną w sprawę, i jak zwykle w podobnych okolicznościach, nie chcą wyraźnie popierać żadnej ze stron.

– Cholerni Szwajcarzy – rzekł Snell z naciskiem.

– A gdzie może być teraz Scott? – zapytał Matthews.

– Tego też nie wiemy – rzekł Lawrence. Matthews uśmiechnął się, widząc jego zażenowanie. – Jesteśmy przekonani, że musiał wsiąść do autokaru razem z tą dziewczyną – Lawrence spojrzał na leżącą przed nim kartkę – Robin Beresford. Ale go nie było, kiedy przyjechali na granicę. Orkiestra ma być w hotelu we Frankfurcie mniej więcej za godzinę, to może się czegoś więcej dowiemy. Policja niemiecka jest znacznie bardziej skora do współpracy – dodał.

– A tymczasem co robimy? – spytał sir Morris.

– Sprawdzamy zwykłe miejsca i pilnujemy Romanowa, który, nawiasem mówiąc, pojawił się wczoraj wieczorem na granicy francuskiej. Jeden z naszych starych współpracowników go poznał, mimo że facet ostrzygł się krótko. Musi mu być w tym nie do twarzy.

– Czyli że do tej pory Scott może być już praktycznie wszędzie – zauważył Matthews. – Czy pan myśli, że jest jeszcze na terenie Szwajcarii, czy przekroczył którąś z granic?

Lawrence zawahał się.

– Nie mam pojęcia – powiedział z twarzą pozbawioną wyrazu.

Sir Morris patrzył na niego poprzez stół, ale powstrzymał się od komentarzy.

– Czy sądzi pan, że Scott nadal będzie próbował się z panem kontaktować? – zapytał Snell.

– Jestem tego prawie pewien… o ile jeszcze żyje.

– Scott musi być żywy, skoro Romanow jest w dalszym ciągu w Szwajcarii – powiedział Busch – bo jak tylko ten położy łapę na ikonie, natychmiast wyruszy na wschód.

– Zgadza się – rzekł Lawrence. – W każdym porcie lotniczym mamy ludzi, którzy sprawdzają wszystkie loty na wschód. Proponuję więc, żebyśmy dalej szli wszelkimi możliwymi tropami i zebrali się znów jutro o siódmej rano, chyba że Scott się do mnie wcześniej odezwie.

Sir Morris skinął głową i wstał. Zaraz po nim podnieśli się wszyscy pozostali.

– Dziękuję panom – powiedział i przeszedł w drugi koniec pokoju. Mijając Lawrence’a, mruknął: – Niech pan w wolnej chwili przyjdzie do mnie do gabinetu.

Adam pośliznął się, potknął i ostatnie kilka metrów poleciał na łeb, na szyję, by w końcu z impetem wylądować na dnie wąwozu. Ręce miał pokaleczone i krwawiące w kilku miejscach, spodnie podarte i poplamione gliną i ziemią. Przez kilka minut siedział, łapiąc oddech i jednocześnie patrząc w kierunku drogi. Z godzinę zajęło mu pokonanie tej odległości, którą kamień przebyłby w trzy sekundy. Miało to wszakże jedną zaletę: nikt nie mógł go widzieć od strony drogi. Popatrzył przed siebie poprzez dolinę. Teraz każdy mógł go zobaczyć, ale Adam nie miał alternatywy.

Oceniaj na oko, sprawdzaj na mapie. Mapa nie była zbyt pomocna, ale odległość do widocznego w oddali pasma wzgórz ocenił na jeszcze jakieś trzy kilometry. Z mapy zaś wynikało, że droga biegnąca po drugiej stronie wzgórz będzie przynajmniej ukryta przed ludzkim wzrokiem. Zaczął studiować krajobraz: zielone falujące pola bez żadnych żywopłotów, za którymi mógłby się ukryć, i szeroka, płytka rzeka. Uznał, że do drogi dotrze w jakieś dwadzieścia minut. Sprawdził, czy ikona jest na miejscu, i równym krokiem ruszył przed siebie.

Od chwili kiedy tak bezceremonialnie zostali wyproszeni z autokaru, Romanow prawie się nie odzywał, Wołczek zaś i kierowca też milczeli. Major był pewny, że dziewczyna zameldowała gdzie trzeba o jego blefie, i nie mógł ryzykować żadnego zatargu dyplomatycznego, o którym niewątpliwie jego szef w Moskwie zaraz zostałby zawiadomiony. W każdym razie nie zapomni dziewczyny o męskim imieniu.

Solothurn było położone w odległości jakichś czterdziestu kilometrów w kierunku, z którego właśnie przyjechali, i wystarczyłoby dwadzieścia minut jazdy, by dotarli na miejsce, gdyby Romanow nie nalegał, żeby zwalniali na widok każdego zbliżającego się do nich z naprzeciwka samochodu. Sprawdzali pasażerów wszystkich pojazdów, na wypadek gdyby Scottowi udało się zatrzymać jakiegoś łebka. Był to w opinii Romanowa niezbędny środek ostrożności, ale droga do Solothurn zajęła im trzydzieści jeden minut zamiast dwudziestu. Uspokoili się jednak, że Scott nie próbuje forsować granicy – chyba że w bardzo sprytnym przebraniu albo w bagażniku samochodu.

Gdy tylko znaleźli się w Solothurn, Romanow polecił kierowcy zostawić samochód w centrum miasteczka, po czym rozdzielili się i każdy poszedł w inną stronę. Żaden jednak z pytanych przez nich mieszkańców nie widział tego ranka nikogo, kto by przypominał Scotta, i Romanow zaczął

się już zastanawiać, na którą granicę mógł się zdecydować Adam, kiedy zobaczył swego kierowcę kopiącego piłkę w stronę małego chłopca. Zbiegł zboczem w dół i już miał dać kierowcy reprymendę, gdy chłopak obrócił się i z całej siły kopnął piłkę w stronę Rosjanina. Major odruchowo przytrzymał piłkę i strzelił gola. Znów się zabierał, by nawymyślać kierowcy, kiedy piłka ponownie pojawiła się u jego nóg. Podniósł ją ze złością, gotów rzucić nią w chłopca, ale powstrzymał go pełen nadziei uśmiech malca. Uniósł więc piłkę wysoko nad głowę. Chłopak podbiegł, ale mimo usilnych prób nie był w stanie jej dosięgnąć.

– Ej, mały, widziałeś tu rano jakichś obcych? – zapytał Romanow po francusku, wolno wymawiając słowa.

– Widziałem, widziałem – odparł dzieciak – ale on nie strzelił gola.

– A w którą stronę poszedł?

– Tam, w górę – pokazał chłopak.

Ku rozczarowaniu dzieciaka Romanow rzucił piłkę i puścił się biegiem. Wołczek i kierowca ruszyli za nim.

– *Non, non!* – wołał mały, usiłując ich dogonić.

Romanow odwrócił się i zobaczył chłopca stojącego dokładnie w tym samym miejscu, z którego Adam usiłował zatrzymywać samochody. Mały pokazywał na drugą stronę wąwozu.

Romanow szybko wydał polecenie kierowcy:

– Bierzcie samochód, potrzebna mi będzie lornetka i mapa.

Kierowca ruszył w dół zbocza, a za nim chłopak. Kilka minut później mercedes podjechał do Romanowa. Kierowca wyskoczył z samochodu i podał mu lornetkę, podczas gdy Wołczek rozłożył mapę na masce.

Romanow nastawił lornetkę i zaczął przepatrywać odległe wzgórza. Upłynęło kilka minut, nim zatrzymał ją na brunatnej plamce widocznej na najdalszym zboczu.

– Karabin – warknął.

Wołczek podbiegł do bagażnika i wyjął karabin snajperski Dragunowa z lunetą. Złożył długą, smukłą broń o charakterystycznej szkieletowej drewnianej kolbie i sprawdził, czy jest nabita. Następnie uniósł karabin, poruszał nim chwilę, dopóki nie poczuł, że leży mu wygodnie w zagłębieniu ramienia, zatoczył lufą łuk przed sobą i wymierzył broń w Scotta. Romanow cały czas wiódł lornetką za niestrudzenie wspinającym się Adamem. Ramię Wołczka sunęło w tym samym tempie.

– Zabij go – rzekł Romanow.

Wołczek błogosławił pogodny, bezwietrzny dzień. Trzymając celownik pośrodku pleców Anglika, odczekał jeszcze trzy kroki i powoli nacisnął spust. Adam był już prawie na szczycie wzgórza, kiedy dosięgła go kula. Z łomotem padł na ziemię. Romanow uśmiechnął się i opuścił lornetkę.

Adam dokładnie wiedział, co mu rozerwało ramię i skąd padł strzał. Instynktownie przeturlał się pod najbliższe drzewo. I wtedy poczuł ból. Mimo że pocisk stracił na sile przez znaczną odległość, rana piekła jak ukąszenie żmii, a krew zaczęła już przesiąkać przez płaszcz. Adam odwrócił się i spojrzał za siebie. Nie zobaczył wprawdzie nikogo, ale wiedział, że Romanow stoi i czeka, żeby posłać mu drugą kulę.

Obróciwszy się z trudem, popatrzył w stronę szczytu wzgórza. Od bezpiecznego miejsca dzieliło go zaledwie trzydzieści metrów, ale musiałby przebiec przez grzbiet, wystawiając się na widok przez kilka decydujących być może sekund. Nawet gdyby mu się to udało, to i tak Romanow w ciągu pół godziny dogoniłby go samochodem.

Mimo wszystko była to jego jedyna szansa. Powoli, centymetr po centymetrze, czołgał się w stronę grzbietu wzgórza, w dalszym ciągu kryjąc się za drzewem. Ręka, noga, ręka, noga – pełzł jak krab wyrzucony na brzeg. Po dziesięciu metrach wiedział, że sytuacja będzie dla niego niekorzystna, że Romanow zyska w nim łatwy, wolno poruszający się cel. Pokonał jeszcze odległość równą czterem długościom swego ciała i znieruchomiał.

Nie możesz stać tak bez końca z karabinem na ramieniu, pomyślał. Policzył wolno do dwustu.

– Podejrzewam, że puści się biegiem – powiedział Romanow do Wołczka, unosząc lornetkę. – Będziecie mieli jakieś trzy sekundy. Krzyknę w momencie, kiedy się ruszy. – Trzymał lornetkę wycelowaną w drzewo.

Adam zerwał się nagle i ruszył biegiem, jakby to było ostatnie dwadzieścia metrów finału olimpijskiego. Romanow krzyknął: „Już!”, a Wołczek uniósł karabin do ramienia, wycelował i nacisnął spust w tej samej chwili, kiedy Adam rzucił się przez grzbiet wzgórza. Pocisk świsnął mu koło głowy.

Romanow zaklął, widząc przez lornetkę, że Wołczek chybił, po czym odwrócił się do rozłożonej mapy. Jego towarzysze dołączyli do niego, by wspólnie rozważyć wszystkie możliwości.

– Za jakieś dziesięć minut powinien być na drodze – powiedział Romanow, kładąc palec w połowie cienkiej czerwonej linii łączącej Neuchâtel z granicą francuską. – Chyba że oberwał za pierwszym razem, wtedy zajmie mu to więcej czasu. Ile potrzebujecie na dojazd do tej granicy? – zwrócił się do kierowcy.

Mężczyzna pochylił się nad mapą.

– Dwadzieścia pięć, najwyżej trzydzieści minut, towarzyszu majorze – padła odpowiedź.

Romanow spojrzał w stronę wzgórz.

– Trzydzieści minut, Scott. Tyle masz jeszcze życia przed sobą.

Kiedy samochód odjechał, malec pognał do domu, żeby jak najszybciej opowiedzieć matce o wszystkim, co widział. Uśmiechnęła się wyrozumiale. Tylko dzieci mogą mieć taką bujną wyobraźnię.

Kiedy Adam spojrzał przed siebie, z ulgą stwierdził, że od drogi dzieli go nie więcej niż półtora kilometra. Zaczął biec równym truchtem, ale poczuł, że ramię dokucza mu coraz bardziej. Miał ochotę zatrzymać się i obejrzeć ranę, ale postanowił zaczekać z tym, aż znajdzie się przy drodze. Kula rozerwała mu zewnętrzny mięsień ramienia, powodując dotkliwy ból. Gdyby dostał kilka centymetrów niżej, nie mógłby się ruszać. Szczęśliwie krwawa plama na płaszczu była bardzo niewielka. Złożył chustkę do nosa we czworo i wsunął ją pod koszulę. Wiedział, że nie może ryzykować wizyty w szpitalu. Jeżeli wieczorem będzie miał dostęp do apteki, to jakoś da sobie radę.

Spojrzał na mapę. Od granicy francuskiej dzieliło go teraz zaledwie kilka kilometrów i ze względu na ranę postanowił jak najszybciej dostać się do Francji, zamiast, tak jak zamierzał pierwotnie, przez Bazyleę do Bremerhaven.

Rozpaczliwie próbował zatrzymywać wszystkie samochody po kolei, nie zwracając już uwagi na rejestrację. Wiedział, że tylko przez jakieś dwadzieścia minut może czuć się bezpieczny, a potem znów będzie musiał szukać schronienia wśród wzgórz. Niestety, w stronę granicy francuskiej jechało znacznie mniej samochodów niż do Bazylei, a te, które usiłował zatrzymywać, nie zwracały na niego uwagi. Z przerażeniem pomyślał, że już za chwilę będzie musiał uciekać w góry, kiedy nagle zobaczył żółtego citroena, który zjechał na pobocze i zatrzymał się kilka metrów przed nim.

Zanim dobiegł do samochodu, siedząca z tyłu kobieta odkręciła szybę.

– Do-kąd pań-stwo ja-dą? – Adam powoli i bardzo wyraźnie wymawiał słowa.

Kierowca odwrócił się, zmierzył go przeciągłym spojrzeniem i powiedział z silnym yorkshirskim akcentem:

– Jedziemy do Dijon. Pasuje, kawalerze?

– Tak, bardzo dziękuję – odparł Adam, szczęśliwy, że jego niechlujny wygląd ich nie zraził.

– No to wskakuj do tyłu obok mojej córki.

Citroen ruszył. Adam obejrzał się i z ulgą zobaczył pustą drogę.

– Nazywam się Jim Hardcastle – przedstawił się mężczyzna, wrzucając trójkę. Z jego pucołowatej twarzy nie schodził szeroki, ciepły uśmiech. Ciemnorude włosy, zaczesane gładko do tyłu, trzymały się na brylantynie. Jim miał na sobie tweedową marynarkę i rozpiętą pod szyją koszulę, która ukazywał trójkąt ryżych włosów. Adam odniósł wrażenie, że Jim całkowicie machnął ręką na to, co się dzieje z jego talią. – A to moja żona Betty. – Wskazał łokciem siedzącą obok niego kobietę. Betty odwróciła się do Adama, ukazując takie same rumiane policzki i ciepły uśmiech. Jej utlenione na żółto włosy przy skórze uparcie pozostały czarne. – A ta obok ciebie to nasza Linda – dodał Jim Hardcastle, jakby się w ostatniej chwili namyślił. – Właśnie skończyła szkołę i wybiera się do pracy w radzie miejskiej, prawda, Linda? – Linda skinęła głową nadąsana. Adam przyjrzał się dziewczynie, której pierwsze eksperymenty z makijażem nie udały się najlepiej. Nadmiar ciemnego cienia do powiek i jaskrawa szminka nie posłużyły ładnej, jak ją ocenił, nastolatce. – A jak ty się nazywasz, chłopcze, jeśli wolno spytać?

– Dudley Hulme – odparł Adam, przypomniawszy sobie nazwisko właściciela paszportu, który miał przy sobie. – Państwo na urlopie? – spytał, usiłując nie myśleć o pulsującym ramieniu.

– Łączymy przyjemne z pożytecznym – wyjaśnił Jim. – Ale ta część podróży ma dla mnie i Betty szczególne znaczenie. W sobotę polecieliśmy do Genui i wynajęliśmy samochód, żeby objechać Włochy. Najpierw przejechaliśmy przez przełęcz Simplon. Muszę powiedzieć, że po naszym rodzinnym Hull to mocne wrażenie.

Adam miał ochotę zapytać o szczegóły, ale Jim nie dopuszczał go do głosu.

– Pracuję w branży musztardowej. Jestem dyrektorem do spraw eksportu u Colmana i właśnie jedziemy na doroczną konferencję MFM. Mogłeś o nas słyszeć. – Adam mądrze skinął głową. – Międzynarodowa Federacja Musztardowa – wyjaśnił Jim. Adama korciło, żeby się roześmiać, ale ze względu na ból w ramieniu zachował poważną minę. – W tym roku wybrali mnie na prezesa federacji. Jak widzisz, wysoko zaszedłem w branży musztardowej. I bez fałszywej skromności muszę powiedzieć, że to też zaszczyt dla Colmana, producenta najwspanialszej musztardy na świecie – dodał, jakby to powtarzał co najmniej sto razy dziennie. – Jako prezes prowadzę różne spotkania w ramach konferencji i jestem gospodarzem dorocznego uroczystego obiadu. Dziś muszę powitać delegatów z całego świata.

– To nad wyraz ciekawe. – Adam skrzywił się, kiedy samochód podskoczył na wyboju.

– Rzeczywiście – zgodził się Jim. – Ludzie zupełnie nie zdają sobie sprawy z tego, jak wiele rodzajów musztardy istnieje. – Na sekundę przerwał, po czym zakończył: – Sto czterdzieści trzy. Trzeba przyznać, że żabojady mają ze dwa dobre gatunki, a nawet szkopy są nie najgorsze, ale to wszystko nic w porównaniu z Colmanem. Zawsze mówiłem, że mimo wszystko Brytyjczycy są najlepsi. Może w twoim zawodzie też. Ale, właśnie, jaki jest twój zawód?

– Służę w armii – odparł Adam.

– A cóż robi brytyjski żołnierz, starając się zabrać na łebka nad szwajcarską granicą?

– Czy mogę prosić o dyskrecję?

– U mnie jak w studni – zapewnił go Jim. – Hardcastle’owie potrafią trzymać język za zębami.

Co do żony i córki Jima Adam nie miał wątpliwości, że potrafią.

– Jestem kapitanem i służę w Królewskim Pułku Wessex, obecnie na ćwiczeniach NATO – zaczął Adam. – W niedzielę zrzucono mnie w pobliżu wybrzeża w Brindisi we Włoszech z fałszywym paszportem i dziesięcioma funtami angielskimi. Do północy w sobotę muszę się zameldować w koszarach w Aldershot. – Widząc wyraz uznania na twarzy Jima, Adam pomyślał, że nawet Robin byłaby z niego dumna.

Pani Hardcastle obróciła się, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

– Wiedziałem, chłopcze, że jesteś oficerem, jak tylko otworzyłeś usta – rzekł Jim. – Mnie byś nie oszukał. Sam podczas drugiej wojny służyłem

jako sierżant w piechocie. Może to i nic specjalnie wielkiego, ale i ja coś z siebie dałem ojczyźnie. A ty brałeś udział w jakiejś akcji, Dudley?

– Trochę, na Malajach – odparł Adam.

– To mi jakoś umknęło – rzekł Jim. – Zaraz po wojnie wróciłem do branży musztardowej. Ale na czym polega problem w dostarczeniu cię do Anglii, co?

– Ośmiu nas usiłuje się dostać do Aldershot, a tysiąc Amerykanów próbuje nam w tym przeszkodzić.

– Cholerni jankesi – rzucił Jim z pogardą. – Zawsze przystępują do wojen, kiedy my je praktycznie już wygraliśmy. Żeby zgarnąć całą sławę i medal. Ale żarty na bok. Chodzi mi o to, czy jest jakiś problem.

– Tak. Władze zostały uprzedzone, że ośmiu brytyjskich oficerów stara się przekroczyć granicę francuską, a Szwajcarzy zrobią wszystko, żeby nam przeszkodzić. W ubiegłym roku tylko dwóch na dwunastu dotarło do koszar – powiedział Adam, sam się zapalając do własnej opowieści. – Obaj w ciągu paru tygodni dostali awans.

– Szwajcarzy – rzekł Jim – są jeszcze gorsi do Amerykanów. Ci to nawet nie przystąpią do żadnej wojny. I tylko patrzą, jak by tu wyzyskać obie strony. O, nie, chłopcze, już oni cię nie dopadną. Moja w tym głowa.

– Gdyby pan mógł mnie tylko przewieźć przez granicę, to już dalej do Aldershot dam sobie radę.

– Masz to jak w banku, chłopcze.

Rezerwa zaczęła mrugać czerwonym światełkiem.

– Na ile kilometrów mamy jeszcze benzyny? – zapytał Romanow.

– Na jakieś dwadzieścia, towarzyszu majorze – odparł kierowca.

– To znaczy, że dojedziemy do francuskiej granicy, tak?

– Chyba bezpieczniej byłoby jednak zatankować – zasugerował kierowca.

– Na bezpieczniej nie ma czasu – warknął Romanow. – Szybciej.

– Tak jest, towarzyszu majorze. – Lepiej teraz nie tłumaczyć, że cisnąc gaz do dechy, zużyję jeszcze więcej paliwa, pomyślał kierowca.

– Dlaczego nie zatankowałeś rano, durniu?

– Miałem tylko zawieźć konsula na lunch do ratusza i wziąć benzynę w czasie przerwy obiadowej.

– Twoja w tym głowa, żebyśmy dojechali do granicy. Szybciej.

Wskazówka szybkościomierza mercedesa dochodziła do stu czterdziestu kilometrów na godzinę, ale Romanow odprężył się, dopiero gdy zobaczył znak drogowy, według którego do granicy pozostało dziesięć kilometrów. Kilka minut później, kiedy mijali znak zawiadamiający, że od granicy dzieli ich zaledwie pięć kilometrów, na jego twarzy pojawił się uśmiech, ale wtedy nagle silnik zakrztusił się, nie mogąc sprostać wymaganiom docisniętego do deski gazu. Strzałka szybkościomierza zaczęła systematycznie spadać. Kierowca wyłączył stacyjkę i przestawił dźwignię biegów na luz. Rozpędem przejechali jeszcze z kilometr, zanim mercedes się zatrzymał.

Romanow nawet nie spojrzał w stronę kierowcy – wyskoczył z samochodu i ruszył przed siebie, postanawiając biegiem przebyć pozostałe trzy kilometry.

– Mam pomysł – powiedział Jim, kiedy mijali znak informujący, że do granicy pozostały zaledwie dwa kilometry.

– Mianowicie? – zainteresował się Adam. Pulsowanie w ramieniu przypominało teraz wystukiwanie rytmu na dziecinnym blaszanym bębenku.

– Jak będziemy mieli okazywać paszporty, obejmij ramieniem Lindę i zacznij się do niej czulić, a resztę zostaw mnie.

Pani Hardcastle odwróciła się i zmierzyła Adama uważnym spojrzeniem. Linda zarumieniła się po uszy. Adam popatrzył na wymalowaną dziewczynę w spódniczce mini i poczuł się skrępowany sytuacją, w jakiej postawił ją ojciec.

– Nie sprzeczaj się ze mną, Dudley – podjął Jim konfidencjonalnie. – Obiecuję ci, że mój pomysł zagra.

Ani Adam, ani Linda nie odezwali się słowem. Kiedy kilka minut później znaleźli się na granicy, Scott zauważył dwa punkty kontrolne, położone w odległości jakichś stu metrów jeden od drugiego. Większość kierowców omijała kolejkę, w której wybuchło nieporozumienie pomiędzy celnikiem a rozwścieczonym kierowcą ciężarówki. Jim podjechał prosto do gestykulującego Francuza i ustawił się za nim.

– Daj mi swój paszport, Dudley – powiedział.

Adam wręczył mu paszport skrzypka.

Dlaczego wybrałeś akurat tę kolejkę? – miał ochotę spytać.

– Wybrałem tę kolejkę – wyjaśnił Jim – ponieważ jestem przekonany, że do czasu, kiedy my będziemy mieli okazywać paszporty, celnik skruszeje

i przepuści nas bez ceregieli. – Jakby w odpowiedzi na perorę Jima zaczęła się za nim tworzyć długa kolejka samochodów, awantura przed nimi jednak nie ustawała. Adam, cały czas czujny, co chwila odwracał się do tyłu, wypatrując Romanowa. Kiedy znów spojrzał do przodu, z ulgą stwierdził, że ciężarówce kazano zjechać na bok i zaczekać.

Jim szybko podjechał do stanowiska celnego.

– No, migdalcie się – rzucił pod adresem młodych.

Do tej pory Adam trzymał podrapane i posiniaczone ręce w kieszeniach płaszcza, teraz jednak zastosował się do polecenia Jima: wziął Lindę w ramiona i całując ją dla pozoru, cały czas zerkał za siebie. Ku jego zdumieniu, dziewczyna rozchyliła mu wargi i wtargnęła językiem do ust. Chciał zaprotestować, ale uznał, że nie byłoby to ani eleganckie, ani wiarygodne.

– Żona, córka i przyszły zięć – powiedział Jim, podając cztery paszporty.

Celnik zaczął sprawdzać dokumenty.

– O co ten cały szum? – spytał Jim.

– Proszę się nie niepokoić – odparł urzędnik, przeglądając paszporty. – Przepraszam za chwilową niewygodę.

– Nic się nie stało. Tamci dwoje nawet tego nie zauważyli.

Policjant wzruszył ramionami i oddając paszporty, wskazał ręką, żeby jechali.

– *Allez.*

– W Hull mówią na mnie Jim ostry jak musztarda. – Hardcastle spojrzał przez ramię na Adama. – Już możesz przestać, Dudley, dziękuję.

Adam wyczuł, że Linda nie kwapi się go puścić.

Spojrzała na niego nieśmiało, a następnie zwróciła się do ojca:

– Ale granicę francuską mamy jeszcze przed sobą, prawda?

– Dano nam znać, że mamy na niego uważać, i mogę zapewnić, że tu, u nas, nie przekraczał granicy – powiedział szef placówki. – Z pewnością któryś z moich ludzi by go zauważył. Ale jeśli pan chce ich spytać, to bardzo proszę.

Romanow szybko obszedł wszystkich funkcjonariuszy straży granicznej, pokazując im powiększone zdjęcie Adama, ale żaden z nich nie przypominał sobie nikogo o podobnym wyglądzie. Kilka minut później nadszedł

Wołczek z wiadomością, że Scotta nie ma w żadnym z czekających na odprawę samochodów i że ich mercedes stoi już w garażu na granicy.

– Wracamy w góry, towarzyszu majorze? – zapytał.

– Jeszcze nie teraz. Muszę mieć absolutną pewność, że Scott w żaden sposób nie przedostał się przez granicę.

Szef placówki wyłonił się ze swojej budki.

– No i? – zapytał.

– Chyba miał pan rację – odparł Romanow ponuro.

– Tak mi się wydawało. Gdyby któryś z moich ludzi przegapił Anglika, już by sobie szukał innej pracy.

Major skinął głową.

– Czy może pominąłem kogoś z pańskich pracowników?

– Wątpię, chyba że któryś ma akurat przerwę. Jeśli tak, to go pan znajdzie w barze jakieś sto metrów w stronę posterunku francuskiego.

W barze Romanow zastał jedynie czterech funkcjonariuszy straży granicznej i francuską kelnerkę. Dwóch grało w bilard, a dwóch pozostałych siedziało przy stoliku w rogu i popijało kawę. Romanow wyjął zdjęcie i pokazał je mężczyznom grającym w bilard. Obojętnie pokręcili głowami i wrócili do przytykania w kolorowe bile.

Dwaj Rosjanie podeszli do baru. Wołczek podsunął majorowi kawę i kanapkę. Romanow udał się z nimi do stolika, przy którym siedzieli pozostali dwaj mężczyźni. Jeden z nich opowiadał drugiemu, jaką miał przeprawę z kierowcą francuskiej ciężarówki, który chciał przemycić przez granicę szwajcarskie zegarki. Romanow popchnął przez stół fotografię Scotta.

– Widzieliście może dzisiaj panowie tego faceta?

Żaden z nich nie okazał żywszego zainteresowania i młodszy zaraz podjął przerwaną opowieść. Romanow, popijając kawę, zastanawiał się, czy jechać do Bazylei, czy wezwać posiłki i zacząć przeczesywać wzgórza. W pewnej chwili zauważył, że młodszy strażnik wraca spojrzeniem do zdjęcia. Ponownie więc zapytał, czy nie widział Scotta.

– Nie, nie – odparł zapytany trochę za szybko.

W Moskwie w ciągu kilku minut Romanow wycisnąłby z niego „Tak”, ale tutaj musiał stosować delikatniejsze metody.

– Jak dawno temu? – zapytał cicho.

– Co jak dawno?

– Jak dawno temu? – powtórzył Romanow bardziej stanowczym tonem.

– To nie był on – powiedział strażnik, na którego czole pojawiły się kropelki potu.

– Jeśli to nie on, to jak dawno temu to nie był on?

Strażnik zawahał się.

– Dwadzieścia, może trzydzieści minut.

– Jaki samochód?

– Chyba citroen.

– Kolor?

– Żółty.

– Inni pasażerowie?

– Troje. Wyglądali na rodzinę. Matka, ojciec, córka. On siedział z tyłu z córką. Ojciec mówił, że są zaręczeni.

Romanow nie miał więcej pytań.

Jim Hardcastle utrzymywał jednostronną rozmowę przez blisko godzinę.

– Oczywiście MFM co roku organizuje swoją konferencję w innym mieście. W ubiegłym roku była w Denver w Kolorado, w przyszłym będzie w Perth w Australii. W ten sposób mam szansę zobaczyć kawał świata. Ale jak człowiek zajmuje się eksportem, to musi przywyknąć do podróżowania.

– No jasne – powiedział Adam, usiłując mimo bolesnego pulsowania w ramieniu skoncentrować się na tym, co mówi jego dobroczyńca.

– Jestem prezesem naturalnie tylko na rok – podjął Jim. – Ale mam taką ambicję, żeby moi koledzy delegaci w ferworze różnych spraw nie zapomnieli roku 1966.

– Jestem przekonany, że nie zapomną – zapewnił go Adam.

– Udowodnię im, że pod względem eksportu Colman ma na swoim koncie kolejny rekordowy rok.

– To nadzwyczajne.

– Tak, ale muszę przyznać, że większa część naszych zysków pozostaje na brzegu talerza – powiedział ze śmiechem Jim.

Adam też się roześmiał, ale czuł, że pani Hardcastle i Linda musiały to już słyszeć niejeden raz.

– Tak sobie pomyślałem, Dudley, a z pewnością moja żona się ze mną zgodzi, że byłoby miło, gdybyś był naszym gościem na tym uroczystym obiedzie.

Pani Hardcastle skinęła głową, Linda przyjęła propozycję ojca entuzjastycznie.

– Z największą przyjemnością – rzekł Adam. – Obawiam się jednak, że mój dowódca nie byłby zachwycony, gdyby się dowiedział, że w drodze do Anglii zatrzymałem się, żeby wziąć udział w przyjęciu. Mam nadzieję, że mnie państwo zrozumieją.

– Jeśli jest taki jak mój dawny szef, to cię całkowicie rozumiem – stwierdził Jim. – W każdym razie gdybyś kiedykolwiek był w Hull, to nas koniecznie odwiedź. – Z górnej kieszeni marynarki wyjął wizytówkę i wręczył Adamowi przez ramię. – A gdzie miałbym cię wyrzucić, chłopcze? – spytał, wjeżdżając na przedmieścia Dijon.

– Gdzieś w centrum, tam gdzie będzie panu najwygodniej – odparł Adam.

– Po prostu wrzaśnij, jak będziesz chciał wysiąść. Zawsze byłem zdania, że posiłek bez musztardy…

– To może na następnym skrzyżowaniu – powiedział nagle Adam.

– Och. – Jim niechętnie pozbywał się takiego dobrego słuchacza. Długo jechał wzdłuż krawężnika, zanim zatrzymał się na dobre.

Adam pocałował Lindę w policzek, a następnie uścisnął dłonie pani i panu Hardcastle.

– Miło było cię poznać, chłopcze – rzekł Jim. – Jeżeli zmienisz zdanie, znajdziesz nas w hotelu… Czy to krew tam, na twoim ramieniu?

– Upadłem i zadrapałem się, nic poważnego. Nie chciałem, żeby Amerykanie okazali się lepsi ode mnie.

– Naturalnie, naturalnie. No, wszystkiego najlepszego.

Adam stał na chodniku, patrząc za oddalającym się samochodem. Uśmiechnął się, próbując im pomachać, po czym szybko odwrócił się i skręcił w przecznicę w poszukiwaniu centrum handlowego. Znalazł je wkrótce, rad, że wszystkie sklepy są jeszcze otwarte. Zaczął się rozglądać za zielonym krzyżem nad drzwiami. Dostrzegł go w odległości zaledwie pięćdziesięciu metrów. Nieśmiało wszedł do apteki i powiódł wzrokiem po półkach.

W kącie, tyłem do wejścia, stał wysoki mężczyzna o krótko ostrzyżonych jasnych włosach i w długim płaszczu ze skóry. Adam zamarł. Nagle mężczyzna odwrócił się – wpatrzony w opakowanie tabletek, które właśnie zamierzał kupić, gładził sumiastego wąsa.

Scott podszedł do kontuaru.

– Czy może przypadkiem mówi pan po angielsku? – spytał aptekarza, starając się, by jego głos zabrzmiał jak najpewniej.

– Jako tako – odparł mężczyzna.

– Potrzebne mi są jodyna, wata, bandaż i mocny plaster. Przewróciłem się i obtarłem sobie ramię o skałę – wyjaśnił Adam.

Aptekarz, nie okazując zbytniego zainteresowania, spełnił zamówienie.

– To jest mniej więcej to, o co panu chodziło, tyle że nazwy różnią się nieco – wyjaśnił. – Razem dwadzieścia trzy franki – dodał.

– Mogą być szwajcarskie?

– Naturalnie.

– Czy jest tu gdzieś w pobliżu hotel? – zapytał Adam.

– Za rogiem, po drugiej stronie placu – poinformował go aptekarz.

Adam podziękował, zapłacił i wyszedł z apteki, udając się na poszukiwanie hotelu. Hotel Frantel, tak jak zapewniał aptekarz, był rzeczywiście blisko. W kolejce do recepcji stało kilka osób. Przewiesiwszy sobie płaszcz przez zakrwawione ramię, Adam minął czekających gości i przeszedł przez hol jak ktoś na dobre zadomowiony w hotelu. Znak, którego poszukiwał, zaprowadził go na dół, gdzie znalazł dalsze trzy znaki: na pierwszych drzwiach sylwetkę mężczyzny, na drugich kobiety, na trzecich wózek inwalidzki.

Adam ostrożnie otworzył trzecie drzwi i ze zdziwieniem stwierdził, że prowadzą one do dużego pomieszczenia z wysoką muszlą klozetową pod ścianą. Zamknął się i rzucił płaszcz na podłogę. Chwilę odpoczywał, po czym rozebrał się do pasa. Następnie napuścił sobie pełną umywalkę ciepłej wody. Docenił teraz niezliczone kursy pierwszej pomocy, które musiał skończyć, jak każdy oficer nie wierząc, że mu się na cokolwiek przydadzą. Dwadzieścia minut później ból ustąpił i Adam poczuł się znacznie lepiej.

Podniósł prawą ręką płaszcz z podłogi, próbując go sobie przewiesić przez ramię, ale w tej samej chwili ikona wypadła z kieszeni na terakotę. Przerażony, że malowidło się połamało, Adam padł na kolana.

Przed nim leżała ikona otwarta jak książka.

XV

Kiedy godzinę później Adam wrócił do hotelu Frantel, mało kto poznałby w nim mężczyznę, który wcześniej wśliznął się tu ukradkiem.

Ubrany był w nową koszulę, spodnie, krawat i dwurzędową marynarkę, która w Anglii miała stać się modna najwcześniej za rok. Nawet płaszcz poszedł do śmieci, ponieważ ikona doskonale mieściła się w kieszeni marynarki. Pomyślał, że w sklepie zastosowano wobec niego niezbyt korzystny kurs wymiany, kiedy płacił czekami podróżnymi, ale nie to było jego największym zmartwieniem.

Wziął pojedynczy pokój na Dudleya Hulme'a i chwilę później wjechał windą na trzecie piętro.

Lawrence podniósł słuchawkę, zanim jeszcze Adam usłyszał drugi sygnał.

– To ja – powiedział Adam.

– Gdzie jesteś? – brzmiały pierwsze słowa Lawrence'a.

– Pytania będę zadawał ja – rzekł Adam.

– Rozumiem, co czujesz – zaczął Lawrence – ale…

– Nie ma żadnych ale. Już chyba zdajesz sobie sprawę, że ktoś z twojej tak zwanej jednostki musi nadawać wprost do Rosjan, bo to przecież Romanow i jego kumple czekali na mnie wtedy przed hotelem w Genewie, a nie twoi ludzie.

– Tak, teraz już wiemy – powiedział Lawrence.

– Wiemy? – zdziwił się Adam. – Kto to jest: my? Bo jakoś nie bardzo mogę się zorientować, kto jest po mojej stronie.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że…

– Gdyby ci zamordowali dziewczynę, a potem przez całą Europę ścigali cię i postrzelili ci sami zawodowi mordercy…

– Postrzelili?

– Tak, twój przyjaciel Romanow wytropił mnie i postrzelił w ramię. Mam nadzieję, że jak się spotkamy następnym razem, to będzie na odwrót,

tylko nie w ramię.

– Następnego razu nie będzie – rzekł Lawrence – bo cię stamtąd bezpiecznie wyciągniemy, jeśli mi tylko powiesz, gdzie jesteś.

Na wspomnienie słów Robin: „W każdym razie uważaj na to, co mu mówisz”, Adam powstrzymał się przed podaniem Lawrence’owi dokładnego miejsca pobytu.

– Adam, na miłość boską, jesteś sam. Jeżeli nie ufasz mnie, to komu możesz zaufać? Przyznaję, że to wygląda tak, jakbyśmy cię zawiedli, ale to się już nie powtórzy.

Upłynęła dłuższa chwila, zanim Adam powiedział:

– Jestem w Dijon.

– Dlaczego w Dijon?

– Bo jedyna osoba, jaka zechciała mnie podwieźć, udawała się do Dijon na konferencję producentów musztardy.

Lawrence nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Podaj mi swój numer, to zadzwonię do ciebie za godzinę.

– Nie – powiedział Adam. – To ja do ciebie zadzwonię za godzinę.

– Adam, musisz mi okazać jakieś zaufanie.

– Nie teraz, kiedy już wiem, o co wam wszystkim chodzi. Teraz nie mogę sobie pozwolić na okazanie zaufania komukolwiek.

Adam odłożył słuchawkę i spojrzał na ikonę, która leżała otwarta na łóżku. To jednak nie podpisy Stoeckla czy Sewarda niepokoiły go najbardziej, tylko data – 20 czerwca 1966 – która była jak wyrok śmierci.

– Dobranoc, sir – powiedział portier, kiedy tego wieczoru wyższy urzędnik państwowy opuszczał Century House. – Znów praca do późna – dodał ze współczuciem.

Mężczyzna odpowiedział portierowi lekkim uniesieniem złożonego parasola. Rzeczywiście siedział do późna, ale przynajmniej znów namierzyli Scotta. Zaczynał szanować faceta. Ale jak mogli go nie złapać w Genewie – to pytanie domagało się bardziej gruntownego wyjaśnienia niż to, co po południu powiedział D4 Lawrence Pemberton.

Żwawym krokiem ruszył w stronę Old Kent Road, zwracając uwagę czarną marynarką i spodniami w delikatne prążki. Nerwowo postukując parasolem, zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

– Księgarnia Dillona, Malet Street – rzucił pod adresem kierowcy, wsiadając z tyłu.

Było już wpół do ósmej, ale nie spóźni się za bardzo, a zresztą kilka minut w tę czy w tamtą stronę to żadna różnica. Pemberton obiecał nie ruszać się od biurka, dopóki wszystko nie zostanie zapięte na ostatni guzik, a był przekonany, że tym razem już nic się nie skomplikuje. Uśmiechnął się krzywo na myśl o tym, jak łatwo przyjęli jego plan. Wynikały z niego dwie korzyści: będą mieli dość czasu na wysłanie swoich najlepszych ludzi i jednocześnie Scott pozostanie ukryty w bezpiecznej kryjówce. Miał nadzieję, że był to ostatni raz, kiedy oczekiwali od niego jakiejś oryginalnej propozycji.

– Osiem szylingów, sir – powiedział kierowca taksówki, podjeżdżając pod Dillona.

Wręczył mu żądaną sumę plus sześciopensowy napiwek. Stał jeszcze chwilę, patrząc na wystawę księgarni uniwersyteckiej, w której odbijała się odjeżdżająca taksówka. Kiedy skręciła w Gower Street, ruszył przed siebie. Po chwili skręcił w przecznicę. Ridgmount Gardens była ulicą, o której nawet nie wszyscy londyńscy taksówkarze wiedzieli. Przebywszy zaledwie kilka metrów, zszedł po kamiennych schodkach do mieszkania w suterenie. Otworzył drzwi kluczem yale, wszedł i szybko je za sobą zamknął.

W ciągu dwudziestu minut wykonał dwa telefony – jeden międzynarodowy, jeden miejscowy – i wziął kąpiel. Niecałą godzinę później znów był na Ridgmount Gardens, tym razem ubrany w zwykły brązowy garnitur, różową, rozpiętą pod szyją koszulę w kwiatki i wygodne brązowe półbuty. Włosy przeczesał na drugą stronę. Wrócił na piechotę przed księgarnię Dillona i tam zatrzymał następną taksówkę.

– British Museum – powiedział, wsiadając. Spojrzał na zegarek: dochodziło dziesięć po ósmej. Do tej pory Scott powinien być dokładnie poinstruowany, pomyślał, chociaż jego kumple będą już w drodze do Dijon, jako że plan dopuszczał dwugodzinną zwłokę.

Taksówka zatrzymała się przed British Museum. Zapłacił i wszedł po piętnastu frontowych stopniach, podziwiając bizantyjską architekturę, tak jak to robił regularnie co tydzień, a następnie zszedł, by zatrzymać kolejną taksówkę.

– Szpital Middlesex – rzucił.

Taksówka zawróciła i pojechała w kierunku zachodnim.

Biedny sukinsyn. Gdyby Scott nie otworzył koperty, ikona trafiłaby do prawowitego właściciela.

– Czy mam podjechać pod samo wejście? – zapytał kierowca.

– Tak, bardzo proszę.

Chwilę później swobodnym krokiem wszedł do szpitala, popatrzył na wiszącą na ścianie tablicę informacyjną, jakby szukał jakiegoś oddziału, a następnie wyszedł na ulicę. Spacer ze szpitala na Charlotte Street zajął mu jak zwykle trzy minuty. Tu zatrzymał się przed budynkiem i nacisnął guzik domofonu.

– Czy jest pan stowarzyszony? – zapytał ktoś podejrzliwie.

– Tak.

Po upływie godziny Adam zadzwonił i pilnie słuchał, co Lawrence ma mu do powiedzenia.

– Zaryzykuję jeszcze raz – powiedział – ale jeżeli i tym razem pojawi się Romanow, to mu osobiście wręczę ikonę, a wraz z nią tytuł własności tak cenny, że za żadne pieniądze, jakie nawet Amerykanie mogliby zaoferować, się tego nie odkupi.

Kiedy Adam odłożył słuchawkę, Lawrence i sir Morris kilkakrotnie przesłuchali nagranie rozmowy.

– Ja uważam, że kluczowym terminem jest ten „tytuł własności” – powiedział sir Morris.

– Zgadza się – rzekł Lawrence. – Ale jaki tytuł własności może mieć aż taką wartość zarówno dla Rosjan, jak dla Amerykanów?

Sir Morris zaczął wolno obracać globus stojący koło jego biurka.

– Co znaczy ten brzęczyk? – zapytał Romanow. – Mam nadzieję, że nie zabrakło nam znów paliwa.

– Nie – odparł kierowca. – To nowe urządzenie elektroniczne zainstalowane we wszystkich samochodach należących do ambasady. To znaczy, że trzeba się zameldować.

– Zawróćcie i podjedźcie do tej stacji benzynowej, którą mijaliśmy parę kilometrów temu – polecił cicho Romanow.

Czekając, aż stacja benzynowa znowu się przed nimi pojawi, niecierpliwie bębnił palcami w tablicę rozdzielczą. Słońce zachodziło szybko i obawiał się, że w ciągu godziny zapadnie zmrok. Przejechali około dziewięć-

dziesięciu kilometrów za Dijon i nie zobaczyli żółtego citroena jadącego ani w tę, ani w tamtą stronę.

– Weźcie benzynę, a ja zadzwonię do Genewy – rzekł Romanow na widok stacji benzynowej. Pobiegł do budki telefonicznej, gdy tymczasem Wołczek w dalszym ciągu pilnie obserwował ruch.

– Zgłaszam się na wasz sygnał – powiedział, kiedy go połączono z człowiekiem zwanym eufemistycznie drugim sekretarzem.

– Mieliśmy kolejny telefon od Mentora – poinformował go drugi sekretarz. – Jak daleko jesteście od Dijon?

Stowarzyszony niemal po omacku znalazł w mrocznym wnętrzu w rogu pod filarem wolny stolik. Usiadł na niewielkim skórzanym stołku. Rozejrzał się nerwowo, jak zwykle, kiedy czekał, aż mu przyniosą jego ulubioną malt whisky z lodem. Popijając, próbował ustalić, czy w ciemnym pomieszczeniu nie wypatrzy jakichś nowych twarzy. Zadanie niełatwe, zwłaszcza że nie chciał zakładać okularów. W końcu jego wzrok przywykł do słabego światła, jakie rzucała długa czerwona świetlówka nad barem. Ale widział tylko te same stare twarze, które z nadzieją na niego patrzyły. Jemu chodziło jednak o coś nowego.

Właściciel, widząc, że stały klient siedzi sam, podszedł do stolika i usiadł naprzeciwko niego na takim samym małym stołku. Stowarzyszony nigdy nie miał odwagi spojrzeć mu w oczy.

– Mam tu kogoś, kto bardzo chciałby pana poznać – wyszeptał właściciel.

– Który? – spytał, raz jeszcze wiodąc wzrokiem po twarzach siedzących przy barze gości.

– Ten pochylony nad szafą grającą w rogu. Ten wysoki, szczupły. Bardzo młody – dodał właściciel.

Stowarzyszony spojrzał w kierunku ryczącej maszyny. Nowa, sympatyczna twarz uśmiechnęła się do niego. Odpowiedział nerwowym uśmiechem.

– Miałem rację? – zapytał właściciel.

– Czy on jest pewny?

– Z tym nie ma problemu. To chłopak z dobrego domu, uczeń szkoły prywatnej, który chce sobie po prostu zarobić.

– Dobrze. – Stowarzyszony napił się whisky.

Właściciel podszedł do szafy grającej, żeby porozmawiać z młodym człowiekiem. Chłopak dopił drinka, zawahał się na moment, po czym przeszedł przez zatłoczoną salę i usiadł na wolnym stołku.

– Jestem Piers – powiedział.

– A ja Jeremy.

– Co za miłe imię. Zawsze mi się podobało imię Jeremy.

– Napijesz się?

– Wytrawnego martini.

Starszy mężczyzna zamówił wytrawne martini i jeszcze jedną whisky. Kelner ruszył biegiem.

– Nie widziałem cię tutaj wcześniej.

– Bo ja tu jestem dopiero drugi raz – rzekł Piers. – Pracowałem dotychczas w Soho, ale ostatnio zrobiło się tak niebezpiecznie, że nie wiadomo, z kim człowiek ma do czynienia.

Podano drinki i stowarzyszony szybko łyknął swoją whisky.

– Zatańczysz? – spytał Piers.

– Sprawa jest pilna – powiedział głos. – Nastawiłeś taśmę?

– Słucham.

– Antarktyka jest w Dijon i odkrył zawartość ikony.

– Czy dał im jakąś wskazówkę?

– Nie. Powiedział Pembertonowi tylko tyle, że ma tytuł własności tak cenny, że za żadne pieniądze, jakie moglibyśmy zaoferować, tego nie odkupimy.

– Rozumiem – stwierdził głos.

– Anglicy uważają, że kluczowy termin to „tytuł własności” – rzekł dzwoniący.

– Mylą się – oświadczył głos po drugiej stronie. – Kluczowe słowo to „odkupić”.

– Skąd ta pewność?

– Bo sowiecki ambasador w Waszyngtonie umówił się z sekretarzem stanu na dwudziestego czerwca i ma przynieść przekaz na siedemset dwanaście milionów dolarów w złocie.

– No, a my gdzie w tym wszystkim jesteśmy?

– W drodze do Dijon, żebyśmy byli pewni, że położymy rękę na ikonie przed Anglikami i Rosjanami. Rosjanie są pewni swego, z czego wnoszę, że

też już muszą być w drodze.

– Ale ja dopiero co wyraziłem zgodę na brytyjski plan.

– Proszę nie zapominać, kapitanie, po czyjej pan jest stronie.

– Tak jest, sir. Ale co mamy zrobić z Antarktyką, kiedy już dostaniemy ikonę?

– Nam chodzi o samą ikonę. Jak już będziemy ją mieli, Antarktyka nas więcej nie interesuje.

Adam spojrzał na zegarek: było kilka minut po siódmej.

Uznał, że czas wychodzić, nie zamierzał bowiem dokładnie stosować się do instrukcji Lawrence'a. To on będzie czekał na nich, nie tak, jak to zaplanował Lawrence. Zamknął drzwi na klucz i poszedł do recepcji uregulować rachunek za pokój i za telefony.

– Dziękuję – powiedział do recepcjonisty i odwrócił się, żeby odejść.

– Dudley. – Adam zamarł. – Dudley – ponownie zagrzmiał głos. – Ledwie cię poznałem. Zmieniłeś zdanie? – Ciężka dłoń opadła mu na ramię.

Całe szczęście, że nie na lewe, pomyślał Adam, spoglądając w wesołe oblicze Jima Hardcastle'a.

– Nie – odparł, żałując, że nie ma fantazji ojca Robin. – Wydaje mi się, że mnie zauważyli w mieście, więc zmieniłem ubranie i przez kilka godzin muszę się ukrywać.

– To dlaczego nie miałbyś przyjść na naszą musztardową uroczystość? Tam cię nikt nie pozna.

– Bardzo bym chciał, ale nie mogę sobie pozwolić na najmniejszą nawet stratę czasu.

– Czy mógłbym ci może w jakiś sposób pomóc? – zapytał Jim konspiracyjnie.

– Nie, muszę się dostać… za niecałą godzinę mam spotkanie pod miastem.

– Chętnie bym cię tam zawiózł – powiedział Jim – żeby wesprzeć starego żołnierza, ale dziś akurat jestem dość zajęty. Właśnie dziś…

– Nie szkodzi, nie szkodzi, dam sobie radę.

– Ja go mogę podwieźć, tato – powiedziała Linda, która wyrosła nagle koło ojca, pilnie nadstawiając ucha.

Odwrócili się w jej stronę. Dziewczyna miała na sobie obcisłą sukienkę z czarnej krepy, która zaczynała się tak nisko, a kończyła tak wysoko, jak to

było możliwe, i puszczone luźno do ramion świeżo umyte włosy. Patrzyła na Jima błagalnie.

– Dopiero co dostałaś prawo jazdy, mała, nie bądź głupia.

– Zawsze, kiedy jest coś ważnego do załatwienia, traktujesz mnie jak dziecko.

Jim zawahał się.

– Jak daleko masz to spotkanie? – spytał z obawą.

– Jakieś dziewięć, może dziesięć kilometrów stąd – odparł Adam. – Ale ja sobie świetnie poradzę. Bez trudu znajdę taksówkę.

– Mała ma rację – powiedział Jim i wyjmując z kieszeni kluczyki, dodał: – Ale jak piśniesz mamie choćby słówko, to cię zabiję. – Z tymi słowy energicznie potrząsnął ręką Adama.

– Ale ja sobie dam radę…

– Nie chcę o tym słyszeć, chłopcze. Nie zapominaj, że w końcu jesteśmy po tej samej stronie. No, wszystkiego dobrego…

– Dziękuję bardzo – rzekł Adam z ociąganiem.

Jim był cały w uśmiechach.

– No, mała, a ty się zbieraj, zanim się zjawi mama.

Linda, uszczęśliwiona, wzięła Adama za rękę i poprowadziła na parking.

– W jakim kierunku jedziemy? – spytała, kiedy już siedzieli w samochodzie.

– Droga na Auxerre. – Adam spojrzał na kartkę, na której zapisał instrukcje Lawrence’a.

Linda ruszyła, początkowo powoli, jakby nie była pewna samochodu, ale kiedy wyjechali na przedmieście, Adam poprosił, żeby przyśpieszyła.

– Ale ja się bardzo denerwuję – powiedziała, kładąc mu rękę na kolanie.

– To nawet widać – rzekł, szybko zakładając nogę na nogę. – Tylko nie przegap skrętu w lewo – dodał, kiedy pojawił się drogowskaz.

Linda skręciła w wiejską drogę, Adam zaś wypatrywał budynku, który opisał mu Lawrence. Przejechali jeszcze trzy kilometry, zanim go dostrzegł.

– Zjedź na pobocze i zgaś światła – polecił dziewczynie.

– Nareszcie – rzekła z nadzieją, zatrzymując samochód.

– Dziękuję ci bardzo. – Adam położył rękę na klamce.

– Czy to wszystko, na co sobie zasłużyłam, ryzykując życie?

– Nie chciałbym, żebyś się spóźniła na obiad.

– Na tym obiedzie będzie mniej więcej tak wesoło jak w rodzinnym grobie.

– Ale mama by się o ciebie niepokoiła.

– Dudley, jesteś strasznie spięty.

– Normalnie nie byłbym, ale jeśli zostaniesz choćby chwilę dłużej, to twoje życie istotnie może się znaleźć w niebezpieczeństwie – powiedział spokojnie.

Linda zbladła.

– Chyba żartujesz?

– Chciałbym. Jak tylko wysiądę, wracaj natychmiast do hotelu i pamiętaj, żebyś ani słowem nie wspominała nikomu o naszej rozmowie, szczególnie matce.

– Dobrze – zapewniła go Linda, która po raz pierwszy robiła wrażenie naprawdę zdenerwowanej.

– Jesteś fantastyczną dziewczyną. – Adam wziął ją w ramiona i wycisnął na jej ustach najdłuższy i najgorętszy pocałunek, jakiego kiedykolwiek doświadczyła. Następnie wysiadł i chwilę jeszcze stał, patrząc, jak zawraca i wyjeżdża na drogę do Dijon.

Spojrzał na zegarek. Do ich przybycia pozostało jeszcze półtorej godziny, a do tej pory będzie już zupełnie ciemno. Pobiegł w stronę lotniska, przyglądając się wypalonym budynkom ciągnącym się wzdłuż drogi. Było dokładnie tak, jak to opisał Lawrence. Pejzaż przypominał miasto widmo i Adam był spokojny, że nikt się tu wcześniej nie pojawi, jako że i tak nie mieli dosyć czasu na przeprowadzenie planu Lawrence’a.

Patrząc poprzez pas startowy, zauważył idealne miejsce, gdzie mógłby się ukryć. Tu poczeka, aż się okaże, która z dwóch wersji przygotowanego przez niego planu znajdzie zastosowanie.

Kapitan lotnictwa Alan Banks był szczęśliwy, że tej nocy księżyc świeci tak jasno. Lądował już swoim małym beaverem pełnym komandosów w znacznie gorszych warunkach, kiedy pas startowy był oświetlony jak nabrzeże w Blackpool.

Banks zatoczył koło nad lotniskiem, przyglądając się uważnie dwóm pasom startowym. Lotnisko było od tak dawna nieużywane, że nigdzie nie znaleźli jego szczegółowego planu.

Kapitan Banks złamał wszelkie możliwe przepisy, łącznie z prowadzeniem nieoznakowanej maszyny, która, jak poinformował Francuzów, miała lądować w Paryżu. Niełatwo wytłumaczy się z tego, że przeleciał cel o jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów.

– Łatwiej będzie wylądować na pasie północ–południe – zwrócił się do kapitana SAS, który siedział przycupnięty za nim ze swoimi pięcioma ludźmi. – Jak blisko mam podejść do tego hangaru? – zapytał, pokazując przez okno.

– Zachowaj rozsądną odległość, przynajmniej jakieś paręset metrów – padła odpowiedź. – Wciąż nie wiemy, czego się spodziewać.

Sześciu ludzi z SAS w dalszym ciągu pilnie obserwowało teren przez boczne okna samolotu. Powiedziano im, że mają zabrać na pokład samotnego Anglika o nazwisku Scott, który będzie na nich czekał, i zwinąć się jak najszybciej. Zadanie na pozór proste, ale najwyraźniej tylko na pozór, skoro wezwano ich.

Pilot zatoczył beaverem łuk na południe i opuścił dziób maszyny. Uśmiechnął się na widok wraka spitfire’a pozostawionego w rogu pasa startowego. Taki sam jak te, na których latał jego ojciec podczas drugiej wojny światowej. Tyle że ten nie wrócił do domu. Wylądował pewnie, ale mały samolot podskakiwał na pasie jak piłka – nie dlatego jednak, że Banksowi brakowało doświadczenia, tylko z powodu wyboistej nawierzchni.

Posadził maszynę w odległości jakichś dwustu metrów od hangaru i zatoczył pełne koło, gotów do szybkiej ucieczki, na której kapitanowi tak zależało. Nacisnął guzik, który wyłączył śmigła i światła. Furkot przycichł do ledwie słyszalnego szmeru. Byli czterdzieści trzy minuty przed czasem.

Siedzący w kabinie spitfire’a Adam podejrzliwie obserwował przybyszy z odległości jakichś czterystu metrów. Nie zamierzał biec taki kawał przez otwartą przestrzeń w blasku księżyca. Nie spuszczał więc z oka małej nieoznakowanej maszyny, wyczekując jakiegoś sygnału, który by zdradził, kim jest jej załoga. Obliczył, że dopiero za piętnaście minut księżyc znów się skryje za chmurami. Upłynęło jeszcze kilka minut, nim zobaczył, jak z nieoświetlonej strony samolotu spuszcza się i kładzie na ziemi sześciu mężczyzn. Byli ubrani jak trzeba – w mundury bojowe SAS, ale Adam, który miał jeszcze świeżo w pamięci uniform kierowcy Romanowa, pozostał nieufny. Żołnierze leżeli bez ruchu. Scott też nawet nie drgnął, nie mając pewności, po czyjej są stronie.

Sześciu mężczyzn rozciągniętych na ziemi przeklinało księżyc, a jeszcze bardziej roztaczającą się przed nimi otwartą przestrzeń. Kapitan spojrzał na zegarek: zostało trzydzieści sześć minut. Podniósł rękę i jego ludzie zaczęli się czołgać w kierunku hangaru, w którym według informacji Pembertona miał na nich czekać Scott. Droga zajęła im jakieś dwadzieścia minut, a oni z każdym ruchem utwierdzali się w przekonaniu, że ostrzeżenia Pembertona co do ewentualnego nieprzyjaciela, jaki mógłby tam na nich czyhać, były całkowicie bezpodstawne.

Wreszcie księżyc skryły chmury i na całe lotnisko padł cień. Kapitan SAS szybko spojrzał na zegarek. Było jeszcze pięć minut do zaplanowanego spotkania. Pierwszy dotarł do drzwi hangaru i pchnął je ręką, a następnie wśliznął się przez szczelinę do środka. Kula trafiła go w czoło, zanim zdążył unieść broń.

– Naprzód, chłopcy! – krzyknął jego zastępca i w mgnieniu oka poderwało się czterech następnych, strzelając przed siebie i szukając schronienia pod osłoną budynku.

Kiedy tylko Adam usłyszał szkocki akcent, wyskoczył z kabiny spitfire’a i puścił się biegiem przez płytę do małego samolotu, którego śmigła już się obracały. Wskoczył na skrzydło, a stamtąd wdrapał się do kabiny i usiadł obok osłupiałego pilota.

– Jestem Adam Scott, człowiek, po którego przylecieliście! – krzyknął.

– A ja jestem kapitan lotnictwa Alan Banks, chłopie – rzekł pilot, wyciągając rękę.

Tylko brytyjski oficer może w takiej sytuacji ściskać komuś dłoń, pomyślał Adam z ulgą, choć w dalszym ciągu przestraszony.

Odwrócili się, żeby obserwować bitwę.

– Ruszamy – powiedział pilot. – Miałem rozkaz dostarczyć pana całego i zdrowego do Anglii.

– Ale nie ruszymy się, dopóki nie wrócą wszyscy pańscy ludzie.

– Przykro mi, bracie, ale ja mam swoją instrukcję, oni swoją. Moja wyraźnie mówi, że mam przywieźć ciebie, ich – że mają się o siebie martwić.

– To przynajmniej dajmy im jeszcze chociaż minutę – powiedział Adam.

Poczekali, aż śmigła nabrały prędkości. Nagle strzelanina ustała i Adam poczuł, jak mu wali serce.

– Powinniśmy już startować – rzekł pilot.

– Wiem – odparł Scott. – Miej się na baczności. Muszę się jeszcze upewnić.

Lata nocnych marszów sprawiły, że Adam zobaczył go na długo przedtem, nim dostrzegł go pilot.

– Ruszaj – rzekł.

– Co?

– Ruszaj.

Pilot pchnął drążek steru do przodu i samolot zaczął wolno sunąć po wyboistym pasie startowym.

Nagle zobaczyli ciemną postać biegnącą w ich stronę i strzelającą prosto w nich długimi seriami. Pilot odwrócił się i dostrzegł wysokiego mężczyznę, którego jasne włosy lśniły w blasku księżyca.

– Prędzej, chłopie, prędzej! – ponaglił go Adam.

– Dałem już pełny gaz.

Strzały wybuchły z nową siłą, ale tym razem pociski waliły w kadłub samolotu. Kiedy nastąpił trzeci atak, maszyna zdążyła już nabrać szybkości i toczyła się prędzej, niż mężczyzna był w stanie biec. Gdy oderwali się od ziemi, Adam wydał okrzyk radości.

Obrócił się i zobaczył, że Romanow strzela do kogoś, kto nie ma na sobie munduru SAS.

– Teraz już, żeby nas dosięgnąć, musieliby mieć bazookę – powiedział Banks.

– Dobra robota – pochwalił go Adam.

– A żona chciała dziś iść do kina – zaśmiał się pilot.

– Na co?

– Na *My Fair Lady*.

– Na nas chyba już czas… – powiedział Piers, zdejmując rękę z kolana stowarzyszonego.

– Dobra myśl, tylko ureguluję rachunek.

– A ja wezmę płaszcz i szalik i za chwilę spotkamy się na górze.

– Zgoda.

Ściągnąwszy wzrokiem właściciela, stowarzyszony machnął ręką w powietrzu, symulując podpis. „Rachunek” – goła liczba na świstku papieru, bez żadnego komentarza – był jak zwykle wygórowany. Jak zwy-

kle zapłacił bez słowa. Podziękował właścicielowi i po zakurzonych skrzypiących schodach wyszedł na ulicę, gdzie już na niego czekał chłopak.

Zatrzymał taksówkę i patrząc, jak jego nowy przyjaciel sadowi się z tyłu, kazał taksiarzowi jechać do księgarni Dillona.

– Tylko nie w taksówce – powiedział, czując, jak ręka Piersa sunie w górę po jego nodze.

– Ale ja już dłużej nie mogę czekać – odparł chłopak. – O tej porze już dawno śpię.

– O tej porze już dawno śpię – powtórzył bezwiednie i spojrzał na zegarek. Kości zostały rzucone. Do tej pory z pewnością już go mają, a co ważniejsze…

– Cztery szylingi – powiedział taksiarz, odsuwając okienko.

Wręczył mu pięć szylingów, nie czekając na resztę.

– Tam, za rogiem – powiedział, prowadząc Piersa koło księgarni ku małej uliczce. Zeszli w dół po kamiennych schodkach i Piers czekał, aż gospodarz otworzy drzwi i zapali światła.

– O, jak tu przytulnie – rzekł, wchodząc. – Bardzo przytulnie.

Alan Banks wyjrzał przez swoje małe okienko. Samolot systematycznie nabierał wysokości.

– Dokąd teraz lecimy? – spytał Adam, którego ogarnęło uczucie ulgi.

– Miałem nadzieję, że do Anglii, ale wygląda na to, że tak daleko, jak się uda.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zaniepokoił się Scott.

– Spójrz na wskaźnik paliwa. – Banks postukał palcem w białą strzałkę, która drgała gdzieś pomiędzy jedną czwartą a zerem. – Mieliśmy dosyć, żeby dolecieć do Northolt w Middlesex, gdyby mi te kule nie podziurawiły zbiornika.

Mała biała strzałka nieubłaganie sunęła ku czerwonej kropce i już po chwili śmigła po lewej stronie maszyny znieruchomiały.

– Będę musiał usiąść gdzieś w polu. Nie mogę ryzykować dalszego lotu, skoro nigdzie w pobliżu nie ma lotniska. Dobrze, że jest pogodna i widna noc.

Nagle samolot zaczął tracić wysokość.

– Spróbuję usiąść tu, na tym polu – powiedział pilot dość zblazowanym tonem, wskazując sporą płaszczyznę na zachód od lotniska. – Trzymaj się!

– dodał, gdy maszyna zaczęła lecieć spiralą w dół. Pole, jeszcze przed chwilą takie wielkie, teraz, kiedy samolot się do niego przybliżył, zrobiło się nagle bardzo małe.

Adam, wczepiony w siedzenie, zaczął zgrzytać zębami.

– Spokojnie – powiedział pilot. – Te beavery lądowały w znacznie gorszych miejscach niż to. – Samolot dotknął kołami brunatnej ziemi. – Cholerne błocko, tego nie przewidziałem – zaklął pilot, kiedy nagle koła zaczęły się ślizgać w grząskiej ziemi i maszyna poleciała dziobem do przodu. Minęło kilka sekund, zanim Adam się zorientował, że żyje, tyle że wisi w pasach do góry nogami.

– Co teraz? – zapytał pilota, ale nie uzyskał odpowiedzi.

Usiłując ocenić sytuację, zaczął się huśtać w tył i w przód, aż dotknął ręką ściany samolotu. Jednocześnie stopami wymacał drążek steru. Kiedy już zdołał chwycić się ściany, odpiął pasy i po prostu spadł na sufit maszyny.

Pozbierał się, szczęśliwy, że niczego sobie nie połamał. Szybko rozejrzał się, ale w dalszym ciągu nie było ani śladu pilota. Wreszcie, wygramoliwszy się z samolotu, z ulgą poczuł bezpieczny grunt pod nogami. Jakiś czas kręcił się w pobliżu beavera, zanim znalazł Alana Banksa leżącego nieruchomo na plecach mniej więcej trzydzieści metrów przed samolotem.

– Co z tobą? Wszystko w porządku? – zapytał pilot, nim Adam zdążył zadać mu to samo pytanie.

– Ze mną w porządku. A z tobą?

– Ze mną też. Musiało mnie po prostu wyrzucić. Przepraszam cię bardzo, stary, za to lądowanie, rzeczywiście nie wypadło najlepiej. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś to powtórzymy.

Adam wybuchnął śmiechem, widząc, jak pilot siada powoli.

– Co dalej? – zapytał Banks.

– Możesz chodzić?

– Tak mi się wydaje. – Podniósł się niepewnie. – Do diabła – powiedział – to tylko kostka, ale obawiam się, że nie będę mógł szybko iść. Ruszaj lepiej beze mnie. Tę bandę z całym jej arsenałem będziemy mieli zaraz na karku.

– Ale co z tobą?

– Mój ojciec podczas drugiej wojny światowej też lądował na takim cholernym polu i jakoś sobie poradził. Przedostał się do Anglii i nie wpadł

Niemcom w łapy. Mam wobec ciebie wielki dług wdzięczności, Adam, bo jak wrócę, to już nie będzie mógł mi więcej dokuczać. Ale, à propos, któż to nas ściga tym razem?

– Rosjanie – odparł Scott i zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie mają jednak jakiegoś drugiego wroga.

– Rosjanie. Nie może być lepiej. Niczego poniżej tego tata by mi nie uznał.

Adam uśmiechnął się na myśl o własnym ojcu i o tym, jak bardzo by mu się Alan Banks spodobał. Instynktownie dotknął ikony i z ulgą stwierdził, że w dalszym ciągu jest na swoim miejscu. Słowa pilota tylko go utwierdziły w mocnym postanowieniu powrotu do Anglii.

– Jaki kierunek? – spytał.

Banks spojrzał na Wielką Niedźwiedzicę.

– Ja ruszam na wschód, to mi się wydaje najstosowniejsze – powiedział Alan – więc ty powinieneś iść na zachód, przyjacielu. Miło było cię poznać. – Z tymi słowy pokuśtykał przed siebie.

– Nie wiem, towarzyszu majorze, jak długo jeszcze wytrzymam.

– Musicie próbować, Wołczek. Wymaga tego najwyższa konieczność. Nie możemy się teraz zatrzymać – powiedział Romanow. – Wiem, że samolot musi być niedaleko. Widziałem, jak spadał.

– Wierzę wam, towarzyszu, ale pozwólcie mi przynajmniej umrzeć spokojnie tu, gdzieś przy drodze, zamiast tak się męczyć w tym samochodzie.

Romanow spojrzał na swego kompana, który został postrzelony w podbrzusze. Ręce Wołczka całe były we krwi, podobnie koszula i spodnie. Bezradnie trzymał się za brzuch, jak dziecko, które ma za chwilę zwymiotować. Kierowca dostał w plecy – przy próbie ucieczki. Gdyby natychmiast nie wyzionął ducha, Romanow osobiście dobiłby tchórza. Ale Wołczek to co innego. Jego odwaga była nie do zakwestionowania. Najpierw zmusił Brytyjczyków, by padli na ziemię, a następnie Amerykanów, żeby na nich uderzyli. To zasługa Mentora, że Rosjanie byli na miejscu pierwsi. Ale musi go szybko ostrzec, że ktoś jeszcze nadaje Amerykanom. Romanow jednak odczuwał pewną satysfakcję, że udało mu się wywieść Amerykanów w pole i zwrócić ich przeciwko Anglikom. W tej sytuacji jemu i Wołczkowi pozostali do załatwienia tylko ci, którzy przeżyli strzelaninę. Ostatni był Amerykanin, który wziął sobie za cel Wołczka, kiedy uciekali.

Romanow oceniał, że ma jeszcze przed sobą dobrą godzinę, zanim Francuzi, Brytyjczycy i Amerykanie zaczną się tłumaczyć z kilku ciał na nieużywanym lotnisku. Jęki Wołczka sprowadziły go jednak na ziemię.

– Skręćmy do tego lasu – błagał ranny. – Już dłużej nie wytrzymam.

– Trzymajcie się, trzymajcie – powtarzał Romanow. – Nie możemy być daleko od Scotta. Myślcie o ojczyźnie.

– Do diabła z ojczyzną – mruknął Wołczek. – Dajcie mi umrzeć w spokoju.

Romanow obejrzał się i stwierdził, że jeszcze chwila i rzeczywiście zostanie z trupem w samochodzie. Mimo wysiłków konającego krew lała się już na podłogę jak z zepsutego kranu.

Romanow zauważył przed sobą przerwę między drzewami. Zapalił długie światła, skręcił z drogi w przecinkę i jechał nią tak długo, aż las stał się zbyt gęsty. Wyłączył światła, wysiadł i obiegł samochód, żeby otworzyć drzwi z drugiej strony. Wołczek zdołał zrobić zaledwie jeden czy dwa kroki, zanim zwalił się na ziemię, podtrzymując wnętrzności. Romanow schylił się i oparł go o gruby pień.

– Pozwólcie mi tu umrzeć, towarzyszu majorze. Nie traćcie już na mnie więcej czasu.

Romanow zmarszczył brwi.

– Jak chcecie umierać, towarzyszu: powoli i w męce czy szybko i spokojnie?

– Zostawcie mnie, towarzyszu majorze. Pozwólcie mi umrzeć wolno, ale wy już idźcie, póki macie jeszcze Scotta w zasięgu strzału.

– Ale gdyby Amerykanie was znaleźli, mogliby na was wymusić jakieś informacje.

– Kto jak kto, ale wyście nie powinni mówić takich rzeczy, towarzyszu.

Romanow przyjął reprymendę, po czym podniósł się i po chwili namysłu pobiegł do samochodu.

Wołczek modlił się, żeby teraz, kiedy ten skurwysyn wreszcie zostawił go w spokoju, ktoś go tu znalazł. Nie chciał się podjąć tego zadania, ale Zaborski nalegał, żeby ktoś miał Romanowa na oku, a z Zaborskim nie było dyskusji. Wołczek nie zamierzał mówić, ale przecież chciał żyć.

Kula z dziewięciomilimetrowego makarowa trafiła go w skroń od tyłu i odstrzeliła mu połowę głowy. Ciało osunęło się na ziemię i przez kilka sekund, w drgawkach i skurczach, opróżniało wnętrzności i pęcherz.

Romanow stał nad Wołczkiem jeszcze chwilę, dopóki się nie upewnił, że ten nie żyje. Najprawdopodobniej rzeczywiście by nie sypał, ale nie był to odpowiedni moment na podejmowanie niepotrzebnego ryzyka.

Nazajutrz rano obudził się z tym samym co zwykle poczuciem winy. Znów sobie przysiągł, że to już ostatni raz. Żaden z nich nie spełniał jego oczekiwań, a kac moralny dręczył go potem kilka godzin.

Koszty utrzymywania dodatkowego mieszkania, taksówki, rachunki, jakie płacił w klubie – wszystko to razem stanowiło luksus, na jaki praktycznie nie mógł sobie pozwolić. Ale wracał uparcie, jak łosoś na miejsce tarła.

Piers zaczął się budzić i na najbliższe dwadzieścia minut pozwolił swemu gospodarzowi zapomnieć o skrupułach. Starszy mężczyzna leżał jeszcze chwilę w milczeniu, wyczerpany, po czym wysunął się z łóżka, wyjął z portfela dziesięć funtów, położył je na toaletce i poszedł wziąć kąpiel. Miał nadzieję, że jak wróci, nie będzie ani chłopca, ani pieniędzy.

Pławił się w wannie, myśląc o Scotcie. Wiedział, że powinien się czuć winien jego śmierci. Śmierci, która, jak tyle innych przed nią, wynikła z tego, że kiedyś poderwał młodego, niebudzącego podejrzeń Polaka. Od tamtej pory minęło tyle lat, że już nawet nie pamiętał jego imienia.

Ale Mentorowi nigdy nie pozwolono zapomnieć imienia młodego funkcjonariusza KGB o arystokratycznym wyglądzie, którego zobaczył w nogach ich łóżka, kiedy się nazajutrz rano obudzili, ani wyrazu obrzydzenia, jakie tamten im obu okazał.

XVI

Adam leżał na brzuchu na dnie pustej barki. Z głową podpartą na jednej ręce, pozostał czujny na najmniejszy choćby nieznajomy odgłos.

Właściciel barki stał za kołem, już po raz drugi przeliczając trzysta franków szwajcarskich. Było to więcej, niż kiedykolwiek mógłby zarobić w miesiąc. Przez ramię zaglądała mu kobieta, wspinając się na palce i chciwie chłonąc widok banknotów.

Barka w wyrównanym tempie posuwała się wzdłuż kanału i Adam stracił już z oczu rozbity samolot. Nagle z daleka usłyszał coś, co przypominało strzał. Niespokojnie nasłuchiwał podejrzanych odgłosów, ale jedynym dźwiękiem, jaki pochwycił, był cichy plusk wody o burty. Chmury się przemieściły i ukazał się księżyc w pełni, oświetlając oba brzegi. Dla Adama, obserwującego ścieżkę flisacką wijącą się wzdłuż rzeki, stało się jasne, że nie posuwają się zbyt szybko. Biegiem byłby szybciej. Ale nawet gdyby miało go to kosztować wszystkie pieniądze, jakie miał, był szczęśliwy, że ucieka. Znów się skulił na dziobie barki. Dotknął ikony; od chwili kiedy odkrył jej tajemnicę, powtarzał tę czynność co kilka minut. Przez następne pół godziny siedział bez ruchu, choć zdawał sobie sprawę, że nie przebyli więcej niż osiem kilometrów.

Mimo że wokół panował całkowity spokój, Adama nie opuszczało napięcie. Rzeka była w tym miejscu znacznie szersza, właściciel łodzi zaś cały czas miał go na oku. Stał, trzymając koło sterowe, a jego ubrudzona smarem twarz była niewiele czyściejsza od kombinezonu roboczego, który wyglądał tak, jakby mężczyzna rzadko go z siebie zdejmował. Od czasu do czasu puszczał koło jedną ręką, ale tylko po to, żeby wyjąć z ust wygaszoną fajkę, odkaszlnąć, splunąć i z powrotem włożyć fajkę do ust.

Mężczyzna puścił koło, złożył dłonie i przytknął je do skroni, pokazując Adamowi w ten sposób, że powinien się przespać. Ale Adam pokręcił głową i spojrzał na zegarek. Minęła północ, a on spodziewał się zejść z barki i być hen, daleko, przed wschodem słońca.

Wstał, przeciągnął się i zachwiał nieco. Ramię, choć się powoli goiło, ciągle jeszcze dotkliwie bolało. Wyszedł na środek barki i stanął obok mężczyzny za kołem.

– *La Seine?* – zapytał, wskazując rzekę.

Mężczyzna pokręcił głową.

– *Canal de Bourgogne* – mruknął.

Adam wskazał miasteczko, ku któremu się zbliżali.

– *Quelle ville?*

Mężczyzna wyjął fajkę z ust.

– *Ville? Ce n'est pas une ville, c'est Sombernon*– odparł i z powrotem wetknął fajkę między zęby.

Adam wrócił na swoje miejsce na dziobie. Usiłując znaleźć wygodniejszą pozycję, zwinął się pod burtą w kłębek i oparł głowę o jakąś starą linę. Zamknął oczy.

– Znasz Scotta lepiej niż ktokolwiek z nas – powiedział sir Morris – i w dalszym ciągu nie masz pojęcia, ani gdzie może być w tej chwili, ani jakie ma zamiary?

– Nie mam – przyznał Lawrence. – Jedyne, co wiemy na pewno, to że ma na poniedziałek po południu wyznaczone badanie lekarskie, ale nie wierzę, żeby się stawił.

Sir Morris zignorował ten komentarz.

– Ktoś jednak dotarł do Scotta, mimo że nie zwołaliśmy D4 – ciągnął. – Ta ikona musi kryć w sobie sekret, z którego ważności w najmniejszym nawet stopniu nie zdajemy sobie sprawy.

– I jeżeli Scott jeszcze żyje – powiedział Lawrence – to nic go nie przekona, że to wszystko nie nasza wina.

– A jeżeli nie nasza, to czyja? – zapytał sir Morris. – Komuś najwyraźniej tak bardzo musiało zależeć na przejrzeniu naszego następnego posunięcia, że w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin podjął karkołomne ryzyko. Chyba że to byłeś ty – dodał. Wstał zza biurka, odwrócił się i wyjrzał na Horse Guards Parade.

– Nawet gdybym to był ja – powiedział Lawrence ze wzrokiem utkwionym w wizerunku młodej królowej stojącym na rogu biurka szefa – to jeszcze nie wyjaśnia, w jaki sposób znaleźli się tam również Amerykanie.

– Ach, to bardzo proste – rzekł sir Morris. – Dowiedzieli się bezpośrednio od Buscha. Nie wątpiłem w to ani przez chwilę, od momentu kiedy znalazł się w D4. Nie przewidziałem jedynie, jak daleko posuną się w zatajaniu przed nami informacji.

– A więc to pan powiedział Buschowi – rzekł Lawrence.

– Nie. Przecież siedząc za tym biurkiem, nie będę narażał skóry. Powiedziałem premierowi, a na polityków zawsze można liczyć, że puszczą informację dalej, jeśli tylko dostrzegą w tym swoją korzyść. Szczerze mówiąc, wiedziałem, że premier powie prezydentowi. W przeciwnym razie bym mu nic nie mówił. Ale najważniejsze: Czy sądzisz, że Scott jeszcze żyje?

– Tak – odparł Lawrence. – Mam wszelkie powody uważać, że mężczyzna, który biegł wtedy przez pas startowy do naszego samolotu, to był Scott. Francuska policja, która czasem bywa bardziej skora do współpracy niż Szwajcarzy, poinformowała nas, że nasz samolot rozbił się w polu jakieś osiemnaście kilometrów na północ od Dijon, ale na miejscu wypadku nie znaleziono ani Scotta, ani pilota.

– A jeśli doniesienia Francuzów co do przebiegu wypadków na lotnisku są zgodne z prawdą, to Romanow uciekł i Rosjanie mają nad nami kilkugodzinną przewagę.

– Możliwe – rzekł Lawrence.

– A czy według ciebie jest również możliwe, że złapali Scotta i mają teraz ikonę?

– Tak, sir, obawiam się, że to możliwe. Ale nie będę udawał, że jestem winien. Jednakże nasłuch BBC w Caversham Park wychwycił w nocy jakiś dodatkowy komunikat w eterze nadawany do wszystkich ambasad sowieckich.

– To może oznaczać dosłownie wszystko – powiedział sir Morris, zdejmując okulary.

– Zgadzam się, sir, ale według doniesień NATO Rosjanie postawili swoje siły strategiczne w stan gotowości i kilku sowieckich ambasadorów z krajów europejskich zażądało przyjęcia przez ministrów spraw zagranicznych, nie wyłączając naszego.

– A to już jest bardziej niepokojące – powiedział sir Morris. – Oni nie robią takich rzeczy, jeśli nie liczą na nasze poparcie.

– Zgadza się, sir. Ale najbardziej wymowne jest to, że Pierwszy Zarząd Główny KGB, Wydział Środków Aktywnych, zarezerwował miejsce na

ogłoszenia w gazetach w całej Europie, a podejrzewam, że w Ameryce też.

– Zaraz mi pewnie powiesz, że wynajęli J. Waltera Thompsona – burknął sir Morris.

– Przypuszczam, że im to nie będzie potrzebne – odparł Lawrence. – Podejrzewam, że ta historia znajdzie się na pierwszych stronach wszystkich gazet.

Gdyby nie ciągłe pulsowanie w ramieniu, Adam nie obudziłby się tak szybko. Gdy jednak barka nagle wykonała zwrot o dziewięćdziesiąt stopni i zaczęła płynąć na wschód, zerwał się gwałtownie. Widząc, że rzeka jest w tym miejscu znacznie szersza, pokazał właścicielowi barki, żeby się zbliżył do brzegu. Mężczyzna wzruszył ramionami, udając, że nie rozumie.

Wychyliwszy się przez burtę, mimo późnej godziny bardzo wyraźnie widział dno rzeki. Rzucił kamyk i patrzył – miał wrażenie, że bez trudu sięgnie ręką dna. Bezradnie spojrzał na mężczyznę, który ponad jego głową tępo patrzył przed siebie.

– Cholera – zaklął Adam.

Wyjął z kieszeni ikonę i uniósł wysoko nad głową. Stojąc przy burcie, czuł się jak trener drużyny futbolowej proszący sędziego o zgodę na wymianę piłkarza. Uzyskawszy pozwolenie, skoczył do wody. Uderzył stopami w dno kanału z wielkim impetem i mimo że woda sięgała mu zaledwie do pasa, na chwilę stracił dech.

Jakiś czas stał pośrodku kanału, z ikoną wysoko nad głową, i patrzył, jak barka go mija, po czym wygramolił się na brzeg i ostrożnie rozejrzał. Wkrótce odnalazł Wielki Wóz i obrał kurs na zachód. Po godzinie biegu w mokrym ubraniu zobaczył w odległości, jak to ocenił, niespełna półtora kilometra światło. Brnąc przez pole ku pierwszym promieniom wschodzącego słońca, czuł, że nogi ma przemoczone i zdrętwiałe z zimna.

Za każdym razem kiedy napotkał żywopłot albo bramę, przełaził wierzchem albo pod spodem, jak rzymski centurion zdecydowany nie zbaczać z drogi w swym dążeniu do wytkniętego celu. Widział już teraz zarysy budynku, który z bliska okazał się nie większy od sporej wiejskiej chałupy. Do uchylonych drewnianych drzwi, które wyglądały tak, jakby nie wymagały żadnego zamka, wiodła wąska brukowana droga. Zastukał ostrożnie, ustawiając się dokładnie pod światło, tak żeby osoba, która wyjdzie mu naprzeciw, mogła go dobrze widzieć.

W drzwiach stanęła kobieta lat około trzydziestu w gładkiej, czarnej sukience i nieskazitelnie białym fartuszku. Jej rumiane policzki i tusza potwierdzały profesję męża.

Na widok Adama nie mogła ukryć zdumienia. Spodziewała się listonosza – ale cóż to za listonosz w eleganckiej granatowej marynarce i przemoczonych szarych spodniach?

Adam uśmiechnął się.

– *Anglais* – powiedział i dodał: – Wpadłem do kanału.

Kobieta wybuchnęła śmiechem i gestem zaprosiła go do kuchni, gdzie powitał Adama mężczyzna ubrany najwyraźniej do dojenia krów. Wieśniak spojrzał na gościa i przyłączył się do śmiechu – był to ciepły, szczery śmiech, bardziej z sympatii dla Adama niż z niego. Kiedy kobieta spostrzegła, że woda ze spodni gościa kapie na jej nieskazitelną podłogę, szybko ściągnęła z suszarki nad ogniem ręcznik i wskazując spodnie Adama, powiedziała:

– *Enlevez-moi ça.*

Adam spojrzał na mężczyznę w oczekiwaniu pomocy, ale gospodarz jedynie skinął głową, gestem pokazując ściąganie spodni.

– *Enlevez-les, enlevez-les* – powtórzyła kobieta, podając Adamowi ręcznik.

Adam zdjął buty i skarpetki, ale gospodyni nie spoczęła, dopóki nie zdjął również spodni, a potem koszuli i bielizny, i nie owinął się ręcznikiem. Przez chwilę patrzyła na potężny opatrunek na jego ramieniu, po czym szybko chwyciła wszystko prócz marynarki i udała się z tym do zlewu, pozwalając gościowi suszyć się przy ogniu.

Adam skorzystał z zaproszenia do stołu, gdzie gospodarz nalał im obu po dużej szklance mleka. Usiadł koło mężczyzny, wieszając nową elegancką marynarkę na oparciu krzesła blisko ognia. Kuchnię wypełnił wspaniały aromat smażonego bekonu, który kobieta ukroiła z wędzonki wiszącej w zadymionej niszy nad płytą.

Mężczyzna wzniósł szklankę.

– Za Winstona Churchilla – powiedział.

Adam obficie łyknął mleka, po czym zrewanżował się toastem:

– Za Charles’a de Gaulle’a. – Przechylił szklankę, jakby to było jego pierwsze piwo w wiejskim pubie.

Gospodarz ponownie napełnił szklanki.

– *Merci* – powiedział Adam, zwracając się do gospodyni, która właśnie postawiła przed nim duży talerz skwierczącego jeszcze bekonu z jajkami. Skinąwszy głową, wręczyła mu nóż i widelec.

– *Mangez* – dodała.

– *Merci, merci.* – Adam patrzył, jak kobieta kroi mu pajdę z leżącego przed nim potężnego bochenka chleba. Rzucił się na posiłek, pierwszy od czasu kolacji, którą zjadł na koszt Robin.

Gospodarz podniósł się nagle od stołu i wyciągnął rękę do Adama. Adam wstał także i potrząsnął dłonią mężczyzny, co mu przypomniało o dojmującym bólu w ramieniu.

– *Je dois travailler à la laiterie* – wyjaśnił gospodarz. Adam skinął głową i stał dalej. – *Mangez* – dodał mężczyzna, gestem zachęcając go, by usiadł.

Sprzątnąwszy talerz do czysta, Adam zaniósł go gospodyni, która właśnie zdejmowała z kuchni dymiący czajnik, żeby mu nalać kawy. Usiadł, popijając gorącą kawę z dużego kubka. Chwilę później, niemal automatycznie, poklepał kieszeń marynarki, żeby się upewnić, że ikona jest na miejscu, a następnie wyjął ją i zaczął się wpatrywać w świętego Jerzego i smoka. Po chwili wahania odwrócił malowidło i mocno nacisnął srebrną koronę. Ikona otworzyła się jak książka, ukazując wewnątrz dwa maleńkie zawiaski.

Spojrzał na gospodynię, która właśnie wyżymała jego skarpetki, i przy okazji zauważył, że jego kalesony wiszą obok spodni na sznurku nad kuchnią. Kobieta wyniosła z alkowy deskę do prasowania i zaczęła ją rozstawiać, nie zwracając najmniejszej uwagi na swego gościa.

Adam raz jeszcze przyjrzał się wnętrzu ikony, która leżała teraz rozłożona przed nim na stole. O ironio, prasująca jego spodnie kobieta mogła zrozumieć każde słowo wypisanego na pergaminie tekstu, ale nie potrafiłaby wyjaśnić jego pełnego znaczenia. Całe bowiem wnętrze ikony było wyklejone pergaminem, który pozostawiał jedynie szeroką na centymetr ramkę drewna. Adam obrócił ikonę tak, żeby móc dokładniej widzieć tekst. Złożone na dole czarnym atramentem podpisy i pieczęcie nadawały mu charakter urzędowego dokumentu. Po każdym kolejnym czytaniu dowiadywał się czegoś nowego. Początkowo – dopóki nie zobaczył daty na dole: 20 czerwca 1867 – był zdziwiony, że tekst jest po francusku, przypomniał sobie jednak z historii wojskowości, której się uczył w Sandhurst, że długo

jeszcze po czasach napoleońskich międzynarodowe umowy sporządzano w języku francuskim. Kolejny raz zaczął powoli czytać dokument.

Jego francuszczyzna była jednak za słaba, by mógł z drobno zapisanego pergaminu zrozumieć cokolwiek więcej niż pojedyncze słowa. Pod *États Unis* na tle herbu przedstawiającego dwugłowego orła widniał zamaszysty podpis Williama Sewarda. Obok, pod koroną taką samą jak ta na odwrocie ikony, podpis Eduarda von Stoeckla. Adam sprawdził raz jeszcze. Musiała to być jakaś umowa zawarta pomiędzy Rosjanami i Amerykanami w roku 1867.

Zaczął szukać znanych słów, które stałyby się kluczem do zrozumienia treści dokumentu. W jednym miejscu natrafił na: *Sept millions deux cent mille dollars d'or (7.2 million),* a w innym na: *Sept cent douze millions huit cent mille dollars d'or (712.8 million) le 20 juin 1966.*

Wzrok Adama spoczął na wiszącym na gwoździu kalendarzu. Był piątek, 17 czerwca 1966. Jeśli można było wierzyć dacie umieszczonej na umowie, to w ciągu zaledwie trzech dni dokument tracił ważność. Nic dziwnego, że dwa największe mocarstwa świata za wszelką cenę starają się położyć na nim łapę, pomyślał i ponownie zatopił się w lekturze umowy, czytając ją linijka po linijce, szukając w tekście dalszych wskazówek i zastanawiając się nad każdym słowem.

Jego wzrok zatrzymał się na słowie identycznym w obu językach. Jedynym, którego nie zdradził Lawrence'owi.

Zastanawiał się, w jaki sposób ikona dostała się w ręce Göringa. Musiał ją przekazać ojcu nieświadomie. Gdyby bowiem zdawał sobie sprawę z istotnej wartości tego, co zawiera, potrafiłby to wykorzystać w przetargach o własną wolność z którąkolwiek ze stron.

– *Voilà, voilà.* – Machając rękami, gospodyni położyła przed nim ciepłe jeszcze skarpetki, kalesony i spodnie.

Jak długo pozostawał zatopiony w swoim doniosłym odkryciu? Kobieta spojrzała na pergamin, który leżał przed nią do góry nogami, i uśmiechnęła się. Adam szybko zamknął ikonę i zaczął studiować podobiznę świętego. Tak zręcznie przecięto drewno, że nie mógł dopatrzyć się szczeliny. Przypomniał sobie słowa listu ojca: „Ale gdybyś ją jednak otworzył i stwierdził, że zawiera coś, co by Cię uwikłało w jakieś haniebne przedsięwzięcie, pozbądź się jej natychmiast". Nie musiał się długo zastanawiać, żeby wie-

dzieć, jak by na jego miejscu postąpił ojciec. Gospodyni stała teraz podparta pod boki, przyglądając mu się ze zdumieniem.

Adam szybko schował ikonę i wciągnął spodnie.

Nie wiedząc, jak wyrazić kobiecie wdzięczność za jej gościnność, brak podejrzliwości i wścibstwa, podszedł do niej po prostu, ujął ją delikatnie za ramiona i pocałował w policzek. Zarumieniła się i wręczyła mu niewielką plastikową torebkę. Wewnątrz były trzy jabłka, kawałek chleba i spory kawał sera. Rąbkiem fartucha starła mu z ust jakiś okruch i podprowadziła do otwartych drzwi.

Adam podziękował jej i wyszedł w swój inny świat.

CZĘŚĆ TRZECIA

BIAŁY DOM
WASZYNGTON

17 czerwca 1966

XVII

BIAŁY DOM, WASZYNGTON

17 czerwca 1966

– Nie chcę być pierwszym cholernym prezydentem w historii Stanów Zjednoczonych, który straci amerykański stan, zamiast go zyskać.

– Ja to rozumiem, panie prezydencie – powiedział sekretarz stanu – ale…

– Jaka jest nasza sytuacja prawna w tej sprawie, Dean?

– Żadna, panie prezydencie. Abraham Brunweld, główny autorytet w sprawach dokumentów z tego okresu, potwierdza, że warunki dziewięćdziesięciodziewięcioletniej dzierżawy są wiążące dla obu stron. Umowa o dzierżawie została podpisana w imieniu Rosjan przez Eduarda von Stoeckla, a w imieniu Stanów Zjednoczonych przez ówczesnego sekretarza stanu Williama Sewarda.

– Czy ta umowa może być ważna jeszcze dziś? – zapytał prezydent, zwracając się do swojego najwyższego urzędnika w resorcie prawa, Nicholasa Katzenbacha.

– Naturalnie, że może, sir – odpowiedział prokurator generalny. – Ale tylko w przypadku, gdyby okazali swój egzemplarz oryginału dokumentu. A jeśli go okażą, to zarówno Organizacja Narodów Zjednoczonych, jak i Międzynarodowy Trybunał w Hadze nie będą miały innego wyjścia, niż uznać roszczenia Rosjan. W przeciwnym razie żaden dokument międzynarodowy, podpisany przez nas w przeszłości czy w przyszłości, nie będzie wiarygodny.

– Czy wobec tego mam siedzieć z założonymi rękami i patrzeć spokojnie, jak Rosjanie srają nam na głowę? – spytał prezydent.

– Doskonale rozumiem, co pan czuje, panie prezydencie – rzekł prokurator generalny – ale moim obowiązkiem jest uświadomić pana co do naszej sytuacji prawnej.

– Do jasnej cholery, czy zdarzyło się kiedykolwiek, żeby głowa państwa popełniła coś równie głupiego?

– Brytyjczycy – wtrącił Dean Rusk – będą mieli ten sam problem z Chińczykami w roku 1999 w sprawie Hongkongu. Pogodzili się już z realiami życia i wyraźnie dali rządowi chińskiemu do zrozumienia, że chcą się z nim dogadać.

– To jeden przykład – powiedział prezydent – a przecież wszyscy znamy Brytyjczyków z ich dyplomatyczną zasadą *fair play.*

– Również w roku 1898 – ciągnął Rusk – Rosjanie uzyskali dziewięćdziesięciodziewięcioletnią dzierżawę Port Arthur w północnych Chinach. Port miał dla nich kolosalne znaczenie, ponieważ, odwrotnie niż Władywostok, pozostaje cały rok niezamarznięty.

– Nie wiedziałem, że Rosjanie mają port w Chinach.

– Już nie mają, panie prezydencie. Oddali go Mao w roku 1955 w geście przyjaźni między towarzyszami komunistami.

– Możemy być cholernie pewni, że nam z ich strony taki gest przyjaźni nie grozi, jeśli chodzi o ten kawałek ziemi – rzekł prezydent. – Czy mamy jakąkolwiek alternatywę?

– Poza akcją militarną zmierzającą do powstrzymania Sowietów przed zawładnięciem tym, do czego roszczą sobie słuszne prawa, nie – odpowiedział sekretarz stanu.

– Czyli że jeden Amerykanin kupuje ziemię od Rosjan w roku 1867, a drugi ma im ją odsprzedać w 1966. Ale przede wszystkim dlaczego Seward i prezydent w ogóle zaakceptowali tak szalony pomysł?

– W tamtych czasach – rzekł prokurator generalny, zdejmując okulary – cena kupna tej ziemi wynosiła siedem przecinek dwa miliona dolarów, a o czymś takim jak inflacja nikt nie słyszał. Andrew Johnsonowi nie przyszło nawet do głowy, że Rosjanie mogliby chcieć odkupić te tereny za cenę dziewięćdziesiąt dziewięć razy przewyższającą ich pierwotną wartość, czyli innymi słowy, za siedemset dwanaście przecinek osiem miliona dolarów w złocie. A przecież lata inflacji sprawiły, że ta cena jest niska. Na dowód czego Rosjanie już zdeponowali tę sumę w jednym z nowojorskich banków.

– A więc nawet nie możemy liczyć na to, że nie zapłacą na czas – powiedział prezydent.

– Wygląda na to, że nie, panie prezydencie.

– Ale przede wszystkim dlaczego w ogóle car Aleksander chciał wydzierżawić tę ziemię? Tego nie mogę pojąć.

– Miał wtedy konflikty z niektórymi swoimi ministrami spowodowane wyprzedawaniem przez Rosję jej terenów położonych we wschodniej Azji. Car uważał, że ta transakcja będzie bardziej strawna dla tych ludzi, jeśli ją przedstawi jako długoterminową dzierżawę, z klauzulą zastrzegającą możliwość odkupienia, niż po prostu jako zwykły akt kupna-sprzedaży.

– A dlaczego Kongres się nie sprzeciwił?

– Po ratyfikowaniu przez Kongres tekstu głównego traktatu ta poprawka nie podlegała już zatwierdzeniu przez Izbę Reprezentantów, ponieważ nie wiązało się to z żadnymi wydatkami ze strony rządu Stanów Zjednoczonych – wyjaśnił Rusk. – O ironio, Seward był dumny z tego, że postawił w tej klauzuli takie surowe warunki finansowe. Miał wtedy wszelkie prawo sądzić, że będzie to cena nie do zapłacenia.

– Obecnie równa się ona rocznym dochodom z przemysłu naftowego – powiedział prezydent, wyglądając przez okno Gabinetu Owalnego na pomnik Waszyngtona. – Nie mówiąc o chaosie militarnym, jaki powstanie w tym kraju, jeśli Rosjanie dostaną w łapy swój egzemplarz traktatu. Proszę nie zapominać, że to ja byłem prezydentem, który się zwrócił do Kongresu o miliard dolarów na zainstalowanie systemu wczesnego ostrzegania na tej granicy, żeby obywatele amerykańscy mogli spać spokojnie.

Żaden z doradców nie widział możliwości sprzeciwienia się wybranemu przez siebie przywódcy.

– Co wobec tego robią w tej sytuacji Brytyjczycy?

– Jak zwykle, panie prezydencie, trzymają karty przy orderach. Ostatecznie to jakoby obywatel brytyjski ma rosyjski egzemplarz umowy i wszystko wskazuje na to, że zamierzają położyć łapy na ikonie przed Rosjanami i wystąpić w roli naszych dobroczyńców.

– Miło, że przynajmniej raz dla odmiany to Anglicy przychodzą nam z pomocą – powiedział prezydent. – Ciekawe, czy my w tym czasie, kiedy oni rozwiązują za nas nasze problemy, siedzimy z założonymi rękami?

– Nie, sir. CIA zajmuje się tą sprawą od ponad miesiąca.

– Tym dziwniejsze, że Rosjanie jeszcze nie mają ikony.

Nikt się nie roześmiał.

– Co ja mam w tej sytuacji robić? Siedzieć i czekać, aż Rosjanie w poniedziałek przed północą przeniosą te siedemset dwanaście milionów

dolarów w złocie ze swojego konta w nowojorskim banku do Departamentu Skarbu?

– Ale jednocześnie muszą mi dostarczyć oryginał umowy – powiedział Rusk. – Na co zostało im jeszcze tylko sześćdziesiąt godzin.

– A nasz egzemplarz umowy gdzie się w tej chwili znajduje? – spytał prezydent.

– Gdzieś głęboko w skarbcach Pentagonu. Tylko dwie osoby znają dokładne miejsce. Od czasu konferencji w Jałcie nasz egzemplarz nie ujrzał światła dziennego.

– Dlaczego nikt mi dotychczas o tym nie powiedział? – zapytał prezydent. – Przynajmniej mógłbym zapobiec tak wielkim wydatkom.

– Przez ponad pięćdziesiąt lat wierzyliśmy, że egzemplarz rosyjski uległ zniszczeniu podczas rewolucji. W miarę upływu czasu stawało się jasne, że Rosjanie uznali to za fakt dokonany, co ostatecznie potwierdził Stalin w Jałcie. Dopiero w ubiegłym miesiącu Breżniew musiał wpaść na coś, co go przekonało, że ich egzemplarz gdzieś istnieje, że tylko zaginął.

– Chryste, jeszcze miesiąc i bylibyśmy wygrani.

– Zgadza się – powiedział sekretarz stanu.

– Czy zdajesz sobie sprawę, Dean, że jeśli Rosjanie zjawią się u ciebie z dokumentem w poniedziałek przed północą, to mogę ich co najwyżej pocałować w nos?

XVIII

Po wyjściu od sympatycznych wieśniaków Adam stwierdził, że znajduje się na przedmieściu miasteczka. Było jeszcze bardzo wcześnie i uznał, że niczym nie ryzykuje, biegnąc w stronę *centre ville*, kiedy jednak na ulicach zaczęli się pojawiać pierwsi robotnicy, zwolnił i dalej szedł już normalnym krokiem. Zamiast iść prosto do centrum, postanowił przyczaić się gdzieś na obrzeżach miasteczka, dopóki nie obmyśli dalszego planu działania. Zatrzymał się przed wielopoziomowym parkingiem i uznał, że lepszego miejsca nie znajdzie.

Wszedł przez drzwi na parterze i skierował się do windy, która wskazywała, że parking zajmuje cztery poziomy. Zbiegł po schodkach na najniższy, niepewnie pociągnął drzwi i znalazł się w pomieszczeniu kiepsko oświetlonym i niemal pustym. Wybrał piwnice parkingu, gdyż spodziewał się, że klienci dotrą tu w ostatniej kolejności. Obszedł pomieszczenie, starając się zapamiętać jego układ. W najdalszym kącie stały dwa samochody pokryte grubą warstwą kurzu, która świadczyła o tym, że od dawna nie były ruszane. Ukucnął za jednym z nich i stwierdził, że jest w tym miejscu widoczny jedynie dla najbardziej wścibskich. Zaczął sobie wyobrażać, że ktoś, kto zaparkował tu samochód, zostawił kluczyki w stacyjce. Sprawdził drzwi obu samochodów, ale okazały się zamknięte, pomyślał więc o jakimś bardziej realnym sposobie dotarcia do wybrzeża przed zapadnięciem nocy.

Z głębokiej zadumy wyrwało go szuranie – podskoczył wystraszony. Rozglądając się po mrocznej hali, dostrzegł w ciemności mężczyznę ciągnącego do połowy zapełniony pojemnik na śmieci. Z trudem odróżniał w mroku sylwetkę starego człowieka ubranego w brudny, wlokący się po ziemi płaszcz. Nie wiedział, co zrobić, na wypadek gdyby mężczyzna dalej szedł w jego stronę. Z bliska okazało się, że jest on przygarbiony i stary, a z ust sterczy mu niedopałek. Sprzątacz przystanął przed Adamem, schylił się po paczkę papierosów, podniósł je, ale zaraz wyrzucił do pojemnika, stwierdziwszy, że jest pusta. W jej ślady poszły papierek po cukierku,

puszka po coca-coli i stary numer „Le Figaro”. Mężczyzna dalej poszukiwał śmieci, ale do tej pory nie dostrzegł Adama skulonego za stojącym najdalej samochodem. Z poczuciem dobrze wykonanego zadania pociągnął pojemnik po podłodze, a następnie wypchnął go za drzwi.

Ledwie Adam zdążył się nieco odprężyć, sprzątacz wrócił – minęły jakieś dwie minuty – i otworzył drzwi, których Scott poprzednio nie zauważył. Zdjął długi brązowy płaszcz i włożył szary, niewiele lepszy, ale przynajmniej trochę krótszy. Po czym zniknął. Chwilę później trzasnęły drzwi. Najwyraźniej zakończył pracę.

Adam odczekał trochę, po czym przeciągnął się i podczołgał wzdłuż ściany do niewielkich drzwi. Otworzył je cicho, zdjął z gwoździa brązowy płaszcz i wrócił na swoje miejsce w kącie. Na widok pierwszego z porannej fali samochodów przykucnął. Kierowca zatoczył płynny łuk i zaparkował w przeciwległym kącie w sposób świadczący o dużej wprawie. Kiedy wyskoczył z samochodu, okazało się, że jest to niski, wytworny mężczyzna z teczką i w eleganckim garniturze w prążki. Zamknąwszy samochód, drobnym kroczkiem udał się do wyjścia. Adam odczekał, aż zamkną się za nim ciężkie drzwi, po czym wyprostował się i przymierzył brązowy płaszcz sprzątacza. Płaszcz okazał się nieco za wąski w ramionach, a rękawy trochę za krótkie, ale od biedy mógł uchodzić za pracownika parkingu.

Przez następną godzinę obserwował zajeżdżające w nieregularnych odstępach samochody. Niestety, wszyscy właściciele zamykali drzwi, a następnie je sprawdzali, po czym odchodzili z kluczykami.

Gdzieś w oddali wybiła dziesiąta i Adam uznał, że nie ma sensu dłużej sterczeć w garażu. Wypełzł zza samochodu i ruszył w stronę wyjścia, kiedy nagle oślepiły go światła rovera z angielską rejestracją, który wyjechał zza rogu. Uskoczył w bok, żeby przepuścić samochód, ale kierowca zatrzymał się i odkręcił szybę.

– Można tu parkować? – Każde słowo wymawiał starannie, z angielskim akcentem.

– *Oui, monsieur* – odparł Adam.

– Inne poziomy oznaczone *privé* – ciągnął mężczyzna, jakby się zwracał do kompletnego kretyna. – Gdzieś tu? – Zatoczył ręką łuk.

– *Oui* – powtórzył Scott.

– W porządku. – Mężczyzna wysiadł z samochodu i wręczył Adamowi kluczyki wraz z dziesięciofrankowym banknotem.

– *Merci.* – Adam schował pieniądze i dotknął ręką czoła. – *À quelle heure vous retournez?* – zapytał.

– Najwyżej za godzinę – odparł mężczyzna, wychodząc.

Adam odczekał jeszcze chwilę przy samochodzie, ale właściciel nie wrócił. Otworzył drzwi od strony pasażera, wrzucił torbę z jedzeniem, a następnie obszedł samochód i wsiadł. Zapalił silnik i sprawdził paliwo; było niewiele ponad pół baku. Ruszył i wyjechał rampą na poziom pierwszy, gdzie utknął. Zabrakło mu dwufrankowej monety niezbędnej do otwarcia szlabanu. Kobieta w samochodzie za nim niechętnie rozmieniła mu dziesięciofrankowy banknot, widząc, że się inaczej nie wydostanie z garażu.

Adam szybko wyjechał na ulicę, wypatrując znaku *Toutes directions.* W ciągu kilku minut zostawił miasto za sobą i drogą numer 6 pomknął do Paryża.

Ocenił, że w najlepszym razie ma dwie godziny spokoju. Do tej pory policja z pewnością zostanie zawiadomiona o kradzieży samochodu. Wiedział, że do Paryża wystarczy mu paliwa, a o dostaniu się aż do Calais nie mógł marzyć. Prawie cały czas trzymał się środkowego pasa, pilnując, aby strzałka szybkościomierza pozostawała pięć kilometrów poniżej limitu. Do końca pierwszej godziny przejechał prawie dziewięćdziesiąt kilometrów. Otworzył torebkę, którą dała mu gospodyni, wyjął jabłko i kawałek sera. Jak to było często w ciągu ubiegłych dwóch dni, pomyślał o Heidi.

Bodajby nigdy nie otworzył tego listu.

Minęła kolejna godzina, nim Romanow zobaczył kuśtykającego pod górę mężczyznę, zaledwie kilkaset metrów od głównej drogi. Na myśl o tym, że dopadnie Scotta, zanim jeszcze zdoła on dobrnąć do drogi, na jego twarzy rozlał się szeroki uśmiech. Po chwili od idącego dzieliło go już tylko kilka metrów i wtedy pilot odwrócił się i uśmiechnął.

Kiedy pół godziny później Romanow zostawiał Banksa z przetrąconym karkiem ukrytego za drzewem, musiał niechętnie przyznać, że pilot odwagą dorównywał Wołczkowi. Nie mógł sobie już jednak pozwolić na najmniejszą choćby stratę czasu i nie próbując ustalić, w którą stronę udał się Scott, ruszył na zachód.

Dźwięk syreny wyrwał Adama z zamyślenia. Spojrzał na mały zegar na tablicy rozdzielczej. Od chwili, kiedy wyjechał, minęło zaledwie półtorej

godziny. Czyżby policja francuska okazała się tak sprawna? Wóz policyjny zbliżał się do niego z dużą szybkością z lewej strony, ale Adam utrzymywał stałą prędkość – tylko jego serce przyśpieszało nieustannie, dopóki radiowóz nie śmignął obok, pozostawiając z tyłu nieszczęsnego zbiega.

W miarę upływu czasu Adam zaczął się zastanawiać, czy nie lepiej skręcić w jakąś boczną, spokojniejszą drogę, ale w końcu uznał, że powinien jak najszybciej dostać się do Paryża. Wypatrując drogowskazów, cały czas nasłuchiwał syren policyjnych. Kiedy wreszcie znalazł się na przedmieściach Paryża, skierował się ku Boulevard de l'Hôpital na tyle już odprężony, że napoczął drugie jabłko. Normalnie podziwiałby wspaniałą architekturę miasta po obu stronach Sekwany, ale tym razem jego wzrok stale powracał do lusterka wstecznego.

Zdecydował, że zostawi samochód na jednym z dużych publicznych parkingów – przy odrobinie szczęścia minie kilka dni, zanim go znajdą.

Skręcił w rue de Rivoli i natychmiast zobaczył przed sobą rzędy kolorowych chorągiewek. Trudno o lepsze miejsce, pomyślał. Z pewnością będzie tu dużo zagranicznych samochodów.

Wjechał tyłem, ustawiając rovera w najdalszym kącie placu. Zaraz potem pochłonął jabłko i resztę sera i zamknął samochód. Ruszył w stronę wyjścia, ale szybko się zorientował, że budzi wśród spacerowiczów sensację swoim długim brązowym płaszczem, o którym zupełnie zapomniał. Postanowił wrócić i zostawić go w bagażniku. Szybko więc zdjął płaszcz i złożył go w małą kostkę.

Od samochodu dzieliło go zaledwie kilka metrów, kiedy zobaczył młodego policjanta. Sprawdzał tablicę rejestracyjną rovera i powtarzał do mikrofonu jej litery i cyfry. Wycofując się powoli, Adam nie spuszczał oka z funkcjonariusza. Jeszcze sześć czy siedem kroków i bezpiecznie wtopi się w tłum.

Pięć, cztery, trzy, dwa; cofał się, podczas gdy policjant cały czas mówił do mikrofonu. Jeszcze krok i…

– *Alors!* – krzyknęła kobieta, której Adam nadepnął na nogę.

– Bardzo przepraszam. – Instynktownie odezwał się w rodzimym języku.

Policjant obrócił się, zmierzył go uważnym spojrzeniem i natychmiast ruszył biegiem w jego stronę.

Adam rzucił brązowy płaszcz, odwrócił się błyskawicznie i mało nie przewróciwszy pochylonej kobiety, wystartował do wyjścia. Parking pełen był turystów, którzy przyjechali zwiedzić Luwr, i rozwinięcie przyzwoitej szybkości w tak gęstym tłumie było prawie niemożliwe. Kiedy dobiegł do wjazdu na parking, usłyszał kilka kroków za sobą gwizdek policjanta. Przeciął rue de Rivoli, a następnie przez bramę dostał się na obszerny plac. Z prawej zbliżał się do niego drugi policjant. Nie namyślając się wiele, Adam skorzystał z jedynej drogi ucieczki, jaką oferowały znajdujące się przed nim schodki. Odwróciwszy się, zauważył co najmniej trzech ścigających go policjantów. Wpadł w wahadłowe drzwi, roztrącając grupę japońskich turystów zebranych wokół stojącej w holu rzeźby Rodina. Przebiegł obok zdumionego biletera i marmurowymi schodami pomknął na górę.

– *Monsieur, monsieur, votre billet?!* – krzyknął za nim mężczyzna.

Na szczycie schodów Adam skręcił w prawo i przebiegł przez Wystawę Specjalną Wieków „66”. Minąwszy malarstwo współczesne – Pollock, Bacon, Hockney – wbiegł na salę impresjonistów – Monet, Manet, Courbet – rozpaczliwie rozglądając się za wyjściem. Wtargnął do sali osiemnastego wieku – Fragonard, Goya, Watteau – ale i tu nie znalazł wyjścia. Pod wielkim łukiem dotarł do sali wieku siedemnastego – Murillo, van Dyck, Poussin – aż ludzie, zamiast podziwiać wielkie dzieła sztuki, zaczęli się rozglądać za przyczyną takiego zamieszania. Adam jednak, niepomny na nic, pobiegł do sali szesnastego wieku – Rafael, Caravaggio, Michał Anioł – uświadamiając sobie nagle, że zostały mu już tylko dwa wieki malarstwa. W prawo czy w lewo? Zdecydowawszy się na prawo, znalazł się w obszernej kwadratowej sali. Były tu trzy wyjścia. Zwolnił nieco, aby wybrać najwłaściwsze, kiedy nagle zorientował się, że sala jest obwieszona rosyjskimi ikonami. Zatrzymał się przed pustą gablotą. *Nous regrettons que ce tableau soit soumis à la restauration* – przeczytał.

Właśnie pierwszy z policjantów zdążył wejść do sali i znajdował się w odległości zaledwie kilku kroków, kiedy Adam rzucił się ku najdalszemu wyjściu. Teraz z kolei miał tylko dwa do wyboru. Skręcił w prawo, ale tu natknął się na policjanta, który zmierzał wprost na niego. W lewo: dwaj następni. Na wprost: jeszcze jeden.

Adam zatrzymał się pośrodku sali ikon w Luwrze z rękami uniesionymi nad głową. Był otoczony przez policjantów.

XIX

Sir Morris podniósł słuchawkę.

– Pilny telefon z Paryża – poinformowała go sekretarka.

– Dziękuję, Tesso. – Słuchał uważnie, a jego umysł szybko analizował bulwersujące wiadomości. – *Merci, merci* – rzekł do swojego rozmówcy z francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. – Skontaktujemy się z wami, jak tylko załatwimy wszystko, co trzeba, żeby go stamtąd wydostać. Ale na razie bardzo prosimy, żebyście go nie spuszczali z oka. – Słuchał chwilę, po czym dodał: – I jeśli ma przy sobie jakiekolwiek przedmioty, to bardzo proszę, żeby były pod kluczem. Jeszcze raz bardzo dziękuję.

Sekretarka sir Morrisa, jak to miała w zwyczaju od siedemnastu lat, stenografowała przebieg rozmowy.

Adam ze zdziwieniem stwierdził, że od kiedy policjanci zakuli go w kajdanki i zaprowadzili do samochodu, stali się nagle swobodni i przyjacielscy. Ten, do którego był przypięty, wepchnął go do wozu. Z przodu i z tyłu mieli samochody policyjne, a jako eskortę dodatkowo dwóch policjantów na motorach, którzy prowadzili kawalkadę. Adam bardziej czuł się jak ważna osobistość w czasie wizyty oficjalnej niż kryminalista podejrzany o dwa morderstwa oraz dwie kradzieże i posługujący się fałszywymi dokumentami. Czyżby wreszcie ktoś doszedł do wniosku, że jest niewinny?

Po przybyciu do Sûreté na Île de la Cité natychmiast kazano mu opróżnić kieszenie. Jeden zegarek na rękę, jedno jabłko, czterdzieści funtów w czekach podróżnych, osiem franków i jeden paszport brytyjski na nazwisko Dudley Hulme. Inspektor bardzo uprzejmie kazał mu się rozebrać do podkoszulka i kalesonów – Adam zrobił to już po raz drugi tego dnia – po czym starannie sprawdził każdą kieszeń jego marynarki, nawet podszewkę. Jego mina nie pozostawiała wątpliwości, że nie znalazł tego, czego szukał.

– Czy posiada pan coś jeszcze? – zapytał w powolnej, starannej angielszczyźnie.

Co za cholernie głupie pytanie, pomyślał Adam. Zobacz sobie sam.

– Nie – odpowiedział.

Inspektor raz jeszcze przeszukał marynarkę, ale nie znalazł nic nowego.

– Proszę się ubrać – polecił szorstko.

Adam włożył koszulę, marynarkę i spodnie, ale inspektor zatrzymał jego krawat i sznurowadła.

– Wszystkie rzeczy zwrócimy panu przy wyjściu – wyjaśnił.

Adam skinął głową i włożył buty, które zsuwały mu się z nóg, kiedy próbował iść. Zaprowadzono go do małej celi na tym samym piętrze i zamknięto. Rozejrzał się po skromnie umeblowanym pomieszczeniu. Pośrodku stał niewielki drewniany stół, a przy nim dwa krzesła. W rogu było pojedyncze łóżko ze starym materacem z końskiego włosia. Trudno byłoby nazwać ten pokój celą, nie było w nim bowiem krat, nawet w małym oknie. Adam zdjął marynarkę, powiesił ją na oparciu krzesła i położył się na łóżku. Był to już i tak postęp w stosunku do tego, jak spędził ostatnie dwie noce. Czy to możliwe, że od chwili, kiedy spał na podłodze w pokoju hotelowym Robin w Genewie, upłynęły jedynie dwie doby?

Licząc minuty, podjął decyzję: gdy tylko pojawi się inspektor, zażąda widzenia z adwokatem.

– Jak jest, do cholery, po francusku „adwokat”? – zapytał głośno.

Kiedy wreszcie po upływie mniej więcej półgodziny wszedł policjant, miał na tacy porcję gorącej zupy, bułkę, coś, co wyglądało na stek ze wszystkimi dodatkami, i pełen po brzegi plastikowy kubek czerwonego wina. Adam zaczął się zastanawiać, czy zatrzymali niewłaściwego człowieka, czy to po prostu ostatni posiłek przed gilotyną. Poszedł za funkcjonariuszem do drzwi.

– Domagam się rozmowy z adwokatem – powiedział z naciskiem, ale policjant tylko wzruszył ramionami.

– *Je ne comprends pas l’anglais* – odparł i zatrzasnął za sobą drzwi.

Adam zasiadł do posiłku, wdzięczny Francuzom za to, że niezależnie od okoliczności cenią sobie dobre jedzenie.

Godzinę później sir Morris podzielił się z zebranymi tą wiadomością, po czym bacznie przyjrzał się ich twarzom. Nigdy nie zwołałby D4, gdyby nie

miał pewności, że Adam jest wreszcie bezpieczny. Matthews w dalszym ciągu nie okazywał żadnych emocji. Busch był wyjątkowo milczący, podczas gdy Snell dla odmiany robił wrażenie odprężonego. Lawrence jako jedyny spośród obecnych wydawał się naprawdę szczerze zadowolony.

– Scott siedzi w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w pobliżu Place Beauvais – ciągnął sir Morris. – Skontaktowałem się już z attaché wojskowym naszej ambasady…

– Pułkownikiem Pollardem – przerwał mu Lawrence.

– Pułkownikiem Pollardem – powtórzył sir Morris – który został wysłany po Scotta samochodem ambasadora. Ma go przewieźć do naszej ambasady na Faubourg St Honoré, gdzie Scott będzie poddany przesłuchaniu. Przed chwilą dzwonili z Sûreté z informacją, że pułkownik Pollard już przyjechał. – Zwrócił się do swojego zastępcy: – Jeszcze dziś wieczorem poleci pan do Paryża i sam przeprowadzi rozmowę ze Scottem.

– Tak jest. – Lawrence spojrzał na szefa z uśmiechem.

Sir Morris skinął głową. Twarde sztuki, pomyślał, patrząc po twarzach zebranych. Ale w ciągu półgodziny musi się okazać, który z nich służy dwóm panom.

– Dobrze. Nie sądzę, żebym panów jeszcze dzisiaj potrzebował – powiedział, wstając z krzesła.

Mentor uśmiechnął się, patrząc, jak sir Morris wychodzi z pokoju. Jego zadanie zostało wypełnione. Nic prostszego, jeśli się umie czytać stenogram do góry nogami.

Czarny jaguar z tabliczką CD podjechał pod komendę główną policji kilka minut wcześniej, niż się go spodziewano. Ruch mimo wszystko nie był aż tak duży, jak się pułkownik obawiał. Pollard wyskoczył z samochodu i został powitany na stopniach przez inspektora, który patrząc na powiewającą na masce samochodu flagę, pomyślał, że cała sprawa nabiera melodramatycznego charakteru.

Pollard, niski, krępy mężczyzna w ciemnym garniturze, krawacie pułkowym i z parasolem, wyglądał jak jeden z tych Anglików, którzy nie przyjmują do wiadomości, że mogli się znaleźć za granicą.

Inspektor zaprowadził go prosto do pokoju, w którym siedział Adam.

– Nazywam się Pollard. Pułkownik Pollard. Jestem brytyjskim attaché wojskowym w Paryżu. Przykro mi bardzo, że nie zdołaliśmy panu zaosz-

czędzić całej tej męki, ale trzeba było wykonać kupę papierkowej roboty, żeby pana stąd wyciągnąć. Cholerna biurokracja.

– Rozumiem to doskonale – powiedział Adam, zrywając się z łóżka i potrząsając dłonią pułkownika. – Sam byłem w wojsku.

– Wiem. Pułk Wessex, tak?

Adam skinął głową. Poczuł się nieco pewniej.

– Na szczęście udało nam się to jakoś załatwić – ciągnął pułkownik. – Policja francuska odniosła się życzliwie do sprawy i pozwoliła, żeby pan mi towarzyszył do naszej ambasady.

Scott spojrzał na krawat pułkownika.

– Duke of York?

– Co takiego? Ależ skąd – odparł Pollard, gładząc się po gorsie koszuli. – Green Jackets.

– Oczywiście – rzekł Adam, rad, że jego pomyłka została spostrzeżona.

– No, to chyba będziemy szli. Myślę, że pan z ulgą przyjmie wiadomość, że nie mają do pana żadnych pretensji.

Ale pułkownik nie zdawał sobie sprawy, jak wielka była to ulga.

Inspektor zaprowadził go do pomieszczenia, gdzie Adam musiał tylko rozpoznać swoje rzeczy i pokwitować ich odbiór. Wrzucił do kieszeni wszystko oprócz zegarka, który włożył zaraz na rękę, i sznurowadeł. Nie zdziwiło go specjalnie, że zatrzymali paszport Dudleya Hulme’a.

– Proponuję, żebyśmy się nie guzdrali – powiedział pułkownik, w którego głosie zabrzmiała nuta niepokoju.

– Jedna chwileczka – rzekł Adam. – Nie mniej zależy mi na wydostaniu się stąd niż panu.

Sprawdził sznurowadła, po czym udał się za inspektorem i Pollardem do czekającego jaguara. Dopiero teraz zauważył, że pułkownik lekko kuleje. Kierowca otworzył przed nim drzwi; Adam roześmiał się.

– Coś śmiesznego, przyjacielu? – spytał pułkownik.

– Nie, tyle tylko, że ostatni szofer, który mi otwierał drzwi, nie był tak przyjaźnie usposobiony.

Adam wsiadł na tylne siedzenie jaguara. Pułkownik wśliznął się za nim.

– Do ambasady – rzucił i samochód ostro ruszył z miejsca.

Adam z przerażeniem patrzył na powiewającą flagę brytyjską.

XX

Kiedy się ocknął, był nagi.

Rozejrzał się po skąpo umeblowanym pokoju, ale tutaj, odwrotnie niż we francuskim więzieniu, nie mógł zobaczyć, co jest za nim. Ręce, nogi i całe ciało miał gęsto osznurowane, przywiązane nylonową linką do umieszczonego pośrodku krzesła – był prawie całkowicie unieruchomiony.

Kiedy spojrzał w górę, nie zobaczył nic prócz pochylonego nad sobą pułkownika Pollarda, który upewniwszy się, że Adam odzyskał przytomność, śpiesznie opuścił pokój.

Obrócił głowę i zobaczył, że całe jego ubranie leży porządnie poukładane w drugim końcu celi. Przechylając krzesło z boku na bok, w ciągu kilku minut zbliżył się do drzwi zaledwie o kilka centymetrów. Całą energię skupił na tym, żeby poluzować więzy na przegubach rąk przez pocieranie nimi o szczebelki krzesła, związano go jednak tak mocno, że tarcie było za słabe.

Jego bezskuteczne wysiłki przerwał odgłos otwieranych drzwi. Uniósł wzrok i ujrzał wchodzącego Romanowa, który z bliska wydał mu się nie mniej przerażający. Za Romanowem wszedł inny mężczyzna, którego Adam nie poznawał. Ten drugi, który zajął miejsce za nim, trzymał coś, co wyglądało na pudełko cygar. Na końcu szedł Pollard z dużą plastikową płachtą.

Romanow spojrzał na nagiego Adama i uśmiechnął się. Napawając się jego upokorzeniem, stanął na wprost krzesła.

– Nazywam się Aleksander Pietrowicz Romanow – oznajmił z nieznacznym obcym akcentem.

– Albo Emmanuel Rosenbaum – powiedział Adam, dokładnie przyglądając się swojemu przeciwnikowi.

– Przykro mi, że nie możemy uścisnąć sobie rąk – dodał Romanow, okrążając krzesło. – Ale uznałem, że w tych okolicznościach należy zachować pewne środki ostrożności. Przede wszystkim chciałem panu pogratulo-

wać, że tak długo mi się pan wymykał, ale tym razem może się pan przekonać, że mój kontakt w Londynie działa równie szybko jak pański.

– Pana kontakt? – zdziwił się Adam.

– Niech pan nie będzie naiwny, kapitanie. Do tej pory musiał się pan chyba boleśnie przekonać, że do pana należy nie zadawanie pytań, lecz odpowiadanie na pytania.

Adam utkwił wzrok w przeciwległej ścianie, nie próbując nawet nadążać za prowokacjami Romanowa.

– Pollard – powiedział ostro Romanow – proszę przesunąć kapitana Scotta z powrotem na środek pokoju. Wygląda na to, że próbując ucieczki, zdołał się przesunąć co najmniej o kilkanaście centymetrów.

Pollard zastosował się do polecenia. Najpierw rozpostarł na podłodze plastikową płachtę, a następnie zaczął manewrować krzesłem w taki sposób, żeby znalazło się pośrodku plastiku.

– Dziękuję. – Romanow zwrócił się z kolei do Adama. – Myślę, że miał pan już okazję poznać naszego pułkownika Pollarda. Oczywiście nie jest to jego prawdziwe nazwisko, a także nie jest on prawdziwym pułkownikiem, ale zawsze chciał nim być, więc gdy tylko nadarzyła się okazja, chętnie poszliśmy mu na rękę. W gruncie rzeczy poczciwy pułkownik służył w wojsku brytyjskim, obawiam się jednak, że zaczął służbę jako szeregowiec i skończył ją osiemnaście lat później również jako szeregowiec. Ale mimo kontuzji nogi, której nie dorobił się, niestety, na polu chwały, nie mógł się ubiegać o rentę inwalidzką, co go postawiło w trudnej sytuacji. Jak już jednak mówiłem, bardzo chciał zostać pułkownikiem – ciągnął Romanow. – Ładnie panu nawet to wyszło z tym Duke of York, ale ponieważ pułkownik w rzeczywistości służył tylko w Green Jackets, bezpiecznie mógł włożyć jedynie ich krawat.

Wzrok Adama pozostał utkwiony w ścianie.

– Przyznaję, że z tą flagą brytyjską to było z naszej strony niedbalstwo, ale ponieważ powiewanie flagą rosyjską do góry nogami, tak żeby nikt tego nie zauważył, nie jest możliwe, myślę, że nas pan zrozumie. Chociaż, prawdę mówiąc, Pollard powinien był to natychmiast zauważyć. Całe szczęście, że pan to dostrzegł dopiero wtedy, gdy drzwi samochodu bezpiecznie się za panem zamknęły. – Przestał krążyć i wpatrzył się w nagie ciało Adama. – A teraz czas najwyższy, żebyśmy pana przedstawili naszemu doktorowi Stawińskiemu, który już od dawna nie może się doczekać, kiedy

pana pozna. Ostatnio nie miał zbyt wiele do roboty i obawiał się, że wyjdzie z wprawy.

Romanow cofnął się o krok, robiąc miejsce Stawińskiemu, który stanął dokładnie naprzeciwko Adama, w dalszym ciągu trzymając pod pachą pudełko cygar. Scott patrzył na maleńkiego mężczyznę, który jak gdyby mierzył go wzrokiem. Stawiński miał nie więcej niż sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu i był ubrany w szarą, rozpiętą pod szyją koszulę oraz popielaty garnitur przywodzący na myśl aplikanta w podrzędnej kancelarii adwokackiej. Miał twarz pokrytą jednodniowym zarostem, co sprawiało wrażenie, że tego dnia nie wybierał się do pracy. Jego wargi rozchyliły się nagle w uśmiechu, jakby właśnie doszedł do jakiegoś wniosku.

– Miło mi pana poznać, panie Scott – zaczął. – Jest pan wprawdzie niespodziewanym gościem w ambasadzie, niemniej jednak mile widzianym. Nie ukrywam, że mógłby pan skrócić znacznie nasze spotkanie, udzielając mi po prostu pewnej informacji. Jeśli mam być szczery – westchnął – interesuje mnie właściwie jedynie to, gdzie się w tej chwili znajduje carska ikona. – Przerwał. – Choć nie sądzę, żeby sprawa była aż tak prosta. Nie mylę się, prawda?

Adam nie odpowiedział.

– Nie dziwi mnie to specjalnie. Po laurce, jaką panu wystawił towarzysz Romanow, uprzedzałem go, że to mało prawdopodobne, by seria zwykłych pytań i odpowiedzi okazała się wystarczająca. Muszę jednak zachować zwykłą w takich sytuacjach procedurę. Jak się pan przekona, Rosjanie w tym samym stopniu przestrzegają przepisów, co Anglicy. Może pana dziwić – dodał Stawiński, jakby sobie coś nagle przypomniał – że człowiek niepalący, jak ja, nosi przy sobie pudełko cygar kubańskich.

Czekał na odpowiedź Adama, ale się nie doczekał.

– Ach, widzę, że nie ma pan ochoty na rozmowę. Pewnie ma pan już na swoim koncie podobne doświadczenia. Wobec tego muszę jeszcze chwilę mówić do siebie. Otóż studiowałem chemię na uniwersytecie moskiewskim, specjalizując się w pewnej wąskiej dziedzinie.

Adam starał się udawać brak zainteresowania, powstrzymując wspomnienia ze swoich najgorszych czasów spędzonych w rękach Chińczyków.

– Niewielu ludzi na Zachodzie zdaje sobie sprawę z tego, że my, Rosjanie, pierwsi utworzyliśmy studium na poziomie uniwersyteckim, zwane Wydziałem Przesłuchań Metodami Naukowymi, z katedrą i kadrą naukową.

Cóż, Zachód wciąż lansuje swoje absurdalne poglądy na temat wartości życia i praw człowieka. Jak się pan zapewne domyśla, tylko nieliczni pracownicy uniwersytetu byli świadomi istnienia takiego wydziału, nie mówiąc już o możliwości zostania jego słuchaczem, zwłaszcza że takie studia nie figurowały w programie uczelni. Ale ponieważ już i tak byłem w Pierwszym Wydziale, wydało mi się aż nazbyt słuszne, bym swoje kwalifikacje zawodowe poszerzył o sztukę tortur. Jestem w zasadzie człowiekiem prostym – ciągnął Stawiński – którego początkowo nie interesowały badania naukowe, ale kiedy zapoznałem się z „pudełkiem cygar", dosłownie z dnia na dzień stałem się pilnym i pojętnym uczniem tej dyscypliny. Nie mogłem się wprost doczekać, kiedy będę miał okazję poeksperymentować. – Przerwał, żeby sprawdzić, jakie wrażenie jego słowa robią na Scotcie, ale obojętne spojrzenie Adama rozczarowało go wyraźnie. – Tortury – podjął – to stara i szacowna dyscyplina. Chińczycy, na przykład, jak pan z pewnością wie, uprawiają ją od trzech tysięcy lat, a i wy, Brytyjczycy, dokonaliście nie lada postępów od czasów łamania kołem. Ale ten przyrząd okazał się niepraktyczny, kłopotliwy w transporcie i nienowoczesny. Biorąc to pod uwagę, mój moskiewski nauczyciel, profesor Metz, wymyślił coś małego i prostego, co po kilku lekcjach potrafi obsłużyć nawet człowiek o zupełnie przeciętnej inteligencji.

Adam usiłował rozpaczliwie dociec, co może zawierać pudełko, ale wyraz jego twarzy pozostał obojętny.

– W torturach, jak w miłości, najważniejsza jest gra wstępna. Czy pan mnie rozumie, kapitanie Scott? – zapytał Stawiński.

Adam usiłował zachować pozory spokoju i swobody.

– No cóż, w dalszym ciągu brak jakiejkolwiek reakcji z pana strony, ale jak już mówiłem, mnie się nie śpieszy. Zwłaszcza że, jak przypuszczam, cała ta operacja w pańskim przypadku może nam zająć nieco więcej czasu, co zresztą tylko zwiększy moją przyjemność. I chociaż jeszcze nie posiadamy carskiej ikony, to przynajmniej mamy jakiś wpływ na jedyną osobę, która wie, gdzie ona jest.

Adam i tym razem wstrzymał się od jakiegokolwiek komentarza.

– Zapytam więc pana raz, i tylko raz, zanim otworzę to pudełko: Gdzie jest carska ikona?

Adam plunął na Stawińskiego.

– Nie tylko źle wychowany – rzekł Stawiński – ale do tego jeszcze głupi. Bo już wkrótce każda kropla płynu będzie dla pana na wagę złota. Muszę jednak przyznać, że tego pan nie mógł wiedzieć. – Postawił pudełko na podłodze i otworzył je powoli. – Na początek proponuję panu – powiedział jak sztukmistrz produkujący się przed dzieckiem – sześciowoltową baterię niklowo-kadmową EverReady. – Przerwał. – Mam nadzieję, że pan doceni jej uroki. W drugiej kolejności – ciągnął, sięgając do pudełka – mały generator impulsów. – Położył obok baterii kwadratowe metalowe pudełeczko. – Po trzecie, dwa druty z elektrodami na końcach. Po czwarte, dwie strzykawki, po piąte, tubę kolodium i na koniec fiolkę, o której nieco później. Ale mimo że powiedziałem: „na koniec”, i tak mam jeszcze w pudełku dwa przedmioty, po które sięgnę dopiero wtedy, gdy będziemy zmuszeni przejść do stadium drugiego naszego małego eksperymentu, albo nawet do stadium trzeciego. – Ułożył swoje przyrządy przed Adamem. – Choć wygląda to dość niepozornie, jestem przekonany, że przy odrobinie wyobraźni doceni pan potencjał tego małego zestawu. A teraz, żeby towarzysz Romanow i pułkownik mieli pełną frajdę ze spektaklu, jaki szykuję, kilka słów na temat ludzkiego systemu nerwowego. Mam nadzieję, kapitanie Scott, że nie uroni pan ani słowa z tego, co powiem, bo przede wszystkim ofiara może docenić cały geniusz tego wynalazku.

Adam nie był zadowolony z faktu, że Stawiński posługuje się angielskim tak biegle. Miał jeszcze ciągle żywo w pamięci, jak to Chińczycy informowali go dokładnie, co go czeka, ale w języku, którego prawie nie rozumiał. Łatwiej mu było wtedy oderwać się myślami od sytuacji, choć i tak na cztery godziny wylądował w lodówce.

– A teraz co do spraw praktycznych – podjął oprawca. – Przez wysłanie do końcówki synapsy niewielkiego impulsu elektrycznego możemy w ciągu ułamka sekundy przekazać potężny sygnał do tysięcy innych zakończeń nerwowych. Wywołuje to bardzo nieprzyjemnie uczucie, które można porównać z tym, jakiego się doznaje, dotykając przewodu pod napięciem, czyli wstrząs. Nie śmiertelny, ale zdecydowanie nieprzyjemny. W naszej szkole w Moskwie nazywaliśmy to stadium pierwszym, ale naprawdę może pan go sobie oszczędzić, jeżeli mi pan zaraz powie, gdzie się znajduje carska ikona.

Adam pozostał całkowicie bierny.

– Widzę, że nie uważał pan podczas mojego małego wykładu, i wobec tego obawiam się, że będziemy musieli przejść od teorii do praktyki.

Adam zaczął w myśli wyliczać trzydzieści siedem dramatów Szekspira. Jakże jego stary nauczyciel angielskiego byłby szczęśliwy, gdyby zobaczył, jak po latach ładowania do głowy Szekspirowskiego kanonu Adam Scott, niezbyt pilny wówczas uczeń, recytuje dziś na zawołanie wszystkie tytuły.

Król Henryk VI, część pierwsza, *Król Henryk VI*, część druga, *Król Henryk VI*, część trzecia, *Tragedia Ryszarda II*…

Stawiński wziął tubkę żelu i wycisnął z niej dwie krople na pierś Adama.

Komedia omyłek, *Tytus Andronikus*, *Poskromienie złośnicy*…

Rosjanin przyłożył elektrody do żelu, po czym zamocował końcówki drutów do sześciowoltowej baterii, która z kolei była podłączona do generatora impulsów.

Dwaj panowie z Werony, *Stracone zachody miłości*, *Romeo i Julia*…

Bez uprzedzenia Stawiński wdusił na dwie sekundy przycisk generatora, co wywołało wstrząs elektryczny o napięciu dwustu woltów. Adam krzyknął, porażony bólem, który dotarł do najdrobniejszej nawet cząstki jego ciała. Ale już po chwili ból ustał.

– Proszę się nie krępować i swobodnie zawiadamiać nas o tym, co pan czuje. Znajdujemy się w pomieszczeniu dźwiękoszczelnym i nie będziemy nikomu przeszkadzali.

Adam zignorował ten komentarz i chwytając poręcz krzesła, wymamrotał:

– *Tragedia Ryszarda III*, *Sen nocy letniej*, *Życie i śmierć króla Jana*…

Stawiński nacisnął guzik generatora na kolejne dwie sekundy. Adam natychmiast poczuł ból. Kiedy ból minął, ogarnęły go gwałtowne mdłości, ale pozostał przytomny.

Stawiński odczekał chwilę, po czym wyraził opinię:

– Niebywałe. Wyraźnie zakwalifikował się pan do stadium drugiego, którego można łatwo uniknąć, odpowiadając na pytanie: Gdzie jest carska ikona?

Adam miał tak sucho w ustach, że nie był w stanie wykrztusić słowa, nie mówiąc o splunięciu.

– Naprawdę próbowałem pana ostrzec, kapitanie. – Stawiński zwrócił się ku drzwiom. – Pułkowniku, przynieście kapitanowi trochę wody.

Kupiec wenecki, *Król Henryk IV*, część pierwsza, *Król Henryk IV*, część druga…

Chwilę później pojawił się Pollard i Adamowi przytknięto do ust butelkę. Kiedy wypił mniej więcej połowę jej zawartości, butelkę cofnięto.

– Nie trzeba przesadzać. Później może pan potrzebować więcej płynu. Ale to nie będzie konieczne, jeśli mi pan powie, gdzie jest ikona.

Adam splunął resztką wody, jaka mu została w ustach, w stronę swojego prześladowcy.

Stawiński skoczył do przodu i wierzchem dłoni uderzył go w twarz. Adamowi zwisła głowa.

– Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko przejść do drugiego stadium – rzekł oprawca i spojrzał w stronę Romanowa, który skinął głową. Cienkie wargi Stawińskiego znów rozchylił uśmiech. – Pewnie się pan zastanawia, jaką krzywdę można wyrządzić człowiekowi za pomocą zwykłej sześciowoltowej bateryjki, bo oczywiście oglądając amerykańskie filmy gangsterskie, wie pan doskonale, że do zabicia człowieka na krześle elektrycznym potrzebny jest potężny generator. Ale po pierwsze, musi pan pamiętać, że ja nie zamierzam pana zabijać, a po drugie, że nauki, jakie pobierałem, nie kończyły się na stadium pierwszym. Otóż profesor Metz, świadom niedoskonałości tego stadium, po latach usilnej pracy badawczej wynalazł genialny roztwór, który Akademia Nauk nazwała na jego cześć „M”. Jeśli się wstrzyknie M do systemu nerwowego, impulsy elektryczne mogą być przekazywane wielokrotnie sprawniej. Zwiększają znacznie ból, a nie powodują śmierci. Wystarczy te kilka miliamperów pomnożyć przez odpowiedni współczynnik, żeby osiągnąć znacznie bardziej interesujący efekt. A więc? Gdzie jest ikona?

Wiele hałasu o nic, *Życie Henryka V*, *Juliusz Cezar*…

– Widzę, że robi pan wszystko, abym kontynuował program.

Stawiński wziął strzykawkę z długą, cienką igłą i do połowy napełnił ją płynem z fiolki, po czym uniósł strzykawkę, nacisnął tłok i patrzył, jak tryska niewielka fontanna. Następnie zaszedł Adama od tyłu.

– A teraz zrobię panu nakłucie lędźwiowe, które spowoduje paraliż od szyi w dół na całe życie przy najmniejszej próbie ruchu z pańskiej strony. Nie jestem z natury człowiekiem szczególnie prawdomównym, ale tym razem może mi pan wierzyć. Zapewniam pana jednocześnie, że ten zastrzyk

nie będzie śmiertelny, ponieważ, jak pan już wie, zabicie pana nie leży w naszym interesie.

Adam nawet nie drgnął, poczuwszy ukłucie. *Jak wam się…* – zaczął, ale nagle w całym ciele poczuł potworny ból, po którym, ku swej niebywałej uldze, przestał czuć cokolwiek.

Kiedy odzyskał przytomność, nie miał pojęcia, jak długo to wszystko trwało. Powoli jego wzrok skupił się na oprawcy, który niecierpliwie przemierzał pokój tam i z powrotem. Widząc, że Adam otworzył oczy, Stawiński zatrzymał się, uśmiechnął i wolno przeciągnął ręką po sporym kawałku plastra, którym ten zalepił sobie ranę na ramieniu. Dotyk wydawał się lekki, ale Adam odczuł go, jakby mu ktoś przejechał po ramieniu rozpalonym żelazem.

– Tak jak obiecałem – powiedział Stawiński – czekają pana znacznie ciekawsze doznania. A teraz, pan pozwoli, że zerwę ten plaster.

Adam zacisnął usta. Stawiński odczekał chwilę, po czym jednym ruchem zerwał plaster. Adam krzyknął, jakby znów go postrzelono. Podszedł Romanow i nachylił się nad raną.

– Miło mi, że jednak mój kolega nie chybił tak zupełnie – powiedział. I po chwili dodał: – Czy wyobraża pan sobie, jak to będzie, kiedy Stawiński znów pana podłączy do prądu, a ja nacisnę ten mały guzik?

– *Wieczór Trzech Króli*, *Hamlet*, *Wesołe kumoszki z Windsoru* – po raz pierwszy powiedział głośno Scott.

– Widzę, że niczego nie chce pan pozostawić wyobraźni – rzekł Romanow i zniknął za plecami ofiary.

Stawiński sprawdził, czy przewody są przytknięte do kropel żelu na piersi Adama, po czym wrócił do generatora.

– Za trzy sekundy nacisnę guzik. A pan wie, co ma zrobić, żeby mnie przed tym powstrzymać.

– *Troilus i Kresyda*, *Wszystko dobre, co się dobrze kończy*…

Przycisk poszedł w dół i w jednej chwili prąd dotarł do każdego zakończenia nerwowego ofiary. Adam wydał tak straszliwy wrzask, że gdyby nie byli w dźwiękoszczelnym pomieszczeniu, usłyszeliby go wszyscy w promieniu kilometra. Kiedy przeminęła pierwsza reakcja, nastąpił atak niekontrolowanych drgawek i torsji. Stawiński i Pollard rzucili się do krzesła i rozwiązali nylonowe liny. Adam upadł na ręce i kolana, w dalszym ciągu wymiotując.

– Nie możemy dopuścić do tego, żeby się nam pan zadławił na śmierć. Już jednego czy dwóch straciliśmy w ten sposób na samym początku.

Gdy tylko skończył się atak torsji, Stawiński z powrotem rzucił Adama na krzesło, a Pollard go przywiązał.

– Gdzie jest carska ikona?! – wrzasnął Stawiński.

– *Miarka za miarkę*, *Otello*, *Król Lear*… – wyrecytował Adam drżącym głosem.

Pollard wziął butelkę wody i dosłownie wcisnął ją Adamowi w usta. Ten wypił wodę, ale była to jakby maleńka oaza na pustyni jego potrzeb. Podszedł do niego Romanow, Stawiński zaś zajął miejsce przy generatorze.

– Jest pan bez wątpienia dzielnym człowiekiem, Scott – powiedział major – ale to szaleństwo. Niech pan powie, gdzie jest ikona, to odeślę Stawińskiego, a pułkownikowi każę pana odwieźć i zostawić na stopniach ambasady brytyjskiej.

– *Makbet*, *Antoniusz i Kleopatra*…

Romanow westchnął i skinął głową. Stawiński ponownie nacisnął guzik. Nawet pułkownik zrobił się biały jak ściana, obserwując reakcję Adama. Przenikliwość jego krzyku przekroczyła wszystko, co dotychczas słyszeli, a mięśnie doznały widocznego skurczu, gdy prąd poraził najdrobniejsze zakończenia nerwowe w ciele. Kiedy go ponownie odwiązali, padł na kolana i trwał tak chwilę bez ruchu. W żołądku nie pozostało mu już nic, czego mógłby się pozbyć. Uniósł głowę, ale w tym samym momencie rzucono go na krzesło i ponownie przywiązano. Stawiński spojrzał na niego z góry.

– To naprawdę nadzwyczajne, kapitanie Scott. Zakwalifikował się pan do stadium trzeciego.

Kiedy Lawrence przybył wieczorem na lotnisko Orly, spodziewał się cichego obiadu z przyjacielem w rezydencji ambasadora. Przy barierze czekał na niego pułkownik Pollard.

– Jak on się miewa? – brzmiały pierwsze słowa Lawrence’a.

– Myślałem, że to pan nam powie – odparł Pollard, biorąc od niego walizkę.

Pemberton stanął jak wryty, wpatrując się w wysokiego, chudego wojskowego w mundurze dragonów królewskich.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – spytał.

– Dokładnie to, co powiedziałem – rzekł Pollard. – Zgodnie z pańskimi instrukcjami pojechałem po Scotta na Île de la Cité, ale kiedy przybyłem na miejsce, dowiedziałem się, że dwadzieścia minut wcześniej zabrał go ktoś, kto posłużył się moim nazwiskiem. Natychmiast zadzwoniliśmy do pańskiego biura, ale pan był już w drodze, więc ambasador wysłał mnie prosto na lotnisko, a sam miał dzwonić do sir Morrisa.

Lawrence potknął się i mało nie upadł. Pułkownik podtrzymał go w porę. Zupełnie nie rozumiał, co Lawrence miał na myśli, mówiąc:

– On musi być przekonany, że to ja.

Kiedy Adam odzyskał przytomność, był z nim tylko Romanow.

– Czasami – powiedział Rosjanin, ciągnąc swą myśl, jakby Adam nie zemdlał – człowiek jest zbyt dumny, żeby okazać brak hartu wobec torturującego albo wobec swojego ziomka, w szczególności zdrajcy. Dlatego oddaliłem Stawińskiego i pułkownika. Nie marzę o tym, żeby być świadkiem, jak Stawiński przechodzi do stadium trzeciego, ale mogę go przed tym powstrzymać jedynie, jeśli pan powie, gdzie ukrył ikonę.

– A dlaczego niby miałbym to powiedzieć? – zapytał Adam wojowniczo. – Stanowi moją legalną własność.

– Niezupełnie, kapitanie Scott. To, co pan podjął w banku w Genewie, jest bezcennym oryginałem pędzla Rublowa należącym do Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. I gdyby ta ikona kiedykolwiek znalazła się w jakimkolwiek domu aukcyjnym czy galerii na świecie, natychmiast wystąpilibyśmy z roszczeniem o odzyskanie skradzionego skarbu kultury narodowej.

– Ale jak to możliwe?… – zaczął Adam.

– Bo to pan – wyjaśnił Romanow – ma teraz oryginał, który car oddał na przechowanie wielkiemu księciu Hesji. Od ponad pięćdziesięciu lat w Związku Radzieckim jest jedynie kopia.

Oczy Adama rozszerzyły się w wyrazie niedowierzania, kiedy Romanow z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjął ikonę przedstawiającą świętego Jerzego ze smokiem. Major odczekał chwilę, po czym obrócił ikonę. Przez jego twarz przemknął uśmieszek satysfakcji, kiedy zobaczył, że do Adama dotarło znaczenie braku korony na odwrocie.

– Tak jak i pan – podjął – mam ten egzemplarz ikony tylko na zasadzie pożyczki, ale jeśli mi pan powie, gdzie jest oryginał, wypuszczę pana,

wymieniając kopię na oryginał. Nikt się o niczym nie dowie, a pan i tak będzie miał z tego niemały profit.

– Aha, mam jak żona Aladyna zamienić stare lampy na nowe – powiedział Adam z ironią.

Oczy Romanowa zwęziły się złowrogo.

– Chyba zdaje pan sobie sprawę, Scott, że posiada pan bezcenne arcydzieło, które stanowi własność Związku Radzieckiego. Jeżeli pan nie zwróci ikony, narobi pan swojemu krajowi kłopotu, a sam najprawdopodobniej skończy w więzieniu. Wystarczy, że mi pan powie, gdzie jest ikona, a natychmiast będzie pan wolny.

Adam nie zadał sobie trudu, żeby chociaż pokręcić głową.

– Wobec tego czas na informację, która może bardziej pana zainteresuje – powiedział Romanow, wyjmując pojedynczą kartkę z koperty, którą miał w wewnętrznej kieszeni.

Adam był autentycznie zaskoczony – nie wyobrażał sobie, co to może być. Romanow rozłożył kartkę powoli, trzymając ją tak, żeby Scott mógł widzieć tylko odwrotną stronę.

– Na tej kartce jest wyrok wydany w Moskwie w roku 1946 przez sędziego I.T. Nikitczenkę. Wyrok śmierci – ciągnął Romanow – na niejakiego majora Władimira Koskiego, który z ramienia władz radzieckich miał wartę tej nocy, kiedy zmarł marszałek Rzeszy Hermann Göring. – Obrócił papier tak, żeby Adam mógł go dobrze zobaczyć. – Jak pan widzi, to majora Koskiego uznano za winnego kolaboracji z wrogiem dla korzyści materialnych. Zostało udowodnione, że to on przemycił wtedy do celi Göringa cyjanek potasu. – Oczy Adama rozszerzyły się ze zdumienia. – Tak, widzę, że wyciągnąłem asa atutowego – powiedział major. – Mam nadzieję, że teraz już mi pan powie, gdzie jest ikona. O ile dobrze pamiętam, macie w Anglii takie porzekadło: uczciwa wymiana to nie rozbój. Pańska ikona za moją plus dokument, który ratuje honor pańskiego ojca.

Adam zamknął oczy, po raz pierwszy boleśnie świadom, że Romanow nie ma pojęcia, co się naprawdę kryje wewnątrz ikony.

Rosjanin nie potrafił ukryć wściekłości. Podszedł do drzwi i otworzył je silnym szarpnięciem.

– Jest twój – rzucił.

Doktor Stawiński wszedł z uśmiechem i podjął, jakby mu nikt nie przerywał:

– Profesor Metz nigdy na dobre nie zadowolił się stadium drugim, ponieważ uznał, że powrót do normy, nawet u człowieka tak wyjątkowo dzielnego i silnego jak pan, trwa godziny, a czasem nawet dni. Ostatnie więc swoje lata na uniwersytecie poświęcił badaniom mającym na celu przyśpieszenie całego procesu. Jak u wszystkich geniuszy, końcowe rozwiązanie okazało się zaskakujące w swojej prostocie. Należało tylko wynaleźć substancję chemiczną, która wprowadzona do systemu nerwowego, powodowałaby natychmiastowy powrót do normy. Słowem, gwałtownie działający środek przeciwbólowy. Znalezienie takiego środka zajęło mu dwanaście lat i pochłonęło kilka ofiar. – Wyjął z pudełka inną fiolkę, w którą wkłuł igłę drugiej strzykawki. – To – triumfalnie uniósł małą fiolkę – wstrzyknięte do pańskiego krwiobiegu, spowoduje tak szybki powrót do formy, że będzie się pan zastanawiał, czy w ogóle doznał jakiegokolwiek bólu. Za to dzieło geniuszu Metz powinien był dostać Nagrodę Nobla, ale nie uważaliśmy za wskazane, by dzielił się swoim wynalazkiem z resztą świata naukowego. Dzięki niemu mogę bez końca powtarzać proces, przez który już pan przeszedł, nie pozwalając panu umrzeć. Mogę na przykład włączać i wyłączać ten generator co pół godziny przez, powiedzmy, najbliższy tydzień, jeśli taka jest pańska wola – powiedział Stawiński, patrząc z góry na kredowobiałą, pełną niedowierzania i poznaczoną żółtymi plamami wymiocin twarz Adama. – Ale mogę również zaaplikować antidotum i natychmiast przestać, gdy tylko mi pan powie, gdzie jest carska ikona.

Stojąc przed Adamem, do połowy napełnił strzykawkę. Adam odczuwał dojmujące zimno, ale pod wpływem wstrząsu wywołanego torturami pocił się obficie.

– Proszę siedzieć spokojnie, kapitanie Scott. Nie chciałbym panu wyrządzić żadnej trwałej krzywdy.

Adam poczuł głębokie ukłucie i chwilę potem wstrzyknięty płyn dostał się do jego krwiobiegu. Nie mógł uwierzyć, jak szybko odzyskuje formę. W ciągu kilku minut mdłości i otępienie ustąpiły. Wróciło mu czucie w rękach i w nogach. Ogarnęło go silne pragnienie, by już nigdy nie doświadczyć stadium drugiego.

– Genialny człowiek ten profesor Metz, co do tego chyba obaj możemy się zgodzić – powiedział Stawiński. – Gdyby żył jeszcze, z pewnością opisałby pański przypadek. – Wolno i starannie zaczął wyciskać na pierś

Adama coraz to nowe krople galaretowatej substancji. Kiedy skończył, przytknął do żelu elektrody.

– *Koriolan, Tymon Ateńczyk, Perykles*…

Stawiński opuścił rękę, a Adam miał nadzieję, że tym razem uda mu się umrzeć. Znalazł jednak nowy poziom dźwięku i wydał przeraźliwy krzyk, podczas gdy jego ciałem wstrząsały nieustające drgawki. Po chwili poczuł lodowaty chłód i dygocząc niepohamowanie, zaczął wymiotować.

Stawiński błyskawicznie znalazł się przy nim i odwiązał sznury. Adam upadł na podłogę i wykrztusił to, co w nim jeszcze zostało. Kiedy już nawet nie miał czym spluwać, Pollard posadził go na krześle.

– Musi pan zrozumieć, że nie mogę pozwolić panu umrzeć, kapitanie. Gdzie jest ikona?! – wrzasnął Stawiński.

W Luwrze – chciał krzyknąć Adam, ale z jego ust wydobył się zaledwie szept. Czuł się, jakby jego usta były od środka pokryte papierem ściernym.

Stawiński napełnił drugą strzykawkę i wstrzyknął mu jakiś płyn. Znów niemal natychmiast cierpienie ustąpiło i Adam odzyskał normalne samopoczucie.

– Dziesięć sekund i powtarzamy. Dziewięć, osiem, siedem…

– *Cymbelin*.

– …sześć, pięć, cztery…

– *Zimowa opowieść*.

– …trzy, dwa, jeden.

– *Burza*. Aaach! – wrzasnął Adam i natychmiast zemdlał.

Ocknął się, czując, że leją na niego zimną wodę i że znów wymiotuje. Przywiązawszy go z powrotem do krzesła, Stawiński ponownie wbił mu strzykawkę. Tym razem Adam nie wierzył, że to przeżyje. Z pewnością umrze, chce umrzeć. Znów poczuł ukłucie.

Romanow podszedł do swojej ofiary i powiedział:

– Uważam, że zasłużyliśmy z doktorem Stawińskim na małą kolację. Braliśmy pod uwagę zaproszenie i pana, ale pański żołądek chyba by tego nie przyjął. Kiedy wrócimy posileni, doktor Stawiński będzie powtarzał całą tę procedurę tak długo, aż pan powie, gdzie jest ikona.

Nim Romanow i Stawiński wyszli, wrócił pułkownik Pollard. Romanow zamienił z pułkownikiem kilka zdań, których Adam nie dosłyszał, po czym wyszedł, cicho zamykając drzwi.

Pułkownik podał Adamowi butelkę z wodą. Ten wypił ją chciwie, nie mogąc się nadziwić, jak szybko przychodzi do siebie. Mimo to jednak nie wierzył, żeby mógł przeżyć choćby jeszcze jeden raz.

– Znów będę wymiotował – powiedział i gwałtownie wyrzucił głowę do przodu.

Pollard błyskawicznie rozwiązał liny i patrzył, jak jego ofiara pada na ręce i kolana, chlustając wodą z ust. Adam poleżał chwilę, po czym pułkownik ostrożnie pomógł mu usiąść na krześle. Siadając, Scott mocno chwycił krzesło z boków za nogi i z całą siłą, na jaką potrafił się zdobyć, runął do przodu, unosząc krzesło i spuszczając je na nic niepodejrzewającego pułkownika. Pollard osunął się nieprzytomny na podłogę. Nie słyszał już, jak Adam mówi:

– *Sławna historia życia Henryka VIII* i *Dwaj szlachetni krewni*… Założę się, że nigdy o tym nie słyszałeś. Jeśli mam być szczery, zdania są podzielone co do tego, czy ten ostatni utwór rzeczywiście napisał Szekspir.

Klęcząc nad ciałem pułkownika, Adam zastanawiał się, co dalej. Dźwiękoszczelność pomieszczenia działała teraz na jego korzyść. Odczekał jeszcze kilka sekund, usiłując ocenić swoje siły. Podniósł butelkę, która się przewróciła, i wysączył z niej resztkę wody. Następnie podczołgał się do łóżka i włożył kalesony, skarpetki, niezbyt białą koszulę, spodnie i buty. Miał właśnie wciągnąć marynarkę, kiedy zauważył, że podszewka została podarta na strzępy. Zmienił więc zdanie, niby starzec pokuśtykał z powrotem do pułkownika, ściągnął z niego tweedową marynarkę od Harrisa i ubrał się w nią, choć była na niego za szeroka w ramionach i za krótka.

Podszedł do drzwi w nastroju niemal radosnym. Przekręcił gałkę i pociągnął. Drzwi otworzyły się na kilka centymetrów – cisza. Na kolejne kilka – w dalszym ciągu nic. Wyjrzał na zewnątrz, ale zobaczył jedynie ciemny korytarz. Kiedy próbował szerzej otworzyć drzwi, zawiasy wydały odgłos przypominający pisk opon samochodu wyścigowego. Upewniwszy się, że żaden z jego oprawców nie wraca, Adam wyszedł na korytarz.

Stanął pod ścianą i patrząc w obie strony wąskiej kiszki, czekał, aż wzrok przyzwyczai się do ciemności. Na końcu korytarza dostrzegł światło przez grubą szybę w drzwiach. Drobnymi kroczkami ruszył w tamtą stronę. Szedł jak ślepiec, wolno posuwając się przed siebie, aż w pewnym momencie zobaczył inne światło, sączące się przez szparę pod drzwiami na prawo, w odległości jakichś dziesięciu metrów od drzwi, ku którym zmierzał. Był

już tylko o krok od pierwszych drzwi, kiedy otworzyły się one gwałtownie i wyszedł z nich niski mężczyzna w białym fartuchu i niebieskim kuchennym kombinezonie. Adam zamarł pod ścianą, patrząc, jak pomocnik kuchenny wyjmuje z kieszeni paczkę papierosów i zapałki, a następnie oddala się w przeciwnym kierunku. Mężczyzna otworzył oszklone drzwi i wyszedł. Adam widział w szybie jego sylwetkę, widział, jak zapala zapałkę, a od niej papierosa, widział pierwszy obłok dymu, słyszał nawet westchnienie.

Przemknął obok drzwi, które najwyraźniej prowadziły do kuchni, po czym ruszył w stronę drzwi wyjściowych. Wolno przekręcił gałkę, czekając, aż sylwetka się poruszy. Te zawiasy też musiały nie być oliwione od miesięcy. Palący papierosa mężczyzna obrócił się i uśmiechnął, w chwili gdy lewa pięść Adama wylądowała na jego brzuchu. Kiedy się zgiął, Scott potraktował go prawym sierpowym z całą siłą, na jaką go było stać. Mężczyzna osunął się na ziemię. Adam stał nad nim chwilę, rad, że facet się nie rusza.

Następnie powlókł bezwładne ciało przez trawę i rzucił za krzak, po czym ukląkł przy nim, usiłując zorientować się w terenie. Dostrzegł wysoki mur, a przed nim żwirowane podwórko. Oświetlony księżycem mur rzucał długi cień na drobne kamyki.

Mobilizując resztki energii, Adam podbiegł do muru i przylgnąwszy do niego, stał nieruchomo w plamie cienia. Cicho, krok po kroku, zaczął się posuwać wzdłuż muru, aż dotarł przed front budynku, który, jak przypuszczał, był ambasadą sowiecką. Potężna zielona, drewniana brama stała otworem i co kilka sekund przejeżdżały przez nią limuzyny. Adam spojrzał w stronę wejścia do ambasady – na stopniach stał potężnie zbudowany mężczyzna w wieczorowym stroju, obwieszony medalami, i ściskał dłonie wychodzącym gościom. Adam uznał, że musi to być ambasador.

Jeden czy dwóch gości opuszczało ambasadę pieszo. Przy bramie stało na baczność dwóch uzbrojonych żandarmów, salutując każdemu z wyjeżdżających i wychodzących. Adam odczekał, aż duże bmw z zachodnioniemiecką flagą na masce zwolni, przejeżdżając przez bramę. Pod osłoną limuzyny dostał się na środek podjazdu, a następnie, idąc tuż za samochodem, wyszedł pomiędzy żandarmami na drogę.

– *Bonsoir* – rzucił lekko pod adresem strażników.

Od drogi dzielił go jeden metr. Idź, upomniał siebie, nie biegnij. Idź, dopóki nie znikniesz im z oczu. Zasalutowali mu z szacunkiem. Nie oglądaj się za siebie. Następny samochód wyjechał za Adamem przez bramę, ale on patrzył zdecydowanie przed siebie.

– *Tu cherches une femme?* – zapytał ktoś ze znajdującej się we wnęce bramy.

Adam znalazł się w mrocznej jednokierunkowej uliczce. Wzdłuż krawężnika przechadzało się kilku mężczyzn w nieokreślonym wieku. Posuwając się w ciemności, przyglądał im się podejrzliwie.

– Co? – zapytał, gwałtownie schodząc na jezdnię, zaalarmowany niespodziewanym głosem.

– Pan z Anglii? Szuka pan dziewczyny? – Głos miał wyraźny francuski akcent.

– Mówi pani po angielsku? – zapytał Adam, ciągle jeszcze nie widząc kobiety.

– W moim zawodzie, *chéri*, albo się zna dużo języków, albo się głoduje.

Adam usiłował uporządkować myśli.

– Ile za noc?

– *Eh bien*, ale jeszcze nie północ – odparła dziewczyna. – Muszę powiedzieć dwieście franków.

Adam wprawdzie nie miał pieniędzy, ale pomyślał, że dziewczyna przynajmniej zaprowadzi go w jakieś bezpieczne miejsce.

– Może być dwieście.

– *D'accord* – rzekła, wyłaniając się wreszcie z cienia. Adam ze zdumieniem stwierdził, że jest bardzo atrakcyjna. – Weź mnie pod rękę i jak będziemy mijali żandarma, powiedz tylko: *Ma femme.*

Adam, potykając się, ruszył przed siebie.

– Za dużo pijesz, *chéri*. Ale to nie szkodzi. Możesz się na mnie wesprzeć, o tak.

– Nie, jestem po prostu zmęczony – powiedział Adam, usiłując dotrzymać dziewczynie kroku.

– Byłeś na przyjęciu w ambasadzie, *n'est-ce pas*?

Zaskoczyła go tym pytaniem.

– Nie dziw się, *chéri*. Większość moich stałych klientów pochodzi z ambasad. Nie mogą ryzykować żadnych przypadkowych związków, *tu*

comprends?

– Wierzę ci – powiedział Adam.

– Mam mieszkanie tu zaraz, za rogiem – zapewniła go.

Adam był spokojny, że dojdzie na miejsce, ale kiedy zobaczył dom i schody, głęboko zaczerpnął tchu. Z trudem dobrnął do drzwi wejściowych.

– Mieszkam na samej górze, *chéri.* Bardzo piękny widok – powiedziała rzeczowym tonem dziewczyna. – Ale obawiam się, że nie ma, jak to się nazywa, windy.

Adam nie odezwał się ani słowem. Oparty o mur budynku, oddychał głęboko.

– Jesteś *fatigué* – zauważyła dziewczyna. Od drugiego piętra musiała go dosłownie wlec. – Nie w formie, *chéri.* – Otworzyła drzwi i zapaliła światło. – Ale wieczór należy do ciebie. – Weszła, zapalając po drodze światła w mieszkaniu.

Adam dowlókł się do jedynego krzesła, jakie dostrzegł, i opadł na nie. Dziewczyna tymczasem znikła w drugim pokoju i musiał się zdobyć na wielki wysiłek, żeby przed jej powrotem nie zasnąć.

Kiedy stanęła w drzwiach, po raz pierwszy mógł jej się przyjrzeć dokładnie. Miała krótkie, kędzierzawe blond włosy i była ubrana w czerwoną bluzkę i obcisłą czarną spódniczkę do kolan. Szeroki biały plastikowy pasek podkreślał wąską talię. Widok jej nóg w jedwabnych siatkowych pończochach z pewnością by go podniecił, gdyby biedak nie był w takim stanie.

Podeszła do niego, kołysząc lekko biodrami, i uklękła. Jej zielone oczy były zdumiewająco błyszczące.

– Czy mógłbyś mi dać teraz te dwie setki? – zapytała bez nacisku i przejechała ręką po jego udzie.

– Nie mam żadnych pieniędzy – powiedział Adam po prostu.

– Co takiego? – zapytała, tym razem ze złością. Włożywszy mu rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjęła portfel. – A to co? Tylko bez numerów. – Wręczyła Adamowi wypchany portfel.

Okazało się, że jest pełen pieniędzy: franków francuskich, ale i funtów angielskich. Adam doszedł do wniosku, że pułkownikowi płacono za jego usługi gotówką. Wyjął dwa stufrankowe banknoty i posłusznie wręczył dziewczynie.

– No, to już trochę lepiej – powiedziała, znikając w sąsiednim pokoju.

Adam szybko przeszukał portfel. Znalazł prawo jazdy i dwie karty kredytowe na prawdziwe nazwisko pułkownika: Albert Tomkins. Szybko się rozejrzał. Stojące pod przeciwległą ścianą podwójne łoże zajmowało prawie cały pokój. Poza krzesłem, na którym siedział, toaletką i stołeczkiem z czerwoną pluszową poduszką nie było nic. Większość podłogi pokrywał poplamiony niebieski dywan.

Po lewej stronie znajdował się kominek z porządnie poukładanymi w rogu polanami. Jedynym marzeniem Adama było paść i zasnąć, zamiast tego jednak z największym wysiłkiem wstał z krzesła, dowlókł się do kominka i ukrył portfel między polanami. Zdążył jeszcze wrócić do krzesła i usiąść, zanim otworzyły się drzwi.

Dziewczyna stanęła w nich, tym razem jedynie w różowym negliżu, przez który, nawet w swoim obecnym stanie, Adam widział wszystko, ilekroć się poruszyła. Przeszła przez pokój i raz jeszcze uklękła przed Adamem.

– Jak lubisz, *mon chéri*, zwyczajnie czy po francusku?

– Muszę odpocząć – powiedział Adam.

– Za dwieście franków mogłeś się przespać w każdym hotelu – rzekła z niedowierzaniem.

– Pozwól mi tylko parę minut odpocząć – poprosił.

– *L'Anglais* – powiedziała, usiłując podnieść Adama z krzesła i zaprowadzić do łóżka. Potknął się i wylądował górną częścią ciała na materacu. Dziewczyna rozebrała go z wprawą pielęgniarki i położyła mu nogi na łóżku, w czym ani jej nie pomagał, ani nie przeszkadzał. Zawahała się na moment, ujrzawszy ranę na jego ramieniu. Zastanawiała się, jaki to wypadek mógł spowodować tak głębokie rozcięcie. Przeturlała go pod ścianę i wyciągnęła spod niego koc, a następnie podeszła od drugiej strony i przeturlała go z powrotem. Na koniec przewróciła go na wznak i przykryła prześcieradłem i kocem.

– Mogłabym ci to zrobić po francusku, gdybyś chciał – powiedziała, ale Adam już spał.

XXI

Kiedy się wreszcie obudził, przez małe okienko wpadało do sypialni słońce. Zamrugał, rozglądając się dokoła i usiłując sobie przypomnieć wypadki poprzedniego dnia. Nagle wszystko wróciło wspomnieniem, od którego znów zrobiło mu się niedobrze. Usiadł na brzegu łóżka, ale kiedy chciał wstać, zakręciło mu się w głowie, poczuł się słabo i z powrotem opadł na pościel. Dobrze, że przynajmniej udało mu się uciec. Znów rozejrzał się po pokoju, ale dziewczyny nie było ani widać, ani słychać. Przypomniał sobie o portfelu.

Usiadł prosto, zbierając przez chwilę siły, po czym wstał i spróbował się przejść. Nadal czuł się niepewnie, ale lepiej, niż się spodziewał. Liczy się powrót do normy, a nie szybkość, pomyślał z ironią. Dotarłszy do kominka, ukląkł i zaczął szukać portfela między polanami, ale bez skutku. Jak mógł najszybciej, podszedł do wiszącej na oparciu krzesła marynarki. Sprawdził wewnętrzną kieszeń: pióro, niemal bezzębny grzebień, paszport, prawo jazdy, jakieś inne papiery, ale nie portfel. Przeszukał zewnętrzne kieszenie: pęk kluczy, scyzoryk, parę monet, angielskich i francuskich, i to wszystko. Rzucił kilka przekleństw i osunął się na podłogę.

Siedział tak jakiś czas, dopóki nie usłyszał zgrzytu klucza w zamku.

Otworzyły się frontowe drzwi i weszła dziewczyna z koszykiem na zakupy. Miała na sobie ładną spódniczkę w kwiatki i skromną białą bluzkę, jak pierwsza lepsza dziewczyna wybierająca się do kościoła. Kosz pełen był jedzenia.

– No co, już wstaliśmy, *chéri*? *Est-ce-que tu prends le petit déjeuner?*

Adam popatrzył nieco zaskoczony. Odwzajemniła jego spojrzenie.

– Nawet pracującym dziewczynom należy się śniadanie, *n’est-ce pas*? To czasami jedyny mój posiłek przez cały dzień.

– Gdzie jest mój portfel? – zapytał Adam chłodno.

– Na stole – odparła.

Spojrzał we wskazanym kierunku i stwierdził, że dziewczyna zostawiła portfel w najbardziej widocznym miejscu.

– Nie musisz go chować – zwróciła mu uwagę. – Dlatego tylko, że jestem prostytutką, nie należy mnie uważać za złodziejkę. – Z tymi słowy wyszła do kuchni, zostawiając otwarte drzwi.

Adam nagle zrozumiał, jak wielki czuł się Tomcio Paluch.

– Kawę i rogaliki? – zawołała.

– Fantastycznie – odpowiedział, po czym dodał: – Przepraszam cię, zachowałem się głupio.

– Nie przejmuj się. *Ça n'est rien.*

– Ale ja jeszcze nie wiem, jak masz na imię.

– Moje służbowe imię to Brigitte, ale ponieważ ani wczoraj wieczorem, ani dziś rano nie korzystałeś z moich usług, możesz używać prawdziwego: Jeanne.

– Mogę się wykąpać, Jeanne?

– Te drzwi w rogu, ale się pośpiesz, chyba że lubisz zimne croissanty.

Adam udał się do łazienki, gdzie stwierdził, że Jeanne zadbała o wszystko, czego może potrzebować mężczyzna: brzytwę, krem do golenia, mydło, bieliznę, czyste ręczniki… i duże pudełko prezerwatyw Durex.

Po ciepłej kąpieli i ogoleniu się – były to rozkosze, o których niemal zapomniał – poczuł się prawie normalnie, choć jeszcze trochę słabo. Owinął się różowym ręcznikiem i wszedł do kuchni. Stół był już nakryty i dziewczyna wyjmowała właśnie z pieca ciepłego croissanta.

– Niezłe ciało – rzuciła, odwracając się i mierząc go wzrokiem. – Znacznie lepsze, niż mi się normalnie trafia. – Postawiła przed nim talerzyk.

– Ty też nie jesteś najgorsza. – Adam uśmiechnął się i usiadł naprzeciwko niej.

– Cieszę się, że to zauważyłeś – powiedziała Jeanne. – Tak sobie właśnie o tobie myślałam…

Adam posmarował rogalik obficie dżemem i przez kilka sekund się nie odzywał.

– Kiedy jadłeś ostatni raz? – spytała Jeanne, widząc, jak połyka ostatni kęs.

– Wczoraj w południe. Ale od tej pory gruntownie opróżniłem żołądek.

– Torsje, tak? Nie powinieneś tyle pić.

– Raczej należałoby powiedzieć, że zostałem wydrenowany. Powiedz mi, Jeanne – spojrzał na dziewczynę – czy dalej jesteś gotowa do pracy?

Zerknęła na zegarek.

– O drugiej po południu przychodzi jeden z moich stałych klientów, a o piątej muszę być na ulicy. To znaczy, że zostaje nam tylko ten ranek – oznajmiła rzeczowo.

– Nie, nie o to mi chodziło – stwierdził Adam.

– O, przy tobie dziewczyna może dostać, jak wy to w Anglii nazywacie, kompleksów – rzekła Jeanne. – Ale ty nie jesteś lewus, co?

– Ależ skąd, nic podobnego – uspokoił ją Adam ze śmiechem. – Chętnie zapłaciłbym ci za twoje usługi drugie dwieście franków.

– Ale czy to coś legalnego?

– Całkowicie.

– *Alors*, to inna sprawa. Na jak długo mnie potrzebujesz?

– Na godzinę, najwyżej dwie.

– To się bardziej opłaca niż moja dotychczasowa praca. Co miałabym robić?

– Przez jedną godzinę chciałbym, żeby każdy mężczyzna w Paryżu marzył o tobie. Ale tym razem nie będziesz dostępna… za żadną cenę.

– Scott skontaktował się ze mną właśnie kilka minut temu – oznajmił Lawrence członkom D4.

– I cóż miał do powiedzenia? – zapytał niespokojnie sir Morris.

– Że cofa zegarek.

– Jak pan myśli, co chciał przez to powiedzieć? – zainteresował się Snell.

– Sądzę, że chodzi o Genewę.

– Dlaczego o Genewę? – chciał wiedzieć Matthews.

– Nie jestem pewien, ale powiedział, że ma to coś wspólnego z tą dziewczyną, z tą Niemką, albo z bankiem.

Jakiś czas nikt się nie odzywał.

– Czy pan ustalił, skąd dzwonił? – zapytał Busch.

– Tylko obszar – odparł Lawrence. – Neuchâtel na granicy niemiecko-szwajcarskiej.

– Dobrze. Czyli że znów przed nami robota – rzekł sir Morris. – Poinformował pan Interpol?

– Tak, sir. Osobiście zawiadomiłem niemiecką, francuską i szwajcarską policję – powiedział Lawrence, co było jedyną prawdziwą informacją, jakiej udzielił od początku zebrania.

Przygotowania zajęły Jeanne czterdzieści minut, ale kiedy Adam zobaczył ich rezultat, gwizdnął przeciągle.

– Nikt nie zwróci na mnie uwagi, nawet gdybym miał na ich oczach obrobić kasę – powiedział.

– Ale chyba o to chodzi, *n'est-ce pas*? – Jeanne uśmiechnęła się.

– Czy jesteś pewna, że dokładnie wiesz, co masz robić?

– Wiem dokładnie. – Jeanne raz jeszcze przejrzała się w lustrze. – Ćwiczymy jak w wojsku, cztery razy.

– W porządku – powiedział Adam. – Wygląda na to, że jesteś gotowa na spotkanie z wrogiem. Zacznijmy od tego, co w wojsku nazywa się „podejściem kontaktu".

Jeanne wyjęła z szuflady kuchennej plastikową torbę z napisem „Céline" i wręczyła ją Adamowi. Złożył torbę we czworo, wsunął do kieszeni marynarki i wyszedł na korytarz. Dziewczyna zamknęła drzwi mieszkania, po czym zeszli na dół i wyszli na ulicę.

Adam zatrzymał taksówkę, a Jeanne rzuciła do kierowcy:

– Ogrody Tuileries.

Kiedy przyjechali na miejsce, Scott zapłacił i podszedł do czekającej już na chodniku dziewczyny.

– *Bonne chance* – powiedział i pozwolił się wyprzedzić jej o jakieś dwadzieścia kroków. Mimo że jeszcze ciągle czuł się słaby, potrafił dotrzymać jej tempa. Słońce świeciło mu prosto w twarz, kiedy obserwował, jak Jeanne idzie wśród ozdobnych kwietnych rabat. Jej różowa skórzana spódniczka i biały, obcisły sweterek sprawiały, że każdy mężczyzna się za nią oglądał. Niektórzy zatrzymywali się nawet i patrzyli na nią, dopóki nie znikła im z oczu.

Uwagi, które słyszała, a których idący w odległości dwudziestu kroków za nią Adam nie mógł słyszeć, były różne – od: *Je payerais n'importe quoi*, które, acz niechętnie, puszczała mimo uszu, do zwykłych: *Putain*, które Adam kazał jej ignorować. Obiecała zagrać swoją rolę do końca i za dwieście franków gotowa była znosić te dziwne zniewagi.

Doszła do końca ogrodów, nie oglądając się za siebie. Została poinstruowana, że ma się nie oglądać pod żadnym pozorem. „Cały czas masz iść przed siebie” – polecił jej Adam. Był w dalszym ciągu dwadzieścia kroków za nią, kiedy dotarła do Quai des Tuileries. Poczekała na zmianę świateł, a następnie przeszła przez szeroką ulicę, cały czas w samym środku tłumu.

Na końcu bulwaru ostro skręciła w prawo i dopiero wtedy zobaczyła wprost przed sobą Luwr. Wstydziła się przyznać Adamowi, że nigdy nie była w środku.

Weszła po schodach do frontowego holu. Kiedy znalazła się przy drzwiach wahadłowych, Adam zbliżał się właśnie do dolnego stopnia. Gdy wspinała się po marmurowych schodach, cały czas dyskretnie trzymał się za nią.

Znalazłszy się na górze, Jeanne minęła posąg Nike z Samotraki, weszła do pierwszej z zatłoczonych sal i zaczęła liczyć po cichu. Przechodząc przez kolejne sale, zauważyła, że w każdej jest przynajmniej jeden mężczyzna z obsługi i że stoją oni zwykle bezczynnie przy którymś z wyjść. Grupa dzieci szkolnych przyglądała się właśnie *Ostatniej wieczerzy* Giovanniego, ale Jeanne zignorowała arcydzieło i pomaszerowała dalej. Minąwszy w sumie sześciu pracowników, dotarła wreszcie do sali, którą tak żywo opisał jej Adam. Zdecydowanym krokiem podeszła do środka i przystanęła na kilka sekund. Wielu mężczyzn na jej widok wyraźnie straciło zainteresowanie dziełami sztuki. Zadowolona z wrażenia, jakie robi, zwróciła się do strażnika, ten zaś odruchowo obciągnął marynarkę i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– *Dans quelle direction se trouve la peinture du seizième siècle?* – zapytała niewinnie. Strażnik odwrócił się, żeby wskazać jej właściwą salę. W chwili jednak, kiedy odwracał się do niej z powrotem, zdzieliła go w twarz i wrzasnęła na cały głos: – *Quelle horreur! Pour qui est-ce que vous me prenez?*

Tylko jedna osoba w sali ikon nie zwróciła uwagi na tę dziwną scenę.

– *Je vais parler à la Direction!* – wrzasnęła Jeanne i rzuciła się do głównego wyjścia.

W ciągu trzydziestu sekund było już po wszystkim. Strażnik stał w miejscu jak wryty, spoglądając w osłupieniu za napastniczką.

Jeanne przemierzyła trzy wieki szybciej, niżby to zrobił H.G. Wells. Zgodnie z instrukcją skręciła w lewo, do sali wieku szesnastego, a potem

znów w lewo w długi korytarz. Kilka minut później na szczycie marmurowych schodów prowadzących do głównego wyjścia spotkała się z Adamem.

Kiedy schodzili, Adam wręczył jej torbę z napisem *Céline*. W tym momencie zobaczył, że nagle na ostatnim stopniu dwaj strażnicy wyciągnęli ramiona, zagradzając im drogę.

– Chcesz uciekać? – zapytała szeptem Jeanne.

– W żadnym razie – odparł Adam stanowczo. – Nie mów nic.

– *Madame, excusez-moi, mais je dois fouiller votre sac.*

– *Allez-y pour tout ce que vous y trouvez!*

– Może pan przeszukać jej torbę – wtrącił Adam, stając u boku Jeanne, zanim zdążyła powiedzieć choćby jedno słowo więcej. – Tam jest ikona, i to zupełnie niezła, jak sądzę. Kupiłem ją dziś rano w sklepie w pobliżu Champs-Elysées.

– *Vous me permettez, monsieur?* – zapytał podejrzliwie starszy strażnik.

– Dlaczego nie? – Adam wyjął z torby carską ikonę i wręczył ją strażnikowi, który robił wrażenie zdziwionego tym obrotem sprawy. Dwaj kolejni strażnicy pośpieszyli mu z pomocą, ustawiając się po obu stronach Scotta.

Starszy strażnik łamaną angielszczyzną spytał, czy Adam nie ma nic przeciwko temu, żeby jeden z ekspertów galerii obejrzał malowidło.

– Ależ bardzo proszę – odpowiedział Adam. – Będę szczęśliwy, mając drugą opinię.

Strażnik miał niepewną minę.

– *Je dois vous demander de me suivre* – zasugerował tonem, który nagle przestał być taki wrogi.

Poprowadził ich szybko do pokoiku na zapleczu i położył ikonę na stole, który niemal wypełniał pomieszczenie. Adam usiadł, a obok niego zajęła miejsce oszołomiona Jeanne.

– Zaraz wracam.

Mężczyzna niemal wybiegł z pokoju; dwaj inni pozostali przy drzwiach. Adam w dalszym ciągu nie odzywał się do Jeanne, chociaż widział, że dziewczyna jest coraz bardziej przerażona. Zamiast tego posłał jej nieśmiały uśmiech.

Wreszcie drzwi się otworzyły i wszedł starszy pan o wyglądzie uczonego, a za nim strażnik.

– *Bonjour, monsieur* – zaczął starszy pan, zwracając się do Adama. Był to pierwszy mężczyzna, który nawet nie spojrzał na Jeanne. – Rozumiem,

że jest pan Anglikiem. – I bez żadnych ceregieli wziął ze stołu ikonę.

Przez jakiś czas studiował ją pilnie, zanim się wreszcie odezwał. Adama ogarnął lęk.

– To bardzo interesujące, tak, no, tak. – Jeden ze strażników położył rękę na pałce. – Interesujące – powtórzył. – Zaryzykowałbym nawet – zawahał się – późny wiek dziewiętnasty, tysiąc osiemset siedemdziesiąt, może osiemdziesiąt. Fascynujące. Niczego takiego nigdy w Luwrze nie mieliśmy – dodał. – Pan sobie zdaje sprawę z tego, że jest to kopia nieprzedstawiająca większej wartości – rzekł, zwracając Adamowi ikonę. – Oryginał carskiej ikony przedstawiającej świętego Jerzego ze smokiem wisi w Pałacu Zimowym w Leningradzie. Widziałem go – dodał, wyraźnie z siebie zadowolony.

– Jasne, że pan widział – mruknął Adam pod nosem, chowając ikonę do plastikowej torby.

Starszy pan skłonił się nisko Jeanne i na odchodnym rzucił:

– To ciekawe, że kilka tygodni temu ktoś pytał o carską ikonę.

Adam był jedyną osobą, która nie okazała zdziwienia.

– Ja tylko… – zaczął strażnik.

– Jasne, wypełniał pan swój obowiązek – dokończył za niego Adam. – Zrozumiały środek ostrożności, jeśli tak można powiedzieć – dodał nieco ceremonialnie. – Mogę tylko wyrazić podziw dla sposobu, w jaki przeprowadził pan całą akcję.

Jeanne gapiła się na nich obu, nie rozumiejąc nic z tego, co się dzieje.

– Pan jest bardzo uprzejmy, *monsieur* – powiedział strażnik z wyraźną ulgą. – Mam nadzieję, że państwo nas jeszcze odwiedzą. – Uśmiechnął się do Jeanne.

Odprowadził ich aż do drzwi wyjściowych, a kiedy je otworzyli, stanął na baczność i zasalutował im elegancko.

Adam i Jeanne zeszli po stopniach i znaleźli się na zalanej słońcem paryskiej ulicy.

– Możesz mi wreszcie powiedzieć, co to wszystko ma znaczyć? – spytała dziewczyna.

– Byłaś *magnifique* – odparł Adam, nie próbując nawet czegokolwiek wyjaśniać.

– Wiem, wiem – powiedziała. – Ale po co to całe przedstawienie, skoro obraz był i tak twój?

– Masz rację – zgodził się Adam. – Ale ja zostawiłem tę ikonę u nich na przechowanie na noc. A bez twojej brawurowej akcji przekonanie ich, że to moja własność, zajęłoby nam strasznie dużo czasu.

Z wyrazu jej twarzy Adam wywnioskował, że Jeanne nie ma zielonego pojęcia, o czym on mówi.

– Wiesz, że byłam w Luwrze pierwszy raz w życiu? – Wzięła go pod rękę.

– Jesteś bezcenna – powiedział Adam ze śmiechem.

– Nic podobnego. – Spojrzała mu w twarz. – Umówiliśmy się na dwieście franków, czy ten obraz należy do ciebie czy nie.

– To prawda – rzekł Adam, wyjmując portfel pułkownika i odliczając dwieście franków, do których dołożył jeszcze sto. – Uczciwie zarobiona premia – dodał.

Jeanne z wdzięcznością schowała pieniądze.

– Chyba wezmę sobie dziś wieczorem wolne.

Adam objął ją i ucałował w oba policzki, jakby była francuskim generałem.

Pocałowała go w usta i uśmiechnęła się.

– Jak będziesz w Paryżu następnym razem, *chéri*, zajrzyj do mnie koniecznie. Masz u mnie raz… na koszt firmy.

– Skąd ta pewność?

– Bo Antarktyka był skłonny zdradzić Pembertonowi zbyt wiele faktów.

– Co mam przez to rozumieć?

– Mówiłeś, że Pemberton powiedział, że on już nigdy nie zadzwoni, jeśli go znów zawiedziesz. A on nie tylko zadzwonił, ale jeszcze obsypał cię faktami. Powiedział, że dokąd teraz jedzie?

– Z powrotem do Genewy. To ma coś wspólnego z tą młodą Niemką i z bankiem.

– Dziewczyna nie żyje, a bank jest przez weekend zamknięty. On musi być w drodze do Anglii.

– Chciałbym wynająć samochód i oddać go w jednym z portów, ale jeszcze nie wiem, w którym – powiedział do dziewczyny za kontuarem.

– *Bien sûr, monsieur* – odparła. – Proszę wypełnić ten formularz. Będzie nam też potrzebne pana prawo jazdy.

Adam wyjął z wewnętrznej kieszeni dokumenty i podał dziewczynie prawo jazdy pułkownika. Powoli wypełnił wszystkie rubryki, starannie kopiując jego podpis z odwrotu karty Klubu Playboya. Wręczył odliczoną kwotę w nadziei, że to przyśpieszy sprawę.

Dziewczyna wzięła pieniądze i dokładnie je przeliczyła, a następnie porównała podpis z odwrotnej strony prawa jazdy z podpisem na formularzu. Adam był szczęśliwy, że nie zauważyła rozbieżności w datach urodzenia. Schował dokumenty Alberta Tomkinsa wraz z jego portfelem do kieszeni, a tymczasem dziewczyna zdjęła z wiszącej na ścianie deski kluczyki do samochodu i wręczyła mu je.

– Czerwony citroen, poziom pierwszy – wyjaśniła. – Numer rejestracyjny jest wybity na kółku do kluczyków.

Adam podziękował i szybko udał się na poziom pierwszy, gdzie podał kluczyki pracownikowi, a ten wyprowadził samochód.

Kiedy garażowy oddał mu kluczyki, Adam wsunął facetowi dziesięć franków – dokładnie tyle, ile dał mu tamten mężczyzna za to, żeby go zawiadomił, gdyby Anglik odpowiadający rysopisowi Adama wypożyczał samochód. A do tego jeszcze obiecał mu sto franków, jeśli przekaże wiadomość w ciągu pięciu minut.

CZĘŚĆ CZWARTA

KREML
MOSKWA

19 czerwca 1966

XXII

KREML, MOSKWA

19 czerwca 1966

Leonid Iljicz Breżniew wszedł do pokoju tak nagle, że pozostałych czterech członków ścisłego prezydium Rady Obrony ledwie zdążyło wstać. Twarze mieli – zgodnie z oficjalnym wizerunkiem polityka sowieckiego – ponure i zacięte.

Sekretarz generalny zajął honorowe miejsce przy stole i skinieniem głowy dał znak kolegom, żeby usiedli.

Ostatni raz ścisłe prezydium Rady Obrony zostało zwołane z godzinnym wyprzedzeniem na życzenie Chruszczowa, który zabiegał o poparcie dla sprawy kubańskiej. Breżniew nigdy nie zapomniał chwili, kiedy jego poprzednik, zmuszony do wycofania okrętów, wybuchnął płaczem. Od tej pory Breżniew wiedział, że zajęcie przez niego miejsca Chruszczowa jako przywódcy świata komunistycznego jest tylko kwestią czasu. Z tej okazji nie zamierzał jednak płakać.

Po jego prawej ręce siedział minister obrony, marszałek Malinowski, po lewej młody minister spraw zagranicznych, Andriej Gromyko, koło Gromyki zajmował miejsce szef Sztabu Generalnego, marszałek Zacharow, a na lewo od niego Zaborski. Nawet samo rozmieszczenie uczestników przy stole świadczyło wymownie o tym, jak bardzo Breżniew jest niezadowolony z szefa KGB.

Sekretarz generalny podniósł wzrok na wielki obraz olejny, który przedstawiał Lenina przyjmującego defiladę wojskową na placu Czerwonym. Odkąd w roku 1950 obraz ten zniknął z Galerii Tretiakowskiej, nie widział go nikt oprócz członków Biura Politycznego.

Gdyby tylko Lenin zdawał sobie sprawę z tego, że ikona jest falsyfikatem, pomyślał Breżniew. Mimo jednak typowo rosyjskiego zwyczaju zwa-

lania winy na zmarłych wiedział, że Włodzimierz Iljicz Lenin jest poza wszelką krytyką. Musi znaleźć kozła ofiarnego wśród żywych…

Jego wzrok spoczął na Zaborskim.

– Wasz raport, towarzyszu przewodniczący.

Zaborski zaczął przeglądać zawartość leżącej przed nim teczki, chociaż znał ją niemal na pamięć.

– Plan zlokalizowania carskiej ikony został przeprowadzony w sposób wzorowy – zaczął. – Po schwytaniu i później… podczas przesłuchania… – wszyscy zrozumieli eufemizm – przez towarzysza doktora Stawińskiego w zaciszu naszej ambasady w Paryżu Anglik nie udzielił żadnej wskazówki co do tego, gdzie należałoby szukać ikony. Nie ulega wątpliwości, że to zawodowy agent Zachodu. Kiedy po trzech godzinach przesłuchanie zostało na chwilę zawieszone, zdołał zbiec.

– Zdołał – powtórzył Breżniew.

Zgodnie z zasadami, jakie od lat wpajał podwładnym, szef KGB nie odezwał się słowem.

– Czy zdajecie sobie sprawę – podjął sekretarz generalny – że mieliśmy w zasięgu ręki dokładnie te tereny, na których Amerykanie zainstalowali swój system wczesnego ostrzegania, a które moglibyśmy przekształcić w bazę dla naszych rakiet krótkiego zasięgu? Gdybyśmy odzyskali ikonę, moglibyśmy rozmieścić te rakiety wzdłuż granicy, niecałe tysiąc osiemset kilometrów od Seattle, a dwa tysiące kilometrów od Chicago. W ten sposób nie tylko amerykański system wczesnego ostrzegania stałby się bezużyteczny, ale także znacznie zwiększyłyby się nasze możliwości wykrywania wszelkich nieprzyjacielskich rakiet z odległości nawet tysięcy kilometrów od naszej najbliższej granicy.

Breżniew przerwał, żeby sprawdzić, czy szef KGB ma coś na swoje usprawiedliwienie, ale Zaborski siedział ze wzrokiem wbitym w stół.

– I dla osiągnięcia tego celu nie musielibyśmy poświęcić ani jednego człowieka, ani jednej rakiety, czołgu czy nawet naboju – Breżniew mówił teraz niemal szeptem – ponieważ wszystko to prawnie nam się należało. Ale jeżeli w ciągu najbliższych trzydziestu sześciu godzin nie odnajdziemy carskiej ikony, szansę tę stracimy bezpowrotnie. Bezpowrotnie stracimy okazję zmazania z amerykańskiej flagi jednej gwiazdki.

Minister spraw zagranicznych Gromyko upewnił się, że Breżniew skończył, po czym zabrał głos:

– Jeśli wolno spytać, towarzyszu przewodniczący: Dlaczego pozwolono majorowi Romanowowi kontynuować tę w najwyższym stopniu tajną operację, skoro jest podejrzany o zabicie – spojrzał w leżące przed nim papiery – dokumentalistki Pietrowej?

– Ponieważ kiedy zwrócono na to moją uwagę – odparł Zaborski, podnosząc wreszcie wzrok – pozostało tylko siedem dni do jutrzejszego ostatecznego terminu i według mnie nie było absolutnie nikogo, kto by w tak krótkim czasie mógł go zastąpić.

Rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi. Na twarzach zebranych odmalowało się zdumienie. Minister obrony polecił specjalnie, żeby im nikt nie przeszkadzał.

– Wejść! – zawołał Breżniew.

Potężne drzwi uchyliły się i do gabinetu zajrzał sekretarz. W drżącej dłoni, która zdradzała jego zdenerwowanie, trzymał kartkę. Breżniew nie odwrócił się nawet, żeby zobaczyć, kto przyszedł, więc minister obrony skinieniem przyzwał sekretarza, ten zaś szybkim krokiem podszedł do stołu, położył na nim teleks i niemal wybiegł z pokoju.

Breżniew powoli założył okulary w szylkretowej oprawie, po czym wziął teleks do ręki. Po zapoznaniu się z jego treścią spojrzał po wyczekujących twarzach.

– Wygląda na to, że jakiś Anglik zostawił w Luwrze ikonę i dziś rano ją stamtąd zabrał.

Krew odpłynęła Zaborskiemu z twarzy.

Czterej ministrowie zaczęli mówić jednocześnie, dopóki Breżniew nie uniósł swojej potężnej dłoni, nakazując ciszę.

– Zamierzam dalej działać tak, jakbyśmy to jednak my mieli pierwsi dostać Anglika w swoje ręce. – Zwrócił się do ministra spraw zagranicznych: – Polećcie wszystkim naszym ambasadorom w krajach Zachodu, żeby powiadomili ministrów spraw zagranicznych tych krajów o skutkach prawnych uznania poprawki do tego traktatu. Następnie każcie Dobryninowi w Waszyngtonie zażądać oficjalnego spotkania z sekretarzem stanu w poniedziałek wieczorem. Trzeba też doprowadzić do spotkania naszego ambasadora przy Organizacji Narodów Zjednoczonych z U Thantem.

Gromyko skinął głową, a Breżniew zwrócił się do szefa Sztabu Generalnego:

– Dopilnujcie, żeby nasze siły strategiczne we wszystkich okręgach zostały postawione w stan gotowości, tak by się to zbiegło z ogłoszeniem naszej inicjatywy dyplomatycznej.

Malinowski uśmiechnął się. Sekretarz generalny zwrócił się wreszcie do szefa KGB:

– Czy w dalszym ciągu mamy zarezerwowane we wszystkich poważniejszych gazetach na Zachodzie miejsce na ogłoszenia?

– Tak, towarzyszu sekretarzu generalny – odparł Zaborski. – Ale nie jestem pewien, czy zechcą wydrukować oświadczenie w tej formie, w jakiej je przygotowaliście.

– To zapłaćcie im z góry – powiedział Breżniew. – Niewielu zachodnich wydawców zdecyduje się wycofać całostronicowe ogłoszenie, mając pieniądze w banku.

– Ale jeżeli nie znajdziemy jednak tej ikony… – zaczął Zaborski.

– …to waszym ostatnim zadaniem jako przewodniczącego Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego będzie wycofanie wszystkich tych ogłoszeń – powiedział sekretarz generalny KPZR.

XXIII

Adam opuścił szybę i natychmiast do samochodu wdarło się ciepłe letnie powietrze. Zamiast głównej drogi do Calais wybrał N1 do Boulogne. W dalszym ciągu brał pod uwagę możliwość, że ludzie Romanowa są we wszystkich portach nad kanałem, chociaż wątpił, czy Lawrence albo Amerykanie wiedzą o jego ucieczce.

Kiedy już się wydostał z przedmieść Paryża, był spokojny, że przez resztę drogi będzie mógł jechać średnio siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Nie przewidział jednak, że wpadnie w peleton setki czy więcej kolarzy, którzy w swoich koszulkach w czerwone, zielone, błękitne, czarne i złote paski pojawią się przed nim na szosie. Wyprzedzając ich w końcu, ocenił, że jadą ze średnią prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Podążając za angielską ekipą mającą startować w mistrzostwach świata w Wielkiej Brytanii, odróżniał też barwy narodowe Francji, Niemiec, Włoch i nawet Portugalii. Zatrąbił głośno, mijając dość blisko czołówki grupkę czterech kolarzy ubranych w czerwono-biało-niebieskie koszulki, z jadącym przed nimi brytyjskim wozem technicznym. Chwilę później wyprzedził czołówkę i wrzucił czwarty bieg.

Włączył radio i poszukał na skali wiadomości krajowych BBC. Po raz pierwszy od dłuższego czasu mógł posłuchać wiadomości po angielsku. Wysłuchawszy doniesień o długotrwałych strajkach i wysokiej inflacji, poczuł się jak w domu, a potem nagle o mało nie zjechał z drogi i nie wylądował na drzewie.

Rzeczowym tonem spiker informował, że na polu w pobliżu drogi Auxerre–Dijon znaleziono zwłoki młodego pilota RAF-u, którego samolot rozbił się w tajemniczych okolicznościach. Jak do tej pory dalsze szczegóły nie są znane. Na myśl o tym, że Alan Banks stał się kolejną ofiarą Romanowa, Adam zaklął i walnął pięścią w kierownicę. Dotknął ikony i zaklął ponownie.

– Młody człowieku, nawiązywanie ze mną kontaktu nie było mądrym pomysłem – powiedział stary bankier. – Akurat w tym momencie nie jesteś Bohaterem Związku Radzieckiego.

– I nie muszę nim być, ponieważ niewykluczone, że już nigdy do Związku Radzieckiego nie wrócę.

– Ostrzegam cię: matuszka Rosja ma bardzo długie ręce.

– Ale dzięki dalekowzroczności mojego dziadka stać mnie na to, żeby je odrąbać – powiedział Romanow, dotykając złotego medalionu, który nosił pod koszulą. – Muszę się po prostu upewnić, że ich nie zawiadomicie, gdzie trzymam siekierę.

– A dlaczegóż to miałbym ich nie zawiadamiać? – zapytał Poskonow.

– Bo jeżeli w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin nie znajdę świętego Jerzego, to zadzwonię ponownie i wymienię sumę w złocie, która będzie dowodem wdzięczności znacznie przewyższającym gest waszych obecnych mocodawców.

Bankier wstrzymał się od komentarza.

Sekretarka ambasadora wpadła do pokoju bez pukania.

– Mówiłem przecież, żeby mi nie przeszkadzać! – ryknął Romanow, zasłaniając ręką słuchawkę.

– Ale namierzyliśmy Scotta.

Romanow rzucił słuchawkę. W Moskwie Poskonow cofnął taśmę. Po raz drugi z uśmiechem wysłuchał słów Romanowa. Major nie zostawił mu wyboru – bankier zabukował lot do Genewy.

– Robin?

– Batman. Dokąd dotarłeś?

– Jestem poza Paryżem, w drodze do domu – powiedział Adam. – Trzymasz się harmonogramu, o którym mi mówiłaś w autokarze?

– Jasne, że się trzymam. Dalej tak ci rozpaczliwie zależy na spędzeniu nocy ze mną?

– Jasne, że mi zależy – zapewnił ją Adam. – Ale kiedy spodziewasz się być w domu?

– Orkiestra wsiada na prom w Dunkierce dziś wieczorem o wpół do siódmej. Możesz się do nas przyłączyć?

– Nie, muszę wracać inną drogą. Ale, Robin, mam do ciebie prośbę: przenocuj mnie, jak wrócę do Londynu, dobrze?

– Propozycja nie do odrzucenia, co? – Robin wolno powtórzyła swój adres, aby mieć pewność, że zdążył zapisać. – Kiedy mam cię oczekiwać? – spytała.

– Dziś około północy.

– Zawsze zawiadamiasz dziewczyny z takim wyprzedzeniem?

Stojący w sąsiedniej kabinie młody oficer KGB słyszał prawie całą rozmowę. Uśmiechnął się na wspomnienie słów Romanowa: „Człowiek, który mi przyniesie carską ikonę, nie musi się martwić o swoją przyszłość w KGB”.

Adam wskoczył z powrotem do samochodu. Jechał tak długo, aż dotarł do przedmieść Beauvais, gdzie zdecydował się zatrzymać i w przydrożnej *routier* zjeść szybki lunch.

Zgodnie z rozkładem rejsów, jaki wziął z kontuaru w wypożyczalni samochodów Hertza, prom, na który chciał się dostać, odpływał z Boulogne o trzeciej, był więc spokojny, że ma jeszcze godzinną rezerwę.

Siedział ukryty we wnęce przy oknie nad tym, co w angielskim pubie nazwano by wiejskim lunchem. Z każdym kolejnym kęsem utwierdzał się w przekonaniu, że francuscy wieśniacy stawiają swoim restauratorom znacznie wyższe wymagania, niż to robią przeciętni angielscy robotnicy rolni.

Czekając na kawę, wyjął z wewnętrznej kieszeni dokumenty Alberta Tomkinsa i zaczął im się dokładnie przyglądać. Usiłował ustalić, ile tygodni Tomkins pobierał zasiłek dla bezrobotnych.

Przez okno gospody zobaczył czołówkę kolarzy, która właśnie przejeżdżała. Widać było naprężone mięśnie sportowców, którzy usiłowali do tej czołówki dobić. Patrząc, jak przejeżdżają przez Beauvais, z rozbawieniem stwierdził, że wszyscy przekraczają dozwoloną szybkość. Widok rywalizujących ze sobą zawodników przypomniał mu, że nazajutrz po południu ma się zgłosić na ostatnie badanie lekarskie w związku ze staraniami o pracę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Romanow po raz drugi przeczytał rozszyfrowaną wiadomość. „Scott wraca do Genewy. Sprawdzić Niemkę i bank”. Spojrzał na starszego funkcjonariusza KGB, który wręczył mu notatkę.

– Czy Mentor uważa, że jestem aż tak naiwny? – zapytał swego paryskiego kolegę. – Od naszego agenta w Amsterdamie wiemy już, że jest w drodze na francuskie wybrzeże.

– A dlaczego Mentor miałby was posyłać w przeciwnym kierunku?

– Bo to właśnie on musi nadawać Amerykanom – odparł chłodno Romanow i zwrócił się do stojącego obok pułkownika. – Wiemy, że nie może to być Dunkierka. Co nam w tej sytuacji pozostaje?

– Cherbourg, Hawr, Dieppe, Boulogne i Calais – odparł pułkownik, patrząc na rozpostartą na stole mapę. – Ja stawiam na Calais – dodał.

– Niestety – rzekł Romanow – kapitan Scott nie jest aż tak głupi. Autostrada prowadzi prosto do Calais, więc się na pewno spodziewa, że ta część trasy będzie dobrze przez nas obstawiona. Sądzę, że nasz przyjaciel spróbuje raczej Boulogne albo Dieppe. – Sprawdził rozkład promów, który dostarczył mu drugi sekretarz. – Pierwszy prom, na jaki mógłby się zabrać, wypływa z Boulogne do Dover o trzeciej, a z Dieppe do Newhaven o piątej. – Romanow sprawdził także Calais i Hawr. – Dobrze. Z Calais prom odpłynął o dwunastej, a skoro Scott dzwonił do dziewczyny po dwunastej, nie mógł liczyć, że na niego zdąży. Z Hawru z kolei prom odpływa dopiero o siódmej piętnaście wieczorem. Nasz przyjaciel z pewnością nie ryzykowałby tak późnej pory. Przyjmując, pułkowniku, że w wyścigu do wybrzeża będziemy szybsi, myślę, że raz jeszcze mamy kapitana Scotta w zasięgu ręki.

W ciągu kilku minut od wyjścia z *relais routier* Adam zaczął doganiać rozciągnięty peleton kolarzy pedałujących w stronę Abbeville. Myślami wrócił do Romanowa. Podejrzewał, że lotniska, dworce kolejowe, drogi i porty są mocno obsadzone przez jego ludzi. Ale przecież nawet KGB nie może być w pięćdziesięciu miejscach naraz.

Z Abbeville wybrał drogę na Boulogne, ale żeby uniknąć kolarzy, trzymał się środkowego pasa. Raz musiał nawet z całej siły nacisnąć pedał hamulca, kiedy Włoch i Anglik wpadli na siebie tuż przed jego maską. Sportowcy, obaj jadący ze znaczną szybkością, wylądowali na asfalcie, a Brytyjczyk podejrzanie długo leżał bez ruchu na poboczu.

Adam miał nawet wyrzuty sumienia, że nie pomaga rodakowi w biedzie, ale obawiał się, iż każda zwłoka może go kosztować spóźnienie na prom. W pewnym momencie dostrzegł przed sobą wóz drużyny brytyjskiej i przy-

śpieszył, a kiedy się z nim zrównał, pomachał do kierowcy, żeby się zatrzymał.

Mężczyzna robił wrażenie zdziwionego, ale zahamował i odkręcił szybę. Adam zatrzymał się przed nim i wyskoczył z samochodu.

– Jeden z waszych zawodników miał wypadek jakiś kilometr stąd – powiedział, wskazując w stronę Paryża.

– Dzięki – odparł kierowca, natychmiast zawracając.

Adam jechał dalej w umiarkowanym tempie, dopóki nie minął czołówki. Dopiero wtedy ponownie wcisnął gaz do deski. Drogowskaz poinformował go, że do Boulogne pozostały jeszcze tylko trzydzieści dwa kilometry. Spokojnie zdąży na prom o trzeciej. Zaczął sobie wyobrażać, jak to będzie… jeżeli naturalnie przeżyje poniedziałek. Czy jego życie kiedykolwiek wróci do normy? Jogging w parku, rozmowy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, treningi z instruktorem – a to wszystko z uwzględnieniem roli, jaką odegrał w dostarczeniu ikony w bezpieczne ręce. Problem polegał na tym, że jeszcze nie wiedział, czyje ręce są bezpieczne.

Nagle przemknął nad nim helikopter przypominający zieloną żabę. To był idealny sposób dostania się do Anglii. Mając do dyspozycji śmigłowiec, mógłby nawet zdążyć na Harley Street na swoje badanie lekarskie. Maszyna zatoczyła koło i znowu do niego wróciła. Adam uznał, że gdzieś w pobliżu musi być lotnisko wojskowe, ale z czasów, gdy służył w wojsku, niczego takiego nie mógł sobie przypomnieć. Chwilę później usłyszał furkot łopat śmigła, kiedy helikopter przeciął mu drogę, lecąc bardzo nisko. Uchwycił kierownicę tak mocno, że aż mu zbielały kłykcie – przyszła mu do głowy nieprawdopodobna myśl. Helikopter zawrócił, tym razem lecąc prosto na niego.

Zakręcił szybę i przygarbiwszy się nad kierownicą, gapił się w górę. W kabinie śmigłowca widział teraz trzy sylwetki. Ze złością walnął pięścią w kierownicę; jakże łatwo mogli wytropić samochód wynajęty na nazwisko, które przecież musieli natychmiast rozpoznać. Nad sobą niemal wyczuwał pełen triumfu uśmiech Romanowa.

Na widok majaczącego przed nim drogowskazu skręcił z głównej drogi w stronę wioski Fleureville. Strzałka szybkościomierza znacznie przekroczyła dziewięćdziesiąt i niewielki samochód podskakiwał jak szalony na wiejskiej drodze. Helikopter również skręcił w prawo, podążając za nim jak pies.

Adam gwałtownie skręcił w lewo, z trudem unikając zderzenia z traktorem, który właśnie wyjeżdżał ze świeżo zaoranego pola. Kolejny skręt w prawo i znów znalazł się na drodze do Boulogne, rozpaczliwie obmyślając swoje następne posunięcie. Za każdym razem, kiedy spoglądał w górę, widział nad sobą helikopter. Czuł się jak marionetka tańcząca na końcu sznurka trzymanego przez Romanowa. Mignął mu znak informujący o niskim tunelu, ale szybko porzucił naiwny pomysł spowodowania kraksy.

Kiedy zobaczył tunel, ocenił jego długość na jakieś sześćdziesiąt do siedemdziesięciu metrów i chociaż tunel wydawał się dosyć szeroki, na wysokość nie pomieściłby piętrowego autobusu.

Przez chwilę czuł się naprawdę bezpieczny. Nacisnął pedał hamulca i zatrzymał się gwałtownie jakieś trzydzieści metrów przed końcem tunelu. Samochód mało nie otarł się o ścianę. Zapalił światła awaryjne, które jasno zabłysły w ciemności. Przez kilka sekund obserwował, jak nadjeżdżające samochody zwalniają, by go w końcu bezpiecznie wyminąć.

Wyskoczył z samochodu, pobiegł do wylotu tunelu i tam przylgnął do ściany. Helikopter leciał jeszcze jakiś czas, ale po chwili zawrócił, kierując się prosto do tunelu. Adam patrzył, jak przelatuje mu nad głową, a następnie usłyszał, jak znowu zawraca. Czekając, zauważył po drugiej stronie tunelu dwóch autostopowiczów pogrążonych w ożywionej rozmowie i zupełnie nieświadomych jego trudnego położenia. Spojrzał z rozpaczą na młodych ludzi i zawołał:

– Hej, panowie, czekacie na autostop?

– Tak! – odkrzyknęli unisono.

Adam pokuśtykał na drugą stronę drogi.

– Czy coś panu dolega? – spytał jeden z chłopaków, ale Adam nawet nie umiałby powiedzieć który, ponieważ wzrok nie przyzwyczaił mu się jeszcze do ciemności.

– Owszem – odpowiedział po prostu. – Podczas lunchu wypiłem za dużo wina, a ponieważ jest wyścig kolarski, na drogach roi się od policji. Boję się, że mnie złapią. Czy któryś z was nie mógłby poprowadzić?

– Ja mam tylko kanadyjskie prawo jazdy – rzekł wyższy z chłopaków. – A zresztą my jedziemy do Paryża, a pański samochód jest ustawiony w odwrotnym kierunku.

– To samochód z wypożyczalni Hertza – wyjaśnił Adam. – Wynająłem go dziś rano na rue St Ferdinand i muszę go do siódmej zwrócić. Nie sądzę,

żebym w moim obecnym stanie dał radę.

Młodzi ludzie popatrzyli na niego niepewnie.

– Dostaniecie po sto franków, jeżeli mi bezpiecznie odprowadzicie samochód na miejsce. Nie mogę ryzykować utraty prawa jazdy, jestem komiwojażerem. – Żaden z młodych nie odezwał się słowem. – Moje dokumenty są w porządku, zapewniam was. – Wręczył papiery wyższemu chłopakowi, ten zaś przeszedł na drugą stronę drogi, żeby w świetle reflektorów samochodu obejrzeć prawo jazdy i ubezpieczenie Alberta Tomkinsa, po czym zaczął się naradzać z przyjacielem.

Adam słyszał furkot śmigieł unoszącego się nad wejściem do tunelu helikoptera.

– Nie potrzebujemy stu franków – powiedział w końcu chłopak. – Potrzebne nam jest tylko pana wyjaśnienie na piśmie, dlaczego to my w pańskim imieniu zwracamy samochód u Hertza w Paryżu.

Adam wyjął pióro pułkownika, pochylił się nad maską samochodu i na odwrocie umowy z Hertzem napisał, o co go poproszono.

– Wraca pan z nami do Paryża?

Zawahał się na ułamek sekundy. Czyżby nie słyszeli tego hałasu?

– Nie. Muszę się dostać do Boulogne.

– Zdążymy pana zawieźć do Boulogne i odstawić samochód na czas.

– Nie, nie, to bardzo miło z waszej strony, ale ja sobie świetnie poradzę, jeśli tylko będę spokojny, że jak najszybciej oddacie samochód.

Wyższy chłopak wzruszył ramionami, jego towarzysz zaś otworzył drzwi citroena i wrzucił plecaki na tylne siedzenie. Adam pozostał jeszcze w tunelu, kiedy uruchamiali silnik. Warkot helikoptera zmienił tonację – maszyna najwyraźniej schodziła do lądowania na pobliskim polu.

„No, jedźcie, na miłość boską!” – miał ochotę wykrzyknąć Adam, ale nagle samochód wyrwał do przodu. Patrzył, jak po przejechaniu około stu metrów zawraca przy wjeździe na farmę i zbliża się do tunelu. Chłopcy zatrąbili jeszcze na pożegnanie, znikając w ciemności. Adam z ulgą opadł na kolana. Właśnie miał wstać i ruszyć w kierunku Boulogne, kiedy w wylocie tunelu na tle czystego błękitu nieba zobaczył sylwetki dwóch wysokich, szczupłych mężczyzn. Stali wpatrzeni w tunel. Adam nawet nie drgnął, prosząc Boga, żeby go tylko nie zauważyli.

I wtedy nagle jeden z mężczyzn zaczął ku niemu iść. Adam wiedział, że tym razem już nie ucieknie. Klęczał, przeklinając własną głupotę. W ciągu

kilku sekund muszą go zobaczyć.

– Nie traćmy już więcej cennego czasu, Marvin. Wiemy, że sukinsyn jest w drodze powrotnej do Paryża.

– Ale pomyślałem, że może… – zaczął mężczyzna nazwany Marvinem; mówił z południowym akcentem.

– Myślenie zostaw mnie. Wracajmy do śmigłowca, zanim stracimy Scotta na dobre.

Kiedy Marvin znalazł się w odległości jakichś dwudziestu metrów od Adama, zatrzymał się nagle, odwrócił i zaczął biec z powrotem. Przez kilka minut Adam tkwił w miejscu jak wrośnięty w ziemię. W momencie gdy się zorientował, że jego ostatni prześladowca to nie Romanow, oblał go zimny, lepki pot. Gdyby nie to, że jeden z mężczyzn nazwał go sukinsynem, chętnie by się oddał w ich ręce. Nagle poraziła go bolesna świadomość różnicy pomiędzy faktem a fikcją: został bez przyjaciół.

Nie poruszył się, dopóki nie usłyszał warkotu helikoptera. Wyjrzał wtedy i w otworze tunelu zobaczył, jak Amerykanie odlatują w kierunku Paryża. Wygramolił się z tunelu i ręką osłonił oczy. Słońce wydało mu się znacznie ostrzejsze niż kilka minut wcześniej. Co dalej? – zastanawiał się. Do odpłynięcia promu została niecała godzina, ale jak miał się tam dostać, skoro stracił środek lokomocji. Nie wiedział, czy szukać przystanku autobusowego, czy też jak najbardziej oddalić się od głównej drogi. Jego wzrok nieustannie błądził po niebie. Ciekawe, ile czasu upłynie, nim dogonią samochód i stwierdzą, że jego tam nie ma. W miarę jak lekkim truchtem posuwał się w stronę Boulogne, zaczęli go mijać rowerzyści. Nie ustawał w biegu i nawet ładnie się znalazł, pozdrawiając zawodników brytyjskich. Tuż za nimi sunął ich wóz techniczny i Adam uniósł kciuk. Ku jego zdumieniu samochód zatrzymał się tuż przed nim. Kierowca opuścił szybę.

– Czy to nie pan zatrzymał mnie wtedy w Abbeville?

– Tak, to ja – odparł Adam. – Jak tam wasz zawodnik, już w porządku?

– Nie, odpoczywa z tyłu, naciągnął sobie ścięgno. A co się stało z pańskim samochodem?

– Nawalił mi jakiś kilometr temu – wyjaśnił Adam, filozoficznie wzruszając ramionami.

– A to pech. Może pana podwieźć? – zapytał mężczyzna. – Nasz etap kończy się w Boulogne, ale może chociaż ten kawałek pana urządza?

– Dzięki serdeczne – rzekł Adam z ulgą. – Chętnie skorzystam.

Kierowca nachylił się i otworzył mu drzwi.

Nim wsiadł do samochodu, osłonił ręką oczy i raz jeszcze spojrzał w niebo. Helikoptera nigdzie nie było widać, ale Adam wiedział, że niedługo wróci. Szybko się zorientują, że mogło być tylko jedno miejsce, w którym dokonano zamiany.

– Mam na imię Bob – przedstawił się kierowca ubrany w barwy brytyjskie, wyciągając do Adama wolną rękę. – Jestem menedżerem drużyny.

– A ja Adam.

Serdecznie uścisnęli sobie ręce.

– Dokąd się wybierasz?

– Do Boulogne. Przy odrobinie szczęścia może jeszcze zdążę na statek o trzeciej.

– Powinniśmy być na miejscu mniej więcej o drugiej trzydzieści – zapewnił go Bob. – Musimy. Popołudniowy etap rozpoczyna się o trzeciej.

– Czy wasz zawodnik będzie mógł jechać? – zapytał Adam, wskazując za siebie.

– Nie, w tym wyścigu już nie. Naciągnięte ścięgno w nodze to murowane dwa tygodnie, zanim wróci do normy. Będę go musiał zostawić w Boulogne i sam zrobić za niego ostatni etap. A może ty przypadkiem jeździsz, co? – zapytał Bob.

– Nie – odparł Adam. – Trochę biegam, ale od kiedy moja siostra rozwaliła rodzinny trycykl, praktycznie nie siedziałem na rowerze.

– Mamy jeszcze szansę na brąz – powiedział Bob, kiedy kolejny raz wyprzedzali brytyjskich zawodników.

Adam pozdrowił ich uniesieniem kciuków, po czym obejrzał się przez ramię do tyłu. Kiedy wjeżdżali na przedmieścia Boulogne, w dalszym ciągu nie było śladu helikoptera. Bob zawiózł go do samego portu.

– Mam nadzieję, że zdobędziecie ten brąz – powiedział Adam, wyskakując z samochodu. – I jeszcze raz dzięki. Życzę szczęścia na ostatnim etapie.

Spojrzał na zegarek: za dwadzieścia minut odpływał prom. Zastanawiał się, czy nie ma za dużo czasu. Podszedł do biura rezerwacji i odczekawszy w krótkiej kolejce, kupił bilet. Cały czas rozglądał się, czy go ktoś nie obserwuje, ale nikt nie zdradzał najmniejszego zainteresowania jego osobą. Z biletem w ręku skierował się w stronę statku i właśnie zaczął sobie bezdźwięcznie pogwizdywać *Yesterday*, kiedy w oddali ukazał się czarny punkt. Nie mogło być wątpliwości – wystarczył sam odgłos.

Adam patrzył to na trap wiodący na pokład statku odległego już tylko o kilka metrów, to na stale rosnący punkt na niebie. Znów spojrzał na zegarek: statek miał odbić za dwanaście minut. Jego prześladowcy mieli dość czasu, żeby wylądować i wejść na pokład. Jeżeli wsiądzie, a Amerykanie za nim, to muszą go znaleźć. Ale jeżeli Amerykanie wsiądą na statek, a on zostanie, to jeszcze zdąży na prom do Dieppe.

Szybko zawrócił i wmieszał się w tłum czekający na rozpoczęcie następnego etapu wyścigu kolarskiego. W tym momencie helikopter zatoczył łuk nad jego głową i zawisł w powietrzu niby myszołów wypatrujący ofiary.

– A mówiłeś, że koniecznie musisz zdążyć na ten statek. – Adam, zaciskając pięść, odwrócił się i… stanął oko w oko z menedżerem drużyny brytyjskiej, teraz ubranym już w strój kolarski.

– Rozmyśliłem się.

– A może byś nam poprowadził wóz w czasie tego etapu, co? – zapytał z nadzieją Bob.

– A dokąd jest ten etap?

– Do Dunkierki.

Adam usiłował sobie przypomnieć, o której miał odpłynąć z Dunkierki statek Robin.

– *Six minutes* – oznajmił głos z głośnika.

– Okay.

– Wspaniale – ucieszył się Bob. – To chodź ze mną.

– *Quatre minutes* – usłyszał wyraźnie Adam, kiedy Bob otwierał wóz i wręczał mu kluczyki. Spojrzał w stronę statku. Dwaj Amerykanie odchodzili właśnie od kasy.

– *Deux minutes.*

Wskoczył na miejsce kierowcy i obejrzał się na statek – Marvin wraz z kolegą wchodzili po trapie na pokład.

– *Une minute.*

– Doprowadź wóz do Dunkierki i zostaw kluczyki w brytyjskim punkcie granicznym. Znajdziemy cię tam po przyjeździe.

– Życzę wam szczęścia – powiedział Adam.

– Dziękuję – odparł Bob i ruszył na start, żeby dołączyć do kolegów z drużyny, którzy niespokojnie oczekiwali go, trzymając jego rower.

– *Trente secondes.*

Adam obserwował, jak trap idzie w górę i jak jednocześnie sędzia unosi pistolet startowy.

Rożek mgłowy statku zabuczał monotonnie i dwaj Amerykanie rozpoczęli swoją podróż do Dover. Sekundę później rozległ się strzał i Adam wrzucił dwójkę, wyruszając do Dunkierki.

XXIV

Adam siedział w małej portowej kawiarence, czekając na przyjazd autokaru. Wóz drużyny brytyjskiej zostawił w punkcie granicznym i właściwie mógł już wchodzić na statek, ale wolał zaczekać na Robin. Pozostało zaledwie dziesięć minut do odpłynięcia promu, kiedy nadjechał autokar i Adam powitał wysiadającą dziewczynę.

– Nie mogłeś beze mnie wytrzymać, co? – powiedziała na jego widok.

Adam wybuchnął śmiechem i otoczył ją ramionami.

– Cieszę się, że cię widzę.

– Myślałam, że wracasz do Anglii w jakiś bardzo tajemniczy sposób, na przykład w rakiecie szpiegowskiej albo jeszcze bardziej efektownie.

– Chciałem – rzekł Adam – ale kiedy już wsiadałem, okazało się, że za sterami siedzą Amerykanie.

– Amerykanie? – zdziwiła się Robin.

– Na statku ci wszystko wyjaśnię.

Żadne z nich nie zauważyło młodego agenta, który śledził Robin od samego Berlina. Tkwił w budce telefonicznej w drugim końcu nabrzeża, próbując uzyskać połączenie międzynarodowe.

– Jeszcze tydzień temu nie uwierzyłabym w ani jedno słowo – powiedziała Robin – gdyby nie dwie rzeczy.

– Mianowicie?

– Po pierwsze, wyższy urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych zwrócił Dudleyowi Hulme’owi w Amsterdamie jego paszport, co mi przypomina, że powinnam zwrócić tobie twój. – Przez chwilę grzebała w torbie, po czym wyjęła i wręczyła mu granatowy paszport.

– A po drugie? – spytał Adam, z wdzięcznością przyjmując paszport.

– Miałam wątpliwą przyjemność spotkania się twarzą w twarz z towarzyszem Romanowem i nie życzyłabym sobie doświadczyć jej ponownie.

– A ja bym sobie życzył.

– Po co? – spytała Robin.

– Bo zamierzam go zabić.

Romanow i Pollard zjawili się w Dover na kilka minut przed przybyciem promu. Czekali z niecierpliwością. Romanow ustawił się tak, żeby przez okno hali odpraw celnych widzieć, jak statek wpływa do portu. Znalazł sobie za automatem do kawy idealne miejsce, z którego, sam niewidziany, mógł obserwować wszystkich wchodzących i wychodzących.

– Na wypadek gdyby działał nietypowo – powiedział – i nie stał w normalnej kolejce, obstawcie wyjazd dla samochodów i dajcie mi znać, gdyby działo się coś niezwykłego.

Pułkownik zostawił Romanowa ukrytego za automatem do kawy, a sam zajął miejsce w odległości około pięćdziesięciu metrów od wyjazdu, skąd mógł śledzić samochody wjeżdżające do hali odpraw celnych. Gdyby Scott zjeżdżał z promu samochodem, Pollard miałby dość czasu, żeby uprzedzić Romanowa, zanim skończy się odprawa celna i delikwent dojedzie do bramy głównej. Tutaj z pewnością nie zaryzykuje ukrycia się w bagażniku. Mężczyźni czekali.

Kapitan nastawił radio pokładowe na kanał dziewiąty i powiedział wyraźnie do małego mikrofonu:

– MV *Chantilly* do kapitana portu Dover. Słyszycie mnie? – Kapitan odczekał chwilę, przesunął przełącznik i usłyszał w odpowiedzi:

– Kapitan portu do MV *Chantilly*. Słyszę cię dobrze. Odbiór.

– Tu mówi kapitan. Mamy wypadek. Jeden z pasażerów, mężczyzna, spadł z łodzi ratunkowej na pokład i doznał licznych obrażeń rąk i nóg. – Adam jęknął, kapitan zaś ciągnął: – Potrzebna będzie karetka pogotowia, żeby zabrać go do najbliższego szpitala, jak tylko przybijemy do brzegu. Odbiór.

– Przyjąłem i zrozumiałem, kapitanie. Karetka będzie czekała. Bez odbioru.

– Wszystko będzie w porządku, kochanie – powiedziała Robin łagodnym tonem, jakiego Adam dotąd u niej nie słyszał. – Jak tylko przybijemy do brzegu, tamci zobaczą, że cię zabierają prosto do szpitala.

– Muszę wracać na mostek – rzekł szorstko kapitan. – Przyślę dwóch stewardów z noszami po pani brata.

– Dziękuję, kapitanie. To bardzo uprzejmie z pana strony – powiedziała Robin.

– Nie ma za co. To pani brat, tak?

– Tak, panie kapitanie.

– Na przyszłość proszę mu zwrócić uwagę, żeby we własnym interesie mniej pił, jak wsiada na statek.

– Ja mu mówiłam – westchnęła Robin. – Nie uwierzy pan, ile razy, kapitanie, ale obawiam się, że on ma to po ojcu.

Adam złapał się za nogę i znów zaczął jęczeć.

– Hm – mruknął kapitan, oglądając ranę na jego ramieniu. – Miejmy nadzieję, że to nic poważnego. Życzę powodzenia – dodał.

– Jeszcze raz bardzo dziękuję, kapitanie – powiedziała Robin, czekając, aż drzwi kabiny się zamkną. – No, jak dotychczas wszystko w porządku. Jestem przekonana, że i druga część planu się powiedzie. Nawiasem mówiąc, rzeczywiście bardzo od ciebie jedzie alkoholem.

– A jak ma nie jechać, skoro kazałaś mi płukać usta whisky przez dwadzieścia minut, a potem wypluć to wszystko na ubranie?

Dwaj stewardzi delikatnie położyli Adama na noszach i wynieśli na pokład. Przy trapie zatrzymali się i ostrożnie postawili nosze, gdy tymczasem podbiegli do nich celnik i urzędnik z biura imigracyjnego. Robin podała paszport Adama. Urzędnik imigracyjny przerzucił kilka kartek i sprawdził zdjęcie.

– Podobieństwo jest – powiedziała Robin – ale obawiam się, że w następnym paszporcie trzeba to będzie uwzględnić w „znakach szczególnych”. – Dramatycznym gestem odwinęła koc i pokazała głęboką ranę na ramieniu Adama, który zrobił stosowną minę.

– Czy on ma ze sobą coś do oclenia? – zapytał celnik.

Adam nie mógł się powstrzymać przed dotknięciem ikony.

– Nie, nie pozwoliłabym mu kupić już ani jednej butelki alkoholu więcej podczas tej podróży. Jego rzeczy osobiste odprawię razem ze swoimi po zejściu ze statku.

– W porządku. Dziękuję. Lepiej niech pani dopilnuje, żeby się jak najszybciej znalazł w szpitalu – powiedział celnik, do którego nagle dotarło, że przy trapie czeka niespokojny tłum pasażerów.

Stewardzi znieśli Adama na nabrzeże. Zaraz też zjawił się lekarz, który obejrzał ranę. Adam pomachał Robin niemrawo, kiedy go wkładano do karetki.

Romanow zauważył ją, gdy przechodziła przez halę odpraw celnych.

– Już teraz wiem, jak kapitan Scott zamierza opuścić statek. Będziemy na niego czekali tam, gdzie się najmniej tego spodziewa. Idźcie i wynajmijcie samochód, którym pojedziemy do Londynu – warknął do pułkownika.

Karetka śmignęła przez bramę hali na światłach i na sygnale. W drodze do Royal Victoria Hospital lekarz z niedowierzaniem obserwował niewiarygodną poprawę stanu pacjenta. Zaczął podejrzewać, że kapitan przesadził, opisując skutki wypadku.

Romanow stał tymczasem przy bramie i z uśmiechem patrzył, jak autokar z muzykami wyłania się z czarnej czeluści statku i zajmuje miejsce w kolejce do odprawy celnej.

Przebiegając wzrokiem autokar tam i z powrotem, szybko wyłowił postać Robin Beresford. Tak jak przewidywał, koło jej miejsca stał oparty kontrabas w futerale, zasłaniając siedzącą obok osobę.

– Drugi raz ten numer nie przejdzie – mruknął w chwili, kiedy u jego boku pojawił się czerwony na twarzy pułkownik. – Gdzie samochód? – zapytał, nie spuszczając autokaru z oka.

– Zamówiłem warunkowo – odparł pułkownik. – Potrzebne jest pana międzynarodowe prawo jazdy. Zapomniałem, że moje jest u Scotta razem ze wszystkimi dokumentami.

– Zostańcie tu i pilnujcie, żeby nam się nie wymknął.

Romanow pobiegł do okienka Avisu w tym samym momencie, kiedy Adama wwożono na wózku do małego szpitalnego pomieszczenia, gdzie miał go zbadać lekarz dyżurny.

Młody doktor kilka minut pochylał się nad pacjentem. Nigdy do tej pory nie widział takiej rany. Zbadał Adama starannie i w milczeniu.

– Paskudnie poszarpane brzegi – powiedział na koniec, czyszcząc ranę. – Czy może pan ruszać ramieniem?

Adam zatoczył ręką pełne koło.

– Dobrze. Przynajmniej nie ma złamania. Muszę panu zajodynować ranę i to może trochę szczypać. – Oczyścił brzegi rany i zalepił plastrem. – Ale

to się nie stało dzisiaj, prawda? – zapytał, patrząc na podgojone już ramię pacjenta.

– Nie – odpowiedział Adam bez jakichkolwiek wyjaśnień.

– Musiał pan ostatnio mocno wojować. Dam panu zastrzyk przeciwtężcowy. – Adam zbladł jak ściana. – To ciekawe, jak wielu dorosłych mężczyzn boi się widoku strzykawki – powiedział lekarz. Adam jęknął. – No, nie było tak źle, prawda? – doktor, przemawiając pieszczotliwie, grubo bandażował mu ramię. – Czy ktoś pana odbierze?

– Tak, dziękuję bardzo. Czeka na mnie żona.

– Dobrze. To już może pan iść, ale zaraz po powrocie do domu proszę się zgłosić do swojego lekarza.

Romanow siedział na miejscu kierowcy, patrząc, jak autokar wyjeżdża po odprawie celnej. Trzymając się w pewnej odległości za nim, eskortował go aż do drogi A2 biegnącej w kierunku Londynu.

– Czy mamy ich przechwycić po drodze? – zapytał nerwowo Pollard.

– Nie tym razem – warknął Romanow bez żadnego wyjaśnienia. Aż do samej stolicy ani na chwilę nie spuścił autokaru z oka.

Po wyjściu ze szpitala Adam zatrzymał się, żeby sprawdzić, czy nikt go nie śledzi. Jedynymi ludźmi w zasięgu wzroku byli mężczyzna w granatowej budrysówce idący w przeciwnym kierunku i pielęgniarka, która go minęła, niespokojnie spoglądając na zegarek. Zadowolony, wziął taksówkę na dworzec kolejowy Dover Priory i kupił bilet do Londynu.

– O której odchodzi najbliższy pociąg? – zapytał.

– Powinien być za chwilę – powiedział konduktor, patrząc na zegarek. – Prom przypłynął jakieś czterdzieści minut temu, ale zawsze zejdzie trochę czasu, zanim wszyscy pasażerowie się odprawią.

Adam poszedł na peron, pilnie uważając, czy ktoś nie zachowuje się podejrzanie. Nie zauważył jednak ciemnowłosego mężczyzny w granatowej budrysówce, opartego o żaluzje kiosku W.H. Smitha i czytającego „Evening Standard”.

Zastanawiał się, czy Robin szczęśliwie wróciła do domu. Podjechał zatłoczony londyński pociąg z pasażerami z promu. Adam wysunął się z cienia i wskoczył do wagonu pełnego chłopaków, którzy najwyraźniej wracali do domu po jednodniowym wypadzie nad morze. Pomyślał, że chyba nikt oprócz niego nie będzie miał ochoty na takie towarzystwo. Zajął

jedyne wolne miejsce w głębi przedziału i siedząc cicho, choć nie w ciszy, wyglądał przez okno.

Aż do Canterbury nikt nie wszedł do przedziału, oprócz konduktora, który dyskretnie zignorował fakt, że jeden z młodzieńców dał mu do skasowania peronówkę. Tu, w tym przedziale, Adam czuł się dziwnie bezpieczny, nawet kiedy zauważył ciemnowłosego mężczyznę w granatowej budrysówce, który przechodząc korytarzem, zajrzał uważnie do środka.

Z zamyślenia wyrwała go głośna uwaga jednego z wyrostków, który dał się poznać jako przywódca bandy.

– Coś śmierdzi w tym przedziale – oznajmił chłopak, pociągając nosem.

– Zgadzam się z tobą, Terry – powiedział jego kumpel siedzący koło Adama i też zaczął pociągać nosem. – I to chyba całkiem blisko mnie.

Adam spojrzał na chłopaka, którego czarna skórzana kurtka była nabita małymi, błyszczącymi ćwiekami. Na plecach miał wypisane: *Heil Hitler*. Chłopak wstał i otworzył okno.

– Wpuszczę trochę świeżego powietrza – rzekł, siadając.

Po chwili węszyli już wszyscy czterej.

– Smród robi się coraz gorszy – doszedł do wniosku przywódca bandy.

– To pewnie ja tak śmierdzę – powiedział Adam.

Węszenie ustało i chłopcy z niedowierzaniem spojrzeli w kąt, natychmiast milknąc wobec zaczepnej postawy Adama.

– Nie miałem czasu wziąć prysznica po treningu judo – dodał, zanim którykolwiek z nich odzyskał rezon.

– A co, dobry jesteś w judo? – zagadnął chłopak siedzący najbliżej.

– Można wytrzymać.

– Jaki masz pas? – zapytał Terry wojowniczo. – No, powiedz. Pewnie czarny. Tak, wiedziałem, że czarny – dodał, chichocząc.

– Od ośmiu lat nie brałem udziału w zawodach – powiedział Adam mimochodem – ale ostatnio dostałem drugiego dana.

Na twarzach trzech chłopaków odmalował się lęk.

– Sam myślałem o tym, żeby trenować judo – podjął przywódca grupy, prostując ramię. – Jak długo trzeba ćwiczyć, żeby być dobrym?

– Trenowałem po trzy godziny dziennie przez blisko dwanaście lat, ale jeszcze ciągle nie jestem na olimpijskim poziomie – odpowiedział Adam, patrząc, jak ciemnowłosy mężczyzna w granatowej budrysówce znowu mija przedział. Tym razem spojrzał wprost na Adama, po czym szybko

poszedł dalej. – Oczywiście – podjął Scott – u kogoś, kto traktuje judo poważnie, najważniejsza jest odwaga. A tego nauczyć się nie da. Albo się to ma, albo nie.

– Ja tam mam odwagę – rzekł Terry wojowniczo. – Nie boję się niczego. Ani nikogo – dodał, patrząc wprost na Adama.

– To dobrze – powiedział Adam – bo jeszcze przed końcem tej podróży może ci się ona przydać.

– O co ci chodzi? – zapytał chłopak z napisem *Heil Hitler* na plecach. – Chcesz oberwać czy co?

– Nie – odparł Adam spokojnie. – Chodzi o to, że śledzi mnie prywatny detektyw, który chce mnie złapać na tym, że spędzam noc z żoną jego klienta.

Czterej młodzi ludzie po raz pierwszy od początku podróży w milczeniu popatrzyli na Adama z czymś w rodzaju respektu.

– A ty co, masz zamiar spędzić z nią noc?

Adam konspiracyjnie skinął głową.

– Dobra dupa, co? – powiedział Terry, chytrze łypiąc okiem.

– Niezła – odparł Adam. – Całkiem niezła.

– No to tylko nam pokaż tego typa, a już my go załatwimy na cacy. Będzie miał noc z głowy – powiedział przywódca bandy, popierając swoją ofertę nieprzyzwoitym gestem.

– Nie, no tego już byłoby za wiele – zaprotestował Adam. – Ale gdybyście go tak trochę przytrzymali, jak wysiądę na Waterloo East, tobym przynajmniej zdążył uprzedzić dziewczynę.

– Masz to, bracie, jak w banku – powiedział przywódca bandy. – Możesz być spokojny, że twój ciekawski przyjaciel zostanie dostarczony na Charing Cross elegancko związany jak przesyłka kolejowa.

Pozostali trzej chłopcy wybuchnęli śmiechem, a Adam doszedł do wniosku, że w ciągu zaledwie tygodnia Romanow zrobił z niego łgarza tej klasy, co świętej pamięci ojciec Robin.

– To ten – szepnął Adam, pokazując mężczyznę w granatowej budrysówce, który właśnie po raz trzeci mijał ich przedział. Chłopcy wyjrzeli na korytarz, ale zobaczyli już tylko jego plecy. – Pociąg będzie na Waterloo East za jedenaście minut – powiedział Adam, patrząc na zegarek. – Proponowałbym… jeżeli naturalnie w dalszym ciągu obstajecie przy swoim…

Czwórka nowych przyjaciół z zapałem nachyliła się do niego.

Kilka minut później Adam wymknął się z przedziału, zostawiając drzwi szeroko otwarte. Powoli ruszył w kierunku przeciwnym do tego, w którym podążał ostatnio mężczyzna w granatowej budrysówce. Kiedy dotarł do końca wagonu, stwierdził, że mężczyzna szybko idzie za nim. Mijając otwarte drzwi przedziału, uśmiechnął się i uniósł rękę, żeby zwrócić na siebie uwagę Adama, ale z wnętrza wysunęły się błyskawicznie dwa odziane w skórę ramiona i mężczyzna zniknął w przedziale ze stłumionym krzykiem. Drzwi zostały zamknięte, a zasłonki szybko zaciągnięto.

Pociąg wolno dojeżdżał do stacji Waterloo East.

Robin w napięciu czekała, aż autokar zatrzyma się przed siedzibą Królewskiej Orkiestry Filharmonicznej na Wigmore Street. Przez co najmniej ostatnie czterdzieści pięć kilometrów jechał za nimi ciemnozielony ford i odkąd Robin go zauważyła, nie miała odwagi ruszyć się z miejsca.

Wlokąc kontrabas do wyjścia, obejrzała się za siebie i zobaczyła forda z wygaszonymi światłami w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów za nimi. Obok samochodu na chodniku stał Romanow, który przypominał szykujące się do skoku zwierzę w klatce. Drugi mężczyzna, którego Robin nie poznała, siedział za kierownicą. Adam ostrzegł ją, żeby się pod żadnym pozorem nie oglądała, tylko szła prosto do siedziby orkiestry. Ona jednak nie mogła sobie odmówić przyjemności spojrzenia Romanowowi w twarz i potrząśnięcia głową. Romanow obojętnie patrzył przed siebie.

Kiedy ostatni muzyk opuścił autokar, Romanow i „pułkownik” mimo głośnych protestów kierowcy przeszukali dokładnie wnętrze pojazdu, łącznie z komorą bagażową. Robin obserwowała ich nerwowo z okna na piętrze. Widziała, jak wskakują do forda i odjeżdżają. Patrzyła za nimi tak długo, aż tylne światła samochodu znikły w ciemności.

Pułkownik skręcił z Wigmore w Baker Street i zatrzymał się naprzeciwko stacji metra. Romanow wyskoczył z samochodu, wszedł do budki telefonicznej i zaczął kartkować książkę telefoniczną od A do D. Znalazł tylko jedną Robin Beresford i adres zgadzał się z tym, co mu podał młody agent. Wykręcił numer i po dziesięciu sygnałach uśmiechnął się – mieszkała sama. Nie zdziwiło go to specjalnie.

– Co teraz? – zapytał Pollard, kiedy major wrócił do samochodu.

– Gdzie jest Argyle Crescent?

– Musi być gdzieś w kierunku Hampstead – odparł pułkownik. – Ale najpierw sprawdzę na planie. Co robimy?

– Zamiast czekać, aż panna Beresford wyjdzie, zaczekamy, aż wejdzie – odparł Romanow.

Robin wymknęła się z siedziby orkiestry tylnym wyjściem jakieś pół godziny później. Zygzakiem okrążyła Portman Square, a następnie najszybciej jak tylko mogła, podeszła do rogu. Cały czas powtarzała sobie, że Romanow nie wróci, ale nie mogła opanować drżenia. Zatrzymała taksówkę, która ku jej radości podjechała niemal natychmiast. Najpierw przyjrzała się kierowcy i zerknęła na tylne siedzenie samochodu, tak jak jej polecił Adam, a dopiero potem wsiadła.

Romanow przybył pod dom Robin chwilę po tym, jak zatrzymała taksówkę. Wisząca na bocznej ścianie lista lokatorów informowała, że panna Beresford mieszka na czwartym piętrze.

Drzwi wejściowe nie przedstawiały problemu dla pierwszego lepszego złodziejaszka w Moskwie i rzeczywiście, po chwili Romanow był w środku. Pułkownik dołączył do niego natychmiast i już razem cicho weszli na czwarte piętro.

Romanow otworzył zamek yale szybciej, niżby to zrobiła Robin własnym kluczem. Prędko zorientował się w rozkładzie mieszkania i upewnił, że nikogo w nim nie ma.

Pułkownik kręcił się niespokojnie.

– Nie denerwujcie się. Nie sądzę, żeby pani kazała nam długo czekać.

Pułkownik roześmiał się nerwowo.

Taksówka zatrzymała się przed wskazanym przez Robin domem. Dała taksiarzowi sowity napiwek i wyskoczyła szczęśliwa, że chwile strachu minęły i że znów może czuć się bezpieczna. Całe wieki nie była w domu. Marzyła teraz tylko o gorącej kąpieli i o tym, żeby się porządnie wyspać.

Adam wysiadł z pociągu na stacji Waterloo East parę minut po północy i z zadowoleniem stwierdził, że metro jeszcze chodzi. Wolał unikać dworca Charing Cross, nie wiedząc, która ze stron wyśle po niego komitet powitalny. Pokazał bilet tygodniowy do West Indian i zszedł na peron metra. Po chwili nadjechał pociąg.

Waterloo od miejsca jego przeznaczenia dzieliło kilka stacji, na których nawet o tak późnej porze pociąg stał dość długo. Kilku nocnych hulaków wsiadło na Embankment, kilku następnych na Leicester Square. Adam czekał nerwowo na każdej stacji, teraz już pewien, że musiał złapać ostatni pociąg. Miał nadzieję, że Robin dokładnie stosowała się do jego zaleceń. Rozejrzał się po wagonie. Pełno w nim było pasażerów typowych dla tej pory: kelnerów, pielęgniarek, uczestników zabaw, pijaków. Był nawet inspektor ruchu.

Wreszcie czterdzieści minut po północy pociąg wjechał na właściwą stację.

Konduktor udzielił mu na szczęście niezbędnych wyjaśnień. Adam przyjął to z ulgą; o tej porze nie było już nikogo, kogo mógłby zapytać o drogę. Wolno ruszył w stronę numeru 23. W domu nie paliły się światła. Otworzył furtkę i poszedł prosto ścieżką, wyjmując po drodze z kieszeni pęk kluczy. Ostrożnie otworzył drzwi, a następnie bezszelestnie je za sobą zamknął.

Wkrótce po dwunastej na dworzec Charing Cross wjechał ostatni pociąg z Dover. Ponieważ nigdzie nie było widać Adama, Lawrence polecił kierowcy zawieźć się na Cheyne Walk. Nie mógł zrozumieć, dlaczego agent, którego tak starannie wybrał, do tej pory się nie zameldował. Wchodząc do domu, Lawrence miał nadzieję, że już tam zastanie Adama.

XXV

Pchnął furtkę i powoli, w kompletnych ciemnościach ruszył ścieżką. Dotarłszy do rogu domu, odszukał trzeci kamień od lewej, pod którym zawsze zostawiał zapasowy klucz. Odsunął kamień, a następnie zaczął macać palcami dokoła. Ku swojej uldze stwierdził, że klucz jest na miejscu. Jak włamywacz, cicho wsunął go w zamek.

Wśliznął się do przedpokoju, zamknął za sobą drzwi, zapalił światło i wszedł po schodach na górę. Zgasił światło na dole i przekręcił gałkę drzwi swojej sypialni.

Kiedy wszedł do pokoju, czyjeś ramię owinęło się wokół jego szyi jak lasso i z ogromną siłą rzuciło o podłogę. Poczuł kolano ugniatające mu kręgosłup, po czym wykręcono mu rękę w półnelsonie. Leżał płasko na brzuchu, nie mogąc się ruszyć i ledwie oddychając. Zapaliło się światło i oczom Adama ukazał się pułkownik.

– Niech pan mnie nie zabija, kapitanie Scott – błagał.

– Nie mam takiego zamiaru, panie Tomkins – powiedział Adam spokojnie. – Ale, przede wszystkim, gdzie jest w tej chwili pański szanowny mocodawca?

Adam mocno przyciskał kolanem kręgosłup pułkownika mniej więcej w połowie, musiał jednak jeszcze poderwać mu nieco ramię do góry, zanim to z niego wydusił.

– Jak się zorientował, że dziewczyna nie wraca do domu, pojechał do ambasady.

– To tak, jak zaplanowałem – powiedział Adam, nie zmniejszając nacisku na ramię pułkownika i jednocześnie w żywych barwach odmalowując to, czego po nim oczekuje.

Na twarzy mężczyzny pojawił się wyraz niedowierzania.

– Ależ to będzie niemożliwe. To znaczy, on musi zawia… Aaaach!

Pułkownik boleśnie czuł, jak jego ramię coraz bardziej wygina się w górę.

– Mógłby pan całą operację przeprowadzić w niespełna dziesięć minut i on nie musiałby o niczym wiedzieć – powiedział Adam. – Uważam jednak, że powinien pan być za swoje wysiłki wynagrodzony.

– Dziękuję – rzekł przymilnie pułkownik.

– Jeżeli dostarczy pan tę rzecz, o którą mi chodzi, i wykona co do joty wszystkie moje polecenia, dostanie pan w zamian swój paszport, prawo jazdy, dokumenty, portfel i gwarancję, że nie będzie pan odpowiadał za zdradę. Jeżeli jednak nie stawi się pan jutro o wpół do dziesiątej rano z żądanym przedmiotem – oznajmił Adam – wszystkie te dokumenty pół godziny później znajdą się na biurku niejakiego Lawrence'a Pembertona z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, razem z moim raportem dotyczącym innych źródeł pańskich dochodów, których pan nie uwzględnił w deklaracji podatkowej.

– Nie zrobi mi pan tego, kapitanie Scott, prawda?

– Z wybiciem dziesiątej – odparł Adam.

– Ale niech pan łaskawie pomyśli, kapitanie, co by się ze mną stało, gdyby pan spełnił swoją groźbę – wyjęczał pułkownik.

– Owszem, wziąłem to pod uwagę i doszedłem do dwóch wniosków.

– A mianowicie?

– Szpiedzy – ciągnął Adam, nie rozluźniając uchwytu – dostają obecnie od osiemnastu do czterdziestu dwóch lat, w zależności od humoru Jej Wysokości, ma pan więc szansę, przy nienagannym sprawowaniu, wyjść przed końcem wieku, akurat na czas, żeby odebrać telegram od królowej.

Pułkownik był wyraźnie przejęty.

– A ten drugi wniosek? – nie wytrzymał.

– Och, po prostu może pan zawiadomić o mojej nocnej wizycie Romanowa i wtedy on już zadba o to, by resztę swoich dni spędził pan w bardzo maleńkiej daczy na stosownie niemiłym przedmieściu Moskwy. No bo cóż, drogi panie Tomkins, jest pan bardzo drobną płotką wśród szpiegów. Co do mnie, to nie wiem, która z tych możliwości wydałaby mi się bardziej przerażająca, gdyby mnie postawiono przed takim wyborem.

– Zdobędę to dla pana, kapitanie, może pan na mnie polegać.

– Jestem spokojny, że mogę, Tomkins. Bo gdyby pan zdradził Romanowowi naszą małą tajemnicę, to w ciągu kilku minut zostałby pan aresztowany. W najlepszym razie mógłby pan próbować ucieczki Aerofłotem do

Moskwy. A ja już sprawdziłem, że najwcześniejszy samolot jest dopiero późnym popołudniem.

– Przyniosę to panu punkt wpół do dziesiątej, kapitanie. Może pan być spokojny. Ale, na miłość boską, niech i pan będzie gotowy do wymiany.

– Przyjdę – rzekł Adam – ze wszystkimi pańskimi dokumentami, Tomkins.

Wolno podniósł pułkownika z podłogi i pchnął w stronę schodów. Następnie zapalił światło i o mało go z tych schodów nie zrzucił. Kiedy znaleźli się przy drzwiach, warknął:

– Klucze!

– Pan już ma moje klucze, kapitanie Scott – zaprotestował pułkownik.

– Klucze od samochodu, kretynie!

– Ale to jest samochód wynajęty.

– To się dobrze składa. Teraz ja go wynajmuję – powiedział Adam.

– Więc jak mam zdążyć do Londynu na czas?

– To nie moja sprawa. Zresztą ma pan jeszcze przed sobą kawał nocy, a w tym czasie można zdążyć nawet na piechotę. Klucze – powtórzył Adam, wykręcając pułkownikowi ramię aż do łopatki.

– W lewej kieszeni – pisnął Tomkins głosem wyższym co najmniej o oktawę.

Adam wsadził rękę do kieszeni jego nowej marynarki i wyjął kluczyki. Następnie otworzył drzwi, wypchnął pułkownika z domu i odprowadził do ulicy.

– Stanie pan tam, po drugiej stronie – polecił – i nie wróci do domu, dopóki nie dojadę do końca ulicy. Czy wyrażam się jasno, Tomkins?

– Aż nadto, kapitanie Scott.

– Dobrze. – Adam dopiero teraz go puścił. – Jeszcze jedno, Tomkins, na wypadek gdybyś próbował mnie oszukać. Poinstruowałem już Ministerstwo Spraw Zagranicznych, żeby śledzili Romanowa i żeby w pobliżu ambasady sowieckiej postawili dodatkowo dwóch ludzi, którzy mają natychmiast dać mi znać, jeśli tylko jutro przed dziesiątą rano pojawi się albo opuści ambasadę ktoś podejrzany. – Miał nadzieję, że to, co mówi, jest przekonujące.

– Widzę, że o wszystko pan zadbał – mruknął ponuro pułkownik.

– Owszem. Tak mi się przynajmniej wydaje – zapewnił go Adam. – Czekając na pana, odłączyłem panu nawet telefon. – Dosłownie pchnął pułkownika na drugą stronę ulicy, po czym wsiadł do samochodu. Zanim odjechał,

opuścił szybę i jeszcze na pożegnanie zawołał: – Do zobaczenia jutro o dziewiątej trzydzieści! Punktualnie – dodał, wrzucając jedynkę.

Pułkownik stał na krawężniku, dygocząc z zimna i masując zdrętwiałe ramię, dopóki samochód nie dojechał do końca ulicy. Stał jeszcze, kiedy skręcał w lewo, kierując się ku centrum Londynu.

Po raz pierwszy od śmierci Heidi Adam poczuł, że to Romanow jest tym, który ucieka.

– Cóż to za zaszczyt dla naszego skromnego banku – powiedział Herr Bischoff, pochlebiony możliwością podjęcia herbatą najważniejszego bankiera Europy Wschodniej.

– Nie ma o czym mówić, drogi Bischoff – rzekł Poskonow. – Po tylu latach zaszczyt należy do mnie. Bardzo to miłe z pańskiej strony, że okazał pan tyle zrozumienia i zgodził się otworzyć bank w niedzielę specjalnie ze względu na mnie. Ale przejdźmy do rzeczy. Czy udało się panu skłonić Romanowa do podpisania dokumentu, w którym zrzeka się ewentualnych roszczeń wobec banku?

– O, tak – odparł Bischoff rzeczowym tonem. – Złożył podpis, nie czytając nawet standardowych klauzul, że nie wspomnę już o tych trzech dodatkowych, które pan kazał umieścić.

– A więc automatycznie cały ten spadek przechodzi na własność skarbu państwa Związku Radzieckiego?

– Tak jest, panie Poskonow. A my w zamian…

– …reprezentujecie nas we wszystkich operacjach finansowych, jakich dokonujemy na Zachodzie.

– Dziękuję – odparł Bischoff. – Jesteśmy do dyspozycji na każde zawołanie. Ale co zrobimy, jeśli Romanow zgłosi się do banku i zażąda wyjaśnień, co się stało z jego spadkiem? – wyraził zaniepokojenie prezes banku.

– Nie zgłosi się – zapewnił go z naciskiem Poskonow. – Może mi pan zaufać. A teraz chciałbym zobaczyć, co jest w tych sejfach.

– Naturalnie – powiedział Herr Bischoff. – Zechce pan pójść ze mną.

Dwaj bankierzy wsiedli do prywatnej windy Bischoffa i zjechali do podziemnego skarbca.

– Otworzę teraz te pięć sejfów w pana imieniu naszym kluczem, ale swoim kluczem może je otworzyć tylko pan.

– Dziękuję – powiedział Poskonow, czekając, aż Bischoff otworzy wszystkie pięć sejfów.

– Proszę się nie śpieszyć – rzekł Bischoff, wychodząc ze skarbca. – Uprzedzam jednak, że o szóstej główne drzwi zamykają się automatycznie aż do dziewiątej rano i pozostają zamknięte. Nic mniejszego niż bomba atomowa nie jest w stanie ich otworzyć. O piątej czterdzieści pięć odezwie się alarm, który pana uprzedzi, że zostało jeszcze tylko piętnaście minut.

– Wspaniale – stwierdził człowiek, którego w ciągu całej jego bankowej kariery nigdy o niczym nie uprzedzono piętnaście minut wcześniej.

Herr Bischoff wręczył Poskonowowi kopertę z kluczem Romanowa.

Gdy tylko za Bischoffem zamknęły się ciężkie stalowe drzwi, Poskonow spojrzał na zegar ścienny. Miał ponad dwie godziny na ustalenie, co się da wywieźć do Brazylii, a co ma zostać. Państwowa emerytura i Order Lenina (drugiej klasy) nie wydawały mu się dostatecznie nęcącą perspektywą.

Przekręcił klucz i otworzył pierwszy z małych sejfów, zawierający tytuły własności terenów, które od dziesiątków lat należały do państwa. Jęknął. Drugi sejf zawierał udziały przedsiębiorstw niegdyś kwitnących, obecnie w całkowitej ruinie. Ku rozczarowaniu Poskonowa, w trzecim znajdował się jedynie testament, na którego mocy wszystko to przypadało ojcu Romanowa i jego spadkobiercom w prostej linii. Czy po to czekał tyle lat, aby stwierdzić, że opowieści o złocie, kosztownościach i perłach były tylko fantazją starego? A może Romanow już je zabrał?

Otworzył pierwszy z dwóch dużych sejfów i stał wpatrzony w dwanaście małych przegródek. Ostrożnie podniósł przykrywkę pierwszej i na widok biżuterii i drogich kamieni, które zalśniły w świetle lamp, ugięły się pod nim nogi. Wsadził obie ręce do przegródki i zaczął przesypywać klejnoty między palcami jak dziecko bawiące się kamykami na plaży.

Druga przegródka mieściła perły, trzecia złote monety i medaliony, na których widok zabłysły nawet oczy starego. Nie wiedział, jak długo grzebał w pozostałych przegródkach, w każdym razie kiedy odezwał się alarm, był osiem tysięcy kilometrów od tego miejsca i cieszył się nowo nabytym bogactwem. Spojrzał na zegar. Zdąży jeszcze powkładać z powrotem kosztowności. A jutro wróci i zabierze wszystko, co zarobił, wiernie służąc państwu przez pięćdziesiąt lat.

Kiedy ostatnia przegródka została zamknięta, ponownie spojrzał na zegar: była za sześć szósta. Została mu jeszcze chwila na zajrzenie do ostat-

niego sejfu.

Wyciągając wielką szufladę, oblizywał wargi. Przekręcił klucz w zamku. Tylko jeden rzut oka – obiecywał sobie, unosząc wieko. Na widok rozkładających się zwłok, sinych i z wybałuszonymi oczyma, zatoczył się do tyłu i łapiąc się za serce, padł na podłogę.

Oba ciała odnaleziono nazajutrz o dziewiątej rano.

Zadzwonił telefon i Adam chwycił słuchawkę, zanim ostry dźwięk przeszył ciszę po raz drugi.

– Zamawiał pan budzenie – rozległ się łagodny kobiecy głos. – Jest ósma.

– Dziękuję – odparł i odłożył słuchawkę. Telefon okazał się zbyteczny, ponieważ i tak od blisko godziny siedział na łóżku i rozważał wszystkie implikacje swojego planu. Wiedział już bowiem dokładnie, jak się rozprawi z Romanowem.

Wyskoczył z łóżka, rozsunął zasłony i spojrzał na ambasadę sowiecką. Zastanawiał się, od jak dawna Rosjanie nie śpią.

Wrócił do łóżka i podniósł słuchawkę, żeby zadzwonić pod numer, który podała mu Robin. Po kilku sygnałach odezwała się starsza kobieta.

– Mówi Beresford.

– Dzień dobry pani. Nazywam się Adam Scott, jestem przyjacielem Robin. Dzwonię, żeby się upewnić, czy szczęśliwie wróciła do domu.

– O tak, dziękuję bardzo – odparła matka Robin. – Wracając przed weekendem, sprawiła mi bardzo miłą niespodziankę. Zwykle, jak przyjeżdżają tak późno, nocuje u siebie. Obawiam się, że jeszcze śpi. Czy mam ją obudzić?

– Nie, nie, proszę jej nie przeszkadzać – powiedział Adam. – Zadzwoniłem tylko, żeby się z nią umówić na lunch. Pani będzie łaskawa jej powtórzyć, że zatelefonuję później, dobrze?

– Naturalnie. Dziękuję w jej imieniu.

Adam odłożył słuchawkę i uśmiechnął się. Elementy układanki pasowały jak dotąd bezbłędnie, ale bez pomocy pułkownika i tak będzie mu brakowało jednego z najważniejszych. Zaczął wkładać do dużej koperty wszystkie rzeczy dla Tomkinsa, łącznie z jego paszportem, osobistymi dokumentami i portfelem. Z kieszeni marynarki wyjął ikonę i odwróciwszy

ją ostrożnie, studiował carski herb. Następnie otworzył scyzoryk pułkownika, rozpoczynając powolne i delikatne dzieło usuwania korony.

Pół godziny później zjeżdżał windą do mieszczącego się w podziemiach hotelowego parkingu. Podszedł do miejsca, gdzie nieco wcześniej tego ranka zaparkował zielonego forda cortinę. Otworzył drzwi i rzucił na siedzenie starą marynarkę pułkownika, po czym zamknął wóz i wjechał windą na parter.

Właściciel sklepu z garderobą męską w pasażu handlowym zdążył właśnie odwrócić tabliczkę „Zamknięte” i Adam bez pośpiechu wybrał białą koszulę, szare flanelowe spodnie i granatową marynarkę, w które się przebrał w małej przymierzalni.

O dziewiątej dwadzieścia trzy uregulował rachunek w hotelu Royal Garden i poprosił portiera, żeby mu przyprowadził z parkingu zielonego forda.

Czekając przy wejściu, zaczął się denerwować, że pułkownik nie przyjedzie. Wiedział, że gdyby się rzeczywiście nie pojawił, pierwszy telefon będzie musiał wykonać do Lawrence’a, nie do Romanowa.

Jego rozmyślania przerwał klakson. Właśnie podstawiono przed hotel wynajęty samochód pułkownika.

– Wóz czeka – powiedział portier, wręczając Adamowi kluczyki.

– Dziękuję. – Scott wsunął mężczyźnie ostatnie pieniądze pułkownika, następnie włożył jego portfel do dużej koperty, zakleił ją i znów spojrzał na zegarek.

Po dalszych dwóch minutach niecierpliwego oczekiwania zobaczył nagle zadyszanego pułkownika, który właśnie podchodził do hotelu. W ręku trzymał niewielką torbę.

– Udało się, kapitanie Scott, udało się, ale muszę zaraz wracać, bo inaczej zauważy.

Szybko podał torbę Adamowi, ten zaś zajrzał do środka.

– Widzę, że dotrzymuje pan słowa – powiedział. – A tu znajdzie pan wszystko, czego pan potrzebuje. – Podał pułkownikowi kopertę i kluczyki, wskazując forda.

Pułkownik podbiegł do samochodu, wsiadł szybko i odjechał, by po chwili skręcić w Kensington Palace Gardens.

Adam spojrzał na zegarek: była dziewiąta trzydzieści pięć.

– Może pan wezwać mi taksówkę? – spytał portiera.

Kierowca opuścił okno i spojrzał pytająco.

– Chesham Place. Warsztat stolarski.

Adam spędził dwadzieścia minut, rozglądając się po warsztacie, podczas gdy rzemieślnik wykonywał niecodzienne zamówienie. Z satysfakcją ocenił wynik starań stolarza, zapłacił mu dwie półkoronówki i wyszedł na King's Road, by złapać następną taksówkę.

– Dokąd jedziemy?

– Do Tower.

O dziewiątej trzydzieści zebrali się już wszyscy członkowie D4, ale Lawrence nie zdążył jeszcze usiąść, kiedy zaatakował go Busch.

– Jak, do cholery, tym razem udało się panu go zgubić?!

– Tym razem to wyłącznie moja wina – powiedział Lawrence. – Mieliśmy obstawione wszystkie porty od Newhaven do Harwich, ale kiedy mój człowiek zobaczył, jak Romanow i jego kompan opuszczają nabrzeże w Dover i zaczynają gonić po autostradzie autokar, doszedł do wniosku, że musieli dostrzec w nim Scotta. Zawiadomiłem wyższego urzędnika biura imigracyjnego w porcie – ciągnął – żeby nie robiąc zamieszania, przepuścił Scotta. Zamierzałem go przejąć, jak tylko przejdzie odprawę celną. Nie było powodu zmieniać planu, skoro cały czas mieliśmy Romanowa na oku. Ale okazało się, że Scott przechytrzył w Dover i Romanowa, i naszego człowieka.

– Ale przecież mieliśmy drugą szansę, kiedy wsiadł do pociągu – nie dawał za wygraną Busch.

Pemberton wpatrywał się w Amerykanina, ciekaw, czy się przyzna, że dwaj agenci CIA również zgubili Scotta w Dover.

– W pociągu był mój człowiek – powiedział z naciskiem – ale tylko raz miał okazję nawiązać kontakt ze Scottem, kiedy ten był sam. I właśnie w tym momencie został wciągnięty do przedziału, a potem dotkliwie pobity przez grupę pijanych chuliganów, wyrostków, którzy najprawdopodobniej wracali z wyprawy nad morze.

– To może rekrutujemy naszych agentów spośród niewłaściwych ludzi – powiedział Matthews, patrząc w papiery.

Lawrence wstrzymał się od odpowiedzi.

– Tak więc, o ile wiemy – odezwał się Snell – Scott, carska ikona i Romanow są gdzieś w Londynie, tak?

– Na to wygląda – przyznał Lawrence.

– To może nie wszystko jest jeszcze stracone – zaryzykował Snell. – Może Scott spróbuje się z panem skontaktować.

– Nie sądzę – odparł spokojnie Pemberton.

– Skąd ta pewność? – zapytał Busch.

– Bo Scott wie, że jeden z nas, tu obecnych, jest zdrajcą, i myśli, że to ja.

– Dzień dobry. Ambasada radziecka.

– Nazywam się Adam Scott i chciałbym rozmawiać z niejakim majorem Romanowem.

– Dzień dobry, panie Scott. Tu nie pracuje żaden major Romanow – padła grzeczna odpowiedź.

– Jasne, że nie pracuje.

– Ale jeśli zechce pan zostawić swój numer, spróbuję się czegoś dowiedzieć.

– Zaczekam. Przypuszczam, że jak się dowie, kto dzwoni, znajdzie się bardzo szybko.

Po drugiej stronie zaległa długa cisza i Adam miał nadzieję, że wrzucony przez niego szyling wystarczy. Wreszcie usłyszał trzask i głos, w którym brzmiało niedowierzanie.

– Kto mówi?

– Wiesz dobrze, kto mówi – powiedział krótko. – Mam propozycję.

– Propozycję? – zapytał Romanow, w którego głosie niedowierzanie ustąpiło miejsca zdumieniu.

– Chcę wymienić moją ikonę, która, jak to sprytnie zauważyłeś, jest dla mnie bezużyteczna, na twoją, która nie jest. Ale do tego masz mi dać wszystkie dokumenty potwierdzające niewinność mojego ojca.

– Skąd mogę wiedzieć, że to nie zasadzka?

– Tego wiedzieć nie możesz, ale po prostu nie masz nic do stracenia.

Na linii odezwały się sygnały.

– Podaj swój numer – zażądał Romanow.

– 738-9121 – powiedział Adam.

– Oddzwonię – rzekł Romanow i połączenie zostało przerwane. – Jak szybko możemy ustalić, gdzie jest numer 738-9121? – zapytał siedzącego obok miejscowego agenta KGB.

– W jakieś dziesięć minut. Tylko że to może być pułapka.

– To prawda, ale skoro na dostarczenie ikony do Ameryki zostało mi tylko dziewiętnaście godzin, nie mam wielkiego wyboru. Jak wygląda ruch w Londynie w piątek rano?

– Jeden z największych w tygodniu. A dlaczego pytacie?

– Bo potrzebny mi jest motor i superkierowca – rzekł Romanow.

Adam był bezsilny – budkę telefoniczną zajęła kobieta w średnim wieku. Wśliznęła się, kiedy zdenerwowany poszedł spojrzeć na most. Musiała być zdziwiona, że młody człowiek, zamiast skorzystać z wolnego automatu obok, czeka, aż ona wyjdzie.

Niespokojnie spojrzał na zegarek: była dziesiąta czterdzieści pięć. Wiedział, że nie może ryzykować czekania choćby minutę dłużej niż do jedenastej, ale miał nadzieję, że Romanow znacznie wcześniej zlokalizuje miejsce, z którego dzwonił.

Gadatliwa kobieta rozmawiała jeszcze dwanaście minut, zanim wreszcie odłożyła słuchawkę. Wychodząc z budki, obdarzyła Adama ciepłym uśmiechem.

Jeszcze trzy minuty i będzie musiał zadzwonić do Lawrence’a i zniszczyć cały swój pierwotny plan. Zaczął przyglądać się strażnikom spacerującym przed Bramą Zdrajców. Brama Zdrajców, bardzo à propos, pomyślał. Wybrał to miejsce, ponieważ miał stąd dobry widok w obie strony na ścieżkę prowadzącą do mostu zwodzonego i uznał, że tu go nie zaskoczą. A w ostateczności była jeszcze fosa, która ich otaczała ze wszystkich stron.

Po raz pierwszy w życiu mógł ocenić, jak długie potrafi być pięć minut. Kiedy wreszcie zadzwonił telefon, zabrzmiał jak alarm. Adam nerwowo podniósł słuchawkę, ani na chwilę nie spuszczając z oka ulicy.

– Scott?

– Tak.

– Widzę cię teraz bardzo dokładnie, ponieważ dzieli nas mniej więcej minuta drogi. Do końca tej minuty będę stał na krańcu Tower Bridge. Bądź tam z ikoną. Jeśli cię nie będzie, na twoich oczach spalę papiery potwierdzające niewinność twojego ojca. – Połączenie zostało przerwane.

Adam z zadowoleniem stwierdził, że następny element układanki trafił na miejsce. Wyszedł z budki telefonicznej i spojrzał najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Na końcu mostu zatrzymał się gwałtownie motor BMW. Prowadził go mężczyzna w skórzanej kurtce, którego uwagę pochła-

niał całkowicie ruch uliczny. Za to siedzący z tyłu pasażer patrzył wprost na Adama.

Scott ruszył powoli w tamtym kierunku. Wsadził rękę do kieszeni, aby się upewnić, że ikona nie zniknęła.

Do końca mostu zostało mu jeszcze jakieś trzydzieści metrów, gdy pasażer zsiadł z motoru i wyszedł mu naprzeciw. Kiedy ich oczy się spotkały, Romanow stanął i uniósł niewielki prostokąt z drewna. Adam nie odpowiedział podobnym gestem, tylko nie przestając iść, poklepał się po kieszeni. Zbliżali się do siebie jak dawni rycerze. Kiedy dzieliło ich zaledwie kilka kroków, zatrzymali się niemal jednocześnie i spojrzeli sobie w oczy.

– Pokaż mi ją – powiedział Romanow.

Adam wolno wyjął ikonę z kieszeni i przyłożył do piersi, tak żeby jego przeciwnik mógł zobaczyć wpatrzonego w siebie świętego Jerzego.

– Odwróć.

Adam usłuchał. Rosjanin nie mógł ukryć zachwytu na widok małej srebrnej carskiej korony.

– Teraz ty – powiedział Adam.

Romanow wyciągnął ikonę niczym miecz. Arcydzieło zalśniło w letnim słońcu.

– I dokumenty – zażądał Adam, zmuszając się, by mówić spokojnie.

Rosjanin wyjął z kieszeni marynarki pakiet dokumentów i zaczął go rozwijać. Scott po raz drugi miał przed sobą oficjalny wyrok sądowy.

– Podejdź do muru. – Wskazał lewą barierę mostu. – Zostaw tam ikonę i dokumenty.

Romanow zastosował się do polecenia, patrząc, jak Adam podchodzi do muru po przeciwległej stronie mostu i zostawia tam swoją ikonę.

– Przechodź powoli – rzekł Adam i jednocześnie zaczęli przemierzać most na ukos, nie zbliżając się do siebie bardziej niż na odległość paru kroków, po czym zatrzymali się, każdy przed ikoną drugiego. Romanow porwał swoją i nie oglądając się za siebie, ruszył biegiem do motocykla. W ciągu kilku sekund bmw zniknęło w gęstym ruchu.

Adam dalej stał w miejscu. Stracił oryginał ikony zaledwie na godzinę i teraz z ulgą go odzyskał. Sprawdził dokumenty stwierdzające niewinność jego ojca i schował do wewnętrznej kieszeni. Ignorując turystów, którzy przystawali, żeby się na niego gapić, zaczął się właśnie odprężać, kiedy

nagle poczuł mocnego kuksańca w sam środek pleców. Przestraszony, podskoczył i odwrócił się gwałtownie.

– Czy pan i pański przyjaciel będziecie jeszcze występowali przed południem?

Gdy tylko motor zatrzymał się przed ambasadą sowiecką na Kensington Palace Gardens, Romanow zeskoczył, wbiegł po stopniach do budynku i bez pukania wpadł do gabinetu ambasadora. Ambasador nie musiał go pytać, jak poszło.

– Mój plan powiódł się idealnie. Scott był całkowicie zaskoczony – powiedział Romanow, wręczając ambasadorowi ikonę.

Ambasador odwrócił malowidło i zobaczył srebrną carską koronę. Wszelkie wątpliwości, jakie mógł mieć, zostały rozwiane.

– Polecono mi natychmiast wysłać ikonę do Waszyngtonu pocztą dyplomatyczną. Nie ma chwili do stracenia.

– Wolałbym dostarczyć ją osobiście – rzekł Romanow.

– Wystarczy, towarzyszu, że swoją część zadania wykonaliście w nienaganny sposób.

Ambasador przycisnął guzik z boku biurka. Natychmiast zjawiło się dwóch mężczyzn. Jeden trzymał otwarty worek na pocztę dyplomatyczną, drugi stał obok bez ruchu. Ambasador wręczył jednemu z mężczyzn ikonę i patrzył, jak ginie ona w głębi worka.

Kurierzy wyglądają tak, jakby wyniesienie ambasadorskiego biurka nie przedstawiało dla nich najmniejszej trudności, pomyślał Romanow.

– Na Heathrow czeka samolot, który zabierze was prosto do Waszyngtonu – powiedział ambasador. – Dokumenty dla władz celnych zostały już przygotowane. W Waszyngtonie powinniście wylądować około piątej tamtejszego czasu, co waszym towarzyszom w Ameryce pozwoli bez problemów wykonać ich część zadania.

Kurierzy skinęli głowami, w obecności ambasadora zapieczętowali worek i wyszli. Romanow podszedł do okna i patrzył, jak służbowy samochód ambasady kieruje się ku Kensington High Street, by zawieźć ich na lotnisko.

– Wódki, towarzyszu majorze?

– Dziękuję – odparł Romanow, nie ruszając się od okna, dopóki nie stracił samochodu z oczu.

Ambasador podszedł do barku, skąd wziął dwie szklanki. Następnie z lodówki wyjął butelkę i nalał Romanowowi wódki.

– Nie będzie w tym chyba przesady, jeśli powiem, że pozycję największego mocarstwa świata Związek Radziecki w znacznej mierze zawdzięcza wam – powiedział, wręczając Romanowowi szklankę. – Wypijmy więc za repatriację mieszkańców Aleutów jako pełnoprawnych obywateli Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.

– Jak to jest możliwe? – zapytał Romanow.

– Myślę, że nadszedł czas, abyście poznali prawdziwą wagę swoich czynów. – Z tymi słowy ambasador zaczął przekazywać majorowi treść raportu, który otrzymał rano z Moskwy.

Romanow był rad, że do końca nie wiedział, o jak wysoką grał stawkę.

– O trzeciej po południu mam spotkanie z ministrem spraw zagranicznych, którego również muszę powiadomić o wszystkim. Co do Anglików, to możemy być spokojni o ich *fair play* – ciągnął ambasador – chociaż słyszałem, że minister wcale nie jest zachwycony, bo planował chyba jakąś wielką fetę. Anglicy mają dziwne pojęcie na temat funkcjonowania swojego systemu partyjnego.

Romanow roześmiał się.

– Za Aleuty – powiedział, unosząc szklankę. – Ale ciekawe, co się w tej chwili dzieje w Waszyngtonie.

– Nasz ambasador poprosił już o spotkanie, o ósmej wieczór, amerykańskiego sekretarza stanu. Po spotkaniu ma się odbyć w naszej ambasadzie konferencja prasowa. Może wyda wam się to zabawne, jeśli powiem, że prezydent Johnson odwołał swój weekendowy wyjazd do Teksasu, by w poniedziałek, w najlepszym czasie telewizyjnym, przemówić do „swoich amerykańskich współobywateli” w sprawie najwyższej wagi państwowej.

– I pomyśleć, że dla nas była to kwestia zaledwie godzin – rzekł Romanow, dolewając sobie wódki.

– Tyle że wszystko wisiało na włosku, jak to mówią Anglicy. Całe szczęście, że jest taka różnica czasu między Europą a Stanami Zjednoczonymi, w przeciwnym razie nigdy byśmy się w tym terminie nie zmieścili.

Romanow wzdrygnął się na samą myśl, co by to było, i jednym haustem wypił wódkę.

– Zapraszam was, towarzyszu, na lunch. Jesteście wprawdzie zobowiązani wracać do Moskwy, ale mój sekretarz zapewnia mnie, że najbliższy

samolot z Heathrow do naszej stolicy odlatuje dopiero o ósmej wieczór. Zazdroszczę wam przyjęcia, jakie was jutro czeka na Kremlu.

– Ale będzie mi potrzebne te tysiąc funtów na…

– Ach tak, mam te pieniądze dla was. – Ambasador otworzył kluczem małą szufladkę w biurku i wyjął niewielki plik banknotów w celofanowej kopertce.

Romanow wsunął pieniądze do kieszeni i udał się z ambasadorem na lunch.

Busch wpadł do gabinetu Lawrence’a.

– Romanow ma ikonę! – wykrzyknął.

Lawrence’owi opadła szczęka. Na jego twarzy pojawił się wyraz rozpaczy.

– Skąd pan wie?

– Właśnie otrzymałem wiadomość z Waszyngtonu. Rosjanie zaprosili naszego sekretarza stanu na ósmą wieczór na oficjalne spotkanie w tej sprawie.

– Nie wierzę – rzekł Lawrence.

– A ja wierzę – powiedział Busch. – Zawsze wiedzieliśmy, że ten pański przyjaciel to, tak samo jak jego ojciec, cholerny zdrajca. Nie ma innego wytłumaczenia.

– On mógł stracić życie – powiedział spokojnie Lawrence.

– Może tak byłoby lepiej dla niego – skomentował Busch.

Na biurku odezwał się telefon. Lawrence chwycił słuchawkę, jakby to była ostatnia deska ratunku.

– Niejaki doktor John Vance chciałby zamienić z panem parę słów – rzekła sekretarka. – Powiedział, że pan go prosił o telefon.

Vance? Vance? Lawrence przypomniał sobie nazwisko, ale nie mógł go skojarzyć z właściwą osobą.

– Proszę go połączyć.

– Pan Pemberton? Dzień dobry – rozległ się głos.

– Dzień dobry, doktorze Vance. Czym mogę służyć?

– Prosił mnie pan o telefon po badaniu Scotta.

– Scotta? – powtórzył Lawrence, nie wierząc własnym uszom.

– Tak, Adama Scotta. Mam nadzieję, że pan sobie przypomina. Miał przejść badania lekarskie jako kandydat do pracy w pana resorcie.

Lawrence’a zamurowało.

– Wystawiłem mu doskonałe świadectwo – ciągnął doktor. – Ma wprawdzie parę skaleczeń i paskudny siniak, ale za kilka dni nie będzie po tym wszystkim śladu.

– Skaleczenia i siniak? – powtórzył Lawrence.

– Tak, skaleczenia i siniak. Ale niech pan się nie martwi o Scotta. Jest w dostatecznie dobrej formie, żeby praktycznie w każdej chwili podjąć pracę. O ile w dalszym ciągu jest panu potrzebny.

– O ile w dalszym ciągu jest mi potrzebny… – powtórzył Pemberton. – A czy przypadkiem nie ma go u pana w tej chwili?

– Nie – odparł doktor Vance. – Jakieś dziesięć minut temu wyszedł z mojego gabinetu.

– A nie powiedział panu, dokąd idzie? – spytał Lawrence.

– Nie, dokładnie nie mówił. Wspomniał tylko, że musi odprowadzić przyjaciela na lotnisko.

Po wypiciu kawy Romanow spojrzał na zegarek. Miał dość czasu, żeby zdążyć i na spotkanie, i na samolot. Podziękował ambasadorowi za pomoc, zbiegł po stopniach ambasady i wsiadł na tylne siedzenie nieoznakowanego czarnego samochodu.

Kierowca ruszył bez słowa. Już wcześniej został poinformowany, dokąd ma wieźć majora.

W milczeniu odbyli krótką podróż na Charlotte Street, gdzie kierowca zaparkował wóz w zatoczce. Romanow wysiadł, szybko przeszedł na drugą stronę ulicy i nacisnął brzęczyk przy drzwiach.

– Czy jest pan stowarzyszony? – odezwał się głos w domofonie.

– Tak – odparł Romanow. Usłyszawszy metaliczne brzęczenie, pchnął drzwi i wszedł po ciemnych schodach na górę. Odczekał chwilę, aż oczy przyzwyczają mu się do światła. Zaraz potem zobaczył Mentora – siedział samotnie przy małym stoliku pod filarem w rogu sali.

Romanow skinął głową. Mężczyzna podniósł się, przeszedł przez parkiet taneczny i minął gościa. Major poszedł za Mentorem, który zniknął w jedynej toalecie. Kiedy znaleźli się wewnątrz, major upewnił się, że są sami, a następnie wprowadził swego towarzysza do kabiny i zamknął ją od środka. Wyjął z kieszeni tysiąc funtów i wręczył siedzącemu na sedesie mężczyźnie. Mentor łapczywie rozerwał kopertę, pochylił się i zaczął liczyć

banknoty. Nie widział, jak Romanow prostuje palce, kiedy więc spadł mu na kark miażdżący cios, poleciał do przodu i bezwładnie osunął się na ziemię.

Romanow poderwał go – pozbieranie rozsypanych dziesięciofuntowych banknotów zajęło mu zaledwie kilka sekund. Wszystkie sto wepchnął następnie do kieszeni Mentora, po czym, guzik po guziku, rozpiął mu rozporek, zsunął spodnie aż do kostek i posadził go na sedesie. Na koniec rozsunął mu nogi tak szeroko, jak na to pozwoliły spodnie, sam zaś wyczołgał się z toalety przez wycięcie pod drzwiami, zostawiając kabinę zamkniętą od środka. Szybko przyjrzał się swojej robocie: z zewnątrz widać było tylko rozstawione stopy i spuszczone spodnie.

Minutę później był z powrotem w samochodzie w drodze na Heathrow.

Adam przyjechał na lotnisko na dwie godziny przed odlotem maszyny Aerofłotu do Moskwy. Zajął miejsce, z którego miał doskonały widok na czterdziestometrowy odcinek drogi, jaki Romanow musiałby przebyć, żeby wsiąść do samolotu. Był spokojny, że nigdy tam nie dojdzie.

Romanow zgłosił się do odprawy pasażerskiej w liniach BEA parę minut po szóstej. Wybrał BEA zamiast Aerofłotu, chociaż wiedział, że Zaborski nie pochwalałby takiej bezczelności, miał jednak nadzieję, że akurat teraz nikt nie odważy się go krytykować.

Po otrzymaniu karty pokładowej pojechał ruchomymi schodami do hali dla klasy pierwszej i usiadł, czekając, aż wywołają pasażerów. Zawsze było tak samo – po zakończonej akcji chciał jak najprędzej wrócić do domu. Wstał z miejsca i poszedł nalać sobie kawy, ale przechodząc obok stolika pośrodku sali, zobaczył nagłówek w „Evening Standard”: „Korespondencja własna. Tajemnicza historia – prezydent Johnson odwołał weekendowy wyjazd do Teksasu”. Romanow porwał gazetę i przeczytał pierwszy akapit, ale nie było w nim nic, czego by nie wiedział. Żaden z domysłów, jakie autor artykułu snuł poniżej, nie miał nic wspólnego z rzeczywistością.

Major nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy pierwszą stronę „Prawdy”, w której z pewnością autentyczna historia zostanie odpowiednio nagłośniona. Według standardów zachodnich będzie to niewątpliwa sensacja.

– Start samolotu BEA, lot 117 do Moskwy. Pasażerowie pierwszej klasy proszeni są do wyjścia numer 23.

Romanow opuścił poczekalnię i przeszedł długim na osiemset metrów korytarzem, a następnie po płycie lotniska do samolotu. Dochodziła siódma. Za jakieś dwie godziny miał lądować w Waszyngtonie samolot z ikoną na pokładzie. Romanow zaś przyleci do Moskwy akurat na czas, aby obejrzeć wtorkowy mecz Dynama ze Spartakiem na stadionie imienia Lenina. Był ciekaw, czy ogłoszą przez głośniki zebranym tłumom jego przybycie, jak to robili zwykle, kiedy na mecz przychodził jakiś członek Biura Politycznego. Wszedł po schodkach do samolotu i ominąwszy nogi sąsiada, z zadowoleniem zajął miejsce przy oknie.

– Czy podać coś do picia przed startem? – zapytała stewardesa.

– Poproszę kawę – powiedział siedzący obok Romanowa mężczyzna.

Rosjanin skinął głową.

Chwilę później stewardesa przyniosła dwie kawy i pomogła sąsiadowi Romanowa wysunąć stolik. Major poradził sobie sam, zanim zdążyła mu podać filiżankę.

Upił łyk, ale kawa okazała się za gorąca, więc ją odstawił na stolik. Patrzył, jak sąsiad wyjmuje z kieszeni pojemniczek z sacharyną i wrzuca do dymiącej filiżanki dwie pastylki.

Po co się tak przejmować, pomyślał. Życie jest takie krótkie.

Przez okno widział, jak samolot Aerofłotu kołuje na pas startowy. Uśmiechnął się na myśl o tym, o ile jego lot będzie wygodniejszy. Spróbował kawy po raz drugi; teraz była w sam raz. Upił duży łyk i poczuł senność, co go specjalnie nie zdziwiło – w ciągu ostatniego tygodnia sypiał niewiele.

Oparł się wygodnie i zamknął na chwilę oczy. Był gotów na przyjęcie wszelkich zaszczytów, jakie mu zaoferują. Usunąwszy z drogi Wołczka, mógł nawet sięgnąć po stanowisko Zaborskiego. Gdyby to zawiodło, dziadek stworzył mu nie najgorszą alternatywę.

Opuszczając Londyn, żałował tylko jednego: że nie udało mu się zabić Scotta. Ale miał nadzieję, że zajmą się nim Amerykanie. Po raz pierwszy od tygodnia nie musiał walczyć z sennością…

Chwilę później sąsiad Romanowa wziął jego kawę i postawił obok swojej. Następnie złożył stolik Rosjanina, przykrył mu nogi wełnianym pledem i szybko przysłonił jego otwarte oczy firmową przepaską BEA. Kiedy podniósł wzrok, stwierdził, że stoi nad nim stewardesa.

– Czy mogę w czymś pomóc? – spytała z uśmiechem.

– Nie, dziękuję bardzo. Prosił tylko, żeby mu nie przeszkadzać, bo ma za sobą bardzo ciężki tydzień.

– Oczywiście – powiedziała dziewczyna. – Za parę minut startujemy – dodała i zabrawszy obie filiżanki, odeszła.

Mężczyzna niecierpliwie bębnił palcami w mały stolik. Po chwili zjawił się starszy steward.

– Pilny telefon z pańskiego biura, sir. Musi pan natychmiast wracać do Whitehall.

– Spodziewałem się tego – przyznał mężczyzna.

Adam patrzył, jak samolot Aerofłotu wznosi się stromo, a następnie zatacza półkole na wschód. Nie mógł zrozumieć, dlaczego na jego pokładzie nie było Romanowa. Przecież chyba nie poleciał BEA.

Gdy tylko go zobaczył, uskoczył w cień, gapiąc się z niedowierzaniem. Przez płytę lotniska szedł Lawrence, uśmiechając się z satysfakcją.

Epilog

SOTHEBY'S, NEW BOND STREET, LONDYN

18 października 1966

– Sprzedane dżentelmenowi pośrodku sali za pięć tysięcy funtów. A teraz obiekt numer 32 – powiedział prowadzący aukcję mężczyzna, spoglądając z podium na pierwszy rząd tłumnie zebranych ludzi. – Ikona przedstawiająca świętego Jerzego ze smokiem. – Pomocnik licytatora ustawił na sztalugach obok niego niewielkie malowidło. Licytator wpatrywał się w twarze ekspertów, amatorów i ciekawskich. – Jaką mam podać cenę wywoławczą za to arcydzieło sztuki rosyjskiej? – zapytał wyczekująco.

Robin chwyciła Adama za rękę.

– Nie byłam tak zdenerwowana od spotkania z Romanowem.

– Nie przypominaj mi – rzekł Adam.

– Nie jest to oczywiście oryginał, ten wisi w Pałacu Zimowym – ciągnął licytator – ale to doskonała kopia namalowana najprawdopodobniej przez artystę dworskiego około roku 1914. – Skierował w stronę ikony uśmiech aprobaty. – A więc cena wywoławcza osiem tysięcy.

Następne kilka sekund ciągnęło się Adamowi i Robin bez końca.

– Dziękuję. – Licytator spojrzał w kierunku pierwszych rzędów, skąd jedna z osób przesłała mu tajemniczy znak. Ani Robin, ani Adam nie byli w stanie jej umiejscowić. Od godziny siedzieli na końcu sali, obserwując, jak kolejne przedmioty idą pod młotek. Rzadko kiedy mogli się zorientować, w czyje trafiają ręce.

– Co powiedzieli eksperci? Za ile ta ikona może pójść? – spytała znowu Robin.

– Od dziesięciu do dwudziestu tysięcy – przypomniał jej Adam.

– Dziewięć tysięcy – oznajmił licytator, przenosząc wzrok na nową ofertę po prawej stronie sali.

– W dalszym ciągu wydaje mi się to niesamowite – szepnęła Robin – że Rosjanie w ogóle zgodzili się na tę wymianę.

– Dlaczego? – spytał Adam. – Jak już Amerykanie wzięli traktat, można było spokojnie zwrócić Rosjanom oryginał w zamian za kopię, która prawnie należy do mnie. Lawrence dał przykład największej dyplomatycznej wspaniałomyślności.

– Dziesięć tysięcy z pierwszych rzędów. Dziękuję – powiedział licytator.

– I co ty zrobisz z całą tą forsą? – spytała Robin.

– Kupię nowy kontrabas i prezent ślubny dla mojej siostry, a resztę oddam matce.

– Jedenaście tysięcy po raz pierwszy, środek sali – powiedział licytator. – Dziękuję pani.

– Żadne pieniądze nie zwrócą Heidi – szepnęła Robin.

Adam skinął głową w zadumie.

– A jak wypadło spotkanie z jej rodzicami?

– W zeszłym tygodniu przyjął ich osobiście minister spraw zagranicznych. Niewielka pociecha, ale przynajmniej potwierdził, że mówiłem im prawdę.

– Dwanaście tysięcy. – Wzrok licytatora powrócił do pierwszych rzędów.

– A ty rozmawiałeś z ministrem?

– Cóż, jestem za małą płotką – rzekł Adam. – Dobrze, jeśli mnie dopuszczą do Lawrence’a, gdzie mi tam do ministra.

Robin zaśmiała się.

– I tak jesteś szczęściarzem, że ci w ogóle zaproponowali pracę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

– Zgadza się – powiedział Adam, chichocząc pod nosem – ale miejsce zwolniło się zupełnie nieoczekiwanie.

– Co rozumiesz przez „nieoczekiwanie”? – zapytała dziewczyna. Była wyraźnie zawiedziona, że w ciągu ostatniej półgodziny na tak niewiele pytań uzyskała jasną odpowiedź.

– Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że jeden z członków starej gwardii Lawrence’a odszedł na „wcześniejszą emeryturę” – odparł Adam.

– Tak jak Romanow? – Robin gorączkowo usiłowała dowiedzieć się wszystkiego, co się wydarzyło od ich ostatniego spotkania.

– Trzynaście tysięcy – oznajmił licytator, powracając wzrokiem do kobiety siedzącej pośrodku sali.

– I tak jego żywot był krótki, kiedy się dowiedzieli o tej zamianie na Tower Bridge, w której wyniku zostali z kopią, bo Romanow oddał ci oryginał.

– Rzeczywiście, od tamtej pory wszelki słuch po nim zaginął – przyznał Adam niewinnie. – Według naszych informacji na miejsce jego szefa, Zaborskiego, ma wkrótce przyjść niejaki Jurij Andropow.

– Czternaście tysięcy. – Wzrok licytatora znów spoczął na dżentelmenie z pierwszych rzędów.

– A co się stało, kiedy przedstawiłeś dokumenty stwierdzające, że to nie twój ojciec przemycił truciznę do celi Göringa?

– Po uwierzytelnieniu ich przez Rosjan Lawrence złożył oficjalną wizytę dowódcy pułku, dostarczając mu ostatecznych dowodów.

– I co dalej? – dopytywała się Robin.

– Będzie nabożeństwo w intencji ojca, a oprócz tego niejaki Ward ma namalować jego portret, który zawiśnie w kasynie. Zaprosili matkę, żeby dokonała odsłonięcia tego portretu w obecności oficerów, którzy służyli z ojcem.

– Czternaście tysięcy po raz pierwszy. – Licytator uniósł młotek na kilkanaście centymetrów.

– Musiała być w siódmym niebie – powiedziała Robin.

– Popłakała się. I tylko powtarzała w kółko: „Jaka szkoda, że tata tego nie dożył”. Swoją drogą, co za ironia, że on wtedy nie otworzył tej koperty…

– Czternaście tysięcy po raz drugi. – Licytator wyżej uniósł młotek.

– Co byś powiedziała na uroczysty lunch u Ritza? – spytał Adam, widząc, jak dobrze zapowiada się sprzedaż ikony.

– Nie, dziękuję – odparła Robin.

Popatrzył na nią zdziwiony.

– Co to za przyjemność, skoro na każde pytanie zamiast odpowiedzi otrzymuję w najlepszym razie oficjalny komunikat ministerstwa.

Adam speszył się.

– Przepraszam cię – powiedział.

– Nie, to było z mojej strony nie w porządku. Teraz, kiedy już jesteś ich człowiekiem, rozumiem, że musi to być dla ciebie niełatwe. Dlatego nie mam co sobie łamać głowy, próbując dociec, czego dotyczył ukryty wewnątrz ikony traktat.

Adam odwrócił się do dziewczyny, która uratowała mu życie.

– Albo może dowiem się prawdy w 1996 roku, kiedy zostaną opublikowane dokumenty rządowe.

Adam powoli spojrzał Robin w oczy.

– Niestety… – zaczął, kiedy nagle młotek licytatora opadł z łomotem.

Oboje z zaciekawieniem podnieśli wzrok.

– Sprzedane za czternaście tysięcy funtów dżentelmenowi z pierwszych rzędów.

– Niezła cena – powiedział Adam z uśmiechem.

– Według mnie, wyjątkowo niska – rzekła spokojnie Robin.

Adam spojrzał na nią figlarnie.

– Wyobraź sobie, ile można by dostać za czterdziesty dziewiąty stan, gdyby go tak wystawić na licytację.

Tego autora również:

ALE TO NIE WSZYSTKO
CO DO GROSZA
CÓRKA MARNOTRAWNA
CZY POWIEMY PANI PREZYDENT?
DZIEŁO PRZYPADKU
DZIENNIKI WIĘZIENNE
FAŁSZYWE WRAŻENIE
I TAK WYGRASZ
JEDENASTE PRZYKAZANIE
KANE I ABEL
KOŁCZAN PEŁEN STRZAŁ
KRÓTKO MÓWIĄC
NA KOCIĄ ŁAPĘ
PIERWSZY MIĘDZY RÓWNYMI
SPRAWA HONORU
STAN CZWARTY
SYNOWIE FORTUNY
WIĘZIEŃ URODZENIA
ZŁODZIEJSKI HONOR

CZA SPOKAŻE
ZA GRZECHY OJCA
SEKRET NAJPILNIEJ STRZEŻONY
OSTROŻNIE Z MARZENIAMI
POTĘŻNIEJSZY OD MIECZA
W GODZINIE PRÓBY
TO BYŁ CZŁOWIEK!

a także:
EWANGELIA WEDŁUG JUDASZA

Spis treści

Dedykacja
CZĘŚĆ PIERWSZA
I
II
III
IV
V
VI
VII
VIII
IX
X
XI
CZĘŚĆ DRUGA
XII
XIII
XIV
XV
XVI
CZĘŚĆ TRZECIA
XVII
XVIII
XIX
XX
XXI
CZĘŚĆ CZWARTA
XXII
XXIII
XXIV
XXV
Epilog
Polecamy

Tytuł oryginału: *A Matter of Honour*

Copyright © Jeffrey Archer 1986
All rights reserved

In English published 2003 by Pan Books an imprint of Pan Macmillan Ltd

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2016

Informacja o zabezpieczeniach
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor tego wydania: Błażej Kemnitz

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki oraz ilustracja na okładce: Zbigniew Mielnik

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Sprawa honoru*, wyd. III poprawione, dodruk, Poznań 2020)

ISBN 978-83-8188-791-5

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08
fax: 61 867 37 74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**